

Harlan
COBEN
W głębi lasu

Z angielskiego przełożył
ZBIGNIEW A. KRÓLICKI

Albatros
WARSZAWA 2008

GTW

Tytuł oryginału:

THE WOODS

Copyright © Harlan Coben 2007

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2008

Copyright © for the Polish translation by Zbigniew A. Królicki 2008

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-698-6

(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7359-699-3

(oprawa miękka)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2008. Wydanie II/op. miękka

Druk: OpolGraf S.A., Opole

Tę książkę dedykuję

*Alekowi Cohenowi,
Thomasowi Bradbeerowi
i Annie van der Heine,*

*trzem radościom, które mam szczęście nazywać
moimi chrześniakami.*

Prolog

Widzę mojego ojca z łopata.

Po twarzy spływają mu łzy. Straszny, gardłowy szloch wrywa się z jego piersi i ust. Podnosi i wbija łopate. Jej ostrze tnie ziemię, jakby była wilgotnym ciałem.

Mam osiemnaście lat i to jest moje najżywsze wspomnienie ojca - w tych lasach, z tą łopata. Nie wie, że go obserwuję. Chowam się za drzewem, podczas gdy on kopie. Robi to wściekle, jakby ziemia rozgniewała go i teraz się na niej mścił.

Jeszcze nigdy nie widziałem ojca płaczącego - nie, kiedy umarł jego ojciec, nie wtedy, gdy moja matka uciekła i nas zostawiła, a nawet nie wtedy, gdy dowiedział się o mojej siostrze, Camille. Jednak teraz płacze. Nie wstydi się łez. Spływają strumieniami po jego twarzy. Łkanie odbija się echem wśród drzew.

Po raz pierwszy podglądam go w taki sposób. W soboty przeważnie udaje, że jedzie na ryby, ale nigdy tak naprawdę w to nie wierzyłem. Zawsze wiedziałem, że to miejsce, to okropne miejsce, jest skrywanym celem jego podróży.

Ponieważ czasem jest również moim.

Stoję za drzewem i obserwuję go. Zrobię to jeszcze osiem razy. Nigdy mu nie przerwę, nigdy się nie pokażę. Sądzę, że on nie wie, że tu jestem. Prawdę mówiąc, jestem tego pewien. Aż pewnego dnia, idąc do samochodu, ojciec spogląda na mnie suchymi oczami i mówi:

- Nie dziś, Paul. Dzisiaj pojedę tam sam.

Patrzę, jak odjeżdża. Udaje się w te lasy po raz ostatni.

Na łożu śmierci, dwadzieścia lat później, ojciec bierze mnie za rękę. Jest odurzony. Jego dłonie są szorstkie i twarde. Używał ich przez całe życie - nawet w lepszych czasach w kraju, którego już nie ma. Jest jednym z tych twardych ludzi, których skóra jest spieczona i gruba, wygląda jak skorupa żółwia. Okropnie cierpi, ale nie roni łez.

Po prostu zamyka oczy i jakoś to znosi.

Przy ojcu zawsze czuję się bezpiecznie, nawet teraz, chociaż jestem już dorosły i też mam

dziecko. Trzy miesiące temu, kiedy jeszcze był silny, poszliśmy do baru. Wywiązała się bójka. Ojciec zasłonił mnie swoim ciałem, gotowy załatwić każdego, kto się do mnie zbliży. Nadal. Tak właśnie jest.

Patrzę na niego, leży na łóżku. Myślę o tamtych dniach w lasach. Myślę o tym, jak kopał, jak w końcu przestał, jak sądziłem, że zrezygnował po tym, jak odeszła moja matka.

- Paul?

Ojciec nagle się ożywia.

Chcę prosić go, żeby nie umierał, ale to nie byłoby w porządku. Już przez to przechodziłem. To nie pomaga. Nikomu.

- W porządku, tato - mówię. - Wszystko będzie dobrze.

Nie uspokaja się. Próbuje usiąść. Chcę mu pomóc, ale mnie odpycha. Spogląda mi głęboko w oczy i widzę, że myśli jasno, choć może jest to jedna z tych rzeczy, które sobie wmawiamy, kiedy nadchodzi koniec. Ostatnie złudzenie.

Roni jedną łzę. Patrzę, jak powoli spływa po jego policzku.

- Paul - mówi do mnie mój ojciec, nadal z wyraźnym rosyjskim akcentem - musimy ją odnaleźć.

- Odnajdziemy, tato.

Znów spogląda mi w twarz. Kiwam głową, jednak nie sądzę, żeby oczekiwał potwierdzenia. Po raz pierwszy myślę, że spodziewa się poczucia winy.

- Czy wiedziałeś? - Pyta ledwie słyszalnym głosem.

Czuję, że cały drzę, ale nie mrugam, nie odwracam oczu. Zastanawiam się, co widzi, w co wierzy. Nigdy się tego nie dowiem.

Ponieważ wtedy, właśnie wtedy, mój ojciec zamyka oczy i umiera.

1

Trzy miesiące później

Siedziałem w sali gimnastycznej szkoły podstawowej, patrząc, jak moja sześciolatka córka Cara nerwowo kroczy po równoważni, znajdującej się około dziesięciu centymetrów nad ziemią, a za niecałą godzinę miałem zobaczyć twarz człowieka, który został brutalnie zamordowany.

Co nie powinno nikogo szokować.

Z biegiem lat dowiedziałem się - w sposób najokropniejszy z możliwych - że linia między życiem a śmiercią, między nadzwyczajną urodą a odpychającą brzydotą, między niewinną rozmową, a rozlewem krwi, jest bardzo cienka. Wystarczy moment, żeby ją przekroczyć. W jednej chwili życie wydaje się sielanką. Jesteś w miejscu tak niewinnym, jak sala gimnastyczna szkoły podstawowej. Twoja córeczka stawia niepewne kroki. Jej głos drży. Ma zamknięte oczy. Widzisz twarz jej matki, sposób, w jaki zamykała oczy i uśmiechała się, i przypominasz sobie, jak cienka jest ta linia.

- Cope?

To był głos mojej szwagierki Greta. Odwróciłem się do niej. Greta jak zwykle spojrzała na mnie z troską. Uspokoilem ją uśmiechem.

- O czym myślałeś? - Szepnęła.

Wiedziała. Pomimo to skłamałem:

- O kamerach wideo.

- O czym?

Wszystkie składane krzesła zajmowali inni rodzice. Stałem z tyłu, z założonymi za plecy rękami, oparty o cementową ścianę. Nad wejściem wisiał regulamin, a tu i ówdzie takie irytująco mądre motywujące aforyzmy jak: „Nie mów mi, że niebo jest granicą, skoro są ślady stóp na Księżycu”. Stoliki śniadaniowe były złożone. Oparłem się o jeden, poczułem chłód stali. Sale gimnastyczne podstawówek nie zmieniają się, kiedy się starzejemy. Po prostu wydają się

mniejsze.

Wskazałem rodziców.

- Tu jest więcej kamer wideo niż dzieci.

Greta skinęła głową.

- A rodzice filmują wszystko. Dosłownie wszystko. Co oni z tym robią? Czy ktoś naprawdę ogląda to od początku do końca?

- Ty nie?

- Wolałbym urodzić.

Słyszając to, uśmiechnęła się.

- Nie - powiedziała. - Nie wolałbyś.

- Dobrze, w porządku, może nie, lecz czyż wszyscy nie jesteśmy pokoleniem MTV? Szybkie cięcia. Różne kąty. Tymczasem takie zwyczajne filmowanie, żeby później męczyć tym Bogu ducha winnych przyjaciół lub krewnych...

Otworzyły się drzwi. Gdy tylko ci dwaj mężczyźni weszli na salę, natychmiast rozpoznałem w nich gliniarzy. Nawet gdybym nie miał sporego doświadczenia - jestem prokuratorem okręgowym Essex County, obejmującego pełne przemocy miasto Newark - wiedziałbym. Telewizja czasem nie kłamie. Na przykład pokazując sposób, w jaki ubiera się większość policjantów - ojcowie rodzin z bogatego przedmieścia Ridgewood tak się nie ubierają. Nie zakładamy garniturów, idąc zobaczyć, jak nasze dzieci próbują sił w gimnastyce artystycznej. Nosimy sztruksowe lub dżinsowe spodnie i kamizelki w serek na bawełnianych podkoszulkach. Ci dwaj faceci mieli na sobie źle uszyte brązowe garnitury, a ich brąz przypominał mi kawałki drzewa rozłupanego przez piorun.

Nie uśmiechali się. Omiotli wzrokiem salę. Znałem większość policjantów w okolicy, ale nie tych. To mnie zaniepokoiło. Coś było nie tak. Oczywiście wiedziałem, że nie zrobiłem nic złego, a mimo to czułem to niepokojące ściskanie w dołku - człowieka niewinnego, a jednak mającego poczucie winy.

Moja szwagierka Greta i jej mąż Bob mają troje dzieci. Ich najmłodsza córka, Madison, ma sześć lat i chodzi do tej samej klasy co Cara. Po śmierci mojej żony Jane - siostry Grety - przenieśli się do Ridgewood. Greta twierdzi, że i tak zamierzali to zrobić. Wątpię. Jestem im jednak tak wdzięczny, że tego nie kwestionuję. Nie wyobrażam sobie, co bym bez nich zrobił.

Zwykle inni ojcowie stoją ze mną z tyłu, lecz ze względu na porę dnia przyszło ich

niewielu. Matki - oprócz jednej, gniewnie spoglądającej na mnie znad kamery wideo, ponieważ usłyszała moją tyradę o domorosłych filmowcach - uwielbiają mnie. A raczej nie mnie, tylko moją historię. Moja żona umarła przed pięcioma laty, a ja sam wychowuję córeczkę. W miasteczku są inni samotni rodzice, głównie rozwiedzione matki, lecz mnie traktuje się ulgowo. Jeśli zapomnę podpisać dzienniczek, spóźnię się, by odebrać córkę albo zostawię jej śniadanie w szatni, inna matka lub ktoś z personelu natychmiast spieszy mi z pomocą. Uważają moją męską bezradność za pociągającą. Jeśli któraś z tych rzeczy przydarzy się samotnej matce, inne spoglądają na nią z pogardą, uważając, że jest nieudolna.

Dzieci nadal balansowały lub chwiały się, zależy jak na to patrzeć. Ja patrzyłem na Carę. Potrafiła się skupić i nieźle sobie radziła, ale podejrzewałem, że po ojcu odziedziczyła słabą koordynację ruchową. Dzieciom pomagały dziewczęta z licealnej drużyny gimnastycznej. Były znacznie starsze, zapewne siedemnasto- lub osiemnastoletnie. Ta, która asekurowała Carę przy próbie przewrotu w przód, przypominała mi moją siostrę. Moja siostra Camille umarła, będąc mniej więcej w jej wieku, i media nigdy nie pozwoliły mi o tym zapomnieć. Może to dobrze.

Moja siostra byłaby teraz dobrze po trzydziestce, tak jak większość tych matek. Dziwnie jest myśleć o tym w ten sposób. Zawsze widzę Camille jako nastolatkę. Trudno ją sobie wyobrazić, gdzie byłaby - gdzie powinna być teraz - siedzącą na jednym z tych składanych krzeseł, z głupio szczęśliwym matczynym uśmiechem na twarzy, filmującą bez końca swoją pociechę. Zastanawiam się, jak wyglądałaby dzisiaj, ale zawsze widzę tylko nastolatkę, która umarła.

Może się wydawać, że mam obsesję śmierci, lecz jest ogromna różnica pomiędzy zamordowaniem mojej siostry a przedwczesną śmiercią mojej żony. Ta pierwsza, siostry, kierowała mną, kiedy wybierałem zawód i obejmowałem stanowisko. Mogę walczyć z taką niesprawiedliwością na sali sądowej. I robię to. Próbuję uczynić świat bezpieczniejszym, pakować za kratki tych, którzy chcą krzywdzić innych, dać innym rodzinom to, czego moja nigdy nie miała - pewność.

W obliczu drugiej śmierci - mojej żony - byłem zupełnie bezradny i rozkojarzony, i obojętnie, co zrobię teraz, nigdy nie zdołałem tego naprawić.

Dyrektorka szkoły przywołała na przesadnie umalowane usta sztuczny zatroskany uśmiech i ruszyła w kierunku policjantów. Zaczęła z nimi rozmawiać, lecz oni nawet na nią nie spojrzeli. Obserwowałem ich oczy. Kiedy wyższy z nich, z pewnością także stopniem, dostrzegł

moją twarz, znieruchomiał. Przez moment żaden z nas się nie poruszył. Potem nieznacznym ruchem głowy kazał mi opuścić tę bezpieczną kryjówkę pełną roześmianych i chwiejących się dzieci. Odpowiedziałem takim samym skinieniem.

- Dokąd idziesz? - Zapytała Greta.

Nie chcę, by zabrzmiało to niemiło, ale Greta jest brzydką siostrą. Były podobne, ona i moja śliczna nieżyjąca żona. Łatwo było zgadnąć, że miały tych samych rodziców. Jednak wszystko to, co było pociągające w Jane, nie posłużyło Grecie. Moja żona miała wydatny nos, który dodawał jej seksapilu. Greta też ma wydatny nos, który jest... No cóż, duży. Szeroko rozstawione oczy mojej żony dodawały jej urodzie szczypty egzotyki. Ten sam szeroki rozstaw nadaje Grecie wygląd nieco zmiłowaty.

- Nie jestem pewien - odparłem.

- Praca?

- Być może.

Spojrzała na tych dwóch, prawdopodobnie gliniarzy, a potem znów na mnie.

- Miałam zabrać Madison na lunch do Friendly's. Chcesz, żebym wzięła Careę?

- Pewnie, byłoby wspaniale.

- Mogę też zabrać ją po szkole. Skinąłem głową.

- Bardzo byś mi pomogła.

Greta cmoknęła mnie w policzek, co rzadko jej się zdarza. Ruszyłem do drzwi. Odprowadzały mnie wybuchy dziecięcego śmiechu. Wyszedłem na korytarz. Dwaj policjanci poszli za mną. Szkolne korytarze też niewiele się zmieniają. Mieszkają w nich echa niczym w nawiedzonym domu, dziwny rodzaj napiętej ciszy oraz słaby, lecz wyczuwalny zapach, który zarówno uspokaja, jak pobudza.

- Pan jest Paul Copeland? - Zapytał ten wyższy.

- Tak.

Spojrzał na swego partnera. Był niższy, krępy, o byczym karku, z głową jak żużlobetonowy pustak. Chropowata skóra jeszcze pogłębiała to wrażenie. Zza rogu wyszła klasa, chyba czwartoklasiści. Wszyscy byli zaczerwienieni z wysiłku. Przeszli obok nas, a za nimi ich udęczone nauczycielka. Uśmiechnęła się do nas z przymusem.

- Może powinniśmy porozmawiać na zewnątrz - powiedział wyższy.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Wprawdzie byłem niewinny,

ale z doświadczenia wiedziałem, że z gliniarzami nic nigdy nie jest takie, jak się wydaje. Tu nie chodziło o tę wielką sprawę z pierwszych stron gazet, nad którą pracowałem. Gdyby tak było, zadzwoniliby do mojego biura. Otrzymałbym wiadomość przez komórkę lub mailem na palmtopa.

Nie, przyszedli tu z jakiegoś innego powodu, bardziej osobistego.

Byłem absolutnie pewien, że nie zrobiłem nic złego. Jednak w swoim czasie widziałem chyba wszelkiego rodzaju podejrzanych i wszystkie rodzaje reakcji. Może was to zaskoczy. Na przykład kiedy policja zatrzymuje głównego podejrzanego, często godzinami każe mu czekać w pokoju przesłuchań. Można by sądzić, że winni będą gryzli ściany, ale przeważnie jest wprost przeciwnie. To niewinni często są najbardziej niespokojni i zdenerwowani. Nie mają pojęcia, dlaczego zostali zatrzymani i o co policja omyłkowo ich podejrzewa. Winni często zasypiają.

Staliśmy na zewnątrz. Słońce prażyło. Ten wysoki zmrużył oczy i osłonił je dłonią. Pustak nie dał nikomu takiej satysfakcji.

- Jestem detektyw Tucker York - oznajmił wysoki. Wyjął odznakę, a potem wskazał Pustaka. - To jest detektyw Don Dillon.

Dillon też wyjął legitymację. Pokazali mi je. Nie wiem, po co to robią. Czy tak trudno je podrobić?

- Co mogę dla panów zrobić? - Zapytałem.

- Zechciałby pan powiedzieć, gdzie pan był zeszłej nocy? - Zapytał York.

Po takim pytaniu powinny zawyć syreny. Ja natychmiast powinienem przypomnieć im, kim jestem i oświadczyć, że nie odpowiem na żadne pytania, dopóki nie zjawi się mój adwokat. Jestem jednak prawnikiem. I to cholernie dobrym. Co - oczywiście - czyni mnie jeszcze większym głupcem, jeśli reprezentuję sam siebie. Ponadto jestem tylko człowiekiem. Wypytywany przez policję, nawet taki stary wyga jak ja chce pomóc. To odruchowe.

- Byłem w domu.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Moja córka.

York i Dillon spojrzeli na szkołę.

- To ta dziewczynka, która balansowała na równoważni?

- Tak.

- Ktoś jeszcze?

- Nie sędzę. A o co chodzi?

York wziął na siebie ciężar rozmowy. Zignorował moje pytanie.

- Zna pan niejakiego Manola Santiaga?

- Nie.

- Jest pan pewien?

- Prawie pewien.

- Dlaczego tylko prawie pewien?

- Czy pan wie, kim jestem?

- Taa - odparł York i zakasłał, zasłaniając usta pięścią. - Mamy może uklęknąć i ucałować pański sygnet albo co?

- Nie to miałem na myśli.

- Dobrze, więc nadajemy na tej samej fali. - Nie podobało mi się jego nastawienie, ale puściłem to płazem. - No więc dlaczego jest pan tylko „prawie pewien”, że nie zna Manola Santiaga?

- Chciałem powiedzieć, że to nazwisko nic mi nie mówi. Nie sędzę, że bym go znał. Może jednak jest to ktoś, kogo oskarżałem albo przesłuchiwałem jako świadka w jakiejś sprawie, albo - do licha - spotkałem dziesięć lat temu na jakiejś wencie dobroczynnej.

York skinął głową, zachęcając mnie, że bym plótł dalej. Nie zamierzałem.

- Zechce pan pojechać z nami?

- Dokąd?

- To nie potrwa długo.

- To nie potrwa długo - powtórzyłem. - Nie znam takiego miejsca.

Gliniarze spojrzeli po sobie. Starałem się sprawiać wrażenie nieustępliwego.

- Niejaki Manolo Santiago został zamordowany zeszłej nocy.

- Gdzie?

- Jego ciało znaleziono na Manhattanie. W okolicy Washington Heights.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Sędzimy, że może będzie mógł nam pan pomóc.

- Pomóc? W jaki sposób? Już mówiłem, że go nie znam.

- Powiedział pan... - York naprawdę zerknął do notesu, ale tylko dla efektu, gdyż niczego nie notował, kiedy mówiłem - że jest pan „prawie pewien”, że go nie zna.

- Zatem jestem pewien. W porządku? Jestem pewien.

Dramatycznym gestem zatrzęsął notes.

- Pan Santiago pana znał.

- Skąd o tym wiecie?

- Wolelibyśmy to pokazać.

- A ja wolałbym to usłyszeć.

- Pan Santiago - York zawahał się, jakby z trudem znajdował odpowiednie słowa - miał przy sobie pewne przedmioty.

- Przedmioty?

- Tak.

- Mógłby pan to sprecyzować?

- Przedmioty - rzekł - wskazujące na pana.

- Wskazujące na mnie jako kogo?

- Hej, panie oskarżycielu...

Dillon - czyli Pustak - w końcu przemówił.

- Prokuratorze okręgowy - poprawiłem.

- Obojętnie. - Zadarł głowę i wycelował palec w moją pierś. - Od takiego gadania zaczyna mnie swędzieć dupsko.

- Słucham?

Dillon przysunął swoją twarz do mojej.

- Czy wyglądamy, jakbyśmy przyszli tu wysłuchać jakiegoś cholernego wykładu z semantyki?

Uznałem to za pytanie retoryczne, ale wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.

- Nie - powiedziałem w końcu.

- No to słuchaj pan. Mamy trupa. Facet jest mocno z panem powiązany. Chce pan pojechać z nami i pomóc nam to wyjaśnić czy bawić się w te słowne gierki, które robią z pana podejrzanego jak diabli?

- Wydaje się panu, że do kogo pan mówi, detektywie?

- Do ubiegającego się o fotel faceta, który nie chciałby, żebyśmy poszli z tym prosto do prasy.

- Grozi mi pan?

York zainterweniował:

- Nikt tu nikomu nie grozi.

Jednak Dillon trafił w czuły punkt. Istotnie, objąłem stanowisko tylko czasowo. Mój przyjaciel, obecny gubernator Garden State, mianował mnie tymczasowym prokuratorem okręgowym. Poważnie napomykano o mojej kandydaturze do Kongresu, może nawet na wolne miejsce w Senacie. Skłamałbym, mówiąc, że nie mam żadnych ambicji politycznych. Skandal, nawet wyssany z palca, dobrze by mi nie zrobił.

- Nie widzę, w jaki sposób mógłbym pomóc - powiedziałem.

- Może pan widzi, a może nie. - Dillon pokręcił pustakiem. - Jednak chce pan nam pomóc, jeśli pan może, prawda?

- Oczywiście - odparłem. - Nie chcę, żeby dupsko swędziało pana bardziej, niż powinno.

Prawie się uśmiechnął.

- No to wsiadajmy do samochodu.

- Mam po południu ważne spotkanie.

- Wrócimy do tej pory.

Spodziewałem się poobijanego chevroleta caprice, ale to był ford, w niezłym stanie. Moi nowi znajomi usiedli z przodu. Nie rozmawialiśmy w czasie jazdy. Na moście Jerzego Waszyngtona panował duży ruch, ale po prostu włączyliśmy syrenę i przejechaliśmy. Kiedy znaleźliśmy się na Manhattanie, York się odezwał:

- Uważamy, że Manolo Santiago może być przybrany nazwiskiem.

- Yhm - mruknąłem, ponieważ nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Widzi pan, nikt nie zidentyfikował ofiary. Znaleźliśmy go zeszłej nocy. Miał prawo jazdy wystawione na nazwisko Manolo Santiago. Sprawdziliśmy. Wydaje się, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Sprawdziliśmy odciski palców. Nic. Tak więc nie wiemy, kim jest.

- I myślicie, że ja będę wiedział?

Nie fatygowali się odpowiedzią.

- Jest pan wdowcem, panie Copeland, prawda? - Spytał York głosem różnym jak wiosenny dzionek.

- Prawda - odparłem.

- To musi być trudne. Samemu wychowywać dziecko.

Nic nie powiedziałem.

- Wiemy, że pańska żona miała raka. Teraz działa pan w jakiejś organizacji finansującej poszukiwania lekarstwa.

- Yhm.

- Godne podziwu.

Żebyście wiedzieli.

- Musi się pan dziwnie czuć - zauważył York.

- Z czym?

- Będąc po drugiej stronie. Zwykle to pan zadaje pytania, a nie odpowiada na nie. To musi być trochę dziwne.

Uśmiechnął się do mnie w lusterku.

- Hej, York? - Zagadnąłem.

- Co?

- Masz swoją filmografię albo zdjęcia? - Zapytałem.

- Co takiego?

- Filmografię - powtórzyłem. - No wie pan, żebym mógł sprawdzić, w czym pan grał, zanim obsadzili pana w wymarzonej roli dobrego policjanta.

York zachichotał.

- Ja tylko mówię, że to dziwne, nic więcej. A co, czy był pan już kiedyś przesłuchiwany przez policję?

Podstępne pytanie. Musieli wiedzieć, że tak. Kiedy miałem osiemnaście lat, pracowałem jako wychowawca na letnim obozie. Pewnej nocy czwórka uczestników - Gil Perez i jego dziewczyna, Margot Green, Doug Billingham i jego dziewczyna Camille (czyli moja siostra) - wymknęła się do lasu.

Już nie zobaczono ich żywych.

Odnaleziono tylko dwa ciała. Margot Green, lat siedemnaście, została znaleziona z podejrzanym gardłem trzydzieści metrów od obozu. Doug Billingham, również siedemnastoletni, został znaleziony ponad pół kilometra dalej. Miał kilka ran kłutych, ale przyczyną śmierci było podejrzenie gardła. Ciał dwojga pozostałych - Gila Pereza i mojej siostry Camille - nigdy nie znaleziono.

Sprawa znalazła się na pierwszych stronach gazet. Wayne'a Steubensa, opiekuna dzieciaków z bogatych rodzin, złapano dwa lata później - po jego trzecim lecie terroru - ale

dopiero kiedy zamordował jeszcze co najmniej czworo nastolatków. Media nazwały go Letnim Rzeźnikiem - z aż nadto oczywistych powodów. Następne dwie ofiary Wayne'a znaleziono w pobliżu obozu skautów w Muncie, w stanie Indiana. Inna ofiara była uczestniczką jednego z letnich obozów wędrownych w pobliżu Vienny w Wirginii. Ostatnia ofiara przebywała na obozie sportowym w Poconos. Większość miała poderżnięte gardła. Wszystkie zostały pogrzebane w lasach, niektóre zanim umarły. Tak, pogrzebane żywcem. Odnalezienie ich ciał zajęło sporo czasu. W przypadku tego dzieciaka z Poconos sześć miesięcy. Większość ekspertów uważała, że ofiar było więcej i wciąż są tam gdzieś pod ziemią, w głębi lasów.

Tak jak moja siostra.

Wayne nigdy nie przyznał się do winy, i chociaż osiemnaście ostatnich lat spędził w więzieniu o zastrzonym rygorze, upiera się, że nie miał nic wspólnego z tymi czterema morderstwami, od których to wszystko się zaczęło.

Nie wierzę mu. Fakt, że co najmniej dwa ciała wciąż tam są, prowadzi do rozmaitych spekulacji i owiewa tę sprawę mgiełką tajemnicy. W ten sposób Wayne budzi większe zainteresowanie. Sądzę, że to lubi. Jednak ta niepewność - cień wątpliwości - wciąż boli jak diabli.

Kochałem moją siostrę. Jak wszyscy. Większość ludzi uważa, że najgorsza jest śmierć. Nic podobnego. Po pewnym czasie nadzieja jest o wiele okrutniejszą panią. Kiedy żyjesz z nią tak długo jak ja, z mieczem nad głową przez całe dni, potem miesiące, a wreszcie lata, zaczynasz marzyć, żeby opadł i ściął ci głowę. Większość ludzi sądzi, że moja matka odeszła, ponieważ moja siostra została zamordowana. Wprost przeciwnie. Moja matka odeszła, ponieważ nie zdołaliśmy tego dowieść.

Chciałbym, żeby Wayne Steubens powiedział nam, co z nią zrobił. Nie po to, żeby wyprawić jej odpowiedni pogrzeb ani nic takiego. To byłby miły, lecz bezsensowny gest. Śmierć jest czystą, destrukcyjną siłą, jak kula do burzenia murów. Uderza, niszczy twoje życie i zaczynasz je odbudowywać. Natomiast niewiedza - ta niepewność, ten cień wątpliwości - bardziej upodabnia śmierć do działania termitów lub innych niestrudzonych owadów. Zżera cię od środka. Nie możesz tego powstrzymać. Nie możesz odbudować swego życia, ponieważ ta niepewność wciąż będzie cię dręczyć.

Myślę, że nadal dręczy.

Media zawsze zajmowały się tą częścią mojego życia, chociaż bardzo chciałem zachować

ją dla siebie. Nawet szybkie wyszukiwanie przez Google skojarzy moje nazwisko z tajemnicą zaginionych obozowiczów, jak szybko nazwano tę sprawę. Do licha, wciąż pokazują ją w programach o „prawdziwych przestępstwach” na kanałach Discovery lub Court TV. Byłem tam tamtej nocy w tych lasach. Moje nazwisko łatwo znaleźć. Rozmawiałem z policją. Przesłuchiowano mnie. Nawet podejrzewano.

Tak więc musieli o tym wiedzieć.

Wolałem nie odpowiadać. York i Dillon nie nalegali.

Kiedy przybyliśmy do kostnicy, poprowadzili mnie długim korytarzem. Nikt nic nie mówił. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Teraz to, co powiedział York, nabierało sensu. Byłem po drugiej stronie. Widziałem wielu świadków idących tak korytarzem. Widziałem nawet ich reakcje w kostnicy. Zwykle identyfikujący z początku zachowują stoicki spokój. Nie wiem dlaczego. Czy w ten sposób zbierają siły? A może wciąż mają odrobinę - znów to słowo - nadziei? Nie jestem pewien. Tak czy inaczej, ta nadzieja szybko znika. Nigdy nie mylimy się w kwestii tożsamości. Jeśli uważamy, że to nasz bliski, to tak jest. Kostnica to nie miejsce, w którym zdarzają się cuda. Nigdy.

Wiedziałem, że obserwują mnie, sprawdzając, jak reaguję. Zdawałem sobie sprawę z każdego mojego kroku, pozy, wyrazu twarzy. Siłałem się na obojętność, a jednocześnie zastanawiałem dlaczego.

Zaprowadzili mnie do okna. Nie wchodzisz do środka. Zostajesz za szybą. Pomieszczenie było wykafelkowane, tak żeby można je zmywać wodą z węża - maksymalnie uproszczony wystrój i sprzątanie. Wszystkie stoły poza jednym były puste. Ciało nakryto prześcieradłem, ale widziałem etykietkę przywiązaną do dużego palca. Naprawdę używają takich etykietek. Spojrzałem na wystający spod prześcieradła paluch - nie wyglądał znajomo. Tak właśnie sobie pomyślałem. Że nie rozpoznaję tego palucha.

Mózg dziwnie reaguje na stres.

Jakaś kobieta w masce podtoczyła stół bliżej okna. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, wróciłem myślami do dnia, kiedy urodziła się moja córka. Przypomniałem sobie porodówkę. Takie samo okno z cienkimi paskami folii odbijającymi światło. Pielęgniarka, kobieta podobna do tej w kostnicy, podtoczyła do okna wózek z moją córeczką. Właśnie tak. Zapewne kiedy indziej dostrzegłbym w tym jakiś sens - początek i kres życia - ale nie dziś.

Odchyliła prześcieradło. Spojrzałem na twarz. Wszyscy spoglądali na mnie. Wiedziałem o

tym. Zabity był mniej więcej w moim wieku, po trzydziestce. Miał brodę. Jego głowa wyglądała na ogoloną. Miał na niej czepek kąpielowy. Pomyślałem, że to cholernie głupio wygląda, ten czepek, ale wiedziałem, dlaczego mu go założyli.

- Dostał w głowę? - Zapytałem.

- Tak.

- Ile razy?

- Dwa.

- Kaliber?

York chrząknął, jakby przypominając mi, że to nie moja sprawa.

- Zna go pan?

Spojrzałem jeszcze raz.

- Nie - odparłem.

- Jest pan pewien?

Już miałem skinąć głową. Coś mnie jednak powstrzymało.

- No co? - Zapytał York.

- Dlaczego mnie tu ściągnęliście?

- Chcemy wiedzieć, czy zna pan...

- Dobrze, ale dlaczego pomyśleliście, że mogę go znać? Zerknąłem w bok i zobaczyłem, że York i Dillon wymienili spojrzenia. Dillon wzruszył ramionami i York przejął piłkę.

- Miał w kieszeni pański adres - powiedział. - Oraz plik wycinków o panu.

- Jestem znaną postacią.

- Tak, wiemy.

Zamilkł. Odwróciłem się do niego.

- Co jeszcze?

- Te wycinki nie były o panu. Niezupełnie.

- A o czym?

- O pana siostrze. I o tym, co zdarzyło się w lasach.

Temperatura opadła o kilka stopni, ale cóż, przecież byliśmy w kostnicy.

- Może był fanem programów kryminalnych - powiedziałem, siląc się na nonszalancję. - Jest ich mnóstwo.

Zawahał się. Znów wymienił spojrzenia z partnerem.

- Co jeszcze? - Spytałem.

- Co ma pan na myśli?

- Co jeszcze miał przy sobie?

York zwrócił się do podwładnego, którego obecności nawet nie zauważyłem.

- Możemy pokazać panu Copelandowi rzeczy osobiste denata?

Nie odrywałem oczu od twarzy zabitego. Była dziobata i pobrużdżona. Spróbowałem ją wygładzić. Nie znałem go. Manolo Santiago był dla mnie obcą osobą.

Ktoś przyniósł czerwony plastikowy worek na dowody. Wyszypali zawartość na stół. Z daleka zobaczyłem niebieskie dzinsy i flanelową koszulę. Był też portfel i telefon komórkowy.

- Sprawdziliście komórkę? - Spytałem.

- Tak. To jednorazówka. Rejestr rozmów jest pusty.

Oderwałem wzrok od twarzy zabitego i podszedłem do stołu. Nogi ugięły się pod mną.

Zobaczyłem kilka złożonych wycinków. Rozwinąłem jeden. Artykuł z „Newsweeka”. Ten ze zdjęciem czworga nastolatków - pierwszych ofiar Letniego Rzeźnika. Zawsze zaczynali od Margot Green, gdyż jej ciało znaleziono od razu. Douga Billingham'a dopiero dzień później. Jednak naprawdę interesująca była dwójka pozostałych. Znaleziono ślady krwi i podarte ubrania należące do Gila Pereza i mojej siostry - ale nie odnaleziono ciał.

Dlaczego?

To proste. Te lasy są rozległe. Wayne Steubens dobrze ukrył zwłoki. Jednak niektórzy ludzie, ci uwielbiający teorie spiskowe, nie kupowali tego. Dlaczego nie znaleziono właśnie tych dwojga? Jak Steubens zdołał tak szybko przenieść i zakopać ciała? Czy miał współnika? Jak tego dokonał? A w ogóle, co ta czwórka robiła w tych lasach?

Nawet dziś, osiemnaście lat po aresztowaniu Wayne'a, ludzie mówią o „duchach” tych lasów albo o tajnych sektach zamieszkujących opuszczone chaty, zbiegłych ze szpitala psychopatach, ludziach z hakami zamiast rąk i ofiarach upiornych eksperymentów medycznych. Mówią o straszidle, o znajdowanych popiołach jego ognisk, z porzucanymi wokół kośćmi zjedzonych przez niego dzieci. Opowiadają, że po nocach wciąż słychać wycie Gila Pereza i mojej siostry Camille, domagających się zemsty.

Spędziłem w tych lasach wiele samotnych nocy. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tam wył.

Przesunąłem wzrokiem po zdjęciach Margot Green i Douga Billingham'a. Następne było fotografią mojej siostry. Widziałem to ujęcie milion razy. Media uwielbiały je, ponieważ

wygląda na nim tak cudownie zwyczajnie. Dziewczyna z sąsiedztwa, wasza ulubiona opiekunka do dzieci, słodka nastolatka z tej samej ulicy. Camille wcale taka nie była. Była łobuziakiem o żywych oczach i zuchwałym uśmiechu, który osadzał chłopaków w miejscu. To zdjęcie nie ukazywało jej. A przynajmniej niecałą. Może to kosztowało ją życie.

Już miałem spojrzeć na ostatnią fotografię, Gila Pereza, ale coś mnie powstrzymało.

Moje serce na moment przestało bić.

Wiem, że to brzmi dramatycznie, ale tak się poczułem. Spojrzałem na kupkę monet znalezionych w kieszeni Manola Santiaga i zobaczyłem to, a wtedy jakby ktoś wepchnął dłoń w moją pierś i tak mocno ścisnął serce, że nie mogło już bić.

Cofnąłem się.

- Panie Copeland?

Moja dłoń wyciągnęła się jakby bez mojej woli. Zobaczyłem, jak moje palce chwytają to i podnoszą.

Pierścionek. Dziewczęcy pierścionek.

Spojrzałem na zdjęcie Gila Pereza, chłopca zamordowanego w lasach razem z moją siostrą. Cofnąłem się myślami o dwadzieścia lat. I przypomniałem sobie tę bliznę.

- Panie Copeland?

- Pokażcie mi jego ramię - powiedziałem.

- Przepraszam?

- Jego ramię. - Odwróciłem się do okna i wskazałem trupa. - Pokażcie mi jego cholerne ramię.

York dał znak Dillonowi. Dillon nacisnął guzik interkomu.

- Chce zobaczyć ramię tego faceta.

- Które? - Spytała kobieta w kostnicy. Spojrzeli na mnie.

- Nie wiem - powiedziałem. - Chyba oba. Wyglądali na zdziwionych, ale kobieta usłyszała. Uniosła prześcieradło.

Tors miał teraz owłosiony. Był cięższy, ważył co najmniej o piętnaście kilo więcej niż wówczas, lecz nie było w tym niczego dziwnego. Zmienił się. Wszyscy się zmieniliśmy. Jednak nie tego szukałem. Chciałem sprawdzić, czy ma na ramieniu tę poszarpaną bliznę.

Miał.

Na lewym ramieniu. Nie jęknąłem ani nic takiego. Jakby ktoś zabrał część mojej

rzeczywistości, a ja byłem zbyt odrętwiały, żeby coś z tym zrobić. Po prostu tam stałem.

- Panie Copeland?

- Znam go - powiedziałem.

- Kim on jest? Wskazałem zdjęcie z gazety.

- Nazywał się Gil Perez.

2

Kiedyś profesor Lucy Gold, doktor z anglistyki i psychologii, uwielbiała konsultacje.

Mogła siedzieć sam na sam ze studentami i naprawdę ich poznać. Lubiła, jak ci cisi, którzy siedzieli z tyłu ze spuszczoneymi głowami, robiąc notatki, jakby to było dyktando, ci z włosami opadającymi na oczy niczym zasłona ochronna przychodzili do niej, podnosili głowy i mówili, co im leży na sercu.

Jednak najczęściej, tak jak teraz, przychodzący studenci byli lizusami uważającymi, że stopień zależy jedynie od okazywanego entuzjazmu i będzie wprost proporcjonalny do ich aktywności, jakby w ich kraju ekstrawertycy byli bezcenni.

- Pani profesor - powiedziała niejaka Sylvia Potter. Lucy wyobraziła ją sobie trochę młodszą, w szkole średniej. Z pewnością była tą denerwującą dziewczyną, która rano przed klasówką przychodziła, jęcząc, że na pewno obleje, a potem kończyła jako pierwsza, z zadowolonym uśmiechem oddawała swoją celującą pracę i siedziała do dzwonka, robiąc dodatkowe notatki w zeszycie.

- Tak, Sylvio?

- Kiedy dziś na zajęciach czytała pani ten fragment Yeatsa... Chcę powiedzieć, że byłam bardzo poruszona. Zarówno słowami wiersza, jak sposobem, w jaki pani posługiwała się swoim głosem... Jak zawodowa aktorka...

Lucy Gold miała ochotę powiedzieć: „Zrób coś dla mnie, użyj trochę mydła”, ale milczała i uśmiechała się. Nie było to łatwe. Spojrzała na zegarek i poczuła się jak świnia. Sylvia była pilną studentką. To wszystko. Każdy na swój sposób stara się sobie radzić, przystosować i przetrwać. Sposób Sylvii był zapewne mądrzejszy i mniej autodestrukcyjny od wielu innych.

- I z przyjemnością napisałam tę pracę - oznajmiła.

- Cieszę się.

- Moja praca była o... No cóż, o moim pierwszym razie, jeśli rozumie pani, co...

Lucy skinęła głową.

- Prace są anonimowe, a ponadto to poufny materiał, pamiętasz?

- Och, racja.

Dziewczyna spuściła wzrok, co zastanowiło Lucy. Sylvia nigdy nie spuszczała wzroku.

- Może kiedy przeczytam wszystkie - dodała Lucy - będziemy mogli porozmawiać o twojej, jeśli zechcesz. W cztery oczy.

Dziewczyna wciąż nie podnosiła wzroku.

- Sylvio?

- Dobrze - powiedziała bardzo cicho.

Godziny konsultacji się skończyły. Lucy chciała iść do domu. Starając się ukryć brak entuzjazmu, zapytała:

- Czy chcesz porozmawiać o tym teraz?

Sylvia wciąż miała spuszczone głowę.

- Zatem dobrze - powiedziała Lucy, demonstracyjnie spoglądając na zegarek. - Za dziesięć minut mam zebranie.

Sylvia wstała.

- Dziękuję za spotkanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Sylvio.

Dziewczyna miała taką minę, jakby chciała coś dodać. Jednak nie zrobiła tego. Pięć minut później Lucy stała przy oknie i spoglądała na dziedziniec. Sylvia wyszła z budynku, otarła twarz i z wymuszonym uśmiechem wysoko uniosła głowę. Rażno ruszyła przez miasteczko uniwersyteckie. Lucy widziała, jak pomachała do znajomych studentów, dołączyła do jednej z grup i wmieszała się w tłum, stając się jego nieodróżnialną częścią.

Lucy odwróciła się. Zauważyła swoje odbicie w lustrze i nie spodobało jej się to, co ujrzała. Czy ta dziewczyna potrzebuje pomocy?

Zapewne, Luce, a ty nie zareagowałaś. Dobra robota, gwiazdo.

Usiadła za biurkiem i odsunęła dolną szufladę. Wódka była tam. Wódka jest dobra. Wódka nie ma zapachu.

Drzwi jej gabinetu otworzyły się. Mężczyzna, który wszedł, miał długie czarne włosy odgarnięte za uszy, w których tkwiły liczne kolczyki. Był modnie nieogolony i przystojny w stylu podstarzałego członka boysbandu. Miał srebrny ćwiek w brodzie, wiecznie błędzące spojrzenie, biodrówki ledwie przytrzymywane przez nabijany ćwiekami pas, a na szyi napis głośzący „Rozmnażaj się często”.

- Ty - powiedział, posyłając jej swój najpiękniejszy uśmiech - wyglądasz na łatwą do zdobycia.

- Dzięki, Lonnie.

- Nie, naprawdę. Łatwą do zdobycia.

Lonnie Berger był jej stażystą, chociaż miał tyle lat co ona. Dał się złapać w pułapkę wiecznego studiowania, zdobywając coraz to nowe dyplomy, kręcąc się po kampusie, ze zdradzającą wiek pajęczynką zmarszczek wokół oczu. Lonniemu znudziły się jałowe ekscesy seksualne studenta, więc usiłował wyrwać się z tego zakłętą kręgu i podrywał każdą napotkaną kobietę.

- Powinnaś nosić coś bardziej uwydatniającego piersi, może jeden z tych nowych biustonoszy - dodał. - Może wtedy chłopcy bardziej by uważali na zajęciach.

- Taaak, właśnie tego mi trzeba.

- Poważnie, szefowo, kiedy ostatni raz to robiłaś?

- Osiem miesięcy, sześć dni i jakieś... - Lucy spojrzała na zegarek - ...Cztery godziny temu.

Roześmiał się.

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

Tylko na niego spojrzała.

- Wydrukowałem dzienniki - powiedział. Poufne i anonimowe dzienniki.

Prowadziła zajęcia zwane na uniwersytecie „wykładami twórczego myślenia”, będące połączeniem awangardowej psychologii z nauką kompozycji literackiej i filozofią. Prawdę mówiąc, Lucy to uwielbiała. Aktualny temat: każdy student miał opisać jakieś swoje traumatyczne przeżycie - coś, czym normalnie nie podzieliłby się z nikim. Bez wymieniania nazwisk. Bez stopni. Jeśli anonimowy autor zamieścił na końcu pracy swoje pozwolenie, Lucy mogła przeczytać niektóre fragmenty całej grupie, żeby rozpocząć dyskusję - ale nie podając nazwiska studenta.

- Zaczęłaś je czytać? - Zapytała.

Lonnie kiwnął głową i usiadł na fotelu, który przed kilkoma minutami zajmowała Sylvia. Położył nogi na biurku.

- Jak zwykle - powiedział.

- Kiepskie erotyki?

- Nazwałbym to raczej łagodną pornografią.
- Co to za różnica?
- Niech mnie szlag, jeśli wiem. Czy mówiłem ci o mojej nowej panience?
- Nie.
- Cudowna.
- Uhm.
- Mówię serio. Kelnerka. Najlepszy kawał dupy, jaki mi się trafił.
- A ja chcę tego wysłuchać, ponieważ...
- Zazdrosna?
- Taaak - mruknęła Lucy. - To musi być powód. Daj mi te prace, dobrze?

Lonnie podał jej kilka. Oboje zaczęli je przeglądać. Po pięciu minutach Lonnie pokręcił głową.

- Co takiego? - Spytała Lucy.
- Ile lat ma większość tych dzieciaków? - Zapytał. - Około dwudziestu, zgadza się?
- Zgadza.
- A ich seksualne wyczyny zawsze trwają jakieś dwie godziny?

Lucy uśmiechnęła się.

- Twórcza wyobraźnia.
- Czy faceci wytrzymywali tyle, kiedy byłaś młoda?
- Teraz tyle nie wytrzymują - odparła.

Lonnie uniósł brew.

- To dlatego, że taka gorąca z ciebie sztuka. Nie mogą się opanować. To twoja wina.

- Hmm. - Postukała gumką na końcu ołówka o dolną wargę. - Nie pierwszy raz wygłaszasz ten tekst, co?

- Myślisz, że przydałby mi się nowy? Na przykład taki: „Przysięgam, że to jeszcze nigdy mi się nie przydarzyło”?

Lucy pisnęła jak brzęczyk na teleturnieju.

- Przykro mi, spróbuj jeszcze raz.
- Niech to szlag.

Wrócili do lektury. Lonnie gwizdnął i pokręcił głową.

- Może po prostu urodziliśmy się w niewłaściwej epoce.

- Zdecydowanie.
- Luce? - Podniósł wzrok znad kartki. - Naprawdę tego potrzebujesz.
- Uhm.
- Chcę ci pomóc, wiesz. Bez zobowiązań.
- A co z Cudowną Kelnerką?
- Nie mamy na siebie wyłączności.
- Rozumiem.
- Zatem proponuję czysto fizyczny związek. Wspólne upuszczenie pary, jeśli kumasz.
- Cicho, czytam.

Zrozumiał aluzję. Pół godziny później wyprostował się i spojrzał na nią.

- Co?
- Przeczytaj to - rzekł.
- Po co?
- Po prostu przeczytaj, dobrze?

Wzruszyła ramiona, odłożyła pracę, którą czytała - jeszcze jedną opowieść o dziewczynie, która upiła się ze swoim nowym chłopakiem i wylądowała w łóżku we troje. Lucy czytała wiele takich historii o trójkątach. Wyglądało na to, że wszystkie były skutkiem alkoholowego zamroczenia.

Jednak minutę później zapomniała o tym. Zapomniała, że mieszka sama, nie ma już żadnej rodziny i jest profesorem college'u, że okno jej gabinetu wychodzi na dziedziniec i Lonnie wciąż siedzi przed nią. Lucy Gold odeszła. Na jej miejscu siedziała młodsza kobieta, właściwie dziewczyna, o innym nazwisku, na progu dorosłości, lecz pod wieloma względami jeszcze dziecko.

To się zdarzyło, kiedy miałam siedemnaście lat. Byłam na letnim obozie. Pracowałam jako PW, czyli pomocnik wychowawcy. Dostałam tę pracę bez trudu, ponieważ mój tato był właścicielem...

Lucy przestała czytać. Spojrzała na pierwszą stronę. Oczywiście nie było na niej nazwiska. Studenci przysłali prace pocztą elektroniczną. Lonnie je wydrukował. W ten sposób nie było wiadomo, kto napisał którą pracę. To zapewniało poczucie bezpieczeństwa. Autor nie pozostawiał nawet odcisków palców. Wystarczyło wybrać opcję „wyślij”.

To było najlepsze lato w moim życiu. A przynajmniej do tamtej ostatniej nocy. Mimo to wiem, że już nigdy nie przeżyję takich chwil. Dziwne, no nie? Jednak wiem. Wiem, że już nigdy, przenigdy, nie będę taka szczęśliwa.

Nigdy. Teraz mój uśmiech jest inny. Smutniejszy. Jakby się rozbił i nie można go naprawić.

Tamtego lata kochałam chłopca. W tej opowieści będę go nazywała P. Był rok starszy ode mnie i pracował jako młodszy wychowawca. Cała jego rodzina była na obozie. Pracowała tam jego siostra, a jego ojciec był obozowym lekarzem. Jednak ledwo ich zauważyłam, bo gdy tylko poznałam P., zaparło mi dech.

Wiem, co myślicie. Że to był po prostu głupi wakacyjny romans. Wcale nie. A teraz boję się, że już nigdy nie pokocham nikogo tak, jak kochałam jego. To głupio brzmi. Tak wszyscy uważają. Może mają rację. Nie wiem. Wciąż jestem taka młoda. Jednak nie wydaje mi się. Mam wrażenie, że miałam jedną jedyną szansę zaznać szczęścia i zmarnowałam ją.

Rana w sercu Lucy zaczęła się otwierać i poszerzać.

Pewnej nocy poszliśmy sami do lasu. Nie powinniśmy. Regulamin surowo tego zabraniał. Nikt nie znał tego regulaminu lepiej ode mnie. Spędzałam tu każde lato, od kiedy skończyłam dziewięć lat. Wtedy mój ojciec kupił ten obóz. P. pełnił nocny dyżur, a ponieważ mój ojciec był właścicielem obozu, mogłam się po nim poruszać zupełnie swobodnie. Sprytne, prawda? Dwoje zakochanych dzieciaków, mających pilnować innych obozowiczów? Litości!

Nie chciał iść, ponieważ uważał, że powinien stać na warcie, ale cóż, wiedziałam, jak go przekonać. Oczywiście teraz tego żałuję. Jednak stało się. Poszliśmy do lasu, tylko my dwoje. Sami. Te lasy są rozległe. Jeśli zgubisz drogę, możesz w nich zabłądzić na zawsze. Słyszałam opowieści o dzieciakach, które poszły do lasu i nigdy nie wróciły. Niektórzy twierdzą, że wciąż się tam błąkają, żyjąc jak zwierzęta. Inni mówią, że zginęły lub spotkał je jeszcze gorszy los. Cóż, wiecie, co się opowiada przy obozowych ogniskach.

Kiedyś śmiałam się z takich opowieści. Nigdy mnie nie przerażały. Teraz trzęsę się na samą myśl o tym.

Szliśmy. Znałam drogę. P. trzymał mnie za rękę. W lesie było tak ciemno. Nie było

widać niczego, co znajdowało się w odległości większej niż trzy metry. Usłyszeliśmy jakieś szmery i zrozumieliśmy, że w lesie ktoś jest. Zamarłam, ale pamiętam, że P. uśmiechnął się w ciemności i zabawnie pokręcił głową. Jedyнным powodem, dla którego obozowicze spotykali się w lesie, było... No wiecie, to był obóz koedukacyjny. Części dla chłopców i dziewczyn oddzielał od siebie pas lasu. Dopowiedzcie sobie resztę.

P. westchnął.

- Lepiej to sprawdźmy - powiedział.

Albo coś podobnego.

Jednak ja nie chciałam. Pragnęłam być z nim sama.

W mojej latarce wyczerpały się baterie. Wciąż pamiętam, jak mocno biło mi serce, gdy weszliśmy między drzewa. Oto byłam tam, w ciemności, trzymając za rękę chłopaka, którego kochałam. Wystarczyłoby, żeby mnie dotknął, a rozplątałabym się. Znaście to uczucie? Kiedy nie możesz znieść jego nieobecności nawet przez pięć minut. Kiedy wszystko ci się z nim kojarzy. Robisz coś, cokolwiek, i myślisz: Co on by o tym pomyślał? Szalone uczucie. Cudowne, ale też bolesne. Jesteś tak wrażliwa i obnażona, że to przeraża.

- Ciii - szepnął P. - Zatrzymaj się.

Robimy to. Zatrzymujemy się.

P. pociąga mnie za drzewo. Ujmuje moją twarz w dłoń. Ma duże dłonie i podoba mi się to, co czuję. Odchyła moją głowę i całuje mnie. Czuję to wszędzie, to drżenie, które rozpoczyna się w sercu, a potem rozchodzi. Odejmuje dłoń od mojej twarzy. Kładzie ją na mojej klatce piersiowej, obok mojej piersi. Zaczynam niecierpliwie wyczekiwać na dalszy ciąg. Jęczą głośno.

Wciąż się całowaliśmy. Namiętnie. Nie mogliśmy się nasycić swoją bliskością. Każda część mojego ciała płonęła. On wsunął dłoń pod moją bluzkę. Nie powiem nic więcej. Zapomniałam o szmerach w lesie. Teraz wiem. Powinniśmy kogoś zawiadomić. Powinniśmy ich zatrzymać i nie pozwolić wejść głębiej w te lasy. Nie zrobiliśmy tego. Zamiast tego kochaliśmy się.

Tak się w tym pogrążyłam, że z początku nawet nie słyszałam krzyków. Myślę, że P. też ich nie słyszał.

Jednak te krzyki wciąż było słychać i wiecie, co mówią ludzie, którzy byli bliscy

śmierci? To było właśnie tak, tylko jakby na odwrót. Jakbyśmy oboje podążali ku cudownemu światłu, a te krzyki były sznurem, który ciągnął nas w tył, chociaż wcale nie chcieliśmy wracać.

Przestał mnie całować. I to jest najstraszniejsze.

Już nigdy więcej mnie nie pocałował.

Lucy odwróciła kartkę, ale nie było na niej nic więcej. Poderwała głowę.

- Gdzie jest reszta?

- To wszystko. Powiedziałaś im, żeby przysyłali częściami, pamiętasz? Jest tylko tyle.

Znów spojrzała na kartki.

- Dobrze się czujesz, Luce?

- Ty dobrze sobie radzisz z komputerami, prawda, Lonnie? Znów uniósł brew.

- Lepiej z kobietami.

- Czy wyglądam, jakbym była w nastroju?

- Dobrze, dobrze. W porządku, dobrze sobie radzę z komputerami. Czemu pytasz?

- Muszę się dowiedzieć, kto to napisał.

- Przecież...

- Muszę - powtórzyła z naciskiem - wiedzieć, kto to napisał.

Napotkał jej spojrzenie. Przez moment wpatrywał się w jej twarz. Wiedziała, co chce powiedzieć. Zamierzała złamać wszelkie reguły. Przeczytali kilka naprawdę okropnych opowieści, w tym roku nawet jedną o kazirodczym związku między ojcem a córką, i nigdy nie próbowali ustalić ich autorów.

- Zechcesz mi powiedzieć, o co tu chodzi? - Spytał Lonnie.

- Nie.

- Jednak chcesz, żebym złamał wszelkie reguły, jakie wprowadziliśmy?

- Tak.

- Jest tak źle?

Popatrzyła na niego w milczeniu.

- A co tam, do diabła - rzekł Lonnie. - Zobaczę, co uda mi się zdziałać.

3

- Mówię wam - powtórzyłem jeszcze raz. - To jest Gil Perez.

- Facet, który zginął z pańską siostrą dwadzieścia lat temu?

- Najwidoczniej nie zginął.

Nie sądzę, żeby mi uwierzyli.

- Może to jego brat? - Podsunął York.

- Z pierścieniem mojej siostry?

- To pierścioneł jakich wiele - zauważył Dillon. - Dwadzieścia lat temu było takich mnóstwo. Wydaje mi się, że moja siostra miała taki sam. Chyba dostała go na szesnaste urodziny. Czy na pierścionku pana siostry było coś wygrawerowane?

- Nie.

- Zatem nie ma pewności.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale niewiele mogłem dodać. Naprawdę nic nie wiedziałem. Powiedzieli mi, że będą w kontakcie. Znajdą rodzinę Gila Pereza i sprawdzą, czy zidentyfikuje zabitego. Nie wiedziałem, co robić. Byłem zagubiony, odrętwiały i wytracony z równowagi.

Mój palmtop i telefon komórkowy szalały. Spóźniłem się na spotkanie z obrońcami w największej ze spraw w mojej karierze. Dwaj bogaci studenci, tenisiści z eleganckiego przedmieścia Short Hills, zostali oskarżeni o zgwałcenie szesnastoletniej Murzynki z Irvington, niejakej - nie, jej nazwisko w tym nie pomagało - Chamique Johnson. Rozprawa już się zaczęła, została odroczonea, a teraz miałem nadzieję zawrzeć ugodeę, zanim znów się rozpocznie.

Policjanci podwieźli mnie do mojego biura w Newark. Wiedziałem, że strona przeciwna uzna moje spóźnienie za celowe, ale nic nie mogłem na to poradzić. Kiedy wszedłem do gabinetu, dwaj główni obrońcy już tam byli.

Jeden z nich, Mort Pubin, wstał i zaczął wrzeszczeć:

- Ty skurwysynu! Wiesz, która godzina? Wiesz?

- Mort, schudłeś?

- Nie wyjeżdżaj mi z tymi bzdurami.
- Zaczekaj, nie, to nie to. Jesteś wyższy, prawda? Urosłeś. Jesteś już dużym chłopcem.
- Wypchaj się, Cope. Tkwimy tu już od godziny!

Drugi prawnik, Flair Hickory, siedział z nogą założoną na nogę, niczym się nie przejmując. To na nim skupiłem uwagę. Mort był hałaśliwy, nieprzyjemny i lubił się popisywać. Flair był adwokatem, którego obawiałem się jak żadnego innego. Był zupełnie inny, niż można by się spodziewać. Przede wszystkim Flair - przysięgał, że to jego prawdziwe imię, ale mocno w to wątpiłem - był gejem. W porządku, nic wielkiego. Wielu adwokatów to geje, lecz Flair był gejem nad gejami, coś jak dziecko miłości Liberace'a i Lizy Minnelli, wychowane na piosenkach Streisand i koncertach.

I wcale nie krył się z tym w sali sądowej - przeciwnie, celowo kłuł tym w oczy.

Pozwolił Mortowi szaleć przez kilka minut. Poruszał palcami i oglądał swój manikiur. Wydawał się z niego zadowolony. Potem podniósł rękę i niedbałym ruchem uciszył Morta.

- Dość - powiedział.

Miał na sobie purpurowy garnitur. A może bakłażanowy lub chabrowy. Nie znam się na kolorach. Jego koszula była tej samej barwy co garnitur. Krawat też. I chusteczka w kieszonce. A także - dobry Boże - buty. Flair spostrzegł, że zauważyłem jego strój.

- Podoba ci się? - Zapytał.

- Barney nowym członkiem zespołu Village People - powiedziałem.

Flair zmarszczył brwi.

- No co?

- Barney z Village People - powtórzył, wydymając usta. - Nie przyszły ci do głowy jakieś starsze i jeszcze bardziej zapomniane postacie popkultury?

- Chciałem wspomnieć o Teletubisiu, ale nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywa.

- Twinky Winky. I też jest stary. - Skrzyżował ręce na piersi i westchnął. - Skoro więc jesteśmy już wszyscy razem w tym gabinecie o zdecydowanie heteroseksualnym wystroju, czy możemy wypuścić naszych klientów i zakończyć tę sprawę?

Napotkałem jego spojrzenie.

- Oni to zrobili, Flair.

Nie zamierzał zaprzeczać.

- Naprawdę chcesz, by ta chora na umyśle striptizerka i prostytutka zeznawała przed

sądem?

Stanąłbym w jej obronie, ale znał fakty.

- Chcę.

Flair powstrzymał uśmiech.

- Zniszczę ją - powiedział.

Ja nic nie powiedziałem.

Zrobi to. Wiedziałem, że tak. I właśnie w tym rzecz. Potrafił drażnić i gnębić, a mimo to nikogo nie zrażać. Widziałem już, jak to robił. Można by sądzić, że przynajmniej niektórzy sędziowie będą homofobami, nienawidzącymi i bojącymi się go. Jednak z Flairem było inaczej. Ławniczki miały ochotę iść z nim na zakupy i opowiadać o wadach swoich mężów. Mężczyźni uważali go za nieszkodliwego, więc nie obawiali się, że wytnie im jakiś numer.

Dlatego był tak groźnym przeciwnikiem.

- O co wam chodzi? - Zapytałem.

Flair się uśmiechnął.

- Jesteś zdenerwowany, prawda?

- Mam tylko nadzieję uchronić ofiarę gwałtu przed twoimi brutalnymi atakami.

- Moimi? - Przyłożył dłoń do piersi. - Jestem urażony.

Spojrzałem na niego bez słów. Gdy to robiłem, otworzyły się drzwi. Weszła Loren Muse, mój główny inspektor dochodzeniowy. Muse jest w moim wieku, po trzydziestce, i była inspektorem dochodzeniowym w sekcji zabójstw za czasów mojego poprzednika, Eda Steinberga.

Usiadła bez słowa czy gestu.

Znów odwróciłem się do Flaira.

- Czego chcecie? - Zapytałem ponownie.

- Na początek - rzekł Flair - chcę, by panna Chamique Johnson przeprosiła za zniszczenie reputacji dwóch porządnych chłopców z dobrych rodzin.

Spojrzałem na niego bardzo uważnie.

- Jednak zadowolimy się odstąpieniem od wszystkich zarzutów.

- Śnij dalej.

- Cope, Cope, Cope - pokręcił głową Flair, cmokając.

- Powiedziałem nie.

- Jesteś cudowny, kiedy jesteś taki męski, ale już o tym wiesz, prawda? - Flair spojrział na Loren Muse. Na jego twarzy odmalowała się szczerza zgroza. - Dobry Boże, co ty masz na sobie? Muse się wyprostowała.

- Co?

- Twój strój. Jak z jakiegoś straszego nowego reality show, zatytułowanego *Jak ubierają się policjantki*. Dobry Boże. A te buty...

- Są praktyczne - wtrąciła Muse.

- Kochana, pierwsza zasada świata mody: słowa „buty” oraz „praktyczne” nigdy nie powinny sobie towarzyszyć. - Nawet nie mrugnawszy okiem, Flair odwrócił się z powrotem do mnie. - Nasi klienci przyznają się do wykroczenia i dostaną wyrok z zawieszeniem oraz nadzór sądowy.

- Nie.

- Mogę powiedzieć ci dwa słowa?

- Te dwa słowa to „buty” i „praktyczne”, tak?

- Nie, obawiam się, że coś znacznie bardziej przykrego: Cal i Jim.

Zamilkł. Zerknął na Muse. Poprawiła się w fotelu.

- Te dwa zdrobnienia - ciągnął z satysfakcją Flair. - Cal i Jim. Muzyka dla moich uszu.

Wiesz, o czym mówię, Cope?

Nie chwyciłem przynęty.

- Twoja rzekoma ofiara w swoim zeznaniu... Czytałeś jej zeznanie, prawda? W swoim zeznaniu wyraźnie podaje, że jej gwałcicielami byli Cal i Jim.

- To niczego nie oznacza - powiedziałem.

- No cóż, posłuchaj, kochasiu, i postaraj się skupić, ponieważ sądzę, że to może być bardzo ważne w tej sprawie - naszymi klientami są Barry Marantz i Edward Jenrette. Nie Cal i Jim, ale Barry i Edward. Powtórz to głośno. No już, przecież potrafisz. Barry i Edward. No, czy te imiona brzmią tak samo jak Cal i Jim?

Na to pytanie odpowiedział Mort Pubin.

- Nie, wcale nie, Flair - rzekł z szerokim uśmiechem.

Ja wciąż się nie odzywałem.

- I wiesz co, mamy tu zeznanie twojej ofiary - mówił Flair. - To naprawdę cudowne, nie sądzisz? Zaczekaj, niech znajdę. Po prostu uwielbiam to czytać. Mort, masz je? Zaczekaj, jest

tutaj. - Flair nałożył połówkowe szkła do czytania. Odchrząknął i odczytał z namaszczeniem: „Ci dwaj chłopcy, którzy to zrobili. To byli Cal i Jim”.

Odłożył kartkę i spojrzał na nas, jakby czekał na oklaski.

- Znalaziono w niej nasienie Barry'ego Marantza - przypomniałem.

- Ach tak, ale młody Barry - nawiasem mówiąc, przystojny chłopiec, a obaj wiemy, że to ma znaczenie - przyznaje się, że wcześniej owego wieczoru uprawiał seks z chętną i młodą panną Johnson. Wszyscy wiemy, że Chamique była w ich akademiku. To niekwestionowany fakt, prawda?

Nie podobało mi się to, ale zgodziłem się z nim.

- Niekwestionowany.

- W rzeczy samej obaj zgadzamy się, że Chamique Johnson pracowała tam tydzień wcześniej jako striptizerka.

- Tancerka egzotyczna - poprawiłem.

Teraz on popatrzył na mnie z uwagą.

- Zatem wróciła tam. Tylko tym razem nie dostała pieniędzy. Co do tego też się zgadzamy, nieprawdaż? - Nie czekał na moją odpowiedź. - I mogę przyprowadzić pięciu lub sześciu chłopców, którzy zeznają, że bardzo zaprzyjaźniła się z Barrym. Daj spokój, Cope. Już to przerabiałeś. Ona jest striptizerką. Jest nieletnia. Zakradła się do męskiego akademika. Przespała się z przystojnym, bogatym chłopcem. On ją rzucił, nie zadzwonił albo coś takiego. Ma do niego żal.

- I mnóstwo siniaków - dodałem.

Mort rąbnął w stół dłonią przypominającą coś rozjechanego na drodze.

- Ona po prostu chce się obłowić - powiedział.

- Nie teraz, Mort - rzekł Flair.

- Pieprzyć to. Wszyscy wiemy, o co chodzi. Oskarżyła ich, bo są dziani. - Mort obrzucił mnie swym najlepszym twardym jak krzemień spojrzeniem. - Wiesz, że ta kurewka była notowana, prawda? Chamique... - Wycodził jej imię w drwiący sposób, który naprawdę mnie wkurzył - też już wzięła sobie adwokata. Zamierza wydoić naszych chłopców. Ta krowa po prostu chce się obłowić. To wszystko. Chce cholernej forsy.

- Mort? - Powiedziałem.

- Co?

- Bądź cicho, teraz rozmawiają dorośli.

Mort prychnął.

- Ty nie jesteś lepszy, Cope.

Czekałem.

- Oskarżyłeś ich tylko dlatego, że są bogaci. I wiesz o tym. Też odgrywasz w mediach tę komedię „bogaci przeciwko biednej”. Nie udawaj, że nie. Czy wiesz, co w tym jest do bani? Wiesz, od czego boli mnie dupa?

Rano przeze mnie kogoś swędziało dupsko, a teraz jego rozboleła dupa. Miałem dobry dzień.

- Powiedz mi, Mort.

- To jest powszechnie przyjęte w naszym społeczeństwie.

- Co takiego?

- Nienawiść do bogatych. - Mort gniewnie rozłożył ręce. - Wciąż się to słyszy: „Nienawidzę go, jest taki bogaty”. Spójrz na Enron i inne podobne skandale. Teraz wprost zachęca się do takiego nastawienia, nienawiści do bogatych. Gdybym kiedyś powiedział: „Hej, nienawidzę biednych”, powiesiliby mnie na suchej gałęzi. Ale wyzywanie bogatych? Cóż, możesz sobie używać. Każdy może nienawidzić bogatych.

- Może powinni założyć psychoterapeutyczną grupę wsparcia - podsunąłem.

- Wypchaj się, Cope.

- Nie, naprawdę. Trump, Halliburtonowie... No wiesz, świat był dla nich niedobry. Grupa wsparcia. Oto, co powinni zrobić. Albo wystąpić w maratonie telewizyjnym.

Flair Hickory wstał. Oczywiście był to teatralny gest. Niemal spodziewałem się, że dygnie.

- Myślę, że już skończyliśmy. Zobaczymy się jutro, przystojniaku. A ty... - Spojrzał na Loren Muse, otworzył usta, zamknął je i się otrząsnął.

- Flair?

Popatrzył na mnie.

- Ten fragment z Calem i Jimem tylko dowodzi, że ona mówi prawdę - powiedziałem.

Flair się uśmiechnął.

- Jakim cudem?

- Wasi chłopcy byli sprytni. Nazwali się Cal i Jim, żeby tak o nich mówiła.

Podniósł brwi.

- Myślisz, że to przejdzie?

- W przeciwnym razie po co by ich tak nazwała?

- Przepraszam?

- Chcę powiedzieć, że gdyby Chamique chciała zrobić waszych klientów, dlaczego nie podałyby ich prawdziwych imion? Po co wymyślałyby cały ten dialog między Calem i Jimem? „Obróć ją, Cal”. „Przechyl ją, Jim”. „Patrz, Cal, jak jej się to podoba”. Po co by to wymyślała?

Odpowiedział mi Mort:

- Ponieważ jest żądną forsy kurwą, głupią jak but? Widziałem jednak, że moje słowa dotarły do Flaira.

- To nie ma sensu - rzekłem. Nachylił się do mnie.

- I nie musi mieć, w tym rzecz, Cope. Wiesz o tym. Może masz rację. Może to nie ma sensu. Jednak wiesz, że narobi zamieszania. A zamieszanie to ulubione podłoże mojej ulubionej roślinki, jaką jest uzasadniona wątpliwość. - Uśmiechnął się. - Może masz jakieś dowody. Jeśli jednak każesz tej dziewczynie zeznawać, nie będę jej oszczędzał. To będzie krótki pojedynek. Obaj to wiemy.

Ruszyli do drzwi.

- Pa, pa, przyjacielu. Do zobaczenia w sądzie.

4

Muse i ja milczeliśmy przez długą chwilę.

Cal i Jim. Te imiona nas przybiły.

Stanowisko głównego inspektora dochodzeniowego niemal zawsze zajmował jakiś stary weteran, opryskliwy facet nieco wypalony tym, co widział przez lata pracy, brzuchaty, ciężko wzdychający, w znoszonym prochowcu. Jego zadaniem było zręcznie przeprowadzić niewinnego prokuratora okręgowego, takiego jak ja, z politycznego nadania, przez kręgi systemu prawnego Essex County.

Loren Muse miała może metr pięćdziesiąt i ważyła tyle co czwartoklasistka. Wybierając ją na głównego inspektora, wywołałem nieprzyjemne poruszenie wśród weteranów, ale zrobiłem to najzupełniej świadomie. Wolę zatrudniać kobiety w pewnym wieku. Lepiej pracują i są lojalniejsze. Wiem, wiem, ale przekonałem się, że to niemal zawsze prawda. Znajdź odpowiednią kobietę w wieku - powiedzmy - trzydziestu trzech lat, a będzie pracowała po godzinach i z poświęceniem, jakiego nigdy nie możesz oczekiwać po mężatce z dziećmi.

Należy również przyznać, że Muse była niewiarygodnie utalentowanym inspektorem. Lubiałem omawiać z nią sprawy. Powiedziałbym, że było to jakby przymusem, ale wtedy z pewnością wywołałbym zbiorowy jęk. Teraz spoglądała w dół.

- Co ci chodzi po głowie? - Zapytałem.

- Czy te buty naprawdę są takie brzydkie? Patrzyłem na nią i czekałem.

- Krótko mówiąc, jeśli nie znajdziemy jakiegoś sposobu, żeby wyjaśnić Cala i Jima, jesteśmy załatwieni - zakończyła.

Spojrzałem w sufit.

- Co? - Zapytała Muse.

- Te dwa imiona.

- Co z nimi?

- Dlaczego? - Zapytałem, nie wiem który raz. - Dlaczego akurat Cal i Jim?

- Nie wiem.

- Przesłuchałaś ponownie Chamique?

- Tak. Jej opowieść jest zatrważająco spójna. Używali tych imion. Sądzę, że masz rację. Zrobili to specjalnie, żeby jej opowieść głupio brzmiała.

- Tylko dlaczego wybrali akurat te dwa imiona?

- Zapewne przypadkowo. Zmarszczyłem brwi.

- Coś przeoczyliśmy, Muse. Skinęła głową.

- Wiem.

Zawsze doskonale udawało mi się rozgraniczać pewne sprawy. Wszyscy to robimy, ale ja byłem w tym szczególnie dobry. Potrafię tworzyć w moim świecie osobne wszechświaty. Umiem radzić sobie z jednym aspektem mojego życia tak, żeby nie wpływał na inne. Niektórzy oglądają filmy gangsterskie i zastanawiają się, jak ten gangster może być tak okrutny w interesach i tak kochający w domu. Ja to potrafię.

Nie jestem z tego dumny. Niekoniecznie jest to zaleta. Wprawdzie chroni, ale dobrze wiedziałem, co potrafi usprawiedliwić.

Tak więc przez ostatnie pół godziny odpychałem od siebie pytania: jeśli Gil Perez przez cały ten czas żył, to gdzie się podziewał? Co wydarzyło się tamtej nocy w lasach? I oczywiście, najważniejsze z nich: jeżeli Gil Perez przeżył tamtą noc... Czy moja siostra przeżyła ją także?

- Cope?

To była Muse.

- Co się stało?

Chciałem jej powiedzieć. Jednak nie była to odpowiednia chwila. Najpierw sam powinienem wszystko uporządkować. Zrozumieć, o co chodzi. Upewnić się, że to ciało naprawdę jest zwłokami Gila Pereza. Wstałem i podszedłem do niej.

- Cal i Jim - powiedziałem. - Musimy się dowiedzieć, o co w tym chodzi, do cholery. I to szybko.



Moja szwagierka Greta oraz jej mąż Bob mieszkali w rezydencji w nowej dzielnicy willowej, wyglądającej dokładnie tak samo jak każda nowa dzielnica willowa w Ameryce Północnej. Działki za małe na wznoszące się na nich ogromniaste gmaszyska z cegły. Chociaż te domy mają różne kształty i kolory, nie wiedzieć czemu wszystkie wyglądają identycznie. Wszystko jest trochę zbyt odpicowane, próbuje udawać stare, ale wygląda jedynie sztucznie.

Poznałem Gretę wcześniej niż moją żonę. Moja matka odeszła, zanim skończyłem dwadzieścia lat, ale pamiętam, co mi powiedziała kilka miesięcy przed tym, zanim Camille poszła do lasu. Byliśmy najuboższymi mieszkańcami naszego wielonarodowościowego miasteczka. Byliśmy emigrantami, którzy przybyli tu z dawnego Związku Radzieckiego, kiedy miałem cztery lata. Początek mieliśmy dobry - przybyliśmy do USA w glorii bohaterów - ale bardzo szybko sprawy potoczyły się źle.

Mieszkaliśmy w Newark, na ostatnim piętrze domku zajmowanego przez trzy rodziny, ale uczęszczaliśmy do szkoły w Columbia High, w West Orange. Mój ojciec, Władimir Kopiński (zmienił nazwisko na Copeland), który w Leningradzie był lekarzem, nie uzyskał zezwolenia na praktykowanie w Stanach. Skończył jako malarz pokojowy. Moja matka, krucha piękność imieniem Natasza, niegdyś dumna i dobrze wykształcona córka małżeństwa uniwersyteckich profesorów, podejmowała pracę sprzątaczką u najbogatszych rodzin Short Hills i Livingston, ale żadnej z nich nie mogła długo utrzymać. Tamtego dnia moja siostra Camille wróciła ze szkoły i oznajmiła drwiąco, że podobam się pewnej bogatej dziewczynie z miasta. Moja matka była podekscytowana.

- Powinieneś się z nią umówić - powiedziała mi. Skrzywiłem się.

- Widziałas ją?

- No to wiesz - odciąłem się jak typowy siedemnastolatek. - To potwór.

- Jest takie rosyjskie powiedzenie - odparowała moja matka, podkreślając wagę swych słów uniesionym palcem. - „Bogata dziewczyna jest piękna, kiedy siedzi na pieniądzech”.

To była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, kiedy poznałem Gretę. Jej rodzice - zatem chyba moi byli teściowie, a nadal dziadkowie Cary - są nadziani. Moja żona pochodziła z rodziny mającej pieniądze. Wszystkie znajdują się na funduszu powierniczym Cary. Ja jestem wykonawcą testamentu. Długo i z ożywieniem dyskutowaliśmy z Jane o tym, kiedy będzie mogła nimi dysponować. Nie powinna w zbyt młodym wieku odziedziczyć takich pieniędzy, ale z drugiej strony należą do niej.

Moja Jane była taka praktyczna, kiedy lekarze ogłosili jej wyrok śmierci. Ja nie mogłem tego słuchać. Wiele się dowiadujesz, kiedy ktoś, kogo kochasz, powoli odchodzi. Dowiedziałem się, że moja żona posiada zdumiewające pokłady siły i odwagi, o jakie nigdy nie podejrzewałbym jej, zanim zachorowała. I odkryłem, że ja ich nie mam.

Cara i Madison, siostrzenica mojej żony, bawiły się na podjeździe. Dni stawały się coraz

dłuższe. Madison usiadła na asfalcie i wyjęła podobne do cygar kawałki kredy. Moja córka krążyła mechanicznym, powoli jeżdżącym autkiem, który jest ostatnim krzykiem mody dla dzisiejszych dzieci do lat sześciu.

Te, które je mają, nigdy się nimi nie bawią. Tylko ich goście, mali towarzysze zabaw.

Wsiadłem z samochodu i zawołałem:

- Cześć, dzieciaki!

Czekałem, aż obie sześciolatki porzucą swoje zabawki, podbiegną i mnie uściskają. Taak, akurat. Madison zerknęła w moją stronę, ale nie mogłaby być mniej zainteresowana nawet po lobotomii. Moja własna córka udawała, że nie słyszy. Cara jeździła w kółko Barbie Jeepem. Akumulator szybko siadał i elektryczny pojazd poruszał się wolniej niż mój wuj Morris, sięgając po książeczkę czekową.

Greta otworzyła zewnętrzne drzwi.

- Cześć.

- Cześć - powiedziałem. - Jak tam reszta pokazów gimnastycznych?

- Nie martw się. - Greta osłoniła oczy dłonią, jakby salutowała. - Mam wszystko sfilmowane.

- Super.

- O co chodziło tym dwóm gliniarzom? Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu praca.

Nie kupiła tego, ale nie nalegała.

- Plecak Cary jest w domu.

Puściła drzwi, które zamknęły się za nią. Zza domu wyszli robotnicy. Bob i Greta robili sobie basen z dopasowanym do niego otoczeniem. Myśleli o tym od lat, ale postanowili zaczekać, aż Madison i Cara będą dostatecznie duże, żeby były bezpieczne.

- Chodź - powiedziałem do córki. - Musimy jechać.

Cara znów mnie zignorowała, udając, że nic nie słyszy przez warkot różowego Barbie Jeepa. Zmarszczyłem brwi i ruszyłem ku niej. Cara jest potwornie uparta. Chciałbym powiedzieć, „jak jej matka”, ale moja Jane była najbardziej cierpliwą i pełną zrozumienia kobietą na świecie. Zdumiewające. W swoich dzieciach widzi się zarówno dobre, jak i złe cechy. W przypadku Cary wszystkie negatywne wydawały się pochodzić od ojca.

Madison odłożyła kredę.

- Chodź, Caro.

Cara ją również zignorowała. Madison wzruszyła do mnie ramionami i obdarzyła znużonym dziecięcym westchnieniem.

- Cześć, wujku Cope.

- Cześć, kochanie. Dobrze się bawiliście?

- Nie - powiedziała Madison z piąstkami na biodrach. - Cara nigdy się ze mną nie bawi.

Ona tylko bawi się moimi zabawkami.

Próbowałem zrobić minę pełną zrozumienia. Greta wróciła z plecakiem.

- Już odrobiłyśmy lekcje - oznajmiła.

- Dziękuję.

Zbyła to machnięciem ręki.

- Caro, kochanie? Jest tu twój tatuś.

Cara zignorowała i ją. Wiedziałem, że nadchodzi atak złości. Pewnie i to ma po ojcu. W naszym inspirowanym przez Disneya świecie stosunki między córką a jej owdowiałym ojcem zawsze układają się cudownie. Obejrzyjcie jakikolwiek film dla dzieci - *Małą syrenkę*, *Piękną i bestię*, *Małą księżniczkę* lub *Aladyna* - a sami zobaczycie. Na filmach brak matki wydaje się właściwie drobiazgiem, co, jeśli się nad tym zastanowić, jest naprawdę perwersyjne. W prawdziwym życiu brak matki to największe nieszczęście, jakie może spotkać małą dziewczynkę.

- Caro, idziemy - powiedziałem stanowczo.

Miała zaciętą minę, szykując się do walki, ale na szczęście bogowie zainterweniowali. Akumulator autka zupełnie się wyczerpał. Różowy jeep stanął. Cara próbowała go zmusić, żeby przejechał jeszcze kawałek, ale auto ani drgnęło. Cara westchnęła, wysiadła z jeepa i ruszyła w kierunku samochodu.

- Pożegnaj ciocię Gretę i swoją kuzynkę.

Zrobiła to ponurym głosem, który wzbudziłby zazdrość nastolatki. Kiedy wróciliśmy do domu, Cara, nie pytając o pozwolenie, włączyła telewizor i zaczęła oglądać odcinek *Sponge Boba*. Miałem wrażenie, że nie ogląda niczego innego. Zastanawiałem się, czy jest jakaś stacja, która nadaje wyłącznie *Sponge Boba*. Ten serial składa się chyba tylko z trzech odcinków. Co jednak zdaje się wcale nie zniechęcać dzieciaków.

Już miałem coś powiedzieć, ale zrezygnowałem. W tym momencie chciałem, żeby czymś się zajęła. Wciąż próbowałem poukładać w myślach zarówno sprawę gwałtu na Chamique

Johnson, jak i nagłe pojawienie się i zamordowanie Gila Pereza. Przyznaję, że mojej wielkiej sprawie, największej w mojej karierze, poświęcałem zdecydowanie mniej uwagi.

Zacząłem szykować kolację. Przeważnie jadaliliśmy ją na mieście albo zamawialiśmy coś do domu. Mam nianię i gosposię, ale dziś miała wolne.

- Mogą być hot dogi?

- Ujdą.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Panie Copeland? Tu detektyw Tucker York.

- Tak, detektywie, co mogę dla pana zrobić?

- Odnaleźliśmy rodziców Gila Pereza. Mocniej ścisnąłem słuchawkę.

- Czy zidentyfikowali ciało?

- Jeszcze nie.

- Co im powiedzieliście?

- Niech pan słucha, panie Copeland, bez urazy, ale to nie jest coś, co mówi się przez telefon, prawda? „Wasz syn być może żył przez te wszystkie lata... I ach, tak, właśnie został zamordowany”.

- Rozumiem.

- Dlatego nie powiedzieliśmy im niczego konkretnego. Ściągniemy ich tu i zobaczymy, czy zidentyfikują ciało. Jest jeszcze coś. Czy jest pan pewien, że to Gil Perez?

- Prawie pewien.

- Rozumie pan, że to za mało.

- Rozumiem.

- A poza tym jest późno. Mój partner i ja skończyliśmy służbę. Dlatego jeden z naszych ludzi przywiezie tu Perezów jutro rano.

- Cóż to, kurtuazyjny telefon?

- Coś w tym rodzaju. Rozumiem pańskie zainteresowanie. Może powinien pan tu być rano, no, wie pan, na wypadek, gdyby zrodziły się jakieś dziwne pytania.

- Gdzie?

- Ponownie w kostnicy. Trzeba pana przywieźć?

- Nie, znam drogę.

5

Kilka godzin później ułożyłem córkę do snu.

Cara nigdy nie sprawia mi kłopotów, kiedy idzie spać. Mamy wspaniały system. Czytam jej. Nie robię tego dlatego, że tak zalecają wszystkie periodyki poświęcone wychowaniu dzieci. Robię to, ponieważ ona to uwielbia. Nigdy przy tym nie zasypia. Czytam jej co wieczór i jeszcze ani razu nawet nie zmrużyła oka. W przeciwieństwie do mnie. Niektóre z tych książek są okropne. Zasypiam na jej łóżeczku. Pozwala mi na to.

Nie mogłem sobie poradzić z jej niepohamowanym głodem lektury, więc zacząłem korzystać z nagrań. Najpierw coś jej czytam, a potem puszczam jedną ścieżkę kasety - zwykle czterdziestopięciominutową - zanim przychodzi czas, by zamknęła oczy i zasnęła. Cara rozumie i lubi tę zasadę.

Dzisiaj czytam jej Roalda Dahla. Robi wielkie oczy. W zeszłym roku, kiedy zabrałem ją do kina na *Króla lwa*, kupiłem jej cholernie drogiego pluszaka Timona. Teraz mocno obejmuje go prawą ręką. Timon też lubi słuchać bajek.

Skończyłem czytać i pocałowałem Carę w policzek. Pachniała szamponem dla dzieci.

- Dobranoc, tatusiu - powiedziała.

- Dobranoc, skarbie.

Dzieciaki. W jednej chwili są jak Medea w kiepskim humorze, a w następnej słodkie jak aniołki.

Włączyłem magnetofon i zgasilem światło. Poszedłem do mojego domowego gabinetu i usiadłem przy komputerze. Mam dostęp do bazy danych w moim biurze. Otworzyłem plik ze sprawą gwałtu na Chamique Johnson i zacząłem nad nim ślezczyć.

Cal i Jim.

Moja ofiara z pewnością nie wzbudzi sympatii sędziów. Chamique ma szesnaście lat i nieślubne dziecko. Była dwukrotnie aresztowana za nagabywanie i raz za posiadanie marihuany. Pracowała dorywczo jako tancerka egzotyczna, co i owszem, jest eufemistycznym określeniem striptizerki. Ludzie będą się zastanawiali, co robiła poza tym. To mnie nie zniechęcało. Będę po

prostu walczył energiczniej. Nie dlatego, żebym przejmował się polityczną poprawnością, ale ponieważ naprawdę chodzi mi o sprawiedliwość. Gdyby Chamique była jasnowłosą studentką i wiceprzewodniczącą swego roku z białego jak śnieg Livingston, a ci dwaj chłopcy byli czarni... No, wiecie.

Chamique była osobą, człowiekiem. Nie zasłużyła na to, co zrobili jej Barry Marantz i Edward Jenrette.

I zamierzałem ich za to przygwoździć.

Wróciłem do początku sprawy i ponownie wszystko przejrzałem. Akademik był eleganckim budynkiem z marmurowymi kolumnami, greckimi literami, świeżą farbą i nowymi wykładzinami. Sprawdziłem rejestry rozmów telefonicznych. Było ich mnóstwo, gdyż każdy dzieciak miał prywatną linię, nie mówiąc o telefonach komórkowych, SMS-ach, poczcie elektronicznej i palmtopach. Jeden z inspektorów Muse sprawdził wszystkie wychodzące rozmowy z tamtej nocy. Było ich ponad sto, ale żadna nie rzucała się w oczy. Pozostałe rachunki były zupełnie zwyczajne: za prąd, wodę, z miejscowego sklepu monopolowego, za sprząatanie, telewizję kablową, usługi telefoniczne, sieciowe, dostawy pizzy zamówionej przez Internet...

Zaczekaj.

Zastanowiłem się nad tym. Pomyślałem o zeznaniu ofiary - nie musiałem znów go czytać. To było obrzydliwe i wyuzdane. Ci dwaj chłopcy zmusili Chamique do robienia różnych rzeczy, układali ją w różnych pozycjach i przez cały czas rozmawiali. Jednak coś w tym, w sposobie, w jaki ją układali, w różnych pozach...

Zadzwoił telefon. Loren Muse.

- Dobre wiadomości? - Zapytałem.

- Tylko jeśli stwierdzenie „brak wiadomości to dobra wiadomość” jest prawdziwe.

- Nie jest.

- Do licha. A co u ciebie?

Cal i Jim. Do diabła, co przeoczyłem? To było tam, tylko nieuchwytnie. Znacie to uczucie, kiedy coś wiecie, ale nie możecie sobie przypomnieć, na przykład, jak się wabił ten pies z serialu *Petticoat Junction* lub jak nazywał się bokser, którego pan T. grał w *Rocky III*? To było coś takiego. Tuż-tuż.

Cal i Jim.

Odpowiedź była gdzieś tam, tylko ukryta za jakimś myślowym zakretem. Niech mnie

szlag, jeśli nie będę o tym rozmyślał, dopóki nie dopadnę cholery.

- Jeszcze nie teraz - powiedziałem. - Jednak zamierzam nad tym popracować.



Wcześniej rano następnego dnia detektyw York siedział naprzeciwko pana i pani Perez.

- Dziękuję za przybycie - powiedział.

Przed dwudziestoma laty pani Perez pracowała w obozowej pralni, ale od czasu tragedii widziałem ją tylko raz. Podczas spotkania rodzin ofiar - bogatych Greenów, jeszcze bogatszych Billinghamów, ubogich Copelandów i jeszcze uboższych Perezów - w wielkiej i eleganckiej kancelarii prawniczej niedaleko miejsca, gdzie jesteśmy teraz. Sprawa przybrała klasyczny obrót - cztery rodziny przeciwko właścicielowi obozu. Perezowie prawie się wtedy nie odzywali. Siedzieli i słuchali, pozwalając innym pokrzykiwać i przewodzić. Pamiętam, że pani Perez ścisnęła torebkę, którą trzymała na kolanach. Teraz postawiła ją na stole, lecz jej dłonie nadal były do niej przyśrubowane.

Siedzieli w pokoju przesłuchań. Zgodnie z sugestią detektywa Yorka obserwowałem ich przez weneckie lustro. Na razie nie chciał, żeby mnie zobaczyli. To miało sens.

- Dlaczego nas tu wezwano? - Zapytał pan Perez.

Był mocno zbudowany, w za ciasnej o jeden numer koszuli, rozciągniętej przez wydatny brzuch.

- Niełatwo to wytłumaczyć. - Detektyw York spojrział w lustro i choć patrzył nieco w bok, wiedziałem, że to mnie chciał zobaczyć. - Dlatego dojdę do tego powoli.

Pan Perez zmrużył oczy. Pani Perez mocniej ścisnęła torebkę. Leniwie zastanawiałem się, czy to ta sama torebka co przed piętnastoma laty. Dziwne, jak myśli błądzą w takich chwilach.

- Wczoraj na Manhattanie, w okolicy Washington Heights, popełniono morderstwo - rzekł York. - Znaleźliśmy ciało w zaułku w pobliżu Sto Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Nie odrywałem oczu od ich twarzy. Nic wyczytać z nich nie można było.

- Ofiarą jest biały mężczyzna w wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat. Ma metr siedemdziesiąt wzrostu i waży osiemdziesiąt pięć kilo. - Głos detektywa Yorka przybrał rutynowo beznamiętny ton. - Mężczyzna posługiwał się przybranym nazwiskiem, więc mamy kłopot z ustaleniem jego tożsamości.

York zamilkł. Klasyczna technika. Zaczekać, czy coś powiedzą. Pan Perez powiedział:

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami.

Pani Perez zerknęła na męża, poruszywszy tylko oczami.

- Zaraz do tego dojdę.

Prawie widziałem, jak obracają się trybiki w jego głowie, gdy zastanawiał się, jakie wybrać podejście, czy zacząć mówić o wycinkach w kieszeni, o pierścionku czy czymś innym. Niemal mogłem sobie wyobrazić, jak układa w głowie słowa i zdaje sobie sprawę z tego, jak idiotycznie brzmią. Wycinki, pierścionek... Tak naprawdę niczego nie dowodziły. Nagle nawet ja zacząłem mieć wątpliwości. Oto byliśmy tu, na moment przed tym, zanim świat Perezów zostanie wypatroszony jak zarżnięte ciele. Byłem zadowolony, że jestem za szybą.

- Sprowadziliśmy świadka, żeby zidentyfikował ciało - ciągnął York. - Ten świadek zdaje się sądzić, że ofiarą może być wasz syn Gil.

Pani Perez zamknęła oczy. Pan Perez zeszywniał. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, nikt się nie poruszył. Perez nie patrzył na żonę. Ona nie patrzyła na niego. Po prostu siedzieli tam, nieruchomo, a te słowa jeszcze wisały w powietrzu.

- Nasz syn został zabity dwadzieścia lat temu - powiedział w końcu pan Perez.

York kiwnął głową, nie wiedząc, co rzec.

- Chce pan powiedzieć, że w końcu znaleźliście jego ciało?

- Nie, nie sądzę. Syn państwa miał osiemnaście lat, kiedy zaginął, prawda?

- Prawie dziewiętnaście - uściślił pan Perez.

- Ten człowiek... Ofiara, jak już wspominałem, prawdopodobnie był po trzydziestce.

Ojciec Pereza odchylił się do tyłu. Matka nadal się nie poruszyła. York nacisnął.

- Ciało waszego syna nigdy nie znaleziono, zgadza się?

- Chce nam pan powiedzieć...?

Głos pana Pereza ucichł. Nikt nie skorzystał z okazji, by powiedzieć: „Tak, właśnie to sugerujemy - że wasz syn Gil był żywy przez cały ten czas, przez dwadzieścia lat, i nie odezwał się do was ani do nikogo znajomego, a teraz, kiedy w końcu mieliście szansę odnaleźć wasze zaginione dziecko, został zamordowany. Życie jest okrutne, prawda?".

- To szaleństwo - stwierdził pan Perez.

- Wiem, jak to musi brzmieć...

- Dlaczego sądzi pan, że to nasz syn?

- Już mówiłem. Mamy świadka.

- Kogo?

Po raz pierwszy usłyszałem głos pani Perez. O mało nie podskoczyłem.

York próbował ich uspokoić.

- Proszę posłuchać, rozumiem, że są państwo zdenerwowani...

- Zdenerwowani?!

Znów ojciec.

- Czy pan wie, jak to... Może pan sobie wyobrazić...?

Zamilkł. Żona położyła dłoń na jego przedramieniu. Wyprostowała się na krześle. Przez sekundę spoglądała w lustro i byłem pewien, że mnie widzi. Potem napotkała spojrzenie Yorka.

- Zakładam, że macie to ciało? - Zapytała.

- Tak, proszę pani.

- I dlatego nas tu sprowadziliście. Chcecie, żebyśmy na nie spojrzeli i powiedzieli, czy to nasz syn.

- Tak.

Pani Perez wstała. Mąż ją obserwował. Wydawał się mały i bezradny.

- W porządku - powiedziała. - Dlaczego tego nie robimy?



Pan i pani Perez ruszyli korytarzem.

Poszedłem za nimi w dyskretnej odległości. Dillon był ze mną. York został z rodzicami. Pani Perez kroczyła z wysoko podniesioną głową. Wciąż mocno przyciskała do piersi torebkę, jakby obawiała się, że ktoś ją jej wyrwie. Podążała o krok przed mężem. Seksistowskie myślenie - że powinno być na odwrót, że matka powinna się załamać, a ojciec trzymać fason. Pan Perez był silny tylko na pokaz. Teraz, kiedy wybuchła bomba, to pani Perez przejęła dowodzenie, podczas gdy jej mąż zdawał się kurczyć z każdym krokiem.

Z wyłożoną wytartym linoleum podłogą i szorstkimi betonowymi ścianami ten korytarz nie przypominałby bardziej korytarza więziennego nawet bez znudzonego biurokraty, który spędzał na nim przerwę śniadaniową. Nasze kroki odbijały się głośnym echem. Pani Perez nosiła ciężkie złote bransolety. Słyszałem, jak pobrzękują.

Gdy znaleźli się przed tym samym oknem, przed którym stałem wczoraj, Dillon zagroził mi drogę wyciągniętą ręką, niemal obronnym gestem, jakbym był dzieckiem na przednim siedzeniu, a on właśnie ostro zahamował. Zatrzymaliśmy się dobre trzy metry z tyłu, starając się pozostać poza ich polem widzenia.

Trudno było obserwować ich twarze. Państwo Perez stali obok siebie. Nie dotykali się. Widziałem, jak pan Perez spuścił głowę. Miał na sobie niebieski blezer. Pani Perez nosiła ciemną bluzkę, barwy zakrzepłej krwi. I dużo złotych ozdób. Zobaczyłem innego pracownika kostnicy - tym razem wysokiego mężczyznę z brodą - podtaczającego stół do okna. Ciało było zakryte prześcieradłem.

Ustawivszy stół pod oknem, brodacz spojrział w kierunku Yorka. Ten kiwnął głową. Mężczyzna ostrożnie unióś prześcieradło, jakby było pod nim coś kruchego. Bałem się nawet głośniej odetchnąć, lecz mimo to odchyliłem się na bok. Chciałem zobaczyć twarz pani Perez, przynajmniej fragment profilu.

Pamiętam, że czytałem o torturowanych, którzy chcieli zachować kontrolę nad czymś, czymkolwiek, więc usiłowali nie krzyknąć, nie krzywić się, nie okazać niczego, nie dać oprawcom żadnej satysfakcji. Coś w twarz pani Perez mi to przypomniało. Przygotowała się. Przyjęła cios tylko lekko zadrżawszy, nic więcej.

Patrzyła jeszcze chwilę. Nikt się nie odzywał. Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech. Skupiłem uwagę na panu Perezie. Wbijał wzrok w podłogę. Miał łzy w oczach. Widziałem, jak drżą mu wargi. Nie odrywając oczu od zwłok, pani Perez powiedziała:

- To nie nasz syn.

Cisza. Tego się nie spodziewałem.

- Jest pani pewna, pani Perez? - Zapytał York.

Nie odpowiedziała.

- Był nastolatkiem, kiedy widziała go pani ostatnio - ciągnął York. - O ile wiem, miał długie włosy.

- Miał.

- Ten człowiek ma ogoloną głowę. I brodę. Minęło wiele lat, pani Perez. Proszę się nie spieszyć.

Pani Perez w końcu oderwała wzrok od ciała. Spojrzała na Yorka. Ten zamilkł.

- To nie Gil - powtórzyła.

York przełknął ślinę, spojrział na ojca.

- Panie Perez?

Ten zdołał skinać głowę i odchrząknął.

- Nie jest nawet podobny. - Zamknął oczy i znów grymas wykrzywił mu twarz. - Jest

tylko...

- W zbliżonym wieku - dokończyła za niego pani Perez.

- Nie jestem pewien, czy nadażam - rzekł York.

- Kiedy traci się syna w taki sposób, człowiek zawsze się zastanawia. Dla nas on zawsze będzie nastolatkiem. Jednak gdyby żył, to owszem, byłby w takim wieku jak ten krzepki mężczyzna. Tak więc człowiek zastanawia się, jaki by był. Czy byłby żonaty? Czy miałby dzieci? Jak by wyglądał?

- I jest pani pewna, że to nie wasz syn?

Uśmiechnęła się najsmutniejszym uśmiechem, jaki w życiu widziałem.

- Tak, detektywie, jestem pewna. York kiwnął głową.

- Przykro mi, że państwa tu sprowadziłem. Zaczęli się odwracać, kiedy powiedziałem:

- Pokażcie im rękę.

Wszyscy odwrócili się do mnie. Pani Perez przeszła mnie wzrokiem. Było w nim coś dziwnego, jakieś wyrachowanie, może nawet wyzwanie. Pan Perez odezwał się pierwszy:

- Kim pan jest?

Nie odrywałem oczu od pani Perez. Uśmiech wrócił na jej wargi.

- Pan jest tym chłopcem Copelandów, tak?

- Tak, proszę pani.

- Bratem Camille Copeland?

- Tak.

- I to pan dokonał identyfikacji?

Chciałem powiedzieć im o wycinkach i pierścionku, ale miałem wrażenie, że kończy mi się czas.

- Ręka - powiedziałem. - Gil miał paskudną bliznę na ręce.

Skinęła głową.

- Jeden z naszych sąsiadów trzymał lamy. Za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Gil zawsze lubił się wspinać. Kiedy miał osiem lat, próbował wejść do zagrody. Poślizgnął się i drut wbił mu się głęboko w ramię. - Zwróciła się do męża: - Ile szwów trzeba mu było założyć, Jorge?

Jorge Perez teraz też się uśmiechnął.

- Dwadzieścia dwa.

Nie taką historię opowiedział nam Gil. Mówił, że to pamiątka po walce na noże, której

opis przypominał pojedynek z kiepskiej wersji *West Side Story*. Nie uwierzyłem mu wtedy, jako dzieciak, więc teraz wcale nie byłem zdziwiony.

- Pamiętam ją z obozu - powiedziałem. Ruchem głowy wskazałem szybę. - Popatrzcie na jego ramię.

Pan Perez pokręcił głową.

- Przecież już powiedzieliśmy...

Jego żona podniosła rękę, uciszając go. Nie było cienia wątpliwości. To ona rządzi. Kiwnęła mi głową, po czym odwróciła się do szyby.

- Pokażcie - powiedziała.

Jej mąż wyglądał na zmieszanego, ale dołączył do niej przy szybie. Tym razem to ona wzięła go za rękę. Brodacz zdążył już odtoczyć stół. York zastukał w szybę. Brodaty podniósł wzrok. York dał mu znak, żeby przytoczył stół z powrotem. Zrobił to.

Przysunąłem się do pani Perez. Poczułem zapach jej perfum. Wydawał się dziwnie znajomy, ale nie mogłem sobie przypomnieć, skąd go znam. Stałem niecałe pół metra za nimi, spoglądając zza ich pleców.

York nacisnął biały przycisk interkomu.

- Proszę pokazać im jego ramiona.

Brodaty uniósł prześcieradło, znów tym delikatnym, pełnym szacunku ruchem. Blizna była tam, paskudna. Na usta pani Perez powrócił uśmiech, ale nie potrafiłem powiedzieć, czy był smutny, radosny, zmieszany, fałszywy, sztuczny czy spontaniczny.

- Lewe - powiedziała.

- Co?

Odwróciła do mnie głowę.

- Blizna jest na lewym ramieniu. Gil miał ją na prawym. I nie była taka długa ani głęboka.

Pani Perez odwróciła się do mnie i położyła dłoń na moim ramieniu.

- To nie on, panie Copeland. Rozumiem, dlaczego tak bardzo pan chciał, żeby to był Gil. Jednak nie jest. Nie wrócił do nas. Pana siostra też nie.

6

Kiedy wróciłem do domu, Loren Muse chodziła po podjeździe tam i z powrotem jak lew przy rannej gazeli. Cara siedziała za mną na tylnym siedzeniu. Za godzinę miała lekcję tańca. Nie odwoziłem jej. Nasza niania, Estelle, już wróciła. Ona miała ją zawieźć. Płaciłem Estelle za dużo, ale nie przejmowałem się tym. Znajdziesz dobrą opiekunkę do dziecka, która w dodatku ma prawo jazdy? Zapłacisz jej, ile zażąda.

Wjechałem na podjazd. Dom miał trzy sypialnie, dwa poziomy i wygląd korytarza w kostnicy. Miał być „na początek”. Jane chciała przeprowadzić się do rezydencji, może we Franklin Lakes. Ja nie przejmowałem się tym, gdzie mieszkam. Nie interesują mnie domy ani samochody, więc praktycznie w tych sprawach zostawiałem Jane wolną rękę.

Brakuje mi mojej żony.

Po minie Loren Muse było widać, że coś ją gryzie. Nie była dobrą pokerzystką, to pewne.

- Mam wszystkie rachunki. I strony internetowe, jakie przeglądamo. Czeka nas robota. -
Potem zwróciła się do mojej córki. - Cześć, Caro.

- Loren! - Wykrzyknęła Cara.

Wyskoczyła z samochodu. Cara lubi Muse. Ta dobrze sobie radzi z dziećmi. Nigdy nie miała męża ani dzieci. Kilka tygodni temu poznałem jej aktualnego chłopaka. Facet nie dorastał jej do pięt, ale to także wydawało się normą u samotnych kobiet w pewnym wieku.

Muse i ja rozłożyliśmy wszystko na podłodze gabinetu - zeznania świadków, raporty policyjne, rejestry rozmów telefonicznych, wszystkie rachunki domu studenckiego. Zaczęliśmy od rachunków z akademika, a tych była tam tona. Za każdy telefon. Każde zamówione piwo. Każdy zakup w sieci.

- Zatem - powiedziała Muse - czego właściwie szukamy?

- Niech mnie szlag, jeśli wiem.

- Myślałam, że coś masz.

- Tylko przeczucie.

- Och, daj spokój. Nie mów mi, że wierzysz w przeczucia.

- Ależ skąd - mruknąłem.

Szukaliśmy dalej.

- Zatem właściwie szukamy w tych papierach kartki z napisem „Oto potrzebny wam dowód”?

- Szukamy katalizatora - poprawiłem ją.

- Dobrze powiedziane. Jakiego rodzaju?

- Nie wiem, Muse. Jednak odpowiedź jest tu. Niemal ją widzę.

- Cuudownieeee - odparła, z trudem powstrzymując chęć uniesienia oczu do nieba.

Tak więc szukaliśmy. Zamawiali pizzę niemal co wieczór, osiem kawałków z Pizza-To-Go, płacąc kartą kredytową. Mieli Netflix, więc mogli wypożyczać filmy na płytach DVD, dostarczane im pod drzwi po trzy naraz, a także coś, co nazywało się HotFlixxxx i pozwalało w ten sam sposób pożyczać pornosy. Zamówili sobie koszulki polo z emblematem akademika. Ten emblemat był także na pióreczkach do golfa, które kupowali tonami.

Próbowaliśmy to jakoś uporządkować. Nie mam pojęcia dlaczego.

Podniosłem rachunek za HotFlixxxx i pokazałem Muse.

- Tanio - zauważyłem.

- Internet czyni pornografię łatwo dostępną, a więc osiągalną dla mas.

- Dobrze wiedzieć.

- Może jednak coś w tym jest - zauważyła Muse.

- W czym?

- Młodzi chłopcy, gorące kobiety. W tym przypadku jedna kobieta.

- Wyjaśnij - poprosiłem.

- Chcę wynająć kogoś spoza biura.

- Kogo?

- Prywatnego detektywa, niejaką Cingle Shaker. Słyszałeś o niej?

Skinałem głową. Słyszałem.

- Źle zapytałam. Widziałeś ją?

- Nie.

- Ale słyszałeś?

- Taaak, słyszałem.

- No cóż, nie ma w tym ani trochę przesady - Cingle Shaker ma ciało, na widok którego

staje nie tylko ruch na drodze, prostują się zakręty i wygładza asfalt. Ponadto jest bardzo dobra. Jeśli ktoś może wyciągnąć coś z tych chowających się pod skrzydłami prawników studencików, to tylko Cingle.

- Dobrze - powiedziałem.

Kilka godzin później - nie wiem dokładnie ile - Muse zaczęła się zbierać.

- Tu nic nie ma, Cope.

- Na to wygląda, no nie?

- Z samego rana masz być w sądzie z Chamique?

- Tak.

Stała nade mną.

- Powinieneś się przygotować, zamiast tracić czas na to.

Zasalutowałem żartobliwie. Już pracowaliśmy z Chamique nad jej zeznaniem, ale nie tak ciężko, jak można by oczekiwać. Nie chciałem, żeby jej słowa brzmiały jak wyuczone na pamięć. Zamierzałem przyjąć inną strategię.

- Wygrzebię wszystko, co się da - obiecała Muse.

Odmaszerowała w swym najlepszym wojowniczym nastroju.

Estelle ugotowała obiad dla całej naszej trójki - spaghetti z klopsikami. Nie jest nadzwyczajną kucharką, ale dało się go zjeść. Potem w nagrodę zabrałem Carę na lody Van Dyke's. Teraz była bardziej rozmowna. W lusterku widziałem ją przypiętą pasem do fotelika. Kiedy ja byłem mały, dzieciom wolno było siedzieć na przednim siedzeniu. Teraz, żeby tam usiąść, musisz być w wieku pozwalającym na spożycie alkoholu.

Próbowałem słuchać tego, co mówiła Cara, ale paplała bez sensu, jak to dzieci. Najwidoczniej Brittany była niedobra dla Morgan, więc Kylie rzucił gumką, i dlaczego Kylie, nie Kylie G. tylko Kylie N. - ponieważ w klasie było dwóch chłopców o tym imieniu - dlaczego Kylie N. nie chciał iść na przerwie na huśtawki, jeśli Kiera tam nie pójdzie? Zerknąłem na jej ożywioną buzię, skupioną, jakby udawała dorosłą osobę. Nagle ogarnęło mnie to nieodparte uczucie. Nieoczekiwanie. Rodzicom czasem się to zdarza. Patrzysz na swoje dziecko w zupełnie zwyczajnej chwili, nie, kiedy występuje w teatrzyku czy strzela bramkę, po prostu siedzisz i patrzysz, wiedząc, że jest całym twoim życiem, a to porusza cię, przeraża i pragniesz zatrzymać czas.

Straciłem siostrę. Straciłem żonę. A niedawno straciłem ojca. Po każdym z tych trzech

nieszczęść jakoś doszedłem do siebie. Jednak patrząc na Care, widząc, jak mówi, machając rączkami i szeroko otwierając oczy, wiedziałem, że jest jeden cios, po którym nigdy bym się nie podniósł.

Pomyślałem o moim ojcu. W lasach. Z łopata. Miał złamane serce. Szukał swojej małej dziewczynki. Pomyślałem o matce. Uciekła od nas. Nie wiedziałem, gdzie jest. Czasem wciąż chciałbym ją odszukać. Jednak nieczęsto. Przez lata jej nienawidziłem. Może nadal nienawidzę. A może teraz, kiedy mam dziecko, trochę lepiej rozumiem męki, jakie musiała przechodzić.

Kiedy weszliśmy do domu, zadzwonił telefon. Estelle wzięła ode mnie Care. Podniosłem słuchawkę i powiedziałem „halo”.

- Mamy problem, Cope.

To był mój szwagier Bob, mąż Greta. Był prezesem charytatywnej fundacji JaneCare. Bob i ja założyliśmy ją po śmierci mojej żony. Zebrałem za to wiele pochwał w prasie. Żywy pomnik mojej cudownej, pięknej, łagodnej żony.

O rany, jakim musiałem być wspaniałym mężem.

- O co chodzi? - Zapytałem.

- Twoja sprawa o gwałt słono nas kosztuje. Ojciec Edwarda Jenrette'a namówił kilku swoich przyjaciół do wycofania datków.

Zamknąłem oczy.

- Super.

- Gorzej, rozpuscita pogłoski, że sprzeniewierzamy fundusze. E.J. Jenrette jest ustosunkowanym skurwysynem. Już dostaję telefony.

- Zatem ujawnijmy nasze księgi - powiedziałem. - Niczego nie znajdą.

- Nie bądź naiwny, Cope. Rywalizujemy z innymi fundacjami o każdego dolara. Nawet najłżejszy powiew skandalu nas wykończy.

- Nic nie możemy na to poradzić, Bob.

- Wiem. Tylko że... Robimy dużo dobrego, Cope.

- Wiem.

- Jednak nie jest łatwo zdobyć fundusze.

- Co proponujesz?

- Nic. - Bob zawahał się i wyczułem, że ma coś jeszcze do powiedzenia. Zaczekałem. - No, wiesz, Cope, przecież wciąż zawieracie jakieś ugody z oskarżonymi?

- Tak.

- Tolerujecie mniejsze przewiny, żeby przymknąć kogoś za coś większego.

- Kiedy musimy.

- Ci dwaj oskarżeni... Słyszałem, że to dobrzy chłopcy.

- Złe słyszałeś.

- Słuchaj, nie mówię, że nie zasłużyli na karę, ale czasem trzeba pójść na ugodę. Dla większego dobra. JaneCare czyni ogromne postępy. To może być to większe dobro. Tylko tyle chcę powiedzieć.

- Dobranoc, Bob.

- Nie gniewaj się, Cope. Ja tylko próbuję pomóc.

- Wiem. Dobranoc, Bob.

Odłożyłem słuchawkę. Trzęsły mi się ręce. Jenrette, ten skurwysyn, nie zaatakował mnie. Zaatakował pamięć mojej żony. Zacząłem wchodzić na górę. Byłem wściekły. Musiałem jakoś się uspokoić. Usiadłem za biurkiem. Stały na nim tylko dwa zdjęcia. Jedno było aktualną szkolną fotografią mojej córki. Miało swoje miejsce, na samym środku.

Drugie zdjęcie było ziarnistą fotografią moich dziadków ze starego kraju, Rosji - a raczej, jak go nazywano, kiedy umarli w gułagu, Związku Radzieckiego. Umarli, kiedy byłem bardzo mały i mieszkaliśmy jeszcze w Leningradzie, ale trochę ich pamiętałem, szczególnie grzywę białych włosów dziadka.

Często zastanawiałem się, dlaczego trzymam to zdjęcie na biurku?

Ich córka, a moja matka, porzuciła mnie, prawda? Kiedy się nad tym zastanowić, moje zachowanie było głupie. A jednak z jakiegoś powodu, choć przywoływało bolesne wspomnienia, to zdjęcie było dla mnie dziwnie ważne. Patrzyłem na nie, na moich dziadków, i rozmyślałem o kręgach na wodzie, rodzinnych klątwach i od czego to wszystko się zaczęło.

Kiedyś trzymałem tu zdjęcia Jane i Camille. Lubiałem mieć je przed oczami. To mnie pocieszało. Jednak to, że przynosiło mi pociechę, wcale nie oznaczało, iż uspokajało moją córkę. Trudno wypracować kompromis z sześciolatką. Chciałoby się rozmawiać z nią o matce. Opowiedzieć jej o Jane, o sile jej ducha, o tym, jak bardzo kochała swoją małą dziewczynkę. Chciałoby się ją pocieszyć, że mamusia jest teraz w niebie i stamtąd na nią patrzy. Jednak nie wierzę w to. Chociaż chciałbym. Chciałbym wierzyć, że jest jakieś cudowne życie pozagrobowe i gdzieś tam, w górze, moja żona, moja siostra i mój ojciec uśmiechają się, patrząc na nas. Jednak

nie mogę w to uwierzyć. I kiedy sprzedaję to mojej córce, czuję się, jakbym ją okłamywał. Mimo wszystko robię to. Teraz jest to czymś w rodzaju świętego Mikołaja lub wielkanocnego Króliczka, czymś chwilowym i kojącym, lecz w końcu, jak wszystkie dzieci, Cara odkryje, że to jeszcze jedno nie w pełni usprawiedliwione rodzicielskie kłamstwo. A może się mylę i oni wszyscy na nas patrzą? Może do takiego wniosku dojdzie pewnego dnia Cara?

O północy w końcu pozwoliłem moim myślom podążyć tam, dokąd chciały - do mojej siostry Camille, Gila Pereza i tamtego strasznego, niesamowitego lata. Wspominałem obóz. Myślałem o Camille, o tamtej nocy. I po raz pierwszy od kilku lat pozwoliłem sobie myśleć o Lucy.

Smutny uśmiech wykrzywił mi twarz. Lucy Silverstein była moją pierwszą prawdziwą dziewczyną. Ten nasz bajkowy obozowy romans rozwijał się tak dobrze, aż do tamtej nocy. Nie mieliśmy okazji zerwać ze sobą - rozdzieliły nas krwawe morderstwa. Zostaliśmy rozdzieleni, będąc jeszcze mocno zaangażowani, w chwili gdy nasza miłość - choć niby szczenięca i niedojrzała - dopiero rozwijała się i rosła.

Lucy to przeszłość. Dałem sobie ultimatum i wyrzuciłem ją z moich myśli. Jednak serce nie przyjmuje takich rozkazów. Przez lata sprawdzałem, co porabia, nieszkodliwie szukając wiadomości w Internecie, chociaż wątpię, abym kiedyś znalazł dość odwagi, żeby się z nią skontaktować. Wyszukiwarka Google nigdy nie podała mi o niej żadnych informacji. Założę się, że po tym, co się stało, Lucy rozsądnie zmieniła nazwisko. Zapewne teraz była zameżna, tak jak ja byłem żonaty. I pewnie była szczęśliwa. Taką miałem nadzieję.

Odepchnąłem od siebie te myśli. Teraz powinienem myśleć o Gilu Perezie. Zamknąłem oczy i cofnąłem się w czasie. Myślałem o nim na obozie, jak wygłupialiśmy się razem, jak dawałem mu kuksańca w ramię, a on mówił: „Zdechłaku! Nawet tego nie poczułem...”.

Teraz widziałem go, jego chudą pierś, zbyt szerokie szorty, zanim takie stały się modne, uśmiech wymagający konsultacji z ortodontą i...

Otworzyłem oczy. Coś mi nie pasowało.

Zszedłem do piwnicy. Od razu znalazłem to kartonowe pudło. Jane zawsze dokładnie opisywała pudła. Z boku zobaczyłem napis zrobiony jej idealnie równym charakterem pisma. Zastygłem. Pismo to taka cholernie osobista cecha. Wyciągnąłem rękę. Przesunąłem palcami po literach i wyobraziłem ją sobie z wielkim mazakiem, którego zakrętkę trzymała w zębach, piszącą dużymi literami: FOTOGRAFIE COPELANDÓW.

Popełniłem w życiu wiele błędów. Jednak Jane... To był ogromny przełom. Jej dobro zmieniło mnie, uczyniło pod każdym względem lepszym i silniejszym. Tak, kochałem ją, i to namiętnie, ale ponadto potrafiła wykrzesać ze mnie to co najlepsze. Byłem neurotyczny i brakowało mi pewności siebie - stypendysta w szkole, w której niewielu brało stypendia socjalne - a ta niemal doskonała istota coś we mnie dostrzegła. Jak? Jak mogłem być taki okropny i bezwartościowy, skoro pokochała mnie taka wspaniała istota?

Jane była moją opoką. A potem zachorowała. Moja opoka rozsypała się. I ja też.

Znalazłem zdjęcia z tamtego dawno zapomnianego lata. Nie było fotografii Lucy, ponieważ rozsądnie wyrzuciłem je przed laty. Lucy i ja mieliśmy też nasze ulubione piosenki - Cata Stevensa, Jamesa Taylora - kawałki syropowate do mdłości. Nie mogę ich słuchać. Nawet teraz. Pilnuję, żeby nie znalazły się na moim iPodzie. Jeśli puszczają je w radio, błyskawicznie zmieniam stację.

Przejrzałem stosik zdjęć z tamtego lata. Na większości była moja siostra. Przeglądałem je, aż znalazłem zrobione trzy dni przed jej śmiercią. Był na nim Doug Billingham, jej chłopak. Z bogatej rodziny. Oczywiście mama aprobowwała ten związek. Obóz był przedziwną mieszaniną bogatych i biednych. Przedstawiciele wyższej i niższej warstwy tworzyli w nim społeczność równą jak boisko. Tak życzył sobie hipis prowadzący obóz, lubiący się bawić ojciec Lucy, Ira.

Margot Green, również z bogatej rodziny, stała w samym środku. Jak zawsze. Była gwiazdą obozu i wiedziała o tym. Była piersiastą blondynką i wykorzystywała to. Zawsze umawiała się ze starszymi chłopakami, przynajmniej zanim zaczęła kręcić z Gilem, a dla otaczających ją zwykłych śmiertelników życie Margot było jak telewizyjny serial, melodramat oglądany przez nas z zapartym tchem. Patrząc na nią teraz, wyobraziłem ją sobie z poderżniętym gardłem. Na moment zamknąłem oczy.

Gil Perez też był na tym zdjęciu. I właśnie dlatego tu przyszedłem.

Poprawiłem biurową lampkę i przyjrzałem się uważniej.

Tam na górze coś sobie przypomniałem. Jestem praworęczny, ale żartobliwie trącałem Gila lewą ręką. Robiłem tak, żeby nie dotknąć tej okropnej blizny. To prawda, że była zablizniona, ale przerażała mnie. Obawiałem się, że może pęknąć i zacząć broczyć krwią. Dlatego lewą ręką trącałem go w prawe ramię. Zmrużyłem oczy i nachyliłem się jeszcze niżej.

Zobaczyłem dolny koniec blizny widoczny spod rękawa koszulki.

Pokój zawirował mi w oczach.

Pani Perez powiedziała, że jej syn miał bliznę na prawym ramieniu. Tylko że wtedy trącałbym go prawą ręką, żeby uderzyć w jego lewe ramię. Tymczasem nie robiłem tego. Uderzałem lewą... W jego prawe ramię.

Teraz miałem dowód.

Gil Perez miał bliznę na lewym ramieniu.

Pani Perez kłamała.

Teraz musiałem się zastanowić dlaczego.

7

Nazajutrz rano przybyłem do biura wcześniej. Za pół godziny Chamique Johnson, ofiara, zajmie miejsce na podium dla świadków. Przeglądałem notatki. Kiedy zegar wybił dziewiątą, miałem już dość. Zadzwoiłem do detektywa Yorka.

- Pani Perez kłamała - powiedziałem.

Wysłuchał moich wyjaśnień.

- Kłamała - powtórzył, kiedy skończyłem. - Nie uważa pan, że to trochę zbyt mocne stwierdzenie?

- A jak by pan to nazwał?

- Może po prostu się pomyliła?

- Pomyliła się w kwestii tego, na którym ramieniu miał bliznę jej syn?

- Jasne, czemu nie. Przecież już wiedziała, że to nie on. To naturalne.

Nie kupowałem tego.

- Macie coś nowego w tej sprawie?

- Sądzymy, że Santiago mieszkał w New Jersey.

- Znacie adres?

- Nie. Mamy jednak jego dziewczynę. A przynajmniej sądzymy, że to jego dziewczyna.

Przynajmniej przyjaciółka.

- Jak ją znaleźliście?

- Dzięki tej komórce z wyczyszczonej pamięcią. Dziewczyna zadzwoniła, szukając go.

- Zatem kim on jest? Pytam o Manola Santiaga.

- Nie wiadomo.

- Dziewczyna wam nie powiedziała?

- Znała go tylko jako Santiaga. Ach, jest jeszcze coś ważnego.

- Co?

- Jego zwłoki zostały przemieszczone. Chcę powiedzieć, że od początku byliśmy tego pewni. Teraz mamy potwierdzenie. Nasz patolog twierdzi, opierając się na krzepliwości krwi i

tym podobnych bzdurach, których kompletnie nie rozumiem i nie chcę rozumieć, że Santiago prawdopodobnie zginął godzinę przed tym, zanim porzucono jego ciało. Ma na sobie włókna z dywanika i tym podobne rzeczy. Wstępne badania wykazują, że z samochodu.

- Zatem Santiago został zamordowany, wepchnięty do bagażnika, a potem podrzucony w Washington Heights?

- Taka jest nasza robocza teoria.

- Znacie markę samochodu?

- Jeszcze nie. Jednak nasz człowiek mówi, że to jakiś stary wóz. Tylko tyle wie. Pracuje nad tym.

- Jak stary?

- Nie wiem. Nienowyy. Daj spokój, Copeland, daj odetchnąć.

- Z osobistych powodów ta sprawa bardzo mnie interesuje.

- Skoro o tym mowa...

- Tak?

- Może mógłby pan nam pomóc?

- W jakim sensie?

- W takim, że jestem zawałony robotą. Mamy tu teraz możliwe powiązanie z New Jersey, bo Santiago zapewne tam mieszkał. A przynajmniej mieszka tam jego dziewczyna. I tylko tam go widywała - w New Jersey.

- W moim okręgu?

- Nie, raczej w Hudson. Albo w Bergen. Do diabła, nie wiem. Jednak blisko. I pozwoli pan, że dodam jeszcze coś.

- Słucham.

- Pańska siostra mieszkała w New Jersey, prawda?

- Tak.

- To nie mój teren. Pan pewnie może się tym zająć, nawet jeśli zbrodnię popełniono poza pana jurysdykcją. Może pan otworzyć starą sprawę. Nikt inny nie ma na to ochoty.

Zastanowiłem się. Wiedziałem, że mnie podchodzi. Miał nadzieję, że odwałę za niego trochę roboty i zrzeknę się wszelkich zasług - co wcale mi nie przeszkadzało.

- Ta dziewczyna... Znacie jej nazwisko?

- Raya Singh.

- A adres?

- Porozmawia pan z nią?

- Ma pan coś przeciwko temu?

- Dopóki nie spieprzy mi pan sprawy, może pan robić, co pan chce. Mogę jednak dać panu dobrą radę?

- Jasne.

- Ten szaleniec, ten Letni Rzeźnik... Zapomniałem jego nazwiska...

- Wayne Steubens.

- Znał go pan, prawda?

- Czytał pan akta?

- Tak. Dokładnie pana sprawdzili, no nie?

Wciąż pamiętałem szeryfa Lowella, tę jego sceptyczną minę. Oczywiście najzupełniej zrozumiałą.

- Co chce pan powiedzieć?

- Tylko tyle: Steubens nadal chciałby podważyć werdykt.

- Nie został skazany za te pierwsze cztery morderstwa - przypomniałem. - Nie potrzebowali tego, bo mieli lepsze dowody w pozostałych sprawach.

- Wiem. Mimo to był z nimi powiązany. Jeśli ten facet to naprawdę Gil Perez i Steubens się o tym dowie, no cóż... To może mu pomóc. Wie pan, o czym mówię?

Mówił mi, żebym siedział cicho, dopóki nie będę wiedział czegoś na pewno. Zrozumiałem. Ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem, to pomóc Wayne'owi Steubensowi.

Rozłączyliśmy się. Loren Muse zajrzała do mojego gabinetu.

- Masz dla mnie coś nowego? - Zapytałem.

- Nie. Przykro mi. - Spojrzała na zegarek. - Jesteś gotowy na swój wielki występ?

- Jestem.

- No to chodź. Czas na show.



- Sąd wzywa Chamique Johnson.

Chamique była ubrana nieco konserwatywnie, ale bez przesady. Wciąż widać było ulicę. I krągłości. Kazałem jej nawet założyć szpilki. Czasem trzeba zmylić ławę przysięgłych. A czasem, tak jak teraz, wiesz, że jedyną szansą jest pokazać im cały obraz, z brodawkami i

wszystkim.

Chamique trzymała podniesioną głowę. Strzelała oczami na boki, jednak nie tak jak ten krętacz Nixon, lecz jak osoba niewiedząca, skąd spadnie następny cios. Jej makijaż był nieco zbyt mocny. To też było w porządku. Nadawał jej wygląd dziewczynki udającej dorosłą.

Niektórzy w moim biurze nie zgadzali się z wybraną przeze mnie strategią. Ja jednak uważałem, że jeśli polec, to w obronie prawdy. I teraz byłem na to gotowy.

Chamique podała swoje imię i nazwisko, złożyła przysięgę na Biblię i usiadła. Uśmiechnąłem się do niej i spojrzałem jej w oczy. Skinęła głową, dając mi znak, że bym zaczynał.

- Pracuje pani jako striptizerka, zgadza się?

To pierwsze pytanie, zadane bez żadnych wstępów, zaskoczyło widownię. Dały się słyszeć szepty. Chamique zamrugwała. Mniej więcej wiedziała, co zamierzam, ale celowo nie wyjaśniłem jej wszystkiego dokładnie.

- Dorywczo - odpowiedziała.

Nie spodobała mi się ta odpowiedź. Była zbyt ostrożna.

- Jednak rozbiera się pani dla pieniędzy, prawda?

- Taaak.

Teraz lepiej. Bez wahania.

- Rozbiera się pani w klubach czy na prywatnych przyjęciach?

- Tu i tu.

- W jakim klubie pani występuje?

- W Pink Tail. To w Newark.

- Ile ma pani lat? - Zapytałem.

- Szesnaście.

- Czy aby być striptizerką nie trzeba mieć osiemnastu?

- Trzeba.

- Jak obeszła pani ten przepis?

Chamique wzruszyła ramionami.

- Zdobyłam fałszywe dokumenty, według których mam dwadzieścia jeden.

- Zatem złamała pani prawo?

- Taak sądzę.

- Złamała pani czy nie?

W moim głosie zabrzmiała stalowa nuta. Chamique zrozumiała. Chciałem, żeby odpowiadała szczerze. Chciałem - wybaczenie skojarzenie z jej profesją - żeby całkiem się obnażyła. Ta stalowa nuta przypomniała jej o tym.

- Taaak. Złamałam prawo.

Spojrzałem na stół obrony. Mort Pubin patrzył na mnie, jakbym oszalał. Flair Hickory złączył dłonie i oparł wskazujący palec o wargi. Ich dwaj klienci, Barry Marantz i Edward Jenrette, mieli niebieskie blezery i blade twarze. Nie wyglądali na zadowolonych z siebie, aroganckich czy złych. Wyglądali na skruszonych, wystraszonych i bardzo młodych. Cynik powiedziałby, że celowo, że prawnicy powiedzieli im, jak mają siedzieć i jakie mieć miny. Wiedziałem, że to nieprawda. Po prostu nie zwracałem na to uwagi.

Uśmiechnąłem się do mojego świadka.

- Nie pani jedna, Chamique. Znaleźliśmy plik fałszywych dokumentów w akademiku pani gwałcicieli, umożliwiających im balowanie mimo młodego wieku. Pani przynajmniej złamała prawo, żeby zarabiać na życie. Mort zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw!

- Podtrzymany.

Jednak powiedziałem swoje. Jak mówi stare powiedzenie: „Co się stało, to się nie odstanie”.

- Panno Johnson - ciągnąłem - nie jest pani dziewicą, prawda?

- Nie.

- W rzeczy samej, ma pani nieślubnego syna?

- Mam.

- W jakim wieku?

- Ma piętnaście miesięcy.

- Proszę mi powiedzieć, panno Johnson, czy fakt, że nie jest pani dziewicą i ma pani nieślubnego syna, czyni panią w mniejszym stopniu ludzką istotą?

- Sprzeciw!

- Podtrzymany.

Sędzia, niejaki Arnold Pierce, spojrzał na mnie, groźnie marszcząc krzaczaste brwi.

- Ja tylko chcę zwrócić uwagę na oczywisty fakt, Wysoki Sądzie. Gdyby panna Johnson

była blondynką z bogatej rodziny ze Short Hills lub Livingston...

- Proszę zachować to na przemówienie końcowe, panie Copeland.

Taki miałem zamiar. Nie zawadziło jednak przypomnieć o tym i teraz. Znow zwróciłem się do ofiary.

- Czy lubi się pani rozbierać, panno Chamique?

- Sprzeciw! - Mort Pubin znow zerwał się z krzesła. - Nieistotne. Kogo obchodzi, czy ona lubi się rozbierać, czy nie?

Sędzia Pierce spojrzał na mnie pytająco.

- Co pan na to?

- Powiem ci coś - powiedziałem, patrząc na Pubina. - Nie będę pytał jej o striptiz, jeśli wy też nie będziecie.

Pubin zamilkł. Flair Hickory jeszcze się nie odezwał. Nie lubił zgłaszać sprzeciwów. Sędziowie nie lubią sprzeciwów. Podejrzewają, że chce się coś przed nimi ukryć. Flair pragnął być lubiany. Dlatego Mort odwał za niego czarną robotę. To była adwokacka wersja dobrego i złego gliniarza.

Odwróciłem się do Chamique.

- Nie robiła pani striptizu w tę noc, kiedy została pani zgwałcona?

- Sprzeciw!

- Kiedy podobno została pani zgwałcona - poprawiłem się.

- Nie - odpowiedziała. - Zostałam tam zaproszona.

- Została pani zaproszona na przyjęcie w akademiku, w którym mieszkają panowie Marantz i Jenrette?

- Zgadza się.

- Czy zaprosił tam panią pan Marantz lub pan Jenrette?

- Nie.

- A kto?

- Inny chłopiec, który tam mieszka.

- Jak się nazywał?

- Jerry Flynn.

- Rozumiem. Jak poznała pani pana Flynną?

- Tydzień wcześniej pracowałam w tym akademiku.

- Mówiąc, że pracowała pani w akademiku...

- Rozbierałam się tam - dokończyła Chamique.

To mi się spodobało. Rozumieliśmy się coraz lepiej.

- I pan Flynn był tam?

- Oni wszyscy tam byli.

- Mówiąc „wszyscy”... Wskazała dwóch oskarżonych.

- Oni też tam byli. I mnóstwo innych chłopców.

- Mniej więcej ilu?

- Dwudziestu, może dwudziestu pięciu.

- Dobrze, ale to pan Flynn zaprosił panią na przyjęcie tydzień później?

- Tak.

- A pani przyjęła zaproszenie?

Teraz miała łzy w oczach, ale trzymała wysoko głowę.

- Tak.

- Dlaczego postanowiła pani tam pójść?

Chamique zastanowiła się.

- To było tak, jakby się zostało zaproszonym na jacht multimilionera.

- Zrobili na pani wrażenie?

- Tak, oczywiście.

- A ich pieniądze?

- One również.

Pokochałem ją za tę odpowiedź.

- Ponadto - dodała - Jerry był dla mnie miły, kiedy się rozbierałam.

- Pan Flynn dobrze panią traktował?

- Tak.

Skinąłem głową. Teraz zapuszczałem się na niebezpieczny grunt, ale trudno.

- Przy okazji, panno Chamique, wróćmy do tej nocy, kiedy została pani wynajęta, żeby zrobić striptiz... - Czułem, że nie mogę oddychać. - Czy wykonywała pani również inne usługi na rzecz któregoś z tam obecnych?

Napotkałem jej spojrzenie. Przełknęła ślinę, ale trzymała się. Powiedziała cicho, lecz spokojnie:

- Tak.

- Czy były to usługi seksualne?

- Tak. Spuściła głowę.

- Proszę się nie wstydzić. Potrzebowała pani pieniędzy. - Wskazałem ławę oskarżonych. -

A co ich usprawiedliwia?

- Sprzeciw!

- Podtrzymany.

Jednak Mort Pubin jeszcze nie skończył.

- Wysoki Sądzie, to oburzające!

- Istotnie, oburzające - przyznałem. - Powinien pan natychmiast skarcić swoich klientów.

Mort Pubin poczerwieniał.

- Wysoki Sądzie! - Zaskomlił.

- Panie Copeland.

Uniosłem dłoń, pokazując sędziemu, że ma rację i odpuszczam. Uważam, że należy przekazać wszystkie niedobre wieści na samym początku procesu, na swój własny sposób. To wytrąca przeciwnika z równowagi.

- Czy była pani zainteresowana panem Flynnem jako ewentualnym chłopakiem?

Mort Pubin znów zainterweniował:

- Sprzeciw! Jaki to ma związek ze sprawą?

- Panie Copeland?

- Oczywiście, że ma. Obrońcy będą twierdzili, że panna Johnson wymyśliła sobie to wszystko, żeby wyciągnąć pieniądze od ich klientów. Usiłuję ustalić, jakie było nastawienie panny Johnson tamtego wieczoru.

- Zezwalam - rzekł sędzia Pierce.

Powtórzyłem pytanie. Chamique zrobiła zawstydzoną minę, która sprawiła, że wyglądała na swój wiek.

- Nawet nie śmiałam marzyć o takim chłopaku jak Jeny.

- Jednak?

- Jednak, no cóż... Sama nie wiem. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak on.

Przytrzymał mi drzwi. Był taki miły. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

- I jest bogaty. Chcę powiedzieć, w porównaniu z panią.

- Tak.

- Czy to miało dla pani jakieś znaczenie?

- Pewnie.

Uwielbiałem jej szczerość.

Chamique zerknęła na ławę przysięgłych. Znow miała wyzywającą minę.

- Ja też mam marzenia.

Pozwoliłem, by jej słowa zapadły wszystkim w pamięć, zanim zadałem następne pytanie.

- A o czym marzyła pani tamtego wieczoru, panno Chamique?

Mort już miał znow zgłosić sprzeciw, lecz Flair Hickory położył dłoń na jego ramieniu.

Chamique wzruszyła ramionami.

- To było głupie.

- Mimo to proszę odpowiedzieć.

- Myślałam, że może... To było głupie... Myślałam, że może mnie lubi, rozumie pan?

- Rozumiem - odparłem. - Jak dostała się pani na przyjęcie?

- Pojechałam autobusem z Irvington, a potem pieszo.

- I kiedy dotarła pani do akademika, pan Flynn tam był?

- Tak.

- Czy nadal był miły?

- Z początku tak. - Teraz uroniła łzę. - Był naprawdę miły. To było...

Umilkła.

- To było co, Chamique?

- Z początku... - Następna łza spłynęła po jej policzku. - Z początku był to najmiłszy wieczór w moim życiu.

Pozwoliłem tym słowom odbić się echem. Uroniła trzecią łzę.

- Dobrze się pani czuje? - Zapytałem. Chamique otarła łzy.

- Nic mi nie jest.

- Na pewno?

- Proszę zadać następne pytanie, panie Copeland - po wiedziała znow stanowczym głosem.

Była cudowna. Sędziowie przysięgli patrzyli na nią, słuchając każdego jej słowa - i jak sądzę, wierząc jej.

- Czy potem zachowanie pana Flynna wobec pani uległo zmianie?

- Tak.

- Kiedy?

- Widziałam, jak coś szeptali z tamtym. Wskazała Edwarda Jenrette'a.

- Z panem Jenrette'em?

- Tak. Z nim.

Jenrette usiłował się nie kulić pod jej spojrzeniem. Nie całkiem mu się to udało.

- Zobaczyła pani, jak pan Jenrette szeptał coś do pana Flynna?

- Tak.

- I co zdarzyło się potem?

- Jerry zapytał mnie, czy nie chcę się przejść.

- Mówiąc Jerry, ma pani na myśli pana Flynna?

- Tak.

- Dobrze, proszę opowiedzieć nam, co się stało.

- Wyszliśmy na zewnątrz. Mieli tam beczułkę piwa. Zapytał, czy chcę się napić.

Powiedziałam, że nie. Wyglądał na zdenerwowanego.

Mort Pubin wstał.

- Sprzeciw.

Ze zniechęconą miną rozłożyłem ręce.

- Wysoki Sądzie.

- Zezwalam - rzekł sędzia.

- Proszę dalej - powiedziałem.

- Jerry nalał sobie kufel piwa i wciąż na nie patrzył.

- Patrzył na swoje piwo?

- Tak, chyba tak. Już nie patrzył na mnie. Coś się zmieniło i zapytałam go, czy wszystko w porządku. Powiedział, że tak, jest wspaniale. A potem... - Głos nie uwiązł jej w gardle, ale niewiele brakowało. - Potem powiedział, że mam świetne ciało i chciałby zobaczyć, jak się rozbieram.

- Czy to panią zaskoczyło?

- Tak. Chcę powiedzieć, że przedtem tak nie mówił. Powiedział to takim nieprzyjemnym tonem. - Przełknęła ślinę. - Jak wszyscy inni.

- Proszę dalej.
- Zapytał, czy chcę pójść na górę i zobaczyć jego pokój?
- I co pani odpowiedziała?
- Zgodziłam się.
- Czy chciała pani pójść do jego pokoju?

Chamique zamknęła oczy. Uroniła następną łzę. Pokręciła głową.

- Musi pani powiedzieć to głośno.
- Nie - odparła.
- Zatem dlaczego pani poszła?
- Chciałam, żeby mnie lubił.
- I myślała pani, że będzie panią lubił, jeśli pójdzie z nim pani na górę?
- Wiedziałam, że nie będzie, jeśli odmówię - odpowiedziała cicho.

Odwróciłem się i podszedłem do mojego stolika. Udałem, że zaglądam do notatek. Chciałem, żeby sędziowie przysięgli dobrze to sobie przetrawili. Chamique siedziała wyprostowana. Miała podniesioną głowę. Usiłowała niczego po sobie nie okazywać, ale czułem emanujący z niej ból.

- Co się stało, kiedy poszła pani na górę?
- Kiedy mijalam jakieś drzwi... - Znow spójrzała na Jenrette'a. - Wtedy on mnie złapał. Znow kazałem jej wskazać Edwarda Jenrette'a i zidentyfikować go po nazwisku.
- Czy w pokoju był ktoś jeszcze?
- Tak. On.

Wskazała Barry'ego Marantza. Zauważyłem dwie rodziny siedzące za plecami obrońców. Twarze rodziców miały ten pośmiertny wygląd: skóra wyglądająca jak naciągnięta, wystające kości policzkowe, oczy matowe i zapadnięte. Byli strażnikami, przybyłymi tu, by chronić swe dzieci. Byli zdruzgotani. Współczułem im. Niestety, Edward Jenrette i Barry Marantz mieli rodziny, które ich broniły.

Chamique Johnson nie miała nikogo.

Mimo to częściowo byłem w stanie ich zrozumieć. Zaczynasz pić, tracisz kontrolę, zapominasz o konsekwencjach. Może nigdy więcej by tego nie zrobili. Może naprawdę dostali nauzkę. Niestety.

Są ludzie źli do szpiku kości, którzy zawsze będą okrutni, źli i gotowi krzywdzić innych.

Oraz inni, być może większość tych, którzy przewijali się przez moje biuro, a którzy po prostu zblądzi. Rozróżnianie ich nie należy do mnie. Pozostawiam to sędziemu, który wydaje wyrok.

- W porządku - powiedziałem. - Co było dalej?

- Zamknął drzwi.

- Kto? Wskazała Marantza.

- Panno Chamique, żeby to uprościć, może pani nazywać go panem Marantzem, a tego drugiego panem Jenrette'em?

Skinęła głową.

- Zatem pan Marantz zamknął drzwi. I co się stało potem?

- Pan Jenrette kazał mi uklęknąć.

- Gdzie był wtedy pan Flynn?

- Nie wiem.

- Nie wie pani? - Udałem zdziwienie. - Czy nie poszedł z panią na górę?

- Poszedł.

- Czy nie stał obok pani, kiedy złapał panią pan Jenrette?

- Tak.

- A potem?

- Nie wiem. Nie wszedł do pokoju. Został za drzwiami.

- Czy zobaczyła go pani jeszcze?

- Dopiero później.

Nabrałem tchu i rzuciłem się na głębokie wody. Zapytałem Chamique, co było dalej. Wypytałem ją o napaść. Opisała wszystko dokładnie. Mówiła beznamietnie, zupełnie spokojnie. Było sporo do omówienia: co mówili, jak się śmiali, co z nią robili. Potrzebowałem szczegółów. Nie sądzę, żeby ława chciała je usłyszeć. Rozumiałem ich. Jednak musiałem wypytać Chamique o wszystkie szczegóły, ustalić każdą pozycję, kto gdzie był i co robił.

To było przygnębiające.

Kiedy skończyliśmy omawiać napaść, odczekałem kilka sekund i przeszedłem do najtrudniejszej kwestii.

- W swoim zeznaniu twierdziła pani, że napastnicy używali imion Cal i Jim.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

Flair Hickory odezwał się po raz pierwszy. Mówił spokojnym głosem, takim, który

zwraca uwagę wszystkich obecnych.

- Nie twierdziła, że używali imion Cal i Jim - powiedział. - Twierdziła, zarówno odpowiadając na pytania oskarżyciela, jak i w swoich wcześniejszych zeznaniach, że to byli Cal i Jim.

- Inaczej sformułuję pytanie - odezwałem się ze znużeniem, jakbym mówił sędziemu: nie do wiary, jak ten facet się czepia! Znów zwróciłem się do Chamique: - Który z nich był Calem, a który Jimem?

Chamique wskazała Barry'ego Marantza jako Calą, a Edwarda Jenrette'a jako Jima.

- Czy przedstawili się? - Spytałem.

- Nie.

- Skąd więc zna pani ich imiona?

- Tak się zwracali do siebie.

- Wróćmy do pani zeznania. Na przykład pan Marantz powiedział: „Nachyl ją, Jim”. Tak?

- Tak.

- Czy jest pani świadoma, że żaden z oskarżonych nie ma na imię Cal ani Jim?

- Tak - odparła.

- Może pani to wyjaśnić?

- Nie. Powtarzam tylko, co mówili.

Żadnego wahania ani prób usprawiedliwiania się - dobra odpowiedź. Zostawiłem tę kwestię.

- Co się stało po tym, jak panią zgwałcili?

- Kazali mi się umyć.

- Jak?

- Wepchnęli mnie pod prysznic. Umyli mydłem. Prysznic miał rączkę na przewodzie.

Kazali mi się wyszorować.

- A potem?

- Zabrali moje ubranie i powiedzieli, że je spalą. Potem dali mi bawełnianą koszulkę i szorty.

- Co było potem?

- Jerry zaprowadził mnie na przystanek autobusowy.

- Czy pan Flynn powiedział coś pani po drodze?

- Nie.

- Ani słowa?

- Ani słowa.

- Czy pani coś mu powiedziała?

- Nie.

Znów zrobiłem zdziwioną minę.

- Nie powiedziała mu pani, że została zgwałcona?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Sądzi pan, że o tym nie wiedział?

Ten temat też zostawiłem. Chciałem zmienić bieg.

- Czy zatrudniła pani adwokata, Chamique?

- Tak jakby.

- Co ma znaczyć „tak jakby”?

- Właściwie go nie zatrudniałam. Sam mnie znalazł.

- Jak się nazywa?

- Horace Foley. Nie ubiera się tak ładnie jak obecny tu pan Hickory.

Słyszając to, Flair się uśmiechnął.

- Zaskarży pani podsądnych?

- Tak.

- Dlaczego chce ich pani zaskarżyć?

- Żeby zapłacili.

- Czy nie o to tutaj chodzi? - Zapytałem. - Czy nie chcemy ich ukarać?

- Owszem. Jednak zamierzam domagać się odszkodowania.

Zrobiłem taką minę, jakbym tego nie rozumiał.

- Tylko że obrona będzie twierdzić, że zmyśliła pani to wszystko, żeby wyłudzić pieniądze. Powiedzą, że żądanie odszkodowania dowodzi, iż interesują panią pieniądze.

- Interesują mnie pieniądze - odparła Chamique. - Czy powiedziałam kiedyś, że nie?

Czekałem.

- A pana nie interesują pieniądze, panie Copeland?

- Owszem - odparłem.

- I co?

- To, że obrona będzie twierdzić, że to motyw, by kłamać.

- Nic na to nie poradzę. Widzi pan, gdybym powiedziała, że nie dbam o pieniądze, to byłoby kłamstwo. - Spojrzała na ławę przysięgłych. - Gdybym siedziała tu i mówiła, że pieniądze nic dla mnie nie znaczą, uwierzylibyście? Oczywiście, że nie. Tak samo jak ja, gdybyście wy mi to powiedzieli. Interesowały mnie pieniądze, zanim mnie zgwałcili. I interesują nadal. Nie kłamię. Zgwałcili mnie. Chcę, żeby poszli za to do więzienia. A jeśli mogę otrzymać od nich również odszkodowanie, to czemu nie? Przyda mi się.

Odszedłem od barierki. Szczerość - prawdziwa szczerość - pachnie jak nic innego.

- Nie mam więcej pytań - powiedziałem.

8

Sędzia ogłosił przerwę na lunch.

To pora, kiedy zwykle omawiam strategię z moimi podwładnymi. Teraz jednak tego nie robiłem. Chciałem być sam. Zamierzałem odtworzyć w myślach przebieg przesłuchania, sprawdzić, co przeoczyłem, przewidzieć, co zrobi Flair.

Zamówiłem cheeseburgera oraz piwo u kelnerki wyglądającej, jakby ubiegała się o rolę w reklamie czegoś na wynos. Mówiła do mnie „złociutki”. Uwielbiam, kiedy kelnerki tak do mnie mówią.

Proces sądowy to dwóch narratorów rywalizujących o uwagę widzów. Trzeba przedstawić protagonistę jako człowieka z krwi i kości. Adwokaci często o tym zapominają. Myślą, że powinni ukazać swoich klientów jako czystych i doskonałych. A ci tacy nie są. Dlatego nigdy nie próbowałem zwieść ławy przysięgłych. Ludzie są dobrymi sędziami charakterów. I prędzej uwierzą ci, jeśli pokażesz im swoje słabe strony. Tak to przynajmniej wygląda z mojego punktu widzenia - oskarżyciela. Jako obrońca, starasz się zmać wodę. Jak jasno stwierdził Flair Hickory, chcesz obudzić tę piękną kochankę zwaną uzasadnioną wątpliwością. Ja wprost przeciwnie. Chciałem wyjaśnić sytuację.

Kelnerka znów się zjawiała.

- Masz, złociutki - powiedziała, stawiając przede mną burgera.

Był tak tłusty, że o mało nie poprosiłem o angiogram na deser. Jednak prawdę mówiąc, właśnie o takim lunchu marzyłem. Wziąłem cheeseburgera w obie dłonie i poczułem, jak moje palce zagłębiają się w bułkę.

- Panie Copeland?

Nie znałem stojącego nade mną młodzieńca.

- Pan wybaczy - powiedziałem. - Próbuję coś zjeść.

- To dla pana.

Rzucił na stół kartkę i odszedł. Była wydarta z notatnika i złożona we czworo. Rozwinałem ją.

Proszę, spotkajmy się przy ostatnim stoliku po prawej.

E.J. Jenrette

Ojciec Edwarda. Spojrzałem na mojego ukochanego burgera. On spojrzał na mnie. Nienawidzę zimnego lub odgrzewanego jedzenia. Zjadłem go. Byłem głodny. Starłem się odgryzać małe kawałki. Piwo było cholernie dobre.

Kiedy skończyłem, wstałem i poszedłem do ostatniego stolika po prawej. E.J. Jenrette był tam. Na stoliku przed nim stała szklaneczka z czymś, co wyglądało na szkocką. Obejmował dłońmi szkło, jakby próbował je ochronić. Wbijał oczy w trunek.

Nie oderwał ich, gdy usiadłem przy stoliku. Jeśli zeżliło go moje spóźnienie - do licha, jeśli w ogóle je zauważył - dobrze to ukrywał.

- Chciał się pan ze mną widzieć? - Zapytałem.

E.J. skinął głową. Był postawny, typ byłego sportowca, noszącego szyte na miarę koszule, w których i tak wyglądał, jakby kołnierzyk pił go w szyję. Czekałem.

- Ma pan dziecko - powiedział.

Czekałem, co jeszcze powie.

- Co by pan zrobił, żeby je ochronić?

- Po pierwsze, nigdy nie puściłbym mojego dziecka na przyjęcie do akademika pańskiego syna.

Podniósł głowę.

- To nie jest śmieszne.

- Skończyliśmy?

Pociągnął długi łyk.

- Dam tej dziewczynie sto tysięcy dolarów. I sto tysięcy na fundusz dobroczynny pańskiej żony.

- Wspaniale. Chce pan teraz wypisać czeki?

- Wycofa pan zarzuty?

- Nie.

Napotkał moje spojrzenie.

- To mój syn. Naprawdę chce pan, żeby spędził dziesięć następnych lat w więzieniu?

- Tak. Jednak to sędzia wyda wyrok.

- To tylko dzieciak. W najgorszym razie poniosło go.

- Ma pan córkę, prawda, panie Jenrette?

Znów zapatrzył się w drinka.

- Gdyby dwóch czarnych chłopaków z Irvington złapało ją, zaciągnęło do pokoju i robiło z nią takie rzeczy, chciałby pan zatuszować sprawę?

- Moja córka nie jest striptizerką.

- Nie, proszę pana, nie jest. Ma wszystko. Wszystko co możliwe. Po co miałyby robić striptiz?

- Niech pan coś dla mnie zrobi i nie wciska mi tych socjoekonomicznych bzdur. Chce pan powiedzieć, że ponieważ jest uboga, nie miała innego wyjścia jak kurewstwo? Proszę. To obraża wszystkich ubogich, którzy własną pracą wyrwali się z getta.

Uniosłem brwi.

- Getta?

Nic nie powiedział.

- Mieszka pan w Short Hills, prawda, panie Jenrette?

- I co z tego?

- Niech mi pan powie, ile pańskich sąsiadek wybrało zawód striptizerki albo, posługując się pańskim określeniem, kurewstwo?

- Nie wiem.

- Co Chamique Johnson robi czy nie robi, nie ma absolutnie żadnego związku ze zgwałceniem jej. Nie będziemy tak stawiali sprawy. Pana syn nie będzie decydował, kto zasługuje na to, żeby go zgwałcić, a kto nie. Jednak tak czy inaczej, Chamique Johnson rozbiera się, ponieważ miała ograniczone możliwości. W przeciwieństwie do pańskiej córki. - Pokręciłem głową. - Pan naprawdę nie rozumie.

- Nie rozumiem czego?

- Faktu, że nawet jeśli musiała się rozbierać i sprzedawać, który nie czyni Edwarda mniej winnym. Jeśli już, to bardziej.

- Mój syn jej nie zgwałcił.

- O tym zadecyduje sąd - przypomniałem. - Skończyliśmy?

W końcu podniósł głowę.

- Mogę uprzykrzyć panu życie.

- Wygląda na to, że już pan próbuje.

- Wycofanie datku? - Wzruszył ramionami. - To nic. Pokaz siły.

Napotkał moje spojrzenie i wytrzymał je. To zaszło za daleko.

- Do widzenia, panie Jenrette.

Wyciągnął rękę i złapał mnie za przegub.

- Oni odejdą wolni.

- Zobaczymy.

- Dziś zdobył pan trochę punktów, ale ta kurwa jeszcze będzie przesłuchiwana. Nie zdoła pan wytłumaczyć, dlaczego podała niewłaściwe imiona. To pana załatwi. Zobaczy pan. Lepiej niech mnie pan posłucha.

Czekałem.

- Mój syn i chłopak Marantzów przyznają się, jakiegokolwiek postawi im pan zarzuty, jeśli tylko nie zażąda pan kary więzienia. Mogą pracować społecznie. Mogą być pod nadzorem sądowym, jak długo pan zechce. W porządku. Ponadto pomogę finansowo tej ubogiej dziewczynie i dopilnuję, żeby JaneCare otrzymała odpowiednie fundusze. To dobra wymiana.

- Nie - powiedziałem.

- Naprawdę sądzi pan, że ci chłopcy znów zrobiliby coś takiego?

- Mam być szczerzy? Pewnie nie.

- Myślałem, że więzienie ma wychowywać.

- Tak, ale ja nie znam się na wychowywaniu. Znam się na sprawiedliwości.

- I uważa pan, że posłanie mojego syna do więzienia byłoby sprawiedliwe?

- Tak. Jednak, jak powiedziałem, od tego mamy sądy i sędziów.

- Czy popełnił pan kiedyś błąd, panie Copeland?

Nie odpowiedziałem.

- Zamierzam to sprawdzić. Będę kopał, aż odkryję każdy błąd, jaki pan kiedykolwiek popełnił. I wykorzystam to. Ma pan swoje tajemnice, panie Copeland. Obaj o tym wiemy. Jeśli nadal będzie pan prowadził to polowanie na czarownice, wyciągnę je na światło dzienne. - Zdawał się odzyskiwać pewność siebie. To mi się nie podobało. - W najgorszym wypadku mój syn popełnił błąd. Próbuje znaleźć sposób naprawienia tego, co zrobił, nie rujnując mu życia. Jest pan w stanie to zrozumieć?

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Wciąż trzymał mnie za rękę.

- Ostatnie ostrzeżenie, panie Copeland. Zrobię wszystko, żeby ochronić moje dziecko.

Popatrzyłem na E.J. Jenrette'a i zrobiłem coś, co go zaskoczyło. Uśmiechnąłem się.

- Co? - Warknął.

- To miłe - powiedziałem.

- Co takiego?

- To, że pana syn ma tylu ludzi, którzy są gotowi o niego walczyć. Również w sądzie.

Edward ma po swojej stronie tylu ludzi.

- Jest lubiany.

- Miłe - powtórzyłem, oswabadzając się z jego uścisku. - Jednak patrząc na tych wszystkich ludzi siedzących za plecami pańskiego syna, wie pan, co mimo woli zauważyłem?

- Co?

- Za Chamique Johnson nikt nie siedzi.



- Chciałabym przeczytać grupie fragment dziennika - powiedziała Lucy Gold.

Lubiła, kiedy studenci otaczali ją kołem. Ona stała w środku. Pewnie, to było trochę sztuczne, kiedy tak przechadzała się w „kręgu uczniów” niczym zapaśnik po ringu, ale przekonała się, że to działa. Kiedy sadzasz studentów w kręgu, choćby nie wiem jak dużym, każdy z nich jest w pierwszym rzędzie. Nie mogą się ukryć.

Lonnie był na sali. Lucy zastanawiała się, czy nie poprosić go o odczytanie tej pracy, żeby lepiej przyjrzeć się twarzom słuchaczy, ale narratorem była kobieta. Nie brzmiałoby to dobrze. Ponadto ktokolwiek to napisał, wiedział, że Lucy będzie wypatrywała reakcji. Musiał wiedzieć. Próbował zamieszać jej w głowie. Dlatego Lucy zdecydowała, że sama przeczyta tę pracę, a Lonnie będzie patrzył na reakcje. Oczywiście Lucy też będzie przyglądała się słuchaczom, robiąc przerwy podczas czytania, mając nadzieję, że coś zauważy.

Sylvia Potter, lizuska, siedziała naprzeciwko niej. Miała splecione dłonie i szeroko otwarte oczy. Lucy napotkała jej spojrzenie i uśmiechnęła się do niej. Sylvia się rozpromieniła. Obok niej siedział Alvin Renfro, patentowany leń. Siedział tak jak większość studentów, jakby nie miał w ciele ani jednej kości i zaraz miał zsunąć się z krzesła, aby zmienić się w kałużę na podłodze.

- *To się zdarzyło, kiedy miałam siedemnaście lat - przeczytała Lucy. - Byłam na letnim obozie. Pracowałam jako PW, czyli pomocnik wychowawcy...*

Czytając o wydarzeniu w lasach, o narratorkę i jej chłopcu, P., o pocałunku pod drzewem i krzykach w lesie, przechadzała się w kręgu. Czytała tę pracę co najmniej tuzin razy, ale teraz, czytając ją na głos innym, czuła ściskanie w gardle. Nogi miała jak z waty. Zerknęła na Lonniego. On też usłyszał coś w jej głosie, gdyż patrzył na nią. Posłała mu spojrzenie mówiące: „Powinieneś patrzeć na nich, nie na mnie”. Szybko odwrócił wzrok.

Kiedy skończyła, poprosiła o komentarze. Ta prośba niemal zawsze spotykała się z taką samą reakcją. Studenci wiedzieli, że autor pracy jest wśród nich, w tym samym pomieszczeniu, lecz ponieważ jedynym sposobem podbudowania swojego ego jest niszczenie innych, wściekle atakowali pracę. Zgłaszali się, podnosząc ręce i zawsze rozpoczynając od zdania typu: „Nie wiem, czy tylko ja...” albo „Może się mylę, ale...”, a potem zaczęli na całego:

- Kiepski styl...

- Nie wyczuwam jej uczucia do P., a wy?

- Dłoń pod bluzką? Darujcie...

- Naprawdę uważam, że to grafomania...

- Narratorka pisze: *Wciąż się całowaliśmy. Tak namiętnie*. Niech nie mówi, że to było namiętne. Niech to udowodni...

Lucy ich mitygowała. To było najważniejsze zadanie nauczania. Trudno dotrzeć do studentów. Często wracała myślami do swoich studiów, do godzin ogłupiających wykładów, z których nie wyniosła zupełnie nic. To, czego naprawdę się nauczyła, co wyniosła, zapamiętała i wykorzystywała teraz, to krótkie komentarze wygłaszane przez nauczyciela podczas dyskusji. W nauczaniu liczy się jakość, nie ilość. Jeśli za dużo mówisz, stajesz się rzępołą - irytującym grajkiem w tle. Jeśli mówisz niewiele, może osiągniesz cel.

Ponadto nauczyciele lubią skupiać uwagę. To również może być niebezpieczne. Jeden z jej pierwszych nauczycieli dał jej w tej kwestii dobrą i prostą radę: tu wcale nie chodzi o ciebie. Starła się zawsze o tym pamiętać. Z drugiej strony, studenci nie chcieli, żeby nauczyciel okazywał swoją wyższość. Tak więc ilekroć opowiadała jakąś anegdotkę, starała się przytaczać jakiś swój błąd - a tych było wiele - i wyjaśniać, mimo to wszystko dobrze się kończyło.

Innym problemem było to, że studenci nie mówili tego, w co naprawdę wierzyli, lecz to, czym chcieli zrobić wrażenie. Oczywiście była to także reguła na radach pedagogicznych - dobre brzmienie było ważniejsze od prawdy.

Teraz jednak Lucy była bardziej skupiona niż zwykle. Chciała zobaczyć ich reakcje.

Chciała, aby autor lub autorka ujawniła się. Dlatego naciskała.

- To miały być wspomnienia - powiedziała. - Czy ktoś uważa, że to zdarzyło się naprawdę?

To uciszyło salę. Na zajęciach obowiązywały pewne niepisane prawa. Teraz Lucy praktycznie rzuciła wyzwanie autorce, zarzucając jej kłamstwo. Wycofała się.

- Chciałam powiedzieć, że to brzmi jak fikcja literacka. Zazwyczaj jest to dobre, ale czy w tym przypadku nie utrudnia odbioru? Czy nie zaczynacie kwestionować prawdziwości autorki?

Dyskusja była ożywiona. Uniosło się w górę wiele rąk. Studenci spierali się. To był sukces. Prawdę mówiąc, jeden z jej nielicznych. Jednak kochała te dzieciaki. Co semestr zakochiwała się na nowo. Byli jej rodziną od września przez listopad i styczeń aż do maja. Potem ją opuszczali. Niektórzy wracali. Nieliczni. Zawsze cieszyła się, widząc ich znowu. Jednak już nie byli jej rodziną. Tylko obecni studenci mieli ten status. Przedziwne.

W pewnej chwili Lonnie opuścił salę. Lucy zastanawiała się, dokąd poszedł, ale skupiła się na zajęciach. Czasem kończyły się o wiele za szybko. To był jeden z takich dni. Kiedy czas minął i studenci zaczęli pakować plecaki, nadal nie miała pojęcia, kto przysłał jej ten anonimowy tekst.

- Nie zapomnijcie, jeszcze dwie strony. Chcę je mieć jutro. - A potem dodała: Hmmm, jeśli chcecie, możecie przysłać więcej niż dwie strony. Ile chcecie.

Dziesięć minut później weszła do swojego gabinetu. Lonnie już tam był.

- Wczytałaś coś z ich twarzy? - Spytała.

- Nie.

Lucy zaczęła się pakować, wpychając papiery do torby od laptopa.

- Dokąd idziesz? - Spytał Lonnie.

- Mam spotkanie.

Ton jej głosu zniechęcał do dalszych pytań. Lucy chodziła na te „spotkania” raz w tygodniu, ale nikomu się z tego nie zwierzała. Nawet Lonniemu.

- Och - mruknął.

Wpatrywał się w podłogę. Przystanąła.

- O co chodzi, Lonnie?

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć, kto przysłał tę pracę? No wiesz, cała ta historia

pachnie nadużyciem zaufania.

- Muszę to wiedzieć.
- Dlaczego?
- Nie mogę ci powiedzieć. Kiwnął głową.
- No to w porządku.
- Co w porządku?
- Kiedy wrócisz?
- Za godzinę, może dwie. Lonnie zerknął na zegarek.
- Do tej pory powinienem już wiedzieć, kto to przysłał.

9

Sąd odroczył wstępną rozprawę do następnego dnia.

Byli tacy, którzy twierdziliby, że taka przerwa ma znaczenie dla sprawy, że sędziowie przez całą noc pozostaną pod wpływem moich słów, co utrwali... Ple, ple, ple. Tego rodzaju spekulacje są bzdurne. Każda rozprawa ma swój cykl życiowy. Jeśli ta przerwa przyniesie mi jakąś korzyść, zrównoważy ją fakt, że teraz Flair Hickory będzie miał więcej czasu na przygotowanie krzyżowego ognia pytań. Tak już jest z wstępnymi rozprawami. Można temu zaprzeczać, ale szanse obu stron są wyrównane.

Zadzwoiłem z komórki do Loren Muse.

- Masz już coś?

- Wciąż nad tym pracuję.

Rozłączyłem się i stwierdziłem, że mam wiadomość od detektywa Yorka. Nie wiedziałem, co zrobić z panią Perez, która skłamała, mówiąc o bliźnie na ramieniu Gila. Gdybym otwarcie zarzucił jej kłamstwo, pewnie powiedziałyby, że się pomyliła. I że przecież nikomu nie stała się krzywda.

Tylko dlaczego skłamała?

Czy istotnie powiedziała to, co uważała za prawdę - że to nie są zwłoki jej syna? Może państwo Perezowie popełnili tylko przykrą (lecz zrozumiałą) pomyłkę, nie przyjmując do wiadomości tego, co widzieli na własne oczy, nie mogąc pogodzić się z myślą, że ich Gil przez cały ten czas był żywy?

Czy po prostu kłamali?

A jeśli tak, to dlaczego?

Przed konfrontacją z nimi musiałem zebrać więcej faktów. Potrzebny mi był niezbity dowód na to, że spoczywające w kostnicy ciało Manola Santiaga w rzeczywistości należy do Gila Pereza, młodego człowieka, który prawie dwadzieścia lat temu znikł w lasach z moją siostrą, Margot Green i Dougiem Billinghamem.

Wiadomość od Yorka brzmiała następująco: „Przepraszam, że trwało to tak długo. Pytał

Pan o Rayę Singh, dziewczynę ofiary. Może Pan wierzyć lub nie, ale mamy tylko numer jej komórki. W każdym razie, zadzwoniła do nas. Pracuje w hinduskiej restauracji przy drodze numer 3, w pobliżu tunelu Lincolna". Podał mi nazwę i adres. „Powinna tam być cały dzień. A jeśli dowie się Pan czegoś o prawdziwym nazwisku Santiaga, proszę dać mi znać. O ile nam wiadomo, używał tego przybranego nazwiska przez długi czas. Znaleźliśmy dowody na to, że przed sześcioma laty przebywał w Los Angeles. Nic szczególnego. Porozmawiamy o tym później".

Zastanawiałem się, co to oznacza. Niewiele. Poszedłem do samochodu i gdy tylko zacząłem wsiadać, wyczułem, że coś jest bardzo nie w porządku.

Na fotelu kierowcy leżała brązowa koperta.

Wiedziałem, że nie jest moja. Wiedziałem, że ja jej tu nie zostawiłem. I byłem pewien, że zamknąłem samochód.

Ktoś się do niego włamał.

Pochyliłem się i podniosłem kopertę. Nie było na niej adresu ani znaczka. Ani żadnego napisu. Była cienka. Usiadłem za kierownicą i zamknąłem drzwi. Koperta była zaklejona. Rozerwałem ją wskazującym palcem. Sięgnąłem do środka i wyjąłem zawartość.

Krew zlodowaciała mi w żyłach, gdy zobaczyłem, co w niej jest.

Fotografia mojego ojca.

Sięgnąłem brwi. Co u...?

Na samym spodzie, wyraźnie wydrukowane na białym tle, widniało jego nazwisko i rok. „Władimir Copeland". To wszystko.

Nie pojmowałem.

Przez moment siedziałem nieruchomo. Patrzyłem na zdjęcie mojego kochanego ojca. Myślałem o tym, że w Leningradzie był młodym lekarzem, o tym, ile mu odebrano, o tym, że jego życie było niekończącą się serią tragedii i rozczarowań. Wspominałem jego kłótnie z matką. Oboje byli zranieni, a nie mieli nikogo, kogo mogliby atakować, prócz siebie. Wspominałem, jak matka płakała w samotności. Pamiętałem, jak w niektóre z tych nocy siedzieliśmy razem z Camille. My nigdy się nie kłóciliśmy - dziwne, jak na brata i siostrę - bo może widzieliśmy zbyt wiele kłótni. Czasem brała mnie za rękę lub proponowała, żebyśmy poszli na spacer. Jednak najczęściej szliśmy do jej pokoju i Camille puszczała jeden ze swoich ulubionych cukierkowatych przebojów, a potem mówiła mi, dlaczego go lubi, jakby ten kawałek miał jakieś

ukryte znaczenia, albo opowiadała o jakimś koledze ze szkoły, który jej się podoba. Ja siedziałem, słuchałem i byłem dziwnie zadowolony.

Nie pojmowałem tego. Dlaczego ta fotografia...?

W kopercie było jeszcze coś.

Odwróciłem ją do góry dnem. Nic. Wepchnąłem dłoń do końca. Namacałem kartonik wielkości zakładki. Wyjąłem go. Taaak, to była zakładka. Biała w czerwone linie. Ta strona - poliniowana - była pusta. Jednak na drugiej - białej - ktoś drukowanymi literami napisał trzy słowa:

TO PIERWSZY SZKIELET



- Wiesz, kto przysłał ten dziennik? - Zapytała Lucy.

- Jeszcze nie - odparł Lonnie. - Jednak się dowiem.

- W jaki sposób?

Lonnie spuścił głowę. Gdzieś znikł pewny siebie lekkoduch. Lucy miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie podobało mu się to, do czego go zmusiła. Jej również się to nie podobało. Jednak nie miała innego wyjścia. Tak bardzo starała się ukryć przeszłość. Zmieniła nazwisko. Nie pozwoliła, by Paul ją odnalazł. Przefarbowała naturalnie jasne włosy - ludzie, ile kobiet w jej wieku ma jeszcze blond włosy? - Na ten okropny kasztanowaty kolor.

- Dobrze - powiedziała. - Będziesz tu, kiedy wrócę?

Kiwnął głową. Lucy zeszła po schodach do samochodu. W telewizji zmiana tożsamości wydaje się taka łatwa. Może jest, ale nie dla Lucy. Dla niej był to powolny proces. Zaczęła go od zmiany nazwiska z Silverstein na Gold. Srebro na złoto. Sprytnie, no nie? Ona tak nie uważała, ale jakoś się udało i wciąż łączyło ją z ojcem, którego tak kochała.

Jeździli po kraju. Obóz dawno stał się przeszłością. Tak jak większość oszczędności ojca. I jak w końcu, w znacznym stopniu, on sam.

To, co pozostało z Iry Silversteina, jej ojca, przebywało w domu starców piętnaście kilometrów od kampusu uniwersytetu Reston. Jechała, ciesząc się samotnością. Słuchała, jak Tom Waits śpiewa, że miał nadzieję się nie zakochać, ale - oczywiście - zakochał się. Wjechała na parking. Dom, zmodernizowana rezydencja na sporym kawałku ziemi, był lepszy niż większość podobnych. Szła na to prawie cała pensja Lucy.

Zaparkowała przy starym samochodzie ojca, zardzewiałym żółtym volkswagenie garbusie. Wątpiła, by przez ostatni rok ruszył go z miejsca. Ojciec cieszył się tu swobodą, mógł wychodzić, kiedy chce. Nie musiał się zgłaszać przedtem i potem. Niestety, niemal nigdy nie opuszczał swojego pokoju. Wszystkie lewackie naklejki zdobiące jego pojazd dawno wyblakły. Lucy miała zapasowe kluczyki do samochodu i od czasu do czasu zapuszczała silnik, żeby podładować akumulator. Robiąc to, siedziała w samochodzie, a wtedy wracały wspomnienia. Widziała, jak robił to Ira, brodaty, jadąc z otwartymi oknami, machając rękę i trąbiąc do każdego mijanego.

Nie miała serca oddać tego auta na złom.

Lucy wpisała się do księgi gości. Ten dom starców był wyspecjalizowany w opiece nad przewlekle i psychicznie chorymi. Tych ostatnich było tu wielu, od takich, którzy wydawali się najzupełniej „normalni”, po ludzi mogących grać w *Locie nad kukulczym gniazdem*.

Ira po trosze należał do jednych i drugich.

Przystanąła w progu. Stał do niej plecami. Miał na sobie znajome lniane poncho. Siwe włosy sterczały mu na wszystkie strony. Z tego, co jej ojciec wciąż nazywał „zestawem hi-fi”, płynęły dźwięki *Let's Live for Today* zespołu Grass Roots, klasyki z 1967 roku. Lucy zaczęła, aż Rob Grill, główny wokalista, głośno odliczy 1, 2, 3, 4, zanim zespół znów huknie *sz-la-la-la, let's live for today*. Zamknęła oczy i bezgłośnie powtórzyła te słowa.

Świetny, naprawdę świetny kawałek.

W pokoju były koraliki, koszulki farbowane po zawiązaniu w supły oraz plakat *Where Have All The Flowers Gone*. Lucy uśmiechnęła się, ale bez cienia wesołości. Nostalgia to jedno, a starcze zdziecinnienie to drugie.

Demencja rozpoczęła się wcześniej - nie wiadomo, czy z powodu wieku czy zażywania narkotyków - i nie popuściła. Ira zawsze był niezbyt kontaktowy i żył przeszłością, więc trudno było powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Tak twierdzili lekarze. Jednak Lucy wiedziała, że pierwsze załamanie, które zapoczątkowało te zmiany, miało miejsce tamtego lata. Irę w znacznym stopniu obwiniano o to, co zdarzyło się w lasach. Powinien lepiej pilnować bezpieczeństwa obozowiczów.

Media zaatakowały go, ale nie tak jak rodzice. Ira był zbyt łagodnym człowiekiem, żeby sobie z tym poradzić. Załamał się.

Teraz rzadko opuszczał swój pokój. Błądził myślami w przeszłości, lecz tylko w jednym

dziesięcioleciu - w latach sześćdziesiątych - dobrze się czuł. Przeważnie myślał, że jest rok 1968. Czasem wiedział, że nie jest - można to było poznać po jego minie - ale nie chciał stawić temu czoła. Dlatego w ramach nowej „terapii potwierdzającej” lekarze pozwolili, by jego pokój wyglądał jak żywcem wzięty z lat sześćdziesiątych.

Lekarz wyjaśnił, że tego rodzaju demencja nie pogłębia się z wiekiem, a przecież chodzi o to, żeby pacjent był szczęśliwy i miał jak najmniej stresów, nawet jeśli to oznacza życie w kłamstwie. Krótko mówiąc, Ira chciał, żeby był rok 1968. Wtedy był najszczęśliwszy. Czemu z tym walczyć?

- Cześć, Ira.

Ira, który nigdy nie życzył sobie, żeby nazywała go tatą, powoli odwrócił się w kierunku źródła głosu. Ociężale podniósł rękę, jakby był pod wodą, i pomachał do niej.

- Cześć, Luce.

Zamrugała, powstrzymując łzy. Zawsze ją poznawał, zawsze wiedział, kim jest. Jeśli nawet zauważył, że córka odwiedziła go w 1968 roku, czyli zanim jeszcze przyszła na świat, to cóż... Takie drobiazgi nigdy nie rozwiewały jego złudzeń.

Uśmiechnął się do niej. Zawsze był zbyt wielkoduszny, zbyt hojny, zbyt dziecinny i naiwny dla tego okrutnego świata. Nazywała go „eks-hipisem”, co sugerowało, że w pewnej chwili Ira przestał nim być. Długo po tym, jak wszyscy inni porzucili własnoręcznie farbowane koszulki, *flower power* i koraliki, kiedy ostrzygli się i zgolili brody, Ira pozostał wierny sprawie.

W ciągu całego cudownego dzieciństwa Lucy Ira nigdy nie podniósł na nią głosu. Nie stawiał żadnych ograniczeń ani przeszkód, chcąc, by córka widziała i zaznała wszystkiego, nawet tego, co nie przystoi. Dziwne, ale ten brak cenzury sprawił, że jego jedynaczka, Lucy Silverstein, była nieco pruderyjna jak na dzisiejsze czasy.

- Tak się cieszę, że tu jesteś - powiedział Ira, chwiejnie ruszając w jej stronę.

Zrobiła krok naprzód i uściskała go. Ojciec pachniał starością i potem. To poncho wymagało wyprania.

- Jak się czujesz, Ira?

- Wspaniale. Jak nigdy.

Otworzył słoiczek i zażył witaminę. Często to robił. Mimo antykapitalistycznego nastawienia jej ojciec dorobił się niezłej fortuny na produkcji witamin na początku lat siedemdziesiątych. Potem sprzedał firmę i kupił posiadłość na granicy stanów Pensylwania i New

Jersey. Przez pewien czas prowadził tam komunę. Ta jednak nie przetrwała długo. Wtedy zmienił teren w letni obóz.

- Zatem jak się masz? - Zapytała.

- Nigdy nie czułem się lepiej, Luce.

A potem zaczął płakać. Lucy siedziała z nim i trzymała go za rękę. Płakał, śmiał się, a potem znów płakał. Raz po raz powtarzał, jak bardzo ją kocha.

- Jesteś całym światem, Luce - powiedział. - Widzę ci... Widzę wszystko, co powinno być.

Wiesz, o czym mówię?

- Ja też cię kocham, Ira.

- Widzisz? Oto, co chciałem powiedzieć. Że jestem najbogatszym człowiekiem na świecie.

I znów zaczął płakać.

Nie mogła długo zostać. Musiała wrócić do gabinetu i sprawdzić, czego dowiedział się Lonnie. Ira położył głowę na jej ramieniu, obdarzając ją płatkami łupieżu i zapachem potu. Kiedy weszła pielęgniarka, Lucy skorzystała z okazji i odsunęła się od niego. Nienawidziła siebie za to.

- Wrócę w przyszłym tygodniu, dobrze?

Ira kiwnął głową. Uśmiechał się, gdy wychodziła. Pielęgniarka - Lucy zapomniała jej nazwiska - czekała na nią na korytarzu.

- Jak on się miewa? - Spytała Lucy.

Zazwyczaj było to retoryczne pytanie. Wszyscy pacjenci czuli się kiepsko, ale ich rodziny nie chciały tego słuchać. Tak więc pielęgniarka zwykle powiedziałaby: „Och, ma się całkiem nieźle”, ale tym razem powiedziała:

- Pani ojciec ostatnio jest bardzo pobudzony.

- Jak to?

- Zazwyczaj Ira jest najmiłym, najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem. Jednak jego zmiany nastrojów...

- Zawsze miewał zmiany nastrojów.

- Nie takie.

- Czy robi się przykry?

- Nie. Nie w tym rzecz...

- A w czym?

Wzruszyła ramionami.

- Często mówi o przeszłości.

- Zawsze mówi o latach sześćdziesiątych.

- Nie, nie o tak odległej.

- A o jakiej?

- Mówi o letnim obozie. Serce Lucy zaczęło bić mocniej.

- Co mówi?

- Mówi, że był organizatorem letniego obozu. A potem go stracił. Zaczyna krzyżeć o krwi, lasach, ciemnościach i tym podobnych rzeczach. Potem zamyka się w sobie. To upiorne. Aż do ubiegłego tygodnia nigdy nie słyszałam, żeby coś mówił o letnim obozie, a na pewno nie o tym, że taki prowadził. Chyba że Ira ma urojenia. Może po prostu to sobie wymyślił?

To było pytanie, ale Lucy na nie nie odpowiedziała. Z głębi korytarza inna pielęgniarka zawołała:

- Rebecca!

Pielęgniarka, która - jak Lucy teraz sobie przypomniła - miała na imię Rebecca, powiedziała:

- Muszę lecieć.

Kiedy Lucy została sama na korytarzu, znów zajrzała do pokoju. Ojciec siedział plecami do drzwi. Gapił się na ścianę. Lucy zastanawiała się, co się dzieje w jego głowie. O czym jej nie mówi.

Co naprawdę wie o tamtej nocy.

Oderwała się od tego widoku i skierowała do wyjścia. Dotarła do recepcjonistki, która poprosiła ją o wpisanie godziny wyjścia.

Każdy pacjent miał osobną stronę. Recepcjonistka znalazła kartkę Iry i obróciła książkę, podsuwając ją Lucy. Ta miała w ręku długopis i już miała podpisać się równie machinalnie jak poprzednio przy wejściu, gdy znieruchomiła.

Na kartce znajdowało się inne nazwisko.

W zeszłym tygodniu Ira miał gościa. Pierwszego i jedynego poza nią. Kiedykolwiek. Zmarszczyła brwi i przeczytała nazwisko. Było zupełnie nieznanym.

Kim, do diabła, jest Manolo Santiago?

10

PIERWSZY SZKIELET

Wciąż trzymałem w dłoni zdjęcie ojca.

Teraz musiałem pojechać okreśną drogą na spotkanie z Rayą Singh. Spojrzałem na zakładkę. Pierwszy szkielet. W domyśle: będzie ich więcej.

Zacznijmy jednak od tego - mojego ojca.

Była tylko jedna osoba, która mogła mi pomóc, jeśli chodzi o ojca i jego ewentualne szkielety schowane w szafach. Wyjąłem telefon komórkowy i nacisnąłem szóstkę. Rzadko dzwonię pod ten numer, ale wciąż jest jednym z tych, które zaznaczyłem do szybkiego wybierania. Sądzę, że zawsze będzie.

Odpowiedział po pierwszym sygnale, basowym pomrukiem.

- Paul.

Nawet moje imię wymówił z silnym akcentem.

- Cześć, wujku Sosh.

Sosh nie był moim prawdziwym wujem. Był dobrym przyjacielem rodziny ze starego kraju. Nie widziałem go od trzech miesięcy, od pogrzebu ojca, ale słysząc jego głos, natychmiast zobaczyłem jego niedźwiedziowatą postać. Mój ojciec mówił, że wuj Sosh był jednym z najpotężniejszych i budzących respekt ludzi w Pułkowie, miasteczku pod Leningradem, gdzie obaj się wychowali.

- Minęło sporo czasu - zauważył.

- Wiem. Przepraszam.

- Ach - mruknął, jakby zniesmaczony moimi przeprosinami. - Tak myślałem, że dzisiaj zadzwonisz.

To mnie zaskoczyło.

- Dlaczego?

- Ponieważ, mój drogi bratanku, musimy porozmawiać.

- O czym?

- O tym, dlaczego nigdy nie rozmawiam o niczym przez telefon.

Interesy Sosha były co najmniej podejrzane - jeśli nie zupełnie nielegalne.

- Jestem w moim mieszkaniu w centrum. - Sosh miał ekskluzywny apartament na Manhattanie, przy Trzydziestej Szóstej Ulicy. - Kiedy możesz tu dotrzeć?

- Za pół godziny przy słabym ruchu - odparłem.

- Wspaniale, zatem na razie.

- Wujku Sosh?

Czekałem. Spojrzałam na zdjęcie ojca, leżące na fotelu pasażera.

- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- O twoją przeszłość, Pawle - rzekł z ciężkim akcentem, używając mojego rosyjskiego imienia. - I o tym, co powinno nią pozostać.

- A cóż to ma znaczyć, do licha?

- Pogadamy - uciął.

A potem się rozłączył.



Ruch na ulicach nie był duży, więc jazda do wuja Sosha zajęła mi tylko dwadzieścia pięć minut. Portier nosił jedną z tych zabawnych, szamerowanych liberii. Jego widok oraz fakt, że mieszka tu wuj Sosh, trochę przypominały mi strój noszony przez Breżniewa na pochodzie pierwszomajowym. Portier znał mnie i został uprzedzony, że przyjdę. Jeśli nie zostaje uprzedzony, nie pojawi się. I nie wejdiesz do środka.

Przy drzwiach windy stał stary przyjaciel Sosha, Aleksiej. Od kiedy pamiętam, Aleksiej Kokorow pracował jako ochroniarz Sosha. Był chyba po sześćdziesiątce, kilka lat młodszy od Sosha i niewiarygodnie brzydki. Nos miał bulwiasty i czerwony, twarz w pajęczynę czerwonych żyłek, zapewne - jak podejrzewałem - będących skutkiem nadużywania alkoholu. Nosił niedopasowaną marynarkę i spodnie, a budową ciała nie przypominał smukłego modela.

Nie wyglądał na uradowanego moim widokiem, ale on w zasadzie nigdy się nie uśmiecha. Przytrzymał przede mną otwarte drzwi windy. Wszedłem bez słowa. Kiwnął mi głową i puścił drzwi. Zostałem sam.

Wszedłem z windy do apartamentu.

Wujek Sosh stał kilka kroków od drzwi. Pokój był olbrzymi. Meble kubistyczne. Za panoramicznym oknem rozpościerał się niewiarygodnie piękny widok, a ściany pokryte były

grubą, podobną do gobelinu tapetą w kolorze, który zapewne ma jakąś wymyślną nazwę, taką jak „Merlot”, ale dla mnie wyglądał jak krew.

Sosh rozpromienił się na mój widok. Rozłożył szeroko ramiona. Jednym z najżywszych wspomnień z mojego dzieciństwa były jego dłonie. Wciąż były ogromne. Posiwał z wiekiem, ale nawet teraz, mając według moich obliczeń ponad siedemdziesiąt lat, jego postura i siła budziły respekt.

Przystanąłem przed drzwiami windy.

- No co - zapytał - jesteś już za duży na uściski?

Podeszliśmy do siebie. Jego uścisk, zgodnie z rosyjską tradycją, był isticie niedźwiedzi. Emanował siłą. Mięśnie wciąż miał grube jak postronki. Przyciągnął mnie do siebie i miałem wrażenie, że gdyby ścisnął odrobinę mocniej, złamałby mi kręgosłup.

Po kilku sekundach Sosh złapał mnie za nadgarstki i odsunął na odległość wyciągniętej ręki, żeby dobrze mi się przyjrzeć.

- Wykapany ojciec - powiedział, teraz głosem jeszcze bardziej ochryplym ze wzruszenia. - Jesteś do niego bardzo podobny.

Sosh przyjechał ze Związku Radzieckiego wkrótce po nas. Pracował w Intourisie, w filii tej sowieckiej firmy turystycznej na Manhattanie. Miał pomagać amerykańskim turystom, którzy pragnęli zwiedzić Moskwę oraz miasto, które wówczas nazywano Leningradem.

To było dawno temu. Od czasu rozpadu Związku Radzieckiego zanurzył się w odmętach podejrzanych interesów, które nazywano „eksport - import”. Nie wiedziałem, czego dokładnie, ale stać go było na ten apartament.

Sosh przyglądał mi się jeszcze przez chwilę. Miał na sobie białą koszulę rozpiętą pod szyją tak, że widać było biały podkoszulek i gęstą kępkę siwych włosów. Czekałem. Wiedziałem, że to nie potrwa długo. Wujek Sosh nie lubił częściej gadaniny.

Jakby czytając w moich myślach, spojrzął mi w oczy i powiedział:

- Odebrałem kilka telefonów.

- Od?

- Starych przyjaciół.

Czekałem.

- Ze starego kraju - sprecyzował.

- Nie wiem, czy nadażam.

- Ludzie zdają pytania.
 - Sosh?
 - Tak?
 - Podczas rozmowy przez telefon obawiałeś się podsłuchu. Tutaj też się o to niepokoisz?
 - Nie. Tu jest zupełnie bezpiecznie. Kazałem co tydzień sprawdzać ten pokój.
 - Świetnie, zatem może przestań mówić zagadkami i powiedz mi, o co chodzi?
- Uśmiechnął się. Spodobało mu się to.
- Są pewni ludzie. Amerykanie. Są teraz w Moskwie, sypią pieniędzmi i zadają pytania.
- Kiwnąłem głową.
- O co pytają?
 - O twojego ojca.
 - Jakiego rodzaju pytania?
 - Pamiętasz te stare plotki?
 - Żartujesz.

Jednak nie żartował. I w pewien upiorny sposób miało to sens. Pierwszy szkielet. Powiniennem odgadnąć.

Oczywiście pamiętałem te plotki. O mało nie zniszczyły naszej rodziny.

Moja siostra i ja urodziliśmy się w kraju, który wówczas nazywano Związkiem Radzieckim, podczas tak zwanej zimnej wojny. Ojciec był lekarzem, ale stracił prawo wykonywania zawodu w wyniku sfingowanych zarzutów, ponieważ był Żydem. Tak to wtedy było.

Jednocześnie kongregacja pewnej synagogi w Stanach Zjednoczonych - a konkretnie w Skokie w stanie Illinois - aktywnie działała na rzecz rosyjskich Żydów. W latach siedemdziesiątych rosyjscy Żydzi byli głównym obiektem zainteresowania amerykańskich wiernych, którzy starali się wydostać ich ze Związku Radzieckiego.

Mieliśmy szczęście. Wydostali nas.

W naszej nowej ojczyźnie przez długi czas uważano nas za bohaterów. Podczas piątkowych wieczornych nabożeństw ojciec z pasją mówił o cierpieniach rosyjskich Żydów. Dzieciaki nosiły plakietki z hasłami popierającym akcję. Zbierano fundusze. Jednak mniej więcej po roku naszego pobytu ojciec pokłócił się z rabinem i nagle rozeszły się pogłoski, że wydostał się ze Związku Radzieckiego, ponieważ jest agentem KGB, nawet nie jest Żydem i to wszystko

provokacja. Te zarzuty były żałosne, sprzeczne, kłamliwe, a teraz - no cóż - liczyły ponad dwadzieścia pięć lat.

Pokręciłem głową.

- Zatem zamierzają dowieść, że mój ojciec był agentem KGB?

- Tak.

Przeklęty Jenrette. Pewnie będzie mnie to sporo kosztowało. Teraz jestem osobą publiczną. Takie zarzuty, nawet jeśli wyssane z palca, mogą wyrządzić duże szkody. Coś o tym wiem. Dwadzieścia pięć lat temu moja rodzina w wyniku takich oskarżeń straciła prawie wszystko. Opuściliśmy Skokie, przenieśliśmy się do Newark. Nigdy nie byliśmy już tacy jak przedtem.

Spojrzałem na niego.

- Przez telefon powiedziałeś, że spodziewałeś się, że zadzwonię.

- Gdybyś tego nie zrobił, jeszcze dziś zadzwoniłbym do ciebie.

- Aby mnie ostrzec?

- Tak.

- A więc musisz coś wiedzieć.

Ten olbrzymi mężczyzna nie odpowiadał. Obserwowałem jego twarz. I nagle, jakby cały mój świat, wszystko, w co nauczyłem się wierzyć, powoli się zmienił.

- Był w KGB, Sosh? - Zapytałem.

- To dawne czasy...

- Czy to oznacza tak?

Sosh uśmiechnął się powoli.

- Nie wiesz, jak wtedy było.

- Ponownie pytam: czy to oznacza tak?

- Nie, Pawle. Jednak twój ojciec... Może oczekiwano po nim, że będzie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy wiesz, jak przybyłem do tego kraju?

- Jako pracownik firmy turystycznej.

- To był Związek Radziecki, Pawle. Tam nie było żadnych firm. Intourist był przedsiębiorstwem państwowym. Państwo rządziło wszystkim. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Zatem gdy sowiecki rząd miał okazję wysłać kogoś na stałe do Nowego Jorku, czy sądzisz, że posyłali człowieka najsprawniej załatwiającego rezerwacje? Czy raczej wysyłali tam kogoś, kto mógł im się przydać w inny sposób? Pomyślałem o jego szerokich dłoniach. I o jego sile.

- Zatem byłeś agentem KGB?

- Byłem pułkownikiem w wojsku. Nie nazywaliśmy się KGB. Jednak zapewne mógłbyś nazwać mnie... - Nakreślił w powietrzu cudzysłów - szpiegiem. Spotykałem wielu amerykańskich urzędników. Miałem próbować ich przekupić. Ludzie zawsze myślą, że dowiadywaliśmy się ważnych rzeczy, które mogły naruszyć równowagę sił. Bzdura. Nie dowiedzieliśmy się niczego istotnego. Nigdy. A amerykańscy szpiegowie? Oni też nigdy nie dowiedzieli się niczego o nas. Przekazywaliśmy sobie bzdury. Idiotyczna zabawa.

- A mój ojciec?

- sowiecki rząd wypuścił go z kraju. Wasi żydowscy przyjaciele myśleli, że to w wyniku ich nacisków. Litości. Czy grupka Żydów z synagogi naprawdę sądziła, że wywiera presję na rząd, który przed nikim nie odpowiadał? To prawie zabawne, kiedy się na tym zastanowić.

- Zatem twierdzisz...

- Ja tylko mówię, jak było. Czy twój ojciec obiecał, że będzie pomagał reżimowi? Oczywiście. Jednak tylko po to, żeby się wydostać. To skomplikowane, Pawle. Nie masz pojęcia, co to dla niego oznaczało. Twój ojciec był dobrym lekarzem i jeszcze lepszym człowiekiem. Rząd spreparował dowody i zarzucił mu niekompetencję. Pozbawiono go prawa wykonywania zawodu. Potem twoi dziadkowie... Mój Boże, ci wspaniali rodzice Nataszy... Jesteś za młody, żeby ich pamiętać...

- Pamiętam - powiedziałem.

- Naprawdę?

Zadałem sobie pytanie, czy naprawdę. Mam w pamięci obraz mojego dziadka, mojego Popi, grzywę jego siwych włosów i zaraźliwy śmiech, oraz babci, mojej Noni, karcącej go łagodnie. Jednak miałem tylko trzy latka, kiedy ich zabrano. Czy naprawdę ich pamiętam, czy tylko w moich myślach ożyło zdjęcie, które wciąż trzymam? Czy to prawdziwe wspomnienie, czy coś, co stworzyłem na podstawie opowieści mojej matki?

- Twoi dziadkowie byli intelektualistami i profesorami uniwersytetu. Dziadek kierował wydziałem historii. Babcia była wspaniałą matematyczką. Wiesz o tym, prawda?

Skinałem głową.

- Mama mówiła, że więcej nauczyła się, słuchając rozmów przy obiedzie niż w szkole.

Sosh się uśmiechnął.

- Pewnie to prawda. Najlepsi akademicy zasięgaliby opinii twoich dziadków. Co - oczywiście - zwróciło uwagę rządu. Przyklejono im etykiety radykałów. Uznano za niebezpiecznych. Czy pamiętasz, kiedy zostali aresztowani?

- Pamiętam, co było potem. Na długą chwilę zamknął oczy.

- To, jak to wpłynęło na twoją matkę?

- Tak.

- Natasza już nigdy nie doszła do siebie. Wiesz o tym?

- Wiem.

- Zatem wróćmy do twojego ojca. Stracił tak wiele - karierę, reputację, prawo wykonywania zawodu i teściów. I nagle, kiedy był w dołku, rząd wypuścił go z kraju. Dał szansę zaczęcia wszystkiego od nowa.

- Życia w USA.

- Tak.

- Musiał tylko zostać szpiegiem?

Sosh zbył to machnięciem ręki.

- Nie rozumiesz? To była gra. Czego mógł się dowiedzieć ktoś taki jak twój ojciec? Nawet gdyby próbował - czego nie robił. Co mógł im powiedzieć?

- A moja matka?

- Natasza była dla nich tylko kobietą. Rząd nie interesował się kobietami. Przez jakiś czas stanowiła problem. Jak już powiedziałem, jej rodzice, a twoi dziadkowie, byli w ich oczach radykałami. Mówisz, że pamiętasz, jak ich zabrali?

- Tak mi się wydaje.

- Twoi dziadkowie założyli grupę, próbującą ujawnić przypadki łamania praw człowieka. Robili szybkie postępy, dopóki nie wydał ich jakiś zdrajca. Agenci przyszli po nich w nocy.

Zamilkł.

- I co? - Spytałem.

- Niełatwo o tym mówić. O tym, co się z nimi stało. Wzruszyłem ramionami.

- Teraz już nic im nie grozi. Nie odpowiedział.

- Co się stało, Sosh?

- Zostali zesłani do gułagu, do obozu pracy. Warunki w tych obozach były straszne. Twoi dziadkowie nie byli młodzi. Wiesz, jak się to skończyło?

- Umarli.

Sosh odwrócił się i podszedł do okna. Miał z niego wspaniały widok na zatokę Hudson. W porcie stały dwa ogromne statki wycieczkowe. Jeśli spojrzano się w lewo, można było dostrzec nawet Statuę Wolności. Manhattan jest taki mały, ma ledwie dwanaście kilometrów długości, a jednak - tak jak w przypadku Sosha - zawsze czuje się jego siłę.

- Sosh?

Kiedy znów się odezwał, mówił łagodnym głosem.

- Czy wiesz, jak umarli?

- Już mówiłeś. Tam były straszne warunki. Dziadek miał słabe serce.

Nadal się nie odwracał.

- Rząd nie zamierzał go leczyć. Nawet nie dali mu jego lekarstw. Umarł po trzech miesiącach.

Czekałem.

- Czego mi nie mówisz, Sosh?

- Czy wiesz, co się stało z twoją babką?

- Wiem tyle, ile powiedziała mi matka.

- Powiedz, co ci mówiła.

- Noni też zachorowała. Po śmierci męża popadła w apatię. Tak bywa w przypadku wieloletnich małżeństw. Jedno umiera, a drugie traci chęć do życia.

Milczał.

- Sosh?

- W pewnym sensie tak chyba było - rzekł w końcu.

- W pewnym sensie?

Sosh nadal spoglądał na coś za oknem.

- Twoja babka popełniła samobójstwo. Zdrętwiałem. Zacząłem kręcić głową.

- Powiesiła się na prześcieradle.

Siedziałem. Myślałem o zdjęciu mojej Noni. O jej mądrym uśmiechu. O historiach, które opowiadała mi o niej matka, o jej przenikliwym umyśle i ostrym języku. Samobójstwo.

- Czy moja matka wiedziała? - Zapytałem.

- Tak.

- Nigdy mi nie mówiła.

- Może ja też nie powinienem.

- Dlaczego powiedziałeś?

- Musisz wiedzieć, jak było. Twoja matka była piękną kobietą. Uroczą i delikatną. Twój ojciec ją uwielbiał. Jednak po tym, jak jej rodzice zostali zabrani i praktycznie skazani na śmierć, już nigdy nie doszła do siebie. Wyczuwałeś to, prawda? Tę melancholię? Jeszcze przed tą historią z twoją siostrą.

Nic nie odpowiedziałem, ale istotnie to czułem.

- Chyba chciałem, żebyś wiedział, jak to było. Co czuła twoja matka. Żebyś lepiej ją rozumiał.

- Sosh?

Nadal nie odwracał się od okna.

- Czy wiesz, gdzie jest moja matka? Olbrzymi mężczyzna długo nie odpowiadał.

- Sosh?

- Kiedyś wiedziałem. Kiedy uciekła po raz pierwszy.

Przełknąłem ślinę.

- Dokąd uciekła?

- Natasza wróciła do domu.

- Nie rozumiem.

- Uciekła do Rosji.

- Dlaczego?

- Nie możesz ją o to winić, Pawle.

- Nie zamierzam. Chcę tylko wiedzieć dlaczego.

- Nie można tak po prostu uciec od ojczyzny. Próbujesz ją zmienić. Nienawidzisz rządu, ale nie ludzi. Ojczyzna to ojczyzna. Zawsze.

Odwrócił się do mnie. Spojrzał mi w oczy.

- I dlatego uciekła?

Stał i milczał.

- Taki miała powód? - Spytałem, prawie krzycząc. Krew szumiała mi w uszach. -

Ponieważ ojczyzna to zawsze ojczyzna?

- Nie słuchałeś.

- Nie, Sosh, słuchałem. Ojczyzna to ojczyzna. Co za bzdury. A rodzina to nie rodzina?

Mąż to nie mąż? A co więcej, syn to nie syn?

Nie odpowiedział.

- Co z nami, Sosh? Co ze mną i ojcem?

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, Pawle.

- Czy wiesz, gdzie ona jest teraz?

- Nie.

- Mówisz prawdę?

- Tak.

- Jednak mógłbyś ją znaleźć, czyż nie?

Nie przytaknął, ale i nie zaprzeczył.

- Masz dziecko - powiedział. - Robisz karierę.

- Co z tego?

- To, że to wszystko zdarzyło się dawno temu. Przeszłość umarła, Pawle. Nie wskrzesza się zmarłych. Grzebie się ich i żyje dalej.

- Moja matka nie umarła - przypomniałem. - A może?

- Nie wiem.

- Dlaczego więc mówisz o zmarłych? I jeszcze coś. Skoro mowa o zmarłych, to jest jeszcze jedna sprawa... - Nie mogłem się powstrzymać, musiałem to powiedzieć. - Nie jestem już pewny, że moja siostra nie żyje.

Spodziewałem się zobaczyć jego zdziwioną minę. Nie doczekałem się. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Dla ciebie - rzekł.

- Co dla mnie?

- Dla ciebie obie powinny być martwe.

11

Otrząsnąłem się z wrażenia wywołanego słowami wuja Sosha i pojechałem z powrotem tunelem Lincolna. Powiniennem się skupić na dwóch sprawach i niczym więcej. Sprawa numer jeden: doprowadzić do skazania tych dwóch przeklętych sukinsynów, którzy zgwałcili Chamique Johnson. I sprawa numer dwa: dowiedzieć się, gdzie, do diabła, Gil Perez podziewał się przez ostatnie dwadzieścia lat.

Sprawdziłem podany mi przez detektywa Yorka adres świadka, tej kelnerki. Raya Singh pracowała w hinduskiej restauracji Curry Up and Wait. Nienawidzę takich gierek słownych. A może je uwielbiam? Niech będzie, że uwielbiam.

Jechałem.

Na przednim siedzeniu wciąż leżało zdjęcie mojego ojca. Nie przejmowałem się ewentualnymi oskarżeniami o współpracę z KGB. Właściwie po rozmowie z Sossem nawet się ich spodziewałem. Teraz jednak ponownie przeczytałem napis na zakładce.

PIERWSZY SZKIELET

Pierwszy. To sugerowało, że będzie ich więcej. Najwidoczniej monsieur Jenrette, zapewne przy finansowym wsparciu Marantza, nie szczędził pieniędzy. Skoro dowiedzieli się o tych starych zarzutach przeciwko mojemu ojcu - teraz sprzed ponad dwudziestu pięciu lat - najwyraźniej byli przyparci do muru i zdesperowani.

Co mogli znaleźć?

Nie byłem złym facetem. Ale i nie ideałem. Nikt nie jest doskonały. Coś znajdują. Rozdmuchają to do gigantycznych rozmiarów. Poważnie zaszkodzą JaneCare, mojej reputacji i moim politycznym ambicjom - ale Chamique też miała swoje szkielety w szafach. Namówiłem ją, żeby wszystkie pokazała światu.

Czy od siebie mogłem wymagać mniej?

Podjechałem pod hinduską restaurację, wrzuciłem na luz i wyłączyłem zapłon. Znajdowałem się poza obszarem mojej jurysdykcji, ale nie sądziłem, żeby miało to jakieś

znaczenie. Spojrzałem przez okno wozu, ponownie pomyślałem o szkieletach i zadzwoniłem do Loren Muse. Kiedy odebrała, przedstawiłem się i powiedziałem:

- Być może mam mały problem.
- Jaki? - Spytała Muse.
- Ojciec Jenrette'a chce się do mnie dostać.
- Jak?
- Grzebie w mojej przeszłości.
- Znajdzie coś?
- Jeśli dobrze poszukać, każdy ma coś do ukrycia.
- Nie ja.
- Naprawdę? A co z tymi zabitymi w Reno?
- Uwolniona od wszystkich zarzutów.
- Wspaniale, naprawdę.
- Ja tylko żartuję, Cope. Próbowałam być zabawna.
- Ubawiłem się do łez. To twoje wyczucie sytuacji. Wprost profesjonalne.
- No dobrze, więc do rzeczy. Czego ode mnie oczekujesz?
- Masz kilku przyjaciół wśród miejscowych prywatnych detektywów, zgadza się?
- Zgadza.
- Podzwoń do nich. Może dowiesz się, kto za mną chodzi.
- W porządku, już dzwonię.
- Muse?
- Co?
- To nie jest priorytetowa sprawa. Jeśli nie ma na to czasu, nie przejmuj się tym.
- Ależ jest, Cope. Powiedziałam, że zaraz się tym zajmę.
- Jak sądzisz, jak nam dziś poszło?
- To był dobry dzień dla dobrych facetów - odparła.
- Taaak.
- Jednak zapewne nie dość dobry.
- Cal i Jim?
- Mam ochotę wystrzelać wszystkich o takich imionach.
- Bierz się do roboty - poradziłem i rozłączyłem się.

Pod względem wystroju wnętrza hinduskie restauracje zdają się dzielić na dwie kategorie - bardzo ciemne i bardzo jasne. Ta była bardzo jasna i kolorowa, w stylu imitującym hinduistyczną świątynię o naprawdę jarmarcznym wystroju. Były tu imitacje mozaik i podświetlone posągi Ganesza oraz innych, zupełnie mi nieznanymi bóstw. Kelnerki miały na sobie stroje odsłaniające brzuchy, przypominające mi ten, który nosiła zła siostra w *I Dream of Jeannie*.

Wszyscy mamy skłonność do stereotypów, ale ten lokal wyglądał jak scenografia do musicalu kręconego w Bollywood. Próbuję doceniać zalety obcych kultur, lecz chociaż bardzo się staram, nienawidzę muzyki w hinduskich restauracjach. Ta brzmiała, jakby ktoś męczył kota za pomocą sitara.

Na mój widok szefowa sali ściągnęła brwi.

- Ile osób? - Zapytała.

- Nie przyszedłem tu jeść - powiedziałem.

Czekała.

- Czy jest Raya Singh?

- Kto? Powtórzyłem nazwisko.

- Nie wiem... Och, chwileczkę, to ta nowa dziewczyna.

Skrzyżowała ręce na piersi i nie powiedziała nic więcej.

- Jest tutaj? - Zapytałem.

- A kto pyta?

Uniosłem brew. Nie byłem w tym zbyt dobry. Starłem się wyglądać uwodzicielsko, a wyglądało, jakbym miał zatwardzenie.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych.

- He?

Wręczyłem jej wizytówkę. Przeczytała i zaskoczyła mnie, wołając:

- Raya! Raya Singh!

Raya Singh podeszła, a ja się cofnąłem. Była młodsza, niż oczekiwałem, po dwudziestce, i absolutnie oszałamiająca. Pierwsze, co rzuciło się w oczy - czego nie dało się przeoczyć w tym kusym stroju - to to, że Raya Singh miała więcej krągłości, niż pozwala na to anatomia. Stała nieruchomo, ale wydawała się poruszać. Jej włosy były kręcone, czarne, i aż się prosiły, żeby ich dotknąć. Skórę miała bardziej złotą niż brązową, a w jej migdałowych oczach mężczyzna z

łatwością mógł zatonać na zawsze.

- Raya Singh? - Zapytałem.

- Tak.

- Nazywam się Paul Copeland. Jestem prokuratorem okręgu Essex w New Jersey.

Możemy chwilę porozmawiać?

- Czy chodzi o to morderstwo?

- Tak.

- Oczywiście.

Miała głos osoby wykształconej, z lekkim akcentem świadczącym o pobycie w angielskiej szkole z internatem, co dodawało wyrafinowania jej egzotycznej urodzie. Starłem się na nią nie gapić. Zauważyła to i uśmiechnęła się. Nie chcę wyjść na zбочeńca, ponieważ nie w tym rzecz, ale nie jestem obojętny na kobiece piękno. Chyba nie jestem w tym osamotniony. Działa na mnie tak samo jak dzieło sztuki. Jak Rembrandt czy Michał Anioł. Jak nocny widok Paryża czy słońce wschodzące nad Wielkim Kanionem lub turkusowo zachodzące na niebie Arizony. Tak więc nie miałem grzesznych myśli.

Właściwie, jak sam sobie tłumaczyłem, było to doznanie estetyczne.

Wyprowadziła mnie na ulicę, gdzie było ciszej. Objęła się rękami, jakby było jej zimno. Ten gest, jak niemal każdy jej ruch, był dwuznaczny. Zapewne mimo woli. Wszystko w niej wywoływało myśli o księżycowych nocach i łożu z baldachimem - co, jak sądzę, rozbija w proch moją teorię o „właściwie estetycznym” doznaniu. Miałem ochotę zaproponować jej mój płaszcz albo coś, ale wcale nie było zimno. Och, i nie miałem na sobie płaszcza.

- Czy zna pani niejakiego Santiaga Manola? - Zapytałem.

- Został zamordowany - powiedziała.

Jej głos miał dziwny rytm, jakby recytowała rolę.

- Jednak znała go pani?

- Tak, owszem.

- Byliście kochankami?

- Jeszcze nie.

- Jeszcze nie?

- Nasz związek był platoniczny.

Przeniosłem spojrzenie na bruk, a potem na drugą stronę ulicy. Lepiej. Właściwie nie

interesowało mnie samo morderstwo i kto je popełnił. Chciałem dowiedzieć się czegoś o Manolu Santiagu.

- Czy wie pani, gdzie mieszkał pan Santiago?
- Nie, przykro mi, nie wiem.
- Jak się poznaliście?
- Zaczepił mnie na ulicy.
- Tak po prostu? Po prostu podszedł do pani na ulicy?
- Tak.
- A potem?
- Zapytał, czy wypiję z nim filiżankę kawy.
- Zrobiła to pani?
- Tak.

Zaryzykowałem następne spojrzenie. Piękna. Ten kaftanik i ciemna skóra... Zabójcza kombinacja.

- Zawsze pani tak robi? - Spytałem. - Spotyka nieznajomego i przyjmuje zaproszenie na kawę?

Wyglądała na rozbawioną.

- Czy muszę tłumaczyć się przed panem z mojego zachowania, panie Copeland?
- Nie.

Milczała.

- Musimy dowiedzieć się więcej o panu Santiagu - powiedziałem.
- Mogę spytać dlaczego?
- Manolo Santiago to przybrane nazwisko. Przede wszystkim staram się ustalić, jak nazywa się naprawdę.

- Nie mam pojęcia.
- Rzykując zarzut, że wtrącam się w nie swoje sprawy, muszę wyznać, że nie mogę tego zrozumieć.

- Zrozumieć czego?
- Mężczyźni z pewnością zaczepiają panią cały czas.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Pan mi pochlebia, panie Copeland, dziękuję.

Próbowałem trzymać się tematu.

- Zatem dlaczego pani z nim poszła?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Może coś mi o nim powiedzieć.

- Nie mam pojęcia co. Załóżmy, na przykład, że powiem panu, iż uważałam go za przystojnego mężczyznę. Czy to coś pomoże?

- A tak było?

- Czy uważałam, że jest przystojny? - Znów uśmiech. Czarny lok opadł jej na prawe oko. - To brzmi niemal tak, jakby był pan zazdrosny.

- Panno Singh?

- Tak?

- Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Może więc przestańmy się bawić w te słowne gierki.

- Sądzi pan, że możemy? - Odgarnęła lok. Jakoś to wytrzymałem. - No dobrze - westchnęła. - W porządku.

- Czy może mi pani pomóc ustalić, jak nazywał się naprawdę?

Zastanowiła się nad tym.

- Może pomógłby w tym rejestr jego rozmów przez telefon komórkowy?

- Sprawdziliśmy ten, który miał przy sobie. Pani numer był jedyny, jaki znaleźliśmy.

- Miał inny numer. Wcześniej.

- Pamięta go pani?

Kiwnęła głową i podała mi go. Wyjąłem długopis i zanotowałem go na odwrocie jednej z moich wizytówek.

- Jeszcze coś?

- Raczej nie.

Wyjąłem następną wizytówkę i zapisałem na niej numer mojego telefonu komórkowego.

- Jeśli coś się pani przypomni, zadzwoni pani do mnie?

- Oczywiście.

Dałem jej wizytówkę. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Co takiego?

- Nie nosi pan obrączki, panie Copeland.

- Nie jestem żonaty.
- Rozwodnik czy wdowiec?
- Skąd pani wie, że nie jestem starym kawalerem?

Raya Singh nie trudziła się odpowiedzią.

- Wdowiec - powiedziałem.
- Przykro mi.
- Dziękuję.
- Od jak dawna?

Już miałem powiedzieć, że to nie jej cholerny interes, ale nie chciałem jej zrazić. No i niech mnie diabli, jeśli nie była piękna.

- Prawie sześć lat.
- Rozumiem - powiedziała.

Spojrzała na mnie swoimi niesamowitymi oczami.

- Dziękuję za współpracę - powiedziałem.
- Dlaczego nie zaprosi mnie pan na randkę?
- Przepraszam?
- Wiem, że uważa pan, że jestem ładna. Jestem wolna, pan też. Czemu nie chce się pan ze

mną umówić?

- Nie mieszam pracy z prywatnymi sprawami.
- Przybyłam tu z Kalkuty. Był pan tam?

Nagła zmiana tematu na moment zbiła mnie z tropu. Jej akcent również nie pasował do tej lokalizacji, lecz w dzisiejszych czasach niewiele to znaczy. Powiedziałem, że nigdy tam nie byłem, ale dużo wiem o tym mieście.

- Tam jest gorzej, niż pan słyszał - powiedziała.

Znów nic nie powiedziałem, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Mam życiowy plan. Pierwszą jego częścią było dostać się tutaj. Do Stanów Zjednoczonych.

- A drugą?

- Tutaj ludzie zrobią wszystko, żeby osiągnąć sukces. Jedni grają na loterii, inni marzą o tym, żeby zostać - na przykład - zawodowymi sportowcami. Inni popełniają przestępstwa, rozbierają się albo sprzedają. Ja znam swoje zalety. Jestem piękna. Jestem również miła i umiem

być... - Zawahała się i zastanowiła. - Będę dobra dla mojego mężczyzny. Uczynię go niewiarygodnie szczęśliwym. Będę go słuchała. Stała przy nim. Podnosiła na duchu. Umiała mu noce. Dam mu wszystko, co zechce i kiedykolwiek zechce. I zrobię to z ochotą.

Suuper, pomyślałem.

Staliśmy na ruchliwej ulicy, ale przysiągłbym, że było tak cicho, że mógłbym usłyszeć cykanie świerszcza. Zaschło mi w ustach.

- Manolo Santiago - powiedziałem głosem, który zdawał się dobiegać z daleka. - Myślała pani, że on może być tym mężczyzną?

- Tak sądziłam. Jednak nie był. Pan wydaje się miły. Zapewne dobrze traktowałby pan kobietę. - Nie byłem pewien, czy Raya Singh przysunęła się do mnie. Nagle jednak znalazła się znacznie bliżej. - Widzę, że jest pan niespokojny. Nie sypia pan po nocach. Skąd więc pan wie, panie Copeland?

- Skąd wiem co?

- Że nie jestem tą jedyną. Że nie jestem tą, która uczyni pana szaleńczo szczęśliwym. Że nie spałby pan spokojnie u mojego boku.

Uff.

- Nie wiem.

Popatrzyła na mnie. Poczułem to spojrzenie w czubkach palców nóg. Och, bawiła się mną. Wiedziałem o tym. Jednak jej szczerłość, to bezpośrednie podejście... Było dziwnie pociągające.

A może po prostu oszołomiła mnie jej uroda.

- Muszę iść. Ma pani mój telefon.

- Panie Copeland? Czekałem.

- Po co naprawdę pan tu przyszedł?

- Słucham?

- Dlaczego interesuje się pan zamordowaniem Manola?

- Myślałem, że to wyjaśniłem. Jestem prokuratorem okręgowym...

- Nie dlatego pan tu przyszedł.

Czekałem. Ona tylko na mnie patrzyła. W końcu zapytałem:

- Dlaczego pani tak sądzi?

Jej odpowiedź była jak lewy sierpowy:

- Zabił go pan?

- Co takiego?

- Pytałam...

- Słyszałem. Oczywiście, że nie. Skąd to pani przyszło do głowy?

Lecz Raya Singh nie odpowiedziała mi na to pytanie.

- Do widzenia, panie Copeland. - Posłała mi jeszcze jeden uśmiech, po którym poczułem się jak wyrzucona na brzeg ryba. - Mam nadzieję, że znajdzie pan to, czego pan szuka.

12

Lucy chciała wprowadzić do wyszukiwarki Google nazwisko „Manolo Santiago”. Zapewne był to jakiś reporter piszący artykuł o tym sukinsynu Wayne Steubensie, czyli Letnim Rzeźniku - ale w gabinecie czekał na nią Lonnie. Nawet nie podniósł głowy, kiedy weszła. Stała nad nim, zamierzając w ten sposób trochę go zastraszyć.

- Ty wiesz, kto przysłał ten dziennik - powiedziała.

- Nie mam pewności.

- Jednak?

Lonnie nabrał tchu, zbierając siły. Miała nadzieję, że do wyznania.

- Wiesz coś o ustalaniu nadawcy e-maila?

- Nie - odparła Lucy, wracając do swojego biurka.

- Kiedy otrzymujesz e-mail, wiesz, że ma on swoją ścieżkę, SMTP oraz identyfikator?

- Założmy, że wiem.

- Zasadniczo można w ten sposób ustalić, jak do ciebie dotarł. Którędy szedł, gdzie został nadany, jaką drogę przebył w Internecie z punktu A do punktu B. To coś w rodzaju stempli pocztowych.

- W porządku.

- Oczywiście są sposoby, żeby wysłać list anonimowo. Zwykle jednak, nawet w takim przypadku, zostają pewne ślady.

- Wspaniale, Lonnie, super. - Wyraźnie zwlekał. - Zatem mogę założyć, że znalazłeś kilka takich śladów tej wiadomości, do której był załączony tekst?

- Tak - powiedział Lonnie. Teraz podniósł głowę i zdołał się uśmiechnąć. - Już nie będę cię pytał, dlaczego chcesz poznać nazwisko nadawcy.

- To dobrze.

- Ponieważ cię znam, Lucy. Jak większość gorących sztuk, jesteś jak wrzód na dupie. Jednak masz również przerażająco niewzruszone zasady. Jeśli postanowiłaś je złamać, nadużyć zaufania twoich studentów i namówić mnie do tego, musisz mieć dobry powód. Założę się, że to

sprawa życia i śmierci.

Lucy nic nie powiedziała.

- To sprawa życia i śmierci, prawda?
- Po prostu powiedz mi, Lonnie.
- Ten e-mail przyszedł z jednego z kilku komputerów biblioteki Frosta.
- Z biblioteki - powtórzyła. - Tam jest ich ile... Pięćdziesiąt?
- Mniej więcej.
- No to nigdy się nie dowiemy, kto go przysłał.

Lonnie poruszył głową gestem oznaczającym i tak, i nie.

- Wiemy, kiedy został wysłany. O szóstej czterdzieści dwie przedwczoraj.

- I w czym nam to pomoże?

- Studenci korzystający z komputera muszą się wpisywać. Nie przydziela im się konkretnej maszyny - personel zrezygnował z tego już dwa lata temu - ale rezerwuje godzinę czasu pracy. Poszedłem do biblioteki i sprawdziłem zapisy. Porównałem rejestr osób korzystających przedwczoraj z komputerów między szóstą a siódmą z listą twoich studentów.

Zamilkł.

- Co?
- Tylko jedna osoba spełniała oba kryteria.
- Kto?

Lonnie podszedł do okna i spojrzał na dziedziniec.

- Podpowiem ci - rzekł.
- Lonnie, naprawdę nie jestem w nastroju...
- To pewna mała lizuska. Lucy zamarła.
- Sylvia Potter?

Wciąż stał plecami do niej.

- Lonnie, chcesz mi powiedzieć, że to Sylvia Potter napisała ten tekst?
- Tak. Właśnie to chcę ci powiedzieć.



Wracając do biura, zadzwoniłem do Loren Muse.

- Potrzebna mi jeszcze jedna przysługa - powiedziałem.
- Strzelaj.

- Chcę, żebyś dowiedziała się wszystkiego o pewnym numerze telefonu. Kto był jego właścicielem. Do kogo dzwonił. Wszystko.

Podałem jej numer, który dostałem od Rayi Singh.

- Daj mi dziesięć minut.

- Tylko tyle?

- Hej, nie zostałam starszym inspektorem dochodzeniowym dlatego, że mam ładny tyłek.

- Kto tak twierdzi?

Roześmiała się.

- Lubię, kiedy jesteś wyluzowany, Cope.

- Nie przyzwyczajaj się.

Rozłączyłem się. Moja odzywka była niewłaściwa... Choć może w pełni usprawiedliwiona jej wzmianką o ładnym tyłku? Nietrudno krytykować polityczną poprawność. Doprowadzona do absurdu, jest łatwym obiektem drwin. Jednak widziałem też, jak to jest, kiedy pozwala się w pracy na takie rzeczy. Robi się nieprzyjemnie i ponuro.

To tak jak z tymi pozornie przesadnymi środkami ostrożności obowiązującymi rowerzystów. Dzieciak zawsze musi nosić kask. Place zabaw muszą być wyłożone specjalną matą, drabinki nie mogą być zbyt wysokie, dzieciak nie powinien sam przechodzić przez ulicę, a poza tym gdzie jego ochraniacze na zęby i okulary? Tak łatwo żartować sobie z takich rzeczy i zawsze znajdzie się jakiś dowcipniś, który przyśle e-maila z wiadomością: „Hej, zrobiliśmy tak i przeżyliśmy”. Jednak w rzeczywistości wielu dzieciom nie udaje się przeżyć.

Kiedyś dzieci miały więcej wolności. Nie wiedziały, jakie zło czai się w mroku. Niektóre pojechały na obóz w czasach, gdy nie podejmowano takich środków ostrożności i pozwalano dzieciom być dziećmi. Niektóre z nich wymknęły się w nocy do lasu i już nikt nigdy ich nie zobaczył.



Lucy Gold zadzwoniła do pokoju Sylvii Potter. Nikt nie odebrał. Nic dziwnego. Sprawdziła uczelnianą książkę telefoniczną, ale nie było w niej telefonów komórkowych. Przypomniała sobie, że widziała, jak Sylvia posługiwała się palmtopem BlackBerry, więc posłała jej e-maila z prośbą, żeby Sylvia jak najszybciej do niej zadzwoniła.

Po niecałych dziesięciu minutach otrzymała odpowiedź.

- Miałam do pani zadzwonić, pani profesor?

- Tak, Sylvio. Dziękuję ci. Myślisz, że mogłabyś wpaść do mojego gabinetu?

- Kiedy?

- Teraz, jeśli to możliwe. Kilkusekundowa cisza.

- Sylvio?

- Zaraz zaczynam zajęcia z angielskiego - powiedziała Sylvia. - Mam dziś przedstawić mój końcowy projekt. Mogę przyjść, kiedy skończę?

- Byłoby miło - odparła Lucy.

- Powinna tam być za mniej więcej dwie godziny.

- Świetnie, będę tu.

Znów chwila ciszy.

- Czy może mi pani powiedzieć, o co chodzi, pani profesor?

- To może zaczekać, Sylvio, nie przejmuj się. Zobaczymy się po zajęciach.



- Cześć.

To była Loren Muse. Był ranek, dzień później, i znów byłem w sądzie. Flair Hickory za kilka minut miał zacząć przesłuchanie.

- Cześć - odpowiedziałem.

- Wyglądasz okropnie.

- Och, naprawdę niezły z ciebie detektyw.

- Martwisz się o przesłuchanie?

- Oczywiście.

- Chamique sobie poradzi. Zrobiłeś kawał dobrej roboty.

Skinałem głowę, próbując skupić się na sprawie. Muse szła obok mnie.

- Och - przypomniała sobie - ten numer telefonu, który mi podałeś. Mam złe wieści.

Czekałem.

- Jest jednorazowy.

Co oznaczało, że ktoś kupił go z darmowym limitem minut i nie podał swojego nazwiska.

- Nie muszę wiedzieć, kto go kupił. Wystarczy, jeśli się dowiem, do kogo dzwonił i kto dzwonił do niego.

- Trudno się tego dowiedzieć. A normalnymi kanałami to niemal niemożliwe. Ktokolwiek

to był, kupił to przez Internet od pośrednika innego pośrednika. Trochę trwało, zanim wytropiłam wszystkich i zmusiłam ich do wydania rejestrów.

Pokręciłem głową. Weszliśmy na salę sądową.

- Jeszcze jedno, słyszałeś o MVD? - Spytała.

- Most Valuable Detection.

- Właśnie, największa prywatna agencja detektywistyczna w tym stanie. Cingle Shaker, kobieta, którą posłałam na tych chłopaków z akademika, pracowała dla nich. Plotka głosi, że dostali na ciebie zlecenie bez limitu kosztów na wygrzebanie czegoś obciążającego. Dotarłem do swojego stolika.

- Świetnie.

Dałem jej zdjęcie Gila Pereza. Spojrzała na nie.

- I co?

- Czy Farrell Lynch wciąż robi dla nas komputerową robotę?

- Tak.

- Poproś go, żeby postarzył tego faceta. O dwadzieścia lat. I niech go pokaże z ogoloną głową.

Loren Muse już miała o coś spytać, ale powstrzymał ją wyraz mojej twarzy. Wzruszyła ramionami i odeszła. Usiadłem. Wszedł sędzia Pierce. Wszyscy wstaliśmy. Potem Chamique Johnson zajęła miejsce na podium dla świadków.

Flair Hickory wstał i starannie zapiął marynarkę. Zmarszczyłem brwi. Ostatni raz widziałem garnitur w takim niebieskoszarym odcieniu na zdjęciach maturalnych z 1978 roku. Uśmiechnął się do Chamique.

- Dzień dobry, panno Johnson.

Chamique wyglądała na przerażoną.

- Dzień dobry - zdołała wykrztusić.

Flair przedstawił się, jakby spotkali się na koktajlu. Potem zajął się jej kryminalną przeszłością. Była aresztowana za prostytutkę, zgadza się? Była aresztowana za posiadanie narkotyków, zgadza się? Była oskarżona o upicie klienta i kradzież osiemdziesięciu dolarów, zgadza się?

Nie zgłaszałem sprzeciwu.

Była to część mojej strategii prawdziwego portretu, z brodawkami i wszystkim. Wiele

tych spraw wyciągnąłem podczas przesłuchania, ale taktyka Flaira była skuteczna. Jeszcze nie poprosił jej o wyjaśnienie żadnego fragmentu jej zeznań. Rozgrzewał się, przypominając fakty i policyjne raporty.

Po dwudziestu minutach zaczął prawdziwe przesłuchanie.

- Paliła pani marihuanę, prawda?

- Taaak - odparła Chamique.

- Czy paliła ją pani w noc rzekomej napaści?

- Nie.

- Nie. - Flair przycisnął dłoń do piersi, jakby ta odpowiedź wstrząsnęła nim go głębi. -

Hmmm. Czy spożywała pani napoje wysokokowe?

- Czy co?

- Czy piła pani jakiś alkohol? Piwo lub wino?

- Nie.

- Nic?

- Nic.

- Hmmm. A co z innymi drinkami? Na przykład gazowanymi?

Miałem zamiar zgłosić sprzeciw, ale przecież chciałem, aby w miarę możliwości odpowiadała na wszystkie pytania.

- Wypiłam trochę ponczu - powiedziała Chamique.

- Ponczu, rozumiem. Bezalkoholowego?

- Tak mi powiedzieli.

- Kto tak powiedział?

- Oni.

- Jacy oni? Zastanowiła się.

- Jerry.

- Jerry Flynn?

- Tak.

- I kto jeszcze?

- Słucham?

- Powiedziała pani „oni”. Liczba mnoga. Czyli więcej niż jeden. Jerry Flynn to jeden człowiek. Kto jeszcze mówił pani, że ten poncz, który pani spożyła... Przy okazji, ile szklanek?

- Nie wiem.
- Więcej niż jedną.
- Tak podejrzewam.
- Proszę nie podejrzewać, panno Johnson. Powiedziałaaby pani, że więcej niż jedną?
- Zapewne tak.
- Więcej niż dwie?
- Nie wiem.
- Jednak to możliwe?
- Taaak, możliwe.
- Zatem może więcej niż dwie. Więcej niż trzy?
- Nie sędzę.
- Jednak nie jest pani pewna. Chamique wzruszyła ramionami.
- Musi pani powiedzieć to głośno.
- Nie sędzę, żebym wypięła trzy. Zapewne dwie. Może nawet nie tyle.
- I jedyną osobą, która powiedziała pani, że ten poncz jest bezalkoholowy, był Jeny Flynn.

Zgadza się?

- Tak sędzę.
- Przedtem mówiła pani „oni”, jakby mówił to nie tylko on jeden. Teraz jednak mówi pani o jednej osobie. Zmienia pani zeznania?

Wstałem.

- Sprzeciw.

Flair machnął ręką.

- Ma rację, to drobiazg, idźmy dalej. - Odkasznął i oparł prawą dłoń na biodrze. - Czy tamtej nocy zażywała pani jakieś narkotyki?

- Nie.

- Nawet, powiedzmy, nie zaciągnęła się pani papierosem z marihuaną?

Chamique pokręciła głową i przypomniawszy sobie, że musi to powiedzieć, nachyliła się do mikrofonu.

- Nie - powiedziała.

- Hmm, dobrze. Zatem kiedy ostatnio zażywała pani jakieś środki odurzające?

Znów wstałem.

- Sprzeciw. Określenie „środki odurzające” może obejmować cokolwiek: aspirynę, tylenol...

Flair zrobił rozbawioną minę.

- Można by sądzić, że wszyscy tu wiedzą, o czym mówię.

- Wolałbym, żeby pan to uściślił.

- Panno Johnson, mówię o niedozwolonych środkach odurzających. Takich jak marihuana.

Czy kokaina. Albo LSD lub heroina. O czymś takim. Rozumie pani?

- Tak, tak sądzę.

- Zatem kiedy ostatni raz zażywała pani jakieś niedozwolone środki odurzające?

- Nie pamiętam.

- Mówiła pani, że nie zażywała pani nic podczas przyjęcia.

- Zgadza się.

- A poprzedniego wieczoru?

- Nie.

- A dzień wcześniej?

Chamique poruszyła się niespokojnie i kiedy zaprzeczyła, sam nie byłem pewien, czy jej wierzę.

- Zobaczmy, czy uda nam się to ustalić dokładniej. Pani syn ma piętnaście miesięcy, czy tak?

- Tak.

- Czy od jego narodzin zażywała pani jakieś niedozwolone środki odurzające.

- Taaak - odpowiedziała cicho.

- Może nam pani powiedzieć, jakiego rodzaju?

Ponownie wstałem.

- Sprzeciw. Pytanie bez związku ze sprawą. Co za różnica, kiedy panna Johnson w przeszłości zażywała środki odurzające. Nikt temu nie przeczy. To wcale nie czyni mniej okropnym tego, co zrobili klienci pana Hickory'ego.

Sędzia spojrzął na Flaira.

- Panie Hickory?

- Uważamy, że panna Johnson jest narkomanką. Uważamy, że tamtej nocy była odurzona i sąd powinien mieć to na względzie, oceniając jej zeznania.

- Panna Johnson już zeznała, że tamtej nocy nie zażywała żadnych środków odurzających ani nie spożywała żadnych... Napojów wysokowych - dokończyłem z sarkastycznym uśmiechem.

- A ja - rzekł Flair - mam prawo podać w wątpliwość jej pamięć. Ten poncz był zaprawiony alkoholem. Przesłucham pana Flynną, który zezna, że powódka wiedziała o tym, kiedy go piła. Chcę również dowiedzieć, że ta kobieta zażywa środki odurzające, nawet będąc matką małego dziecka...

- Wysoki Sądzie! - Krzyknąłem.

- Dobrze, dość tego. - Sędzia uderzył młotkiem w stół. - Możemy przejść do następnych pytań, panie Hickory?

- Możemy, Wysoki Sądzie.

Usiadłem. Mój sprzeciw był niepotrzebny. Sprawiałem wrażenie, jakbym próbował przeszkadzać i co gorsza, dał Flairowi okazję do wygłoszenia kolejnych uwag. Moją strategią było milczenie. Złamałem narzuconą sobie dyscyplinę, co nas sporo kosztowało.

- Panno Johnson, oskarża pani tych chłopców o to, że panią zgwałcili, zgadza się?

Znów wstałem.

- Sprzeciw. Świadek nie jest prawnikiem i nie zna się na prawnych definicjach. Powiedziała, co jej zrobili. Znalezienie odpowiedniego terminu to zadanie sądu.

Flair znów zrobił rozbawioną minę.

- Nie pytam jej o prawną definicję. Jestem ciekaw, jak to nazywa.

- Dlaczego? Chce pan sprawdzić jej zasób słownictwa?

- Wysoki Sądzie - powiedział Flair - czy mogę przesłuchać tego świadka?

- Może wyjaśni pan, o co panu chodzi, panie Hickory?

- Świetnie, inaczej sformułuję pytanie. Panno Johnson, rozmawiając z przyjaciółkami, powie im pani, że została zgwałcona?

Zastanowiła się.

- Tak.

- Uhm. Niech mi pani powie, panno Johnson, czy zna pani jakąś inną osobę, która twierdzi, że została zgwałcona?

Znów ja:

- Sprzeciw. Nieistotne.

- Zezwalam.

Flair stał przy Chamique.

- Może pani odpowiedzieć - powiedział, jakby chciał jej pomóc.

- Tak.

- Kogo?

- Parę dziewczyn, z którymi pracuję.

- Ile?

Spojrzała w górę, jakby próbowała policzyć.

- Pamiętam o dwóch.

- To striptizerki czy prostytutki?

- Jedno i drugie.

- Jedna z nich czy...

- Nie, obie robią jedno i drugie.

- Rozumiem. Padły ofiarami tych przestępstw w trakcie pracy czy w swoim wolnym czasie?

Znów wstałem.

- Wysoki Sądzie, naprawdę dość tego. Jaki to ma związek ze sprawą?

- Mój szanowny kolega ma rację - rzekł Flair, wskazując na mnie. - Kiedy ma rację, to ją ma. Wycofuję pytanie.

Uśmiechnął się do mnie. Usiadłem powoli, z najwyższą niechęcią.

- Panno Johnson, czy pani zna jakichś gwałcicieli? Znowu wstałem.

- Ma pan na myśli kogoś poza pańskimi klientami?

Flair tylko na mnie spojrzał, a potem odwrócił się do sędziów przysięgłych, jakby chciał powiedzieć: „No nie, czy to nie był cios poniżej pasa”? Powiem prawdę: był.

- Nie rozumiem, o co pan pyta - powiedziała Chamique.

- Nieważne, moja droga - powiedział Flair, jakby jej odpowiedź go nie interesowała. -

Wrócę do tego później.

Nienawidzę, kiedy tak mówi.

- Czy w trakcie tej rzekomej napaści moi klienci, pan Jenrette i pan Marantz, nosili maski?

- Nie.

- Czy mieli na sobie jakieś przebrania?

- Nie.

- Czy próbowali ukryć swoje twarze?

- Nie.

Flair Hickory pokręcił głową, jakby to była najdziwniejsza rzecz, jaką słyszał w życiu.

- I według pani zeznania została pani złapana i wbrew pani woli zaciągnięta do pokoju.

Zgadza się?

- Tak.

- Do pokoju zajmowanego przez pana Jenrette'a i pana Marantza?

- Tak.

- Nie napadli na panią na zewnątrz, w ciemności, czy innym miejscu, którego nie można by z nimi powiązać. Zgadza się?

- Tak.

- Dziwne, nie uważa pani?

Już miałem zgłosić sprzeciw, ale zmieniłem zdanie.

- Tak więc zeznała pani, że dwaj mężczyźni zgwałcili panią, że nie nosili masek ani nie próbowali ukryć swojej tożsamości, że wręcz pokazali pani swoje twarze i zrobili to we własnym pokoju, i co najmniej jeden świadek widział, jak wciągnęli panią do środka. Zgadza się?

W myślach błagałem Chamique, żeby jej głos nie zabrzmiał teraz słabo. Nie zabrzmiał.

- Zgadza.

- A jednak, z jakiegoś powodu... - Flair znów udał niepomierne zdumienie - używali pseudonimów?

Nie odpowiedziała. Dobrze.

Flair Hickory nadal kręcił głową, jakby ktoś żądał, by uwierzył, że dwa dodać dwa równa się pięć.

- Pani napastnicy używali imion Cal i Jim zamiast swoich własnych. Tak pani zeznała, panno Johnson?

- Tak.

- Czy to ma dla pani jakiś sens?

- Sprzeciw - powiedziałem. - Cała ta brutalna zbrodnia nie ma dla niej sensu.

- Och, doskonale to rozumiem - zapewnił Flair Hickory. - Miałem tylko nadzieję, że skoro tam była, panna Johnson może mieć jakąś teorię wyjaśniającą, dlaczego pokazali jej swoje twarze

i napadli na nią we własnym pokoju, ale używali pseudonimów. - Uśmiechnął się słodko. - Ma pani jakąś, panno Johnson?

- Czy co mam?

- Teorię tłumaczącą, dlaczego dwaj chłopcy o imionach Edward i Barry nazywali siebie Jim i Cal?

- Nie mam.

Flair Hickory wrócił do swojego stolika.

- Wcześniej zapytałem panią, czy zna pani jakichś gwałcicieli. Pamięta pani to?

- Tak.

- Dobrze. Zna pani?

- Nie sądzę.

Flair skinął głową i podniósł kartkę.

- A co ze skazanym za napaść seksualną mężczyzną, obecnie odsiadującym karę więzienia w Rahway, niejakim - proszę o uwagę, panno Johnson - Jimem Broadwayem?

Chamique zrobiła wielkie oczy.

- Mówi pan o Jamesie?

- Mówię o Jimie - czy Jamesie, jeśli tak pani woli - Broadwayu, który mieszkał przy tysiąc sto osiemdziesiąt dziewięć Central Avenue w mieście Newark, w New Jersey. Zna go pani?

- Tak - powiedziała cicho. - Kiedyś znałam.

- Wiedziała pani, że obecnie przebywa w więzieniu?

Wzruszyła ramionami.

- Znam wielu facetów, którzy teraz siedzą w więzieniu.

- Jestem pewien, że tak. - Po raz pierwszy w głosie Flaira zabrzmiał zgryźliwy ton. - Ale nie o to pytałem. Pytałem, czy wiedziała pani, że Jim Broadway przebywa w więzieniu.

- On nie ma na imię Jim, tylko James i...

- Zapytam jeszcze raz, panno Johnson, a potem poproszę sąd, żeby zażądał od pani odpowiedzi...

Wstałem.

- Sprzeciw. To nękanie świadka.

- Oddalam. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Coś o tym słyszałam - powiedziała Chamique zgnębionym głosem.

Flair westchnął dramatycznie.

- Tak czy nie, panno Johnson? Czy wiedziała pani, że Jim Broadway odsiaduje obecnie wyrok w więzieniu stanowym?

- Tak.

- No widzi pani. Czy to było takie trudne?

Znów ja:

- Wysoki Sądzie...

- Nie ma potrzeby dramatyzować, panie Hickory. Proszę dalej - rzekł sędzia.

Flair Hickory wrócił do swojego krzesła.

- Czy uprawiała pani kiedyś seks z Jimem Broadwayem?

- On ma na imię James! - Powtórzyła Chamique.

- Może więc w trakcie tej rozmowy nazywajmy go panem Broadwayem, dobrze? Czy uprawiała pani kiedyś seks z panem Broadwayem?

Nie mogłem nie zareagować.

- Sprzeciw. Jej życie seksualne nie ma związku ze sprawą. Prawo mówi o tym jasno.

Sędzia Pierce spojrział na Flaira.

- Panie Hickory?

- Nie próbuję zepsuć reputacji panny Johnson ani implikować, że jest kobietą swobodnych obyczajów - rzekł Flair. - Strona przeciwna już bardzo wyraźnie wyjaśniła, że panna Johnson pracowała jako prostytutka i utrzymywała kontakty seksualne z wieloma mężczyznami.

Kiedy nauczę się trzymać język za zębami?

- Usiłuję dowieść czegoś innego i nie zamierzam wprawiać powódki w zakłopotanie. Przyznała, że uprawiała seks z mężczyznami. Fakt, że pan Broadway może być jednym z nich, bynajmniej nie oznacza, że przypinamy jej szkarłatną literę na piersi.

- To szkodzi jej wizerunkowi - skontrolowałem.

Flair spojrział na mnie, jakbym urwał się z choinki.

- Właśnie wyjaśniłem, dlaczego tak nie jest. Jednak w istocie, Chamique Johnson oskarżyła dwóch młodych ludzi o bardzo poważne przestępstwo. Zeznała, że zgwałcił ją mężczyzna imieniem Jim. Pytam, jasno i zrozumiale, czy uprawiała kiedyś seks z panem Jimem Broadwayem - albo Jamesem, jeśli tak woli - który obecnie odsiaduje w więzieniu stanowym wyrok za napaść seksualną?

Teraz widziałem, do czego to zmierza. Niedobrze.

- Zezwalam - powiedział sędzia.

Usiadłem.

- Panno Johnson, czy utrzymywała pani kontakty seksualne z panem Broadwayem?

Po policzku spłynęła jej łza.

- Tak.

- Więcej niż jeden raz?

- Tak.

Wyglądało na to, że Flair zamierza pytać o szczegóły, ale był zbyt sprytny i nie chciał przesadzić. Odrobinę zmienił kierunek ataku.

- Była pani kiedyś pijana lub odurzona, uprawiając seks z panem Broadwayem?

- Mogłam być.

- Tak czy nie?

Jej głos był cichy, ale stanowczy. I słysząc było w nim gniew.

- Tak. Rozpłakała się.

Wstałem.

- Proszę o krótką przerwę, Wysoki Sądzie. Zanim sędzia zdążył zareagować, Flair rzucił bombę.

- Czy jakiś inny mężczyzna uczestniczył w pani kontaktach seksualnych z Jimem Broadwayem?

Na sali wybuchła wrzawa.

- Wysoki Sądzie! - Krzyknąłem

- Spokój! - Sędzia walił młotkiem w stół. - Spokój!

W sali szybko zrobiło się cicho. Sędzia Pierce zmierzył mnie wzrokiem.

- Wiem, jak trudno tego słuchać, ale zamierzam zezwolić na to pytanie. - Zwrócił się do Chamique: - Proszę odpowiedzieć.

Sądowy stenograf ponownie odczytał pytanie. Chamique siedziała i pozwoliła, by łzy płynęły jej po policzkach. Kiedy stenograf skończył czytać, Chamique powiedziała „nie”.

- Pan Broadway zeznał, że...

- Pozwolił jakiemuś swojemu przyjacielowi patrzeć! - Krzyknęła Chamique. - To wszystko. Nigdy nie pozwoliłam mu się dotknąć. Słyszycie? Nigdy!

Na sali zapadła cisza. Starąłem się trzymać głowę prosto i mieć otwarte oczy.

- A więc - rzekł Flair Hickory - uprawiała pani seks z mężczyzną o imieniu Jim...

- James! Ma na imię James!

- ...A w pokoju był jeszcze jeden mężczyzna, a mimo to nie wie pani, skąd wzięły się imiona Jim i Cal?

- Nie znam żadnego Cala. A Broadway ma na imię James.

Flair Hickory przysunął się do niej. Teraz miał zatroskaną minę, jakby wyciągał do niej pomocną dłoń.

- Jest pani pewna, że nie wyobraziła pani sobie tego wszystkiego, panno Johnson?

Mówił to tonem lekarza z telewizyjnej poradni medycznej. Otarła łzy.

- Tak, panie Hickory. Jestem pewna. Cholernie pewna.

Jednak Flair nie ustępował.

- Wcale nie twierdzę, że pani kłamie - ciągnął i z trudem powstrzymałem się od zgłoszenia sprzeciwu - ale czy nie mogło tak być, że wypita pani za dużo ponczu - nie ze swojej winy, oczywiście, skoro myślała pani, że jest bezalkoholowy - a potem uprawiała pani seks i po prostu nałożyły się pani wspomnienia z innego okresu? Czy to nie tłumaczyłoby, dlaczego upiera się pani, że ci dwaj mężczyźni, którzy panią zgwałcili, to byli Jim i Cal?

Zerwałem się, żeby powiedzieć, że to są dwa pytania, ale Flair i tym razem dobrze wiedział, co robi.

- Wycofuję pytanie - powiedział, jakby to była najsmutniejsza rzecz dla wszystkich zainteresowanych. - Nie mam więcej pytań.

13

Czekając na Sylvie Potter, Lucy próbowała wyszukać przez Google człowieka, którego nazwisko znajdowało się w wykazie gości Iry: Manolo Santiago. Było mnóstwo trafień, ale żadnego pomocnego. Nie był reporterem, a przynajmniej nic na to nie wskazywało. Kim więc był? I dlaczego odwiedził jej ojca?

Oczywiście mogła zapytać Irę. Jeśli coś pamiętał.

Minęły dwie godziny. Potem trzy i cztery. Zadzwoiła do pokoju Sylvii. Żadnej odpowiedzi. Spróbowała ponownie wysłać jej maila. Nic.

Niedobrze.

Skąd, do diabła, Sylvia Potter zna jej przeszłość?

Lucy zajrzała do spisu studentów. Sylvia Potter mieszkała w akademiku Stone House. Lucy postanowiła pójść tam i zobaczyć, czego zdoła się dowiedzieć.

Miasteczko uniwersyteckie ma szczególny charakter. Nie ma lepiej strzeżonego i chronionego obiektu, a chociaż łatwo na to narzekać, tak powinno być. Pewne organizmy lepiej rosną w próżni. Tutaj młodzi mogli czuć się bezpieczni - a dla starszych, takich jak ona i Lonnie, to miejsce stawało się kryjówką.

Stone House kiedyś był członkiem stowarzyszenia Psi U. Przed dziesięcioma laty uniwersytet rozwiązał wszystkie stowarzyszenia, nazywając je „antyintelektualnymi”. Lucy zgadzała się z poglądem, że stowarzyszenia mają wiele negatywnych cech i źle się kojarzą, ale rozwiązywanie ich uważała za zbyt radykalne i faszystowskie posunięcie. Przed sądem właśnie toczyła się sprawa o gwałt popełniony przez członków stowarzyszenia z pobliskiego college'u. Jednak gdyby nie było stowarzyszeń, zawsze znalazłaby się jakaś drużyna lacrosse, grupka budowlańców w lokalu ze striptizem lub rozochoconych rockersów w nocnym klubie. Nie wiedziała, jak rozwiązać ten problem, ale na pewno nie przez likwidację każdej organizacji, która się nie podoba.

Karać przestępstwa, pomyślała, nie wolność.

Fasada budynku nadal była piękna, ze starych cegieł. Wnętrze pozbawiono wszelkiej

indywidualności. Znikły opiewane w dawnych opowieściach tapety, drewniane boazerie i mahoniowe meble, zastąpione monotonną bielą i beżem oraz wszystkim co neutralne. Szkoda.

Wokół kręcili się studenci. Jej wejście przyciągnęło kilka spojrzeń, ale niewiele. Dudniły zestawy stereo - a raczej chyba głośniki iPodów. Drzwi były pootwierane na oścież. Na ścianie zobaczyła plakaty z Che. Może jest bardziej podobna do ojca, niż myślała. Miasteczka uniwersyteckie również utknęły w latach sześćdziesiątych. Może zmieniała się moda i muzyka, ale duch pozostał.

Wybrała główne schody, również odarte ze swych oryginalnych cech. Sylvia Potter mieszkała w jednoosobowym pokoju na pierwszym piętrze. Lucy znalazła jej drzwi. Wisiała na nich jedna z tych łatwo ścieralnych tablic, na których można pisać mazakiem, ale nie było na niej żadnych notatek. Wisiała idealnie równo, na samym środku. Na górze imię Sylvii było napisane charakterem pisma zawodowego kaligrafa. Obok imienia znajdował się różowy kwiatek. Te drzwi wydawały się tu nie na miejscu, jakby wzięte z innego wymiaru i czasu.

Lucy zapukała. Nikt nie odpowiedział. Spróbowała przekreślić klamkę. Drzwi były zamknięte. Zastanawiała się, czy zostawić wiadomość na tablicy - w końcu po to ona była - ale nie chciała psuć tej idealnie czystej powierzchni. Ponadto wyglądałoby to trochę rozpaczliwie. Już dzwoniła. Wysłała maila. Przychodząc tu, posunęła się za daleko.

Zaczęła schodzić po schodach, gdy otworzyły się frontowe drzwi Stone House. Weszła Sylvia Potter. Zobaczyła Lucy i zeszywniała. Lucy pokonała resztę schodów i stanęła przed nią. Nic nie powiedziała, próbując napotkać jej spojrzenie. Sylvia patrzyła wszędzie, tylko nie na nią.

- Och, cześć, pani profesor Gold - rzuciła.

Lucy milczała.

- Przepraszam, ale zajęcia się przeciągnęły. A poza tym muszę skończyć wypracowanie na jutro. Pomyślałam, że jest późno i poszła pani do domu, więc zaczekam do jutra.

Paplała. Lucy pozwoliła jej na to.

- Czy mam przyjść jutro? - Zapytała Sylvia.

- A masz czas teraz?

Sylvia udała, że spogląda na zegarek.

- Naprawdę mam tyle roboty z tym wypracowaniem. Czy to nie może poczekać do jutra?

- Dla kogo jest to wypracowanie?

- Co?

- Który profesor zadał ci to wypracowanie, Sylvio? Jeśli zajmę ci zbyt dużo czasu, napiszę ci usprawiedliwienie.

Dziewczyna zamilkła.

- Możemy pójść do twojego pokoju - zaproponowała Lucy - i tam porozmawiać.

Sylvia w końcu spojrzała jej w oczy.

- Pani profesor?

Lucy czekała.

- Nie sędzę, żebym chciała z panią rozmawiać.

- Chodzi o twoją pracę.

- Mój...? - Pokręciła głową. - Przecież wysłałam ją anonimowo. Skąd pani wie, która jest moja?

- Sylvio...

- Mówiła pani! Obiecała! Prace miały być anonimowe. Tak pani mówiła.

- Wiem, co mówiłam..

- W jaki sposób...? - Wyprostowała się. - Nie chcę z panią rozmawiać.

- Musisz - powiedziała stanowczo Lucy.

Jednak Sylvia się nie ugięła.

- Nie, nie muszę. Nie zdoła mnie pani zmusić. I... Mój Boże, jak mogła pani to zrobić?

Powiedzieć nam, że to anonimowe i poufne, a teraz...

- To naprawdę ważne.

- Nie, wcale nie. Nie muszę z panią rozmawiać. A jeśli komuś pani o tym powie, poskarżę się dziekanowi. Wyrzucą panią z pracy.

Inni studenci zaczęli się na nie gapić. Lucy traciła kontrolę nad sytuacją.

- Proszę, Sylvio, muszę wiedzieć...

- Nie!

- Sylvio...

- Niczego nie muszę mówić! Zostaw mnie w spokoju!

Sylvia Potter odwróciła się, otworzyła drzwi i uciekła.

14

Po tym, jak Flair Hickory skończył przesłuchiwać Chamique, spotkałem się w moim biurze z Loren Muse.

- Uuu - sapnęła Loren - to było paskudne.

- Zajmij się tym imieniem - powiedziałem.

- Jakim imieniem?

- Dowiedz się, czy ktokolwiek nazywał Broadwaya Jimem, czy też, jak twierdzi Chamique, używał tylko imienia James.

Muse ściągnęła brwi.

- Myślisz, że to coś pomoże?

- Na pewno nie zaszkodzi.

- Nadal jej wierzysz?

- Daj spokój, Muse, przecież Hickory puszcza nam dym w oczy.

- Nieźle mu to wychodzi.

- Twoja przyjaciółka Cingle dowiedziała się czegoś?

- Jeszcze nie.

Dzięki Bogu, sędzia ogłosił przerwę do następnego dnia. Flair rozłożył mnie na łopatki. Wiem, że tu ma chodzić o sprawiedliwość, a nie rywalizację czy coś takiego, ale bądźmy szczerzy.

Cal i Jim wrócili, silniejsi niż przedtem.

Zadzwoił mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Nieznany numer. Przyłożyłem aparat do ucha.

- Halo?

- Mówi Raya.

Raya Singh. Piękna hinduska kelnerka. Nagle zaschło mi w gardle.

- Jak się pani ma?

- Świetnie.

- Przypomniała pani sobie coś?

Muse spojrzała na mnie. Próbowałem odpowiedzieć jej spojrzeniem mówiącym, że to prywatna rozmowa. Jak na inspektora, Muse potrafi być mało domyślna. Może celowo.

- Pewnie powinnam powiedzieć o tym wcześniej - powiedziała Raya Singh.

Czekałem.

- Jednak pan pojawił się tak nagle. Byłam zaskoczona. Nadal nie wiem, czy dobrze robię.

- Panno Singh?

- Proszę mówić mi Raya.

- Rayo, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Właśnie dlatego zapytałam, po co naprawdę pan przyszedł. Pamięta pan?

- Tak.

- Czy wie pan, dlaczego zapytałam... O to, po co naprawdę pan przyszedł?

Zastanowiłem się i wybrałem szczerłość:

- Z powodu nieprofesjonalnego sposobu, w jaki się na panią gapiłem?

- Nie.

- No dobrze, poddaję się. Dlaczego pani zapytała? A skoro o tym mowa, to czemu spytała pani, czy go zabiłem?

Muse uniosła brew. Nie przejąłem się tym. Raya Singh nie odpowiedziała.

- Panno Singh? - A potem: - Rayo?

- Ponieważ on wymienił pańskie nazwisko. Pomyślałem, że się przesłyszałem, więc zapytałem głupio:

- Kto wymienił moje nazwisko?

W jej głosie usłyszałem nutkę zniecierpliwienia.

- A o kim mówimy?

- Manolo Santiago wymienił moje nazwisko?

- Tak, oczywiście.

- Nie sądzi pani, że powinna powiedzieć mi o tym wcześniej?

- Nie wiedziałam, czy mogę panu ufać.

- A co sprawiło, że zmieniła pani zdanie?

- Sprawdziłam pana w Internecie. Naprawdę jest pan prokuratorem okręgowym.

- Co mówił o mnie Santiago?

- Powiedział, że skłamał pan w pewnej sprawie.

- Jakiej?

- Nie wiem.

Naciskałem dalej:

- Do kogo to mówił?

- Do jakiegoś mężczyzny. Nie znam jego nazwiska. Ponadto w swoim mieszkaniu miał o panu wycinki z gazet.

- W swoim mieszkaniu? Wydawało mi się, że powiedziała pani, że nie wie, gdzie mieszkał.

- Wtedy panu nie ufałam.

- A teraz pani ufa?

Nie odpowiedziała wprost.

- Proszę zabrać mnie z restauracji za godzinę - powiedziała Raya Singh - to pokażę panu, gdzie mieszkał Manolo.

15

Kiedy Lucy wróciła do swojego gabinetu, Lonnie siedział tam, trzymając w dłoniach kartki papieru.

- Co to takiego? - Zapytała.

- Kolejna część tekstu.

Z trudem powstrzymała chęć wyrwania mu ich z rąk.

- Znalazłaś Sylwię? - Zapytał.

- Tak.

- I co?

- Wściekła się na mnie i nie chciała ze mną rozmawiać.

Lonnie odchylił się na krześle i położył nogi na biurku.

- Chcesz, żebym ja spróbował?

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Lonnie posłał jej zabójczy uśmiech.

- Potrafię być bardzo przekonujący.

- Chcesz się wychylić, żeby mi pomóc?

- Jeśli muszę.

- Martwiłabym się o twoją reputację. - Usiadła i zabrała mu kartki. - Czytałeś to już?

- Yhm.

Tylko skinęła głową i zaczęła czytać.

P. wyrwał się z moich ramion i pomknął tam, skąd dochodził krzyk.

Wołałam za nim, ale się nie zatrzymał. Po dwóch sekundach jakby noc pochłonęła go całego. Próbowałam za nim iść, jednak było ciemno. Powinnam znać te lasy lepiej niż P. To był jego pierwszy rok tutaj.

Krzyczała jakaś dziewczyna. Tylko tyle wiedziałam. Szłam przez las. Już nie wołałam P. Z jakiegoś powodu bałam się krzyczeć. Chciałam odnaleźć P., ale nie chciałam, by ktoś wiedział, gdzie jestem. Wiem, że to nie brzmi sensownie, ale tak wtedy czułam.

Bałam się.

Świecił księżyc. Blask księżycyca w lesie zmienia barwy wszystkiego. Jak jedna z tych lamp, które miał mój ojciec. Nazywali je czarnymi lampami, chociaż tak naprawdę były purpurowe. Zmieniały barwy wszystkiego wokół nich. Jak księżyc.

Dlatego kiedy wreszcie zobaczyłam P. i dziwny kolor jego koszuli, w pierwszej chwili nie wiedziałam, co to jest. Nie rozpoznałam szkarłatnego koloru. W blasku księżycyca miał jasnoniebieską barwę. P. spojrzał na mnie. Miał szeroko otwarte oczy.

- Musimy iść - rzekł. - I nikomu nie możemy powiedzieć, że tu byliśmy...

Tylko tyle. Lucy przeczytała to jeszcze dwa razy. Potem odłożyła kartki. Lonnie przyglądał się jej.

- Zatem - rzekł, przeciągając to słowo - zakładam, że to ty jesteś narratorką tej opowieści?

- Co?

- Zastanawiałem się nad tym, Lucy, i przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie. To ty jesteś tą dziewczyną. Ktoś pisze o tobie.

- To śmieszne - prychnęła.

- Daj spokój, Luce. Mamy tutaj opowieści o kazirodztwie, wołające o pomstę do nieba. Nawet nie próbowaliśmy odszukać ich autorów. A teraz tak cię zdenerwowała ta opowieść o krzykach w lesie?

- Zostaw to, Lonnie.

Pokręcił głową.

- Przykro mi, kochana, to nie leży w mojej naturze. Nawet gdybyś nie była superbabką, której chcę się dobrać do majtek.

Nie fatygowała się odpowiedzią.

- Chciałbym ci pomóc, jeśli tylko mogę.

- Nie możesz.

- Wiem więcej, niż myślisz. Lucy spojrzała na niego.

- O czym ty mówisz?

- Tylko... Hm... Nie wściekniesz się na mnie?

Czekała.

- Trochę poszperałem w twojej przeszłości. Ścisnęło ją w dołku, ale nawet nie mrugnęła.

- Lucy Gold to nie jest twoje prawdziwe nazwisko. Zmieniłaś je.

- Skąd o tym wiesz?

- Daj spokój, Luce. Wiesz, jak łatwo odkryć to za pomocą komputera?

Nie odpowiedziała.

- Coś w tej pracy nie dawało mi spokoju - ciągnął. - Ta historia z letnim obozem. Byłem młody, ale pamiętam, że słyszałem o Letnim Rzeźniku. Teraz trochę posprawdzałem. - Spróbował posłać jej butny uśmiezek. - Powinnaś przywrócić włosom naturalny jasny kolor.

- To był trudny okres w moim życiu.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Dlatego zmieniałam nazwisko.

- Och, rozumiem. Twojej rodzinie mocno się oberwało. Chciałaś się od tego oderwać.

- Tak.

- A teraz, z jakiegoś dziwnego powodu, wszystko wraca.

Kiwnęła głową.

- Dlaczego? - Zapytał Lonnie.

- Nie wiem.

- Chciałbym pomóc.

- Jak powiedziałam, nie wiem, jak mógłbyś mi pomóc.

- Mogę cię o coś zapytać?

Wzruszyła ramionami.

- Trochę poszperałem. Wiesz, że kilka lat temu na Discovery Channel był specjalny program poświęcony tym morderstwom?

- Wiem.

- Nie mówili, że tam byłaś. No wiesz, tamtej nocy, w lasach.

Nic nie powiedziała.

- O co więc chodzi?

- Nie mogę o tym mówić.

- Kim jest P.? To Paul Copeland, prawda? Wiesz, że teraz jest prokuratorem okręgowym czy kimś takim?

Pokręciła głową.

- Nie ułatwiasz sprawy - zauważył.

Wciąż milczała.

- Dobrze - powiedział, wstając. - I tak ci pomogę.

- Jak?

- Sylvia Potter.

- Co z nią?

- Zmuszę ją do mówienia.

- Jak?

Lonnie skierował się do drzwi.

- Mam swoje sposoby.



Wracając do hinduskiej restauracji, pojechałem okrężną drogą i odwiedziłem grób Jane.

Sam nie wiem dlaczego. Nieczęsto to robię - może trzy razy w roku. Naprawdę nie czuję tam obecności mojej żony. Jej rodzice wybrali to miejsce na cmentarzu razem z nią. „To wiele dla nich znaczy”, wyjaśniła mi na łożu śmierci. I tak było. Pozwalało im się czymś zająć, szczególnie jej matce, i dawało złudzenie, że robią coś pożytecznego.

Ja nie przywiązywałem do tego wagi. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że Jane może umrzeć - nawet kiedy było źle, naprawdę źle, wciąż łudziłem się, że jakoś z tego wyjdzie. A dla mnie śmierć to śmierć, ostateczna granica, koniec, kres, po którym nie ma nic. Piękne trumny i zadbane groby, nawet tak wypielęgnowane jak Jane, tego nie zmieniają.

Zostawiłem samochód na parkingu i poszedłem alejką. Na jej grobie leżały świeże kwiaty. My, wyznawcy judaizmu, tego nie robimy. Kładziemy kamyk jako znak. Podoba mi się ten zwyczaj, chociaż nie wiem dlaczego. Kwiaty, tak żywe i kolorowe, wyglądały obscenicznie na tle szarego grobowca. Moja żona, moja piękna Jane, rozsypywała się w proch dwa metry poniżej tych świeżo ściętych lilii. Dla mnie to było jak zniewaga.

Usiadłem na betonowej ławce. Nie mówiłem do niej. Koniec był okropny. Jane cierpiała. Patrzyłem na to. Przynajmniej przez jakiś czas. Mieliśmy hospicjum, ale Jane chciała umrzeć w domu, więc była utrata wagi, odór rozkładu i jęki. Dźwięk, który najlepiej pamiętam, który wciąż nawiedza mnie we snach, to ten okropny kaszel, a właściwie rżenie, gdy Jane nie mogła wypluć flegmy i tak bardzo się męczyła, i trwało to całe miesiące, a ja próbowałem być silny, ale nie byłem tak silny jak Jane i ona o tym wiedziała.

Był taki okres na początku naszej znajomości, kiedy wiedziała, że mam wątpliwości. Straciłem siostrę. Zostawiła mnie matka. A teraz, po raz pierwszy od wielu lat, pozwalałem

jakiejś kobiecie wkroczyć w moje życie. Pamiętam, jak pewnej nocy długo nie mogłem zasnąć i patrzyłem w sufit, a Jane spała obok mnie. Pamiętam, że słyszałem jej głęboki oddech, tak słodki, doskonały i odmienny od tego, jakim był na końcu. Zaczęła oddychać płycej, powoli się budząc. Objęła mnie i przytuliła się.

- Nie jestem taka jak ona - powiedziała cicho, jakby czytała w moich myślach. - Nigdy cię nie opuszczę.

Jednak w końcu to zrobiła.

Po jej śmierci chodziłem na randki. Nawet nawiązałem kilka dość emocjonalnie bliskich znajomości. Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdę kogoś i ponownie się ożenię. Jednak teraz, myśląc o tamtej nocy w naszym łóżku, uświadomiłem sobie, że to zapewne nigdy się nie zdarzy.

„Nie jestem taka jak ona”, powiedziała moja żona.

Oczywiście myślała o mojej matce.

Spojrzałem na nagrobek. Przeczytałem imię mojej żony. Kochająca matka, córka i żona. Po bokach coś jak anielskie skrzydła. Wyobraziłem sobie teściów wybierających odpowiedni wzór, dostatecznie dużą wielkość anielskich skrzydeł, wszystko. Wykupili miejsce obok Jane, nie mówiąc mi o tym. Pewnie jeśli powtórnie się nie ożenię, będzie moje. W przeciwnym razie, cóż, nie wiem, co moi teściowie z nim zrobią.

Chciałem poprosić Jane o pomoc. Chciałem prosić, żeby poszukała mojej siostry tam, gdzie teraz jest, i dała mi jakoś znać, czy Camille jest żywa czy martwa. Uśmiechałem się jak idiota. Potem przestałem.

Jestem pewien, że nie uchodzi rozmawiać przez telefon komórkowy na cmentarzu. Jednak nie sądziłem, żeby Jane miała coś przeciwko temu. Wyjąłem telefon z kieszeni i znów nacisnąłem guzik z numerem sześć.

Sosh odebrał po pierwszym sygnale.

- Chcę cię prosić o przysługę - powiedziałem.

- Mówiłem ci. Nie przez telefon.

- Znajdź moją matkę, Sosh.

Milczenie.

- Możesz to zrobić. Proszę. Ze względu na pamięć mojego ojca i siostry. Znajdź moją matkę.

- A jeśli nie mogę?

- Możesz.
- Twoja matka odeszła dawno temu.
- Wiem.
- Czy wziąłeś pod uwagę możliwość, że ona nie chce zostać odnaleziona?
- Wziąłem.
- I co?
- I nic. Nie zawsze dostajemy to, co chcemy. Dlatego znajdź ją dla mnie, Sosh. Proszę. Rozłączyłem się. Ponownie spojrzałem na nagrobek mojej żony.
- Tęsknimy za tobą - powiedziałem głośno. - Cara i ja. Bardzo, bardzo za tobą tęsknimy. Potem wstałem i poszedłem do samochodu.

16

Raya Singh czekała na mnie na parkingu restauracji. Zmieniła kaftanik kelnerki na dzinsy i ciemnoniebieską bluzkę. Włosy miała związane w kucyk. Efekt był nie mniej oszałamiający. Pokręciłem głową. Dopiero co byłem na grobie żony, a teraz pożądliwie podziwiałem urodę młodej kobiety.

Dziwny jest ten świat.

Wślizgnęła się na fotel pasażera. Pachniała wspaniale.

- Dokąd? - Zapytałem.

- Wie pan, jak przebiega droga numer siedemnaście?

- Tak.

- No to na północ. Wyjechałem z parkingu.

- Może wreszcie usłyszę prawdę?

- Wcale pana nie okłamałam - odparła. - Po prostu postanowiłam nie mówić wszystkiego.

- Wciąż pani twierdzi, że poznała Santiaga na ulicy?

- Bo tak było. Nie uwierzyłem jej.

- Słyszała pani, żeby kiedyś wymienił nazwisko Perez?

Nie odpowiedziała.

- Gil Perez? - Naciskałem.

- Zjazd na siedemnastkę jest po prawej.

- Wiem, gdzie jest ten zjazd, Rayo.

Zerknąłem na jej idealny profil. Patrzyła przed siebie, wyglądała boleśnie pięknie.

- Opowiedz mi o tym, jak wymienił moje nazwisko.

- Już mówiłam.

- Powiedz jeszcze raz.

Zrobiła powolny, głęboki wdech. Na moment zamknęła oczy.

- Manolo powiedział, że pan kłamie.

- Kłamię na temat czego?

- Czegoś związanego... - Zawahała się. - Czegoś związanego z lasami, puszczą czy czymś takim.

Serce zaczęło mi bić mocniej.

- Tak powiedział? Coś o lasach czy puszczy?

- Tak.

- Jakich dokładnie użył słów?

- Nie pamiętam.

- Proszę spróbować sobie przypomnieć.

- Paul Copeland skłamał o tym, co zdarzyło się w tych lasach - powiedziała i przechyliła głowę na bok. - Och, chwileczkę...

Czekałem.

Potem powiedziała coś, przez co o mało nie zjechałem z szosy.

- Lucy.

- Co?

- To było drugie imię, jakie wymienił. Powiedział: „Paul Copeland skłamał o tym, co zdarzyło się w tych lasach. Lucy też”.

Teraz z kolei ja zamilkłem.

- Paul, kim jest ta Lucy?



Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu. Pogrążyłem się w rozmyślaniach o Lucy. Próbowałem sobie przypomnieć dotyk jej pszenicznych włosów, ich cudowny zapach. Jednak nie mogłem. W tym rzecz. Wspomnienia były zamglone. Nie mogłem sobie przypomnieć, co było rzeczywistością, a co jedynie wytworem mojej wyobraźni. Pamiętałem zauroczenie. Pamiętałem pożądanie. Oboje byliśmy młodzi, niezdarni, niedoświadczeni, lecz to było jak z piosenki Boba Segera, a może *Bat Out of Hell* Meat Loafa. Boże, to pożądanie. Jak to się zaczęło? I kiedy zmieniło się w coś zbliżonego do miłości?

Letnie romanse zwykle się kończą. W tym rzecz. Są jak niektóre rośliny lub owady, żyjące przez jeden sezon. Myślałem, że z Luce i ze mną będzie inaczej. I pewnie było, ale nie w taki sposób, jak sądziłem. Naprawdę wierzyłem, że nigdy się nie rozstaniemy.

Młodzi są tacy niemądrzy.

Kawalerka AmeriSuites znajdowała się w Ramsey w stanie New Jersey. Raya miała klucz.

Otworzyła drzwi mieszkania na drugim piętrze. Opisałbym wam wystrój, ale nie było czego opisywać. Pokój miał osobowość... No cóż, kawalerki przy drodze numer siedemnaście w północnym New Jersey.

Kiedy weszliśmy do środka, Raya głośno wciągnęła powietrze.

- Co się stało? - Zapytałem.

Omiotła spojrzeniem pokój.

- Na tym stole były tony papierów - powiedziała. - Teczki, gazety, długopisy, ołówki.

- Teraz nic nie ma. Raya otworzyła szufladę.

- Jego ubrania też znikły.

Dokładnie przeszukaliśmy mieszkanie. Zniknęło wszystko - nie było żadnych papierów, teczek, wycinków z gazet, nawet szczoteczki do zębów czy innych osobistych drobiazgów, nic. Raya usiadła na kanapie.

- Ktoś tu był i sprzątnął mieszkanie.

- Kiedy była tu pani ostatni raz?

- Trzy dni temu.

Ruszyłem do drzwi.

- Chodźmy.

- Dokąd pan idzie?

- Zamierzam porozmawiać z kimś z administracji.

Tam jednak pracował młody chłopak. Praktycznie nic nie wiedział. Lokator podpisał umowę jako Manolo Santiago. Płacił gotówką i depozyt też złożył w gotówce. Pokój był opłacony do końca miesiąca. I nie, chłopak nie pamiętał, jak pan Santiago wyglądał ani niczego, co się z nim wiązało. Na tym właśnie polega problem z tego rodzaju mieszkaniami. Nie wchodzi się do nich przez hol. Łatwo być anonimowym.

Wróciliśmy z Rayą do pokoju Santiaga.

- Mówiła pani, że były tu jakieś papiery?

- Tak.

- Co w nich było?

- Nie zaglądałam.

- Raya...

- Co?

- Będę szczerzy. Nie kupuję tej niewiedzy.

Spojrzała na mnie tymi cholernymi oczami.

- No co?

- Chce pan, żebym panu zaufała?

- Tak.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

Zastanowiłem się.

- Okłamał mnie pan podczas naszego pierwszego spotkania.

- W jakiej sprawie?

- Powiedział pan, że prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa. Jak zwyczajny detektyw albo ktoś taki. Jednak to nie była prawda, no nie?

Nic nie powiedziałem.

- Manolo - ciągnęła - nie ufał panu. Czytałam te artykuły. Wiem, że coś przydarzyło się wam wszystkim w tych lasach przed dwudziestoma laty. Uważał, że pan w tej sprawie kłamał.

Nadal nic nie mówiłem.

- A teraz oczekuje pan, że powiem panu wszystko. A pan by to zrobił? Czy na moim miejscu powiedziałby pan wszystko, co wie?

Przez chwilę zbierałem myśli. Miała trochę racji.

- Zatem widziała pani te artykuły?

- Tak.

- No to wie pani, że tamtego lata byłem na tym obozie.

- Wiem.

- I że tamtej nocy znikła moja siostra.

Skinęła głową.

Odwrociłem się do niej.

- Właśnie dlatego tu jestem.

- Przyszedł pan, żeby pomścić siostrę?

- Nie - odparłem. - Żeby ją znaleźć.

- Sądziłam, że ona nie żyje. Zamordował ją Wayne Steubens.

- Do niedawna też tak myślałem.

Raya na chwilę odwróciła głowę. Potem spojrzała mi w oczy.

- No to w jakiej sprawie pan skłamał?

- W żadnej. Znowu te oczy.

- Może mi pan zaufać - powiedziała.

- Ufam.

Czekała. Ja też.

- Kim jest Lucy?

- To dziewczyna, która była na obozie.

- I co jeszcze? Jaki jest jej związek z tą sprawą?

- Jej ojciec był właścicielem obozu - powiedziałem. I dodałem: - Wtedy była moja dziewczyną.

- I w czym oboje skłamaliście?

- Nie skłamaliśmy.

- No to o czym mówił Manolo?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Właśnie to próbuję ustalić.

- Nie rozumiem. Dlaczego jest pan taki pewien, że pańska siostra żyje?

- Nie jestem pewien. Jednak myślę, że są na to spore szanse.

- Dlaczego?

- Z powodu Manola.

- Co z nim?

Patrzyłem na jej twarz i zastanawiałem się, czy udaje.

- Zamknęła się pani w sobie, kiedy wcześniej wspomniałem o Gilu Perezie - przypomniałem.

- Jego nazwisko było w tych artykułach. On też został zabity tamtej nocy.

- Nie.

- Nie rozumiem.

- Czy pani wie, dlaczego Manolo tak interesował się tym, co wtedy się zdarzyło?

- Nigdy mi nie powiedział.

- I nie była pani ciekawa?

Wzruszyła ramionami.

- Powiedział, że to jego sprawa.

- Rayo, Manolo Santiago to nie było jego prawdziwe nazwisko.

Milczałem chwilę, czekając, czy coś powie. Nie odezwała się.

- Naprawdę nazywał się Gil Perez - dodałem.

Przetrawiała to przez chwilę.

- Ten chłopak z lasu?

- Tak.

- Jest pan pewien?

Dobre pytanie. Mimo to potwierdziłem bez wahania.

Zastanowiła się.

- I mówi pan teraz, że - jeśli to prawda - on przez cały ten czas był żywy?

Skinałem głowę.

- A jeśli on był żywy...

Raya Singh zamilkła, więc dokończyłem za nią:

- To może moja siostra też żyje.

- A może to Manol... Gil, czy jak go pan nazwie - zabił ich wszystkich?

Dziwne. O tym nie pomyślałem. Chociaż to miało sens. Gil zabija ich wszystkich i zostawia ślady wskazujące na to, że on też jest ofiarą. Tylko czy Gil był dostatecznie sprytny, żeby wymyślić coś takiego? I jak wyjaśnić rolę Wayne'a Steubensa?

Chyba że Wayne mówi prawdę...

- Jeśli tak było - powiedziałem - dowiem się o tym.

Raya ściągnęła brwi.

- Manolo mówił, że pan i Lucy kłamaliście. Gdyby ich zabił, dlaczego mówiłby coś takiego? Po co zbierałby wszystkie te wycinki i interesował się tym, co zaszło? Gdyby to zrobił, znałby wszystkie odpowiedzi, prawda?

Przeszła przez pokój i stanęła tuż przede mną. Tak cholernie młoda i piękna. Miałem ochotę ją pocałować.

- Czego mi pan nie mówi? - Zapytała.

Zadzwoił mój telefon komórkowy. Spojrzałem na wyświetlacz. Loren Muse. Nacisnąłem przycisk odbioru.

- Co jest? - Spytałem.

- Mamy problem - powiedziała Muse. Zamknąłem oczy i czekałem.

- Chodzi o Chamique. Chce wycofać oskarżenie.



Moje biuro znajduje się w centrum Newark. Wciąż słyszę, że to miasto odżywa. Ja tego nie widzę. Od kiedy pamiętam, znajduje się w stanie rozkładu. Jednak dobrze je poznałem. Jego historia wciąż tu jest, płytko pod powierzchnią. Ludzie są cudowni. Nasze społeczeństwo ma skłonność do stereotypów w kwestii miast, tak samo jak w kwestii grup etnicznych czy mniejszości społecznych. Łatwo nienawidzić ich z daleka. Pamiętam konserwatywnych rodziców Jane i ich pogardę do homoseksualistów. Jej współlokatorka z college'u, Helen, była lesbijką, o czym nie wiedzieli. Kiedy ją poznali, oboje po prostu pokochali Helen. Uwielbiali ją, nawet kiedy dowiedzieli się, że jest lesbijką. A później polubili jej partnerkę.

Często tak bywa. Łatwo nienawidzić gejów, czarnych, Żydów czy Arabów. Trudniej nienawidzić jednostki.

Tak samo jest z Newark. Można nienawidzić go jako całości, ale tylu sąsiadów, sklepikarzy i obywateli ma tu urok i siłę, że mimo woli zaczyna się lubić to miasto i próbować uczynić je lepszym.

Chamique siedziała w moim biurze. Była tak cholernie młoda, a jednak na jej twarzy już widać było ślady trudów życia. Tej dziewczynie nie było łatwo. I zapewne nie będzie. Jej adwokat, Horace Foley, używał za dużo wody kolońskiej i miał zbyt szeroko rozstawione oczy. Sam jestem prawnikiem, więc nie lubię uprzedzeń związanych z moją profesją, ale byłem najzupełniej pewien, że gdyby przed domem przejeżdżała karetka, ten facet byłby gotów wyskoczyć przez okno z drugiego piętra, żeby opóźnić jej przyjazd do ofiary wypadku.

- Chcemy, żeby wycofał pan oskarżenie przeciwko panu Jenrette'owi i panu Marantzowi - oznajmił Foley.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziałem. Spojrzałem na Chamique. Nie spuściła głowy, ale unikała kontaktu wzrokowego. - Czy kłamałaś, składając wczoraj zeznania? - Zapytałem.

- Moja klientka nie kłamała - rzekł Foley. Zignorowałem go i napotkałem spojrzenie Chamique.

- I tak nigdy by ich pan nie skazał - powiedziała.

- Tego nie wiesz.

- Mówi pan poważnie?

- Tak.

Chamique uśmiechnęła się do mnie, jakbym był największym naiwniakiem, jaki chodzi po

tej ziemi.

- Nic pan nie rozumie, prawda?

- Och, rozumiem. Proponują ci pieniądze, jeśli wycofasz oskarżenie. Suma osiągnęła już taką wysokość, że twój obecny tu adwokat, pan Pocokomuprysznicjeślimaperfумы, uważa, że należy to zrobić.

- Jak mnie nazwałeś?

Spojrzałem na Muse.

- Otwórz okno, dobrze?

- Jasne, Cope.

- Hej! Jak mnie nazwałeś?

- Okno jest otwarte. Możesz wyskoczyć. - Znów spojrzałem na Chamique. - Jeśli teraz wycofasz oskarżenie, będzie to oznaczało, że skłamałaś, składając dzisiejsze i poprzednie zeznania. A to oznacza krzywoprzysięstwo. I oznacza, że to biuro wydało miliony podatników z powodu popełnionego przez ciebie kłamstwa - krzywoprzysięstwa. To przestępstwo. Pójdiesz do więzienia.

- Niech pan mówi do mnie, panie Copeland, nie do mojej klientki.

- Mówić do pana? Ledwie mogę przy panu oddychać.

- Nie będę znosił...

- Ciii - powiedziałem i przyłożyłem dłoń do ucha. - Słyszycie te szmery?

- Że co?

- Chyba od wody kolońskiej obłazą tapety. Jeśli dobrze się pan wsłucha, sam pan usłyszy.

Ciii...

Nawet Chamique się uśmiechnęła.

- Nie wycofuj oskarżenia - powiedziałem do niej.

- Muszę.

- Wtedy cię oskarzę.

Jej adwokat już szykował się do walki, lecz Chamique położyła dłoń na jego ramieniu.

- Nie robi pan tego, panie Copeland.

- Zrobię.

Jednak wiedziała, że blefuję. Była biedną, przestraszoną ofiarą gwałtu, która miała okazję zdobyć trochę pieniędzy - więcej niż w przeciwnym razie zobaczyłaby przez całe swoje życie.

Kim jestem, żeby wygłaszać jej wykłady o wartościach i sprawiedliwości?

Wstała i jej adwokat też.

- Rano podpiszemy ugodę - rzekł.

Nic nie powiedziałem. Poczułem przelotną ulgę, co mnie zawstydziło. Fundusz JaneCare ocaleje. Pamięć mojego ojca - no dobrze, moja kariera polityczna także - niepotrzebnie nie ucierpi. A najlepsze, że przestanę być celem. I nie muszę sobie niczego zarzucać. To Chamique podjęła decyzję.

Podąła mi rękę. Uścisnąłem ją.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie rób tego - spróbowałem, ale bez przekonania.

Zauważyła to. Uśmiechnęła się. Opuścili moje biuro. Najpierw wyszła Chamique, za nią jej adwokat. Zapach jego wody kolońskiej pozostał jak memento.

Muse wzruszyła ramionami.

- Co możesz zrobić?

Sam zadawałem sobie to pytanie.



Wróciłem do domu i zjadłem obiad z Carą. Jako „zadanie domowe” miała znaleźć w gazetach jakieś czerwone przedmioty i je powycinać. Mogłoby się wydawać, że to łatwe zadanie, ale oczywiście nie podobało jej się nic z tego, co znaleźliśmy. Nie podobał jej się czerwony wóz, czerwona suknia modelki ani nawet czerwona straż pożarna. Szybko zrozumiałem, że problem polega na tym, że okazywałem entuzjazm dla tego, co znalazła. „Ta suknia jest czerwona, kochanie! Masz rację! Myślę, że będzie doskonała!”.

Po mniej więcej dwudziestu minutach zrozumiałem swój błąd. Kiedy natknęła się na zdjęcie słoika keczupu, wzruszyłem ramionami i obojętnym tonem powiedziałem:

- Właściwie nie lubię keczupu.

Złapała nożyczki i wzięła się do pracy.

Dzieciaki.

Wycinając, Cara zaczęła śpiewać. Była to piosenka z telewizyjnej kreskówki *Dora Odkrywczyńi*, której tekst zasadniczo składał się ze słowa „plecak”, powtarzanego w nieskończoność, aż słuchającemu tego rodzicowi zaczynała pękać głowa. Około dwóch miesięcy wcześniej popełniłem błąd, kupując córce mówiący plecak Dory Odkrywczym (refren: *plecak*,

plecak), a do kompletu mówiącą mapę (śpiew: *jestem mapą, jestem mapą, jestem mapą*). Kiedy przychodzi do niej jej kuzynka Madison, obie często bawią się w Dorę Odkrywczynię. Jedną z nich jest Dorę. Drugą małpą o dość interesującym przezwisku „Boots”. Nieczęsto spotyka się małpy zwące się jak obuwie.

Rozmyślałem o tym, o Boots oraz o tym, jak Cara i jej kuzynka kłóć się o to, która będzie Dorę, a która małpą, gdy prawda poraziła mnie jak przysłowiowy grom z jasnego nieba.

Zamarłem. Dosłownie zastygłem i siedziałem nieruchomo. Nawet Cara to zauważyła.

- Tatusiu?

- Chwileczkę, kociątko.

Pobiegłem na górę, tupiąc, aż zatrzęsł się dom. Gdzie, do diabła, są te rachunki z akademika? Zacząłem przetrząsać pokój. Odnalezienie ich zajęło mi kilka minut, gdyż zamierzałem wyrzucić je po dzisiejszym porannym spotkaniu.

Jednak bach - były tam.

Przerzuciłem je pospiesznie. Znalazłem rachunki za usługi, miesięczne, a potem złapałem telefon i zadzwoniłem do Muse. Odebrała po pierwszym sygnale.

- O co chodzi?

- Kiedy byłeś w college'u, zapytałem - jak często zarywałaś noce?

- Co najmniej dwa razy w tygodniu.

- Jak zwalczałaś senność?

- Cukierkami M&M. Jadłem je tonami. Przysięgam, że te pomarańczowe są jak amfetamina.

- Kup tyle, ile ci trzeba. Możesz nawet wciągnąć je w koszty.

- Podoba mi się ton twojego głosu, Cope.

- Mam pewien pomysł, ale nie wiem, czy wystarczy nam czasu.

- Nie martw się o czas. Czego ten pomysł dotyczy?

- Naszych starych kumpli, Cala i Jima.

17

Znalazłem numer domowego telefonu wyperfumowanego prawnika Foleya i obudziłem go.

- Nie podpisujcie tych papierów wcześniej jak po południu - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Ponieważ jeśli to zrobicie, moje biuro będzie zaciekle tępiło pana i pańskich klientów.

Rozpuszczę wieść, że nie zawieramy żadnej ugody z Horace'em Foleyem i zawsze staramy się, żeby jego klient dostał najwyższy wyrok.

- Nie może pan tego zrobić. Milczałem.

- Mam zobowiązania wobec klientki.

- Niech jej pan powie, że poprosiłem o trochę czasu. I że to leży w jej interesie.

- A co mam powiedzieć stronie przeciwnej?

- Nie wiem, Foley. Może znajdzie jakieś uchybienie w papierach, cokolwiek. Tylko odwlecz sprawę do popołudnia.

- A w jaki sposób będzie to korzystne dla mojej klientki?

- Jeśli dopisze mi szczęście i im dołożę, będziecie mogli renegocjować ugodę. Więcej szmału do twojej kieszeni.

Milczał przez chwilę. Potem rzekł:

- Hej, Cope?

- Co?

- To dziwna mała. Mówię o Chamique.

- Dlaczego?

- Większość z nich od razu wzięłaby pieniądze. Musiałem ją naciskać, bo naprawdę najlepiej zrobi, jeśli te pieniądze weźmie. Obaj to wiemy. Mimo to nie chciała o tym słyszeć, dopóki nie przyłożyli jej wczoraj tą historią z Jimem czy Jamesem. Widzi pan, przedtem, mimo tego co mówiła w sądzie, bardziej chciała wpakować tamtych do więzienia niż uzyskać odszkodowanie. Naprawdę chciała sprawiedliwości.

- I to pana dziwi?

- Jest pan nowy w tej robocie. Ja zajmuję się tym dwadzieścia siedem lat. Człowiek staje się cyniczny. Zatem tak, diabelnie mnie zdziwiła.

- Czy mówi mi to pan w jakimś konkretnym celu?

- Owszem. Ja... No wie pan, o co mi chodzi. O moją jedną trzecią sumy. Jednak z Chamique jest inaczej. Te pieniądze mogą zmienić całe jej życie. Dlatego cokolwiek pan zamierza, panie prokuratorze, niech pan jej tego nie spieszy.



Lucy popijała w samotności.

Była noc. Lucy mieszkała w hotelu asystenta. To miejsce było gorzej niż przygnębiające. Większość profesorów pracowała długo i ciężko, oszczędzając pieniądze w nadziei, że wyniosą się w diabły z tego hotelu. Lucy mieszkała tu już ponad rok. Przed nią w tym samym mieszkaniu trzydzieści lat staropanieństwa spędziła profesor literatury angielskiej Amanda Simon. Rak płuc zabił ją w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Jej wspomnienie pozostało w odorze nikotyny. Chociaż zerwano wykładzinę i odmalowano pokój, pozostał w nim smród papierosów. Jakby mieszkało się w popielniczce.

Lucy piła wódkę. Spojrzała przez okno. W oddali usłyszała muzykę. Miasteczko uniwersyteckie. Tu zawsze gra muzyka. Popatrzyła na zegarek. Północ.

Włączyła swojego iPod'a z maleńkim głośniczkami i nastawiła go na listę utworów o nazwie „Łagodna”. Każda piosenka była nie tylko powolna, ale wzruszająca. Tak więc piła wódkę i siedziała w swoim przygnębiającym pokoju, wdychając dym papierosów nieboszczki i słuchając łamiących serce utworów o utracie, pragnieniach i nieszczęściu. Żałosne, ale czasem wystarczyło coś czuć. Nieważne, czy to bolało czy nie. Byle coś czuć.

Teraz Joseph Arthur śpiewał *Honey and the Moon*. Śpiewał do swej ukochanej, że gdyby jej nie było, toby ją wymyślił. Lucy próbowała sobie wyobrazić jakiegoś mężczyznę, prawdziwego mężczyznę, mówiącego jej coś takiego. Z podziwem pokręciła głową.

Zamknęła oczy i próbowała poukładać wszystko w głowie. Nic się nie zgadzało. Przeszłość powracała. Lucy przez całe swoje dorosłe życie uciekała od tych przeklętych lasów i obozu ojca. Uciekła na drugi koniec kraju, aż do Kalifornii i z powrotem. Zmieniła nazwisko i kolor włosów. Jednak przeszłość wciąż za nią podążała. Czasem pozwalała jej zwiększyć odległość, mając złudzeniem, że w końcu zdołała dostatecznie oddzielić od siebie przeszłość i

teraźniejszość - ale martwi zawsze zmniejszali dystans.

I w końcu ta straszna noc zawsze ją dopadała.

Jednak tym razem... Jak? Ten tekst... Jak w ogóle mógł zostać napisany? Sylvia Potter dopiero co przyszła na świat, gdy Letni Rzeźnik zaatakował obóz PLUS (Pokój Lato Uśmiech Samodzielność). Co mogła o tym wiedzieć? Oczywiście mogła buszować po Internecie tak jak Lonnie, poszperać i odkryć przeszłość Lucy. A może powiedział jej coś ktoś starszy i mądrzejszy?

Mimo wszystko skąd mogła o tym wiedzieć? Skąd w ogóle ktoś mógł wiedzieć? Tylko jedna osoba wiedziała, że Lucy skłamała na temat tego, co zdarzyło się tamtej nocy.

A Paul, oczywiście, nikomu by o tym nie powiedział.

Spoglądała na przezroczysty płyn w kieliszku. Paul Copeland. Wciąż widziała te jego pająkowate ręce i nogi, wąską pierś, długie włosy i zniewalający uśmiech. Dziwne, ale poznali się dzięki rodzicom. Ojciec Paula, represjonowany w swojej ojczyźnie ginekolog położnik, uciekł ze Związku Radzieckiego tylko po to, żeby w Stanach zaznać takiego samego traktowania. Ira, litościwy ojciec Lucy, nie potrafił spokojnie słuchać takich opowieści. Zatrudnił Władymira Copelanda jako obozowego lekarza. Stworzył jego rodzinie okazję, by mogli uciec w lecie z Newark.

Lucy wciąż widziała ten obraz - ich samochód, rozklekotany oldsmobil ciera, ciągnący za sobą ogon kurzu, zatrzymuje się, wszystkie cztery drzwi otwierają się niemal jednocześnie i wysiada czteroosobowa rodzina. W tym momencie, gdy Lucy po raz pierwszy ujrzała Paula i spojrzeli sobie w oczy... Bach, trzask, grom z jasnego nieba. I widziała, że on poczuł to samo. Bywają w życiu takie rzadkie chwile - kiedy czujesz ten dreszcz, czujesz się wspaniale i to boli jak diabli, ale czujesz to, naprawdę czujesz, i nagle świat wydaje się bardziej kolorowy, dźwięki wyraźniejsze, jedzenie smaczniejsze i nigdy, ani na minutę, nie przestajesz myśleć o was, wiedząc, po prostu wiedząc, że on czuje dokładnie to samo.

- Ot tak - powiedziała głośno Lucy i pociągnęła następny łyk wódki z tonikiem. Tak jak z tymi żalonymi piosenkami, które puszczała bez końca. Uczucie. Przypływ emocji. Wzniosłych czy niskich, nieważne. Jednak teraz już nie było tak samo. Co śpiewał Elton John słowami Berniego Taupina o wódce z tonikiem? Coś o kilku wódkach z tonikiem, które stawiają na nogi.

Nie w przypadku Lucy. Czemu jednak miałaby sobie odmawiać?

Cichy głosik w jej głowie mówił: „Przestań pić”.

Znacznie głośniejszy powiedział głosikowi, żeby się zamknął albo skopie mu tyłek.

Lucy uniosła pięść.

- Dawaj, Wielki Głosie!

Roześmiała się i ten odgłos, dźwięk jej własnego śmiechu w pustym pokoju, przstraszył ją. Na „łagodnej” liście przysłała kolej na Roba Thomasa, pytającego, czy może ją tylko objąć, kiedy się rozpada, czy może trzymać ją w ramionach i upaść razem z nią. Kiwnęła głową. Tak, może. Rob przypomniał jej, że jest zziębnięta, przestraszona i załamana, i niech to szlag, ale chciałaby posłuchać tej piosenki z Paulem.

Paul.

Powinien się dowiedzieć o tej historii z tekstem.

Minęło dwadzieścia lat, od kiedy go widziała, ale sześć lat temu odszukała go w Internecie. Nie chciała. Wiedziała, że Paul to drzwi, których nie powinna otwierać. Jednak upiła się - też mi niespodzianka - i kiedy niektórzy ludzie po pijanemu wydzwanają, Lucy po pijanemu używała wyszukiwarki Google.

To co znalazła, było otrzeźwiająca i łatwe do przewidzenia. Paul był żonaty. Pracował jako adwokat. Miał córeczkę. Lucy nawet zdołała znaleźć zdjęcie jego pięknej żony z dobrze sytuowanej rodziny na jakimś charytatywnym przyjęciu. Jane - tak miała na imię jego żona - była wysoka, szczupła i nosiła perły. Dobrze jej było w perłach. Otaczała ją aura kobiety z klasą.

Następny łyk.

Mogło się to zmienić przez tych sześć lat, ale wtedy Paul mieszkał w Ridgewood w stanie New Jersey, zaledwie trzydzieści kilometrów od miejsca, gdzie Lucy była teraz. Spojrzała na stojący na drugim końcu pokoju komputer.

Paul powinien wiedzieć, prawda?

Kolejne szybkie przeszukanie sieci za pomocą Google to żaden problem. Znaleźć numer jego telefonu - domowego albo służbowego. Powinna się z nim skontaktować. Ostrzec go. Powiedzieć o wszystkim. Bez żadnych ubocznych myśli, ukrytych znaczeń, niczego takiego.

Odstawiła wódkę z tonikiem. Za oknem padał deszcz. Komputer był włączony. Ochrona ekranu również - domyślny ekran Windows. Żadnych rodzinnych zdjęć z wakacji. Żadnych pokazów przezroczy dzieci czy choćby staropanieńskiej fotografii ulubionego zwierzęcia. Tylko wirujący znak firmowy Windows, jakby monitor pokazywał jej język.

Gorzej niż źle.

Wywołała swoją stronę domową i już miała wpisać słowa w pole, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Zastygła, czekając.

Znów pukanie. Lucy sprawdziła godzinę za zegarze w prawym dolnym rogu ekranu.

Siedemnaście minut po północy.

Strasznie późno jak na wizytę.

- Kto tam?

Żadnej odpowiedzi.

- Kto...?

- To ja, Sylvia Potter.

Było słychać, że jest bliska łez. Lucy wstała i powlokła się do kuchni. Wylała resztę wódki do zlewu i schowała butelkę do szafki. Wódka nie śmierdzi, przynajmniej nie bardzo, więc zapach jej nie zdradzi. Pospieszenie przejrzała się w lustrze. Wyglądała okropnie, ale teraz niewiele mogła na to poradzić.

- Idę!

Otworzyła drzwi i Sylvia wtoczyła się do środka, jakby się o nie opierała. Była przemoknięta. W pokoju była włączona klimatyzacja. Lucy już chciała powiedzieć dziewczynie, że dostanie zapalenia płuc i umrze, lecz to zabrzmiałoby jak matczyne utyskiwanie. Zamknęła drzwi.

- Przepraszam, że tak późno - powiedziała Sylvia.

- Nie przejmuj się. I tak nie spałam. Zatrzymała się na środku pokoju.

- I przepraszam za to, co powiedziałam przedtem.

- W porządku.

- Nie, ja po prostu...

Sylvia rozejrzała się i objęła się rękami.

- Chcesz ręcznik albo coś takiego?

- Nie.

- Mogę zrobić ci coś do picia?

- Nie, dziękuję.

Lucy dała Sylvii znak, żeby usiadła. Dziewczyna opadła na kanapę z Ikei. Lucy nienawidziła Ikei i ich graficznych instrukcji użytkownika, zaprojektowanych chyba przez inżynierów z NASA. Usiadła obok gościa i czekała.

- Jak się pani dowiedziała, że to właśnie ja napisałam ten dziennik? - Zapytała Sylvia.

- To nieważne.

- Wysłałam go anonimowo.

- Wiem.

- I mówiła pani, że prace będą poufne.

- Wiem. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Sylvia wytarła nos i odwróciła wzrok. Z jej włosów wciąż ściekała woda.

- Okłamałam panią - powiedziała Sylvia.

- Jak to?

- Odnośnie do tego, co napisałam. Kiedy byłam w pani gabinecie. Pamięta pani?

- Tak.

- Pamięta pani, jak powiedziałam, o czym jest moja praca?

Lucy zastanawiała się tylko przez sekundę.

- O twoim pierwszym razie.

Sylvia uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

- Chyba, w pewien chory sposób, to był mój pierwszy raz.

Lucy też się zastanowiła.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, Sylvio - powiedziała po chwili.

Dziewczyna nie odzywała się przez długą chwilę. Lucy przypomniała sobie, że Lonnie obiecał zmusić ją do mówienia. Jednak miał zaczekać do rana.

- Czy Lonnie był u ciebie wieczorem?

- Lonnie Berger? Z naszego roku?

- Tak.

- Nie. Dlaczego Lonnie miałby mnie odwiedzać?

- To nieważne. Zatem przyszłaś tutaj sama?

Sylvia przełknęła ślinę i zrobiła niepewną minę.

- Źle zrobiłam?

- Nie, wcale nie. Cieszę się, że tu jesteś.

- Naprawdę się boję - wyznała Sylvia.

Lucy skinęła głową, próbując przybrać krzepiącą, zachęcającą minę. Naciskając, tylko

spłoszyłaby dziewczynę. Tak więc czekała. Odczekała całe dwie minuty, po czym przerwała milczenie:

- Nie ma powodu się bać.
- Jak pani uważa, co powinnam zrobić?
- Opowiedz mi wszystko, dobrze?
- Już to zrobiłam. Przynajmniej większość.

Lucy zastanawiała się, jak to rozegrać.

- Kim jest P.? Sylvia zmarszczyła brwi.
- Co?
- Z twojego dziennika. Piszesz o chłopcu imieniem P. Kim on jest?
- O czym pani mówi?

Lucy zmieniła temat. Spróbowała ponownie.

- Powiedz mi dokładnie, po co tu przyszedłeś, Sylvio. Jednak teraz Sylvia zrobiła unik.
- Dlaczego przyszedła dziś pani do mojego pokoju?
- Ponieważ chciałam porozmawiać o twoim tekście.
- No to czemu pyta mnie pani o kogoś imieniem P.? Nikogo tak nie nazwałam. Wyraźnie napisałam, że to był... - Słowa uwięzły jej w gardle. Zamknęła oczy i wyszeptała: -... Mój ojciec.

Tama pękła. Łzy popłynęły jej po policzkach, rzęsiście jak deszcz.

Lucy zamknęła oczy. Ta historia o kazirodztwie. Ta, która tak wstrząsnęła nią i Lonniem. Niech to szlag. Lonnie się pomylił. Sylvia nie napisała tekstu o tamtej nocy w lasach.

- Ojciec molestował cię, kiedy miałaś dwanaście lat - powiedziała Lucy.

Sylvia ukryła twarz w dłoniach. Jej szlochanie brzmiało tak, jakby ktoś wrywał je z jej piersi. Drżąc na całym ciele, kiwnęła głową. Lucy spoglądała na tę dziewczynę, która tak się starała, i wyobraziła sobie jej ojca. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Sylvii. Potem przysunęła się do niej i objęła ją. Sylvia oparła głowę na jej piersi i płakała. Lucy uciszała ją, tuliła i kołysała.

18

Nie spałem. Muse też nie. Pospiesznie ogoliłem się maszynką elektryczną. Śmierdziałem tak, że zastanawiałem się, czy nie poprosić Horace Foleya o odrobinę jego wody kolońskiej.

- Przynieś mi ten wydruk - poprosiłem Muse.

- Jak tylko przyjdzie.

Kiedy sędzia kazał nam rozpoczynać, wezwałem - szmer zdziwienia - dodatkowego świadka.

- Naród wzywa Geralda Flynn.

Flynn był tym „miłym” chłopcem, który zaprosił Chamique Johnson na przyjęcie. I na takiego wyglądał, że swą aż nazbyt gładką skórą, równym przedziałkiem w blond włosach i wielkich niebieskich oczach, które zdawały się naiwnie spoglądać na świat. Ponieważ obrona spodziewała się, że w każdej chwili mogę zakończyć przesłuchanie, kazała Flynnowi czekać. W końcu był ich kluczowym świadkiem.

Flynn uparcie wspierał swoich kolegów ze stowarzyszenia. Jednak co innego kłamać na policji, a nawet podczas wstępnego przesłuchania, co innego robić to przed licznym audytorium na sali sądowej. Obejrzałem się na Muse. Siedziała w ostatnim rzędzie i usiłowała zachować nieprzenikniony wyraz twarzy. Z marnym rezultatem. Muse raczej nie byłaby dobrą pokerzystką.

Poprosiłem go o podanie imienia i nazwiska.

- Gerald Flynn.

- Jednak mówią na pana Jerry, zgadza się?

- Tak.

- Świetnie, zatem zacznijmy od początku, dobrze? Kiedy poznał pan powódkę, pannę Chamique Johnson?

Chamique przyszła. Siedziała z Horace'em Foleyem prawie na samym środku, w przedostatnim rzędzie. Interesujący wybór miejsca. Jakby nie mogła się zdecydować. Wcześniej słyszałem jakieś krzyki na korytarzu. Rodziny Jenrette'ów i Marantzów nie były zachwycone niespodziewaną zwłoką. Próbowali nakłonić Chamique do natychmiastowego podpisania ugody,

ale nie zdolali. Dlatego zaczęliśmy z opóźnieniem. Mimo to byli już gotowi. Znow przybrali swoje sądowe miny: zatroskane, poważne, zaangażowane.

Uznali, że to chwilowa zwłoka. Jeszcze tylko kilka godzin.

- Dwunastego października, kiedy przyszła do domu studenckiego naszego stowarzyszenia - odpowiedział.

- Zapamiętał pan tę datę?

- Tak.

Zrobiłem minę sugerującą: „no, no, czy to nie interesujące”, chociaż wcale nie było. Jasne, że pamiętał tę datę. Teraz była częścią jego życia.

- Po co panna Johnson przyszła do waszego akademika?

- Została wynajęta jako tancerka egzotyczna.

- Pan ją wynajął?

- Nie. No, cóż, zrobił to cały akademik. Jednak ja nie zajmowałem się rezerwacją i resztą.

- Rozumiem. Zatem przyszła do waszego akademika i wykonała taniec egzotyczny?

- Tak.

- I oglądał pan ten taniec?

- Tak.

- I co pan o nim sądzi?

Mort Pubin wstał.

- Sprzeciw!

Sędzia już spoglądał na mnie z groźną miną.

- Panie Copeland?

- Według panny Johnson obecny tu pan Flynn zaprosił ją na przyjęcie, podczas którego doszło do gwałtu. Próbuję zrozumieć, dlaczego to zrobił.

- To niech go pan zapyta - rzekł Pubin.

- Wysoki Sądzie, mogę zrobić to po swojemu?

- Proszę inaczej sformułować pytanie - rzekł sędzia Pierce.

Odwróciłem się z powrotem do Flynnna.

- Czy uważał pan, że panna Johnson jest dobrą tancerką egzotyczną? - Zapytałem.

- Chyba tak.

- Tak czy nie?

- Nie wspaniałą. Jednak owszem, uważałem, że jest dość dobra.

- Uważał pan, że jest atrakcyjna?

- Tak. To znaczy chyba tak.

- Tak czy nie?

- Sprzeciw! - Znów Pubin. - Na takie pytanie świadek nie musi odpowiadać tak czy nie.

Może uważał, że jest umiarkowanie atrakcyjna. Nie zawsze jest to tak lub nie.

- Zgadzam się, Mort - powiedziałem, zaskakując go. - Inaczej sformułuję pytanie. Panie Flynn, jak by pan określił jej atrakcyjność?

- W skali od jeden do dziesięciu?

- To byłoby wspaniale, panie Flynn. W skali od jeden do dziesięciu.

Zastanowił się.

- Siedem, może osiem.

- Świetnie, dziękuję. I podczas tego wieczoru rozmawiał pan z panną Johnson?

- Tak.

- O czym rozmawialiście?

- Nie pamiętam.

- Proszę spróbować sobie przypomnieć.

- Zapytałem, gdzie mieszka. Powiedziała, że w Irvington. Pytałem, czy studiuje i czy ma chłopaka. O takie rzeczy. Powiedziała mi, że ma dziecko. Zapytała mnie, co studiuje. Powiedziałem, że chcę iść na medycynę.

- Jeszcze coś?

- Tak sobie rozmawialiśmy.

- Rozumiem. Jak długo, pana zdaniem, trwała ta rozmowa?

- Nie wiem.

- Zobaczmy, czy zdołam panu pomóc. Czy trwała dłużej niż pięć minut?

- Tak.

- Dłużej niż godzinę?

- Nie, nie sądzę.

- Dłużej niż pół godziny?

- Nie jestem pewien.

- Dłużej niż dziesięć minut?

- Tak sędzę.

Sędzia Pierce przerwał, mówiąc mi, że ustaliliśmy czas i powinienem przejść do dalszych pytań.

- Czy wie pan, w jaki sposób panna Johnson opuściła wtedy przyjęcie?

- Przyjechał po nią samochód.

- Och, czy była tamtego wieczoru jedyną egzotyczną tancerką?

- Nie.

- Ile ich tam było?

- Trzy.

- Dziękuję. Czy pozostałe dwie opuściły przyjęcie z panną Johnson?

- Tak.

- Czy rozmawiał pan z którąś z nich?

- Raczej nie. Może powiedziałem „cześć”.

- Czy można powiedzieć, że Chamique Johnson była jedyną z tych trzech tancerek egzotycznych, z którą pan rozmawiał?

Pubin wyglądał, jakby chciał zgłosić sprzeciw, ale postanowił odpuścić.

- Tak - powiedział Flynn. - Można tak powiedzieć.

Dość wstępów.

- Chamique Johnson zeznała, że zarobiła dodatkowe pieniądze, dokonując czynności o charakterze seksualnym z kilkoma młodymi ludźmi na tym przyjęciu. Czy pan wie, czy tak było?

- Nie wiem.

- Naprawdę? Zatem pan nie korzystał z jej usług?

- Nie.

- I nigdy nie słyszał pan, by któryś z członków waszego stowarzyszenia wspominał o tym, że panna Johnson dokonywała z nimi czynności o charakterze seksualnym?

Flynn był w pułapce. Mógł skłamać lub przyznać, że łamano tam prawo. Wybrał najgłupsze rozwiązanie - próbował kluczyć.

- Może słyszałem jakieś pogłoski.

Grzecznie i nieprzekonująco. Wszedł na łgarza.

- Może słyszał pan jakieś pogłoski? - Powtórzyłem z niedowierzaniem.

- Tak.

- Zatem nie jest pan pewny, czy słyszał pan jakieś pogłoski - powiedziałem, jakby była to najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałem w życiu - ale może jednak tak. Po prostu nie może pan sobie przypomnieć, czy słyszał pan pogłoski, czy nie. Tak pan zeznaje?

Tym razem wstał Flair.

- Wysoki Sądzie?

Sędzia spojrzał na niego.

- Czy to sprawa o gwałt, czy pan Copeland przeniósł się do obyczajówki? - Rozłożył ręce.

- Czy jego sprawa o gwałt jest teraz tak słaba i wydumana, że chce skazać tych chłopców za wynajęcie prostytutki?

- Nie o to mi chodzi - powiedziałem.

Flair uśmiechnął się do mnie.

- To proszę zadawać świadkowi pytania dotyczące tej rzekomej napaści. Niech pan nie każe mu opisywać wszystkich przypadków łamania prawa, jakie widział.

- Przejdźmy do dalszych pytań, panie Copeland - powiedział sędzia.

Cholerny Flair.

- Czy poprosił pan pannę Johnson o jej numer telefonu?

- Tak.

- Dlaczego?

- Pomyślałem, że może do niej zadzwonię.

- Spodobała się panu?

- Była pociągająca, owszem.

- Ze względu na te siedem, może osiem punktów? - Machnąłem ręką, zanim Pubin zdążył wstać. - Wycofuję pytanie. Czy nadeszła taka chwila, że zadzwonił pan do panny Johnson?

- Tak.

- Może pan nam powiedzieć kiedy i w miarę możliwości, o czym była ta rozmowa?

- Zadzwoniłem dziesięć dni później i zapytałem, czy chce przyjść na przyjęcie w akademiku.

- Chciał pan, żeby znów wykonała taniec egzotyczny?

- Nie - odparł Flynn. Zobaczyłem, że przełknął ślinę i zwilgotniały mu oczy. - Zaprosiłem ją jako gościa.

Pozwoliłem, by wszyscy to przetrawili. Spojrzałem na Jerry'ego Flynna. Pozwoliłem

popatrzeć na niego sędziom. Było coś w jego twarzy. Czyżby naprawdę spodobała mu się Chamique Johnson? Pozwoliłem tej chwili trwać, ponieważ byłem zmieszany. Myślałem, że Jerry Flynn brał udział w spisku, że zadzwonił do Chamique i ją wystawił. Teraz próbowałem pozbierać myśli.

- Panie Copeland - ponaglił mnie sędzia.

- Czy panna Johnson przyjęła pańskie zaproszenie?

- Tak.

- Mówiąc, że zaprosił ją pan jako... - Nakreśliłem w powietrzu cudzystów - „...gościa”, miał pan na myśli randkę?

- Tak.

Zadając mu pytania, odtworzyłem ich spotkanie i doszedłem do ponczu.

- Czy powiedział jej pan, że jest on zaprawiony alkoholem? - Zapytałem.

- Tak.

To było kłamstwo. I brzmiało jak kłamstwo, ale chciałem podkreślić śmieszność tego twierdzenia.

- Proszę odtworzyć przebieg tej rozmowy.

- Nie rozumiem pytania.

- Czy spytał pan pannę Johnson, czy chce się czegoś napić?

- Tak.

- A ona powiedziała, że tak?

- Tak.

- I co pan wtedy powiedział?

- Spytałem, czy napije się ponczu.

- Co ona odpowiedziała?

- Odpowiedziała, że tak.

- I co wtedy?

Poruszył się na krześle.

- Powiedziałem, że jest z alkoholem.

Uniosłem brew.

- Tak po prostu?

- Sprzeciw! - Pubin wstał. - Jak to po prostu? Powiedział, że jest z alkoholem.

Odpowiedział na zadane pytanie.

Miał rację. Niech przysięgli zostaną pod wrażeniem ewidentnego kłamstwa. Dałem znak sędziemu, że uznaję sprzeciw. Zacząłem wypytywać Flynna o krytyczny wieczór. Trzymał się swojej wersji, twierdząc, że Chamique się upiła i zaczęła flirtować z Edwardem Jenrette'em.

- Jak pan na to zareagował?

Wzruszył ramionami.

- Edward jest seniorem, a ja pierwszorzocznikiem. Tak bywa.

- Zatem pomyślał pan, że panna Chamique była pod jego wrażeniem, ponieważ pan Jenrette jest starszy?

Pubin znów postanowił nie zgłaszać sprzeciwu.

- Nie wiem - odparł Flynn. - Może.

- Och, przy okazji, czy był pan kiedyś w pokoju pana Marantza i pana Jenrette'a?

- Pewnie.

- Ile razy?

- Nie wiem. Wiele.

- Naprawdę? Przecież jest pan pierwszorzocznikiem.

- Mimo to są moimi przyjaciółmi.

Zrobiłem sceptyczną minę.

- Był pan tam więcej niż raz?

- Tak.

- Więcej niż dziesięć razy?

- Tak.

Zrobiłem jeszcze bardziej sceptyczną minę.

- W porządku, więc niech mi pan powie: jaki stereofoniczny lub inny zestaw audio mają w swoim pokoju?

Flynn odpowiedział bez wahania:

- Mają kolumnienki Bose do iPod'a.

Już to wiedziałem. Przeszukaliśmy ich pokój. Mieliśmy zdjęcia.

- A telewizor w ich pokoju? Jaki jest duży?

Uśmiechnął się, jakby dostrzegł zastawioną przeze mnie pułapkę.

- Nie mają żadnego.

- Nie mają telewizora?

- Nie.

- Dobrze, wróćmy do krytycznej nocy...

Flynn snuł dalej swoją bajeczkę. Zaczął bawić się z innymi przyjaciółmi. Zobaczył, jak Chamique idzie po schodach na górę, trzymając się za rękę z Jenrette'em. Oczywiście nie wiedział, co było potem. Nieco później znów spotkał się z Chamique i odprowadził ją na przystanek autobusowy.

- Czy wyglądała na zdenerwowaną? - Zapytałem.

Flynn odparł, że nie, wprost przeciwnie. Chamique była „uśmiechnięta”, „szczęśliwa” i „radosna jak poranek”. Przesadził, opisując ją jak istną Pollyannę.

- Zatem jeśli Chamique Johnson mówi, że poszła z panem do beczki piwa, a potem na górę i została napadnięta na korytarzu, to wszystko kłamstwo?

Flynn był na tyle sprytny, że nie dał się złapać.

- Mówię, co widziałem.

- Zna pan kogoś o imieniu Cal lub Jim?

Zastanowił się.

- Znam kilku facetów o imieniu Jim. Nie sądzę, żebym znał jakiegoś Cala.

- Czy wiadomo panu, że panna Johnson twierdzi, iż mężczyźni, którzy ją zgwałcili, nazywali się... - Nie chciałem, żeby Flair znów zaczął swoje semantyczne gierki, ale przewróciłem oczami, mówiąc „nazywali się”. - ...Cal i Jim?

Zastanowił się, jak do tego podejść. Postanowił powiedzieć prawdę.

- Słyszałem o tym.

- Czy w przyjęciu brał udział ktoś o imieniu Cal lub Jim?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Rozumiem. A czy zna pan jakiś powód, dla którego pan Jenrette i pan Marantz mieliby się tak do siebie zwracać?

- Nie.

- Czy słyszał pan kiedyś te dwa imiona wymienione razem? Czy słyszał pan je przed tym rzekomym gwałtem?

- Nie przypominam sobie.

- Zatem nie może pan wyjaśnić nam, dlaczego panna Johnson zeznała, iż jej napastnicy

nazywali się Cal i Jim?

Pubin zgłosił sprzeciw.

- Skąd miałby wiedzieć, dlaczego ta wykolejona narkomanka kłamała?

Nie odrywałem oczu od świadka.

- Nic nie przychodzi panu do głowy, panie Flynn?

- Nic - odparł stanowczo.

Spojrzałem na Loren Muse. Miała spuszczoną głowę i bawiła się palmtopem. Popatrzyła na mnie, napotkała mój wzrok i skinęła głową.

- Wysoki Sądzie - powiedziałem. - Mam więcej pytań do tego świadka, ale być może jest to dobra chwila na przerwę na lunch.

Sędzia Pierce zgodził się.

Starąłem się nie pognać sprintem do Loren Muse.

- Mamy to - oznajmiła z uśmiechem. - Faks jest w twoim biurze.

19

Lucy na szczęście nie miała rano zajęć. Po spożytym alkoholu i nocnej rozmowie z Sylvią Potter przeleżała w łóżku do południa. Kiedy wstała, zadzwoniła do jednej ze szkolnych specjalistek, Katherine Lucas, psychoterapeutki, którą zawsze uważała za bardzo dobrą. Wyjaśniła sytuację Sylvii. Lucas będzie lepiej wiedziała, co robić.

Rozmyślała o tekście, który to wszystko zapoczątkował. Lasy. Krzyki. Krew. Sylvia Potter tego nie wysłała. Zatem kto?

Żadnych poszlak.

Zeszłej nocy postanowiła zadzwonić do Paula. Doszła do wniosku, że powinien się o tym dowiedzieć. Czy doradziła jej to wóda? Czy teraz, w trzeźwiącym świetle dnia, nadal wygląda to na dobry pomysł?

Godzinę później znalazła w sieci służbowy numer telefonu Paula. Był prokuratorem w Essex County - i, niestety, wdowcem. Jane umarła na raka. Paul założył w jej imieniu fundację charytatywną. Lucy nie wiedziała, co o tym myśleć, ale w żaden sposób nie potrafiła teraz uporządkować swoich uczuć.

Drżącą ręką wybrała numer. Kiedy zgłosiła się telefonistka, Lucy poprosiła o połączenie z Paulem Copelandem. Mówiąc to, poczuła ból. Uświadomiła sobie, że od dwudziestu lat nie wymówiła na głos jego nazwiska.

Paul Copeland.

Zgłosiła się jakaś kobieta.

- Biuro prokuratora okręgowego - powiedziała.
- Chciałabym rozmawiać z Paulem Copelandem.
- Mogę spytać, kto dzwoni?
- Jestem starą znajomą - powiedziała.

Nic.

- Mam na imię Lucy. Proszę powiedzieć mu, że dzwoni Lucy. Sprzed dwudziestu lat.
- Czy ma pani jakieś nazwisko, Lucy?

- Proszę po prostu mu to powiedzieć, dobrze?

- Prokuratora Copelanda w tej chwili nie ma w biurze. Zechciałaby pani zostawić swój numer telefonu, żeby mógł oddzwonić?

Lucy podała jej numer swojego telefonu domowego, służbowego i komórkowego.

- Mam mu powiedzieć, że w jakiej sprawie?

- Proszę mu tylko powiedzieć, że dzwoniła Lucy. I że to ważne.



Siedziałem z Muse w moim gabinecie. Drzwi były zamknięte. Zamówiliśmy na lunch kanapki z garmażerki. Ja wziąłem gruboziarnisty chleb z sałatką z kurczaka, Muse pochłaniała kanapkę ze sznyclem wielkości deski surfingowej.

Trzymałem w rękach faks.

- Gdzie ta twoja pani detektyw? Ta Cingle jakaś tam?

- Shaker. Cingle Shaker. Będzie tu.

Wstałem i przejrzałem notatki.

- Chcesz to omówić? - Spytała.

- Nie. Uśmiechała się szeroko.

- Co? - Zapytałem.

- Przykro mi to mówić, Cope, jako mojemu szefowi i w ogóle, ale jesteś cholernym geniuszem.

- Taak, chyba jestem. Znów zająłem się notatkami.

- Mam cię zostawić samego? - Zapytała Muse.

- Nie. Może przyjdzie mi do głowy coś, co będę chciał ci zlecić.

Podniosła kanapkę. Zdziwiłem się, że udało jej się to bez dźwigu budowlanego.

- Twój poprzednik - powiedziała Muse, wbijając zęby w kanapkę - przy dużych sprawach czasem siedział tu, gapił się w przestrzeń i mówił, że wchodzi w strefę. Jakby był Michaeliem Jordanem. Ty też tak robisz?

- Nie.

- No to... - Przeżuła, połknęła. - Czy rozproszyłoby cię, gdybym poruszyła inną kwestię?

- Masz na myśli coś niezwiązanego z tą sprawą?

- Właśnie.

Podniosłem wzrok.

- Prawdę mówiąc, przydałoby mi się oderwać od tego na chwilę. Co ci chodzi po głowie?

Spojrzała w bok, zastanawiając się.

- Mam przyjaciół w wydziale zabójstw na Manhattanie - powiedziała po chwili.

Już się domyślałem, do czego to zmierza. Ostrożnie ugryzłem kawałek kanapki z sałatką z kurczaka.

- Sucha - zawyrokowałem.

- Co?

- Sałatka z kurczaka. Jest sucha. - Odłożyłem kanapkę i wytarłem palce serwetką. - Niech zgadnę. Jeden z tych przyjaciół powiedział ci o morderstwie Manola Santiaga?

- Tak.

- Czy powiedział ci o mojej teorii?

- Tej, według której to jeden z chłopców zamordowanych na obozie przez Letniego Rzeźnika, mimo że nawet jego rodzice temu zaprzeczają?

- To ta.

- Tak, mówili mi.

- I co?

- Myślą, że ci odbiło. Uśmiechnąłem się.

- A ty?

- Ja pomyślałabym, że ci odbiło. Tylko że teraz - wskazała faks - widzę, co potrafisz.

Dlatego mówię, że chcę w to wejść.

- Wejść w co?

- Wiesz w co. Zamierzasz podjąć śledztwo, prawda? Chcesz się dowiedzieć, co naprawdę zdarzyło się w tych lasach?

- Tak - przyznałem.

Rozłożyła ręce.

- Chcę w to wejść.

- Nie możesz w ramach pracy zajmować się moimi osobistymi sprawami.

- Przede wszystkim, chociaż wszyscy są przekonani, że mordercą jest Wayne Steubens, formalnie sprawa zabójstwa nie została zamknięta. W rzeczy samej, jeśli się nad tym zastanowić, jest to nierozwiązana sprawa poczwórnego morderstwa.

- Które nie zostało popełnione w naszym okręgu.

- Tego nie wiemy. Wiemy tylko, gdzie znaleziono ciała. A jedna z ofiar, twoja siostra, mieszkała w tym mieście.

- To naciągane.

- Po drugie, płacą mi za czterdzieści godzin pracy w tygodniu. Pracuję prawie osiemdziesiąt. Wiesz o tym. Dlatego mnie awansowałeś. To, co robię poza tymi czterdziestoma, to moja sprawa. Albo będę pracowała sto godzin, obojętnie. I zanim zapytasz, nie, to nie jest przysługa dla mojego szefa. Spójrzmy prawdzie w oczy, jestem inspektorem. Rozwiązanie takiej sprawy cholernie ładnie wyglądałoby w moich aktach. Co ty na to?

Wzruszyłem ramionami.

- A co tam.

- Wchodzę?

- Wchodzisz.

Wyglądała na bardzo zadowoloną.

- No to jaki będzie pierwszy krok?

Myślałem o tym. Było coś, co musiałem zrobić. Unikałem tego. Dłużej nie mogłem.

- Wayne Steubens - powiedziałem.

- Letni Rzeźnik.

- Muszę się z nim zobaczyć.

- Znałeś go, prawda?

Skinąłem głową.

- Obaj byliśmy wychowawcami na tym obozie.

- Chyba czytałem, że nie przyjmuje odwiedzających.

- Będziemy musieli go zmusić, żeby zmienił zdanie - powiedziałem.

- Przebywa w więzieniu dla szczególnie niebezpiecznych przestępców w Wirginii - powiedziała Muse. - Mogę wykonać kilka telefonów.

Muse już wiedziała, gdzie siedzi Steubens. Niewiarygodne.

- Zrób to.

Usłyszałem pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzała moja sekretarka, Jocelyn Durels.

- Wiadomości - oznajmiła. - Mam zostawić je na biurku?

Poruszałem palcami, pokazując, żeby mi je dała.

- Coś ważnego?

- Niespecjalnie. Sporo od dziennikarzy. Można by pomyśleć, że powinni wiedzieć, że jesteś w sądzie, ale wciąż dzwonią.

Wziąłem wiadomości i zacząłem je sortować. Popatrzyłem na Muse. Rozglądała się po pokoju. Nie było w nim prawie niczego osobistego. Kiedy się tu wprowadziłem, postawiłem na szafce zdjęcie Cary. Dwa dni później aresztowaliśmy pedofila, który wyczyniał okropne rzeczy z dziewczynką mniej więcej w jej wieku. Rozmawialiśmy o tym w tym gabinecie, a ja wciąż patrzyłem na moją córkę i w końcu musiałem odwrócić jej zdjęcie twarzą do ściany. Wieczorem zabrałem je z powrotem do domu.

To nie jest miejsce dla Cary. Tu nie powinno być nawet jej fotografii.

Przeglądałem wiadomości i nagle coś przykuło mój wzrok.

Moja sekretarka używa staroświeckich różowych kopiałów ołówkowych i żółte kartki z kopiami wszystkich notatek trzyma w segregatorze, a notatki sporządza odręcznie. Jej charakter pisma jest nienaganny.

Osobą, która dzwoniła, według wiadomości na różowej kartce, była:

Lucy??

Przez moment gapiłem się na karteczkę. Lucy. Nie może być.

Poniżej był numer telefonu służbowego, domowego i komórkowego. Prefiksy strefowe wskazywały, że Lucy Podwójny Pytajnik mieszka, pracuje i... Hm... Komórkuje w stanie New Jersey.

Złapałem słuchawkę i wcisnąłem przycisk interkomu.

- Jocelyn?

- Tak?

- Widzę tu wiadomość od kogoś imieniem Lucy - powiedziałem.

- Tak. Dzwoniła mniej więcej godzinę temu.

- Nie zapisałaś nazwiska.

- Nie chciała go podać. Dlatego postawiłam znaki zapytania.

- Nie rozumiem. Zapytałaś ją o nazwisko, a ona nie chciała go podać?

- Zgadza się.

- Co jeszcze powiedziała?

- Na dole strony.

- Co?
- Czy przeczytałeś moją notatkę na dole strony?
- Nie.

Czekała, nie chcąc mówić rzeczy oczywistych. Przesunąłem wzrok na dół kartki i przeczytałem:

Mówi, że jest starą znajomą sprzed dwudziestu lat.

Przeczytałem te słowa jeszcze raz. I ponownie.

- Ziemia do majora Cope.

To Muse. Nie wypowiedziała tych słów - wyśpiewała je na melodię starej piosenki Davida Bowiego. Drgnąłem.

- Śpiewasz tak samo jak wybierasz buty.

- Bardzo śmieszne. - Wskazała wiadomość i uniosła brew. - No i kim jest ta Lucy, szefie? Dawną kochanką?

Nie odpowiedziałem.

- Och, do licha... - Opuściła brew. - Żartowałam. Nie chciałam...

- Nie przejmuj się, Muse.

- Ty też się tym nie przejmuj, Cope. Przynajmniej teraz.

Przeniosła wzrok na zegar za moimi plecami. Ja też nań spojrzałem. Miała rację. Przerwa obiadowa się skończyła. To będzie musiało poczekać. Nie wiedziałem, czego chce Lucy. A może wiedziałem. Przeszłość powracała. Cała. Wyglądało na to, że martwi wychodzą z grobów.

Jednak tym wszystkim zajmę się później. Chwyciłem kartkę z faksem i wstałem.

Muse też wstała.

- Czas na show - powiedziała.

Skinąłem głową. Więcej niż show. Zamierzałem zniszczyć tych sukinsynów. I cholernie się starać nie okazywać przy tym radości.



Zająwszy po lunchu miejsce na podium dla świadków, Jerry Flynn sprawiał wrażenie spokojnego. Rano niespecjalnie nim wstrząsnąłem. Nie miał powodu przypuszczać, że po południu będzie inaczej.

- Panie Flynn - zacząłem - czy lubi pan pornografię?

Nawet nie czekałem na nieuniknione. Odwróciłem się do Morta Pubina i sarkastycznie skinąłem ręką, jakbym właśnie zapowiedział jego wejście na scenę.

- Sprzeciw!

Pubin nie musiał nawet uzasadniać. Sędzia spojrział na mnie z dezaprobatą. Wzruszyłem ramionami.

- Dowód numer osiemnaście. - Podniosłem kartkę. - To rachunek przysłany do domu studenckiego za usługi zamówione przez Internet. Poznaje go pan?

Spojrział na kartkę.

- Ja nie płacę rachunków. Robi to skarbnik.

- Tak, pan Rich Devin, który zeznał, że to istotnie jest rachunek stowarzyszenia.

Sędzia spojrział na Flaira i Morta.

- Obrona nie wnosi sprzeciwu?

- Przyjmujemy, że jest to rachunek wystawiony domowi studenckiemu - rzekł Flair.

- Czy widzi pan tę pozycję? - Spytałem, wskazując wiersz znajdujący się niemal na samej górze.

- Tak.

- Może pan odczytać?

- Netflix.

- Przez jedno x. - Głośno przeliterowałem tę nazwę. - Czy pan wie, czym jest Netflix?

- To wypożyczalnia płyt DVD. Robi się to przez Internet. Można wypożyczyć trzy płyty DVD naraz. Po ich odesłaniu dostaje się inne.

- Dobrze, dziękuję. - Skinąłem głową i przesunąłem palec kilka wierszy niżej. - A może mi pan odczytać tę pozycję?

Zawahał się.

- Panie Flynn? - Ponagliłem. Odkaslnął.

- HotFlix - powiedział.

- Przez trzy x, zgadza się.

Ponownie przeliterowałem na głos.

- Tak.

Wyglądał, jakby zaraz miał się rozchorować.

- Może mi pan powiedzieć, czym jest HotFlix?

- Jest jak Netflix.

- To wypożyczalnia filmów DVD?

- Tak.

- Może pan wie, czym się różni od Netfliksu? Poczzerwieniał.

- Wypożycza... Hm... Innego rodzaju filmy.

- Jakiego rodzaju?

- Hm, filmy dla dorosłych.

- Rozumiem. Zatem kiedy wcześniej zapytałem, czy lubi pan pornografię, może powinienem zapytać, czy ogląda pan filmy pornograficzne?

Wił się.

- Czasem - powiedział.

- To nic złego, synu. - I nie oglądając się za siebie, wiedząc, że wstał, wskazałem kciukiem stolik jego adwokata. - I założę się, że pan Pubin wstał, aby nam powiedzieć, że on też je lubi, szczególnie za skomplikowaną intrygę.

- Sprzeciw! - Krzyknął Pubin.

- Wycofuję - powiedziałem. Zwróciłem się do Flynna: - Czy jest jakiś film pornograficzny, który lubi pan szczególnie?

Krew odplynęła mu z twarzy. Jakby to pytanie odkręciło kurek. Odwrócił głowę w stronę stolika obrońców. Przesunąłem się tak, żeby zasłonić mu widok. Flynn zakasłał, zasłaniając usta pięścią, po czym rzekł:

- Mogę skorzystać z piątej poprawki?

- Z jakiego powodu? - Zapytałem.

Flair Hickory wstał.

- Świadek poprosił o konsultację.

- Wysoki Sądzie - powiedziałem - kiedy studiowałem prawo, uczono nas, że piąta poprawka ma zapobiegać samooskarżeniu, a - proszę sprostować, jeśli się mylę - czy jakieś prawo zabrania mieć ulubiony film pornograficzny?

- Możemy prosić o dziesięciominutową przerwę? - Zapytał Flair.

- Nie zgadzam się, Wysoki Sądzie.

- Świadek poprosił o konsultację - powtórzył Flair.

- Nie, nie prosił. Powołał się na piątą poprawkę do konstytucji. I powiem panu coś, panie

Flynn - wyrażam zgodę.

- Zgodę na co? - Zapytał Flair.

- Na to, czego żąda. Nie chcę, żeby świadek zszedł teraz z podium.

Sędzia Pierce znów spojrzął na Hickory'ego. Nie spieszył się. Jeśli Flair przejmie świadka, będę miał problem. Coś wymyślą. Obejrzałem się na Jenrette'a i Marantza. Nie ruszyli się, nie ostrzegli obrońców.

- Nie będzie przerwy - oznajmił sędzia.

Flair Hickory opadł na krzesło.

Znów zabrałem się za Jerry'ego Flynną.

- Czy ma pan jakiś ulubiony film pornograficzny?

- Nie.

- Czy słyszał pan o filmie pornograficznym zatytułowanym... - Udałem, że zaglądam do notatek, chociaż znałem tytuł na pamięć - filmie zatytułowanym *Miłość, krokodyl i jego klejnoty?*

Z pewnością domyślał się, co nastąpi, a mimo to zadygotał jak rażony prądem.

- Hm... Może pan powtórzyć tytuł? Powtórzyłem.

- Widział pan ten film albo o nim słyszał?

- Nie sądzę.

- Nie sądzi pan. Zatem być może?

- Nie jestem pewien. Nie mam pamięci do tytułów filmów.

- No cóż, zobaczmy, czy uda mi się odświeżyć pańską pamięć.

Miałem kartkę z tekstem faksu, która dała mi Muse. Wręczyłem kopię obronie, robiąc z tego pokaz. Potem znów wziąłem się za świadka.

- Według HotFlixxxx płyta DVD z kopią tego filmu znajdowała się w posiadaniu waszego domu studenckiego przez sześć ostatnich miesięcy. Również według rejestru HotFlixxxx ten film został im odesłany pocztą nazajutrz po tym, jak panna Johnson zgłosiła napaść na policji.

Cisza.

Pubin wyglądał, jakby połknął własny język. Flair był zbyt dobry, żeby coś po sobie pokazać. Przeczytał faks, jakby to był zabawny fragment *Family Circus*.

Podszedłem do Flynną.

- Czy to odświeżyło panu pamięć?

- Nie wiem.

- Nie wie pan? No to spróbujmy czegoś innego.

Spojrzałem na tył sali. Loren Muse stała przy drzwiach. Uśmiechała się. Skinąłem głową. Otworzyła drzwi i weszła kobieta wyglądająca jak urodziwa Amazonka z filmu klasy B.

Prywatny detektyw Muse, Cingle Shaker, wkroczyła na salę, jakby szła do swojego ulubionego wodopoju. Sala westchnęła na jej widok.

- Czy poznaje pan kobietę, która właśnie weszła?

Nie odpowiedział.

- Panie Flynn? - Zapytał sędzia.

- Tak. - Flynn odkaszlnął, żeby zyskać na czasie. - Poznaję ją.

- Skąd ją pan zna?

- Spotkałem ją wczoraj w barze.

- Rozumiem. Czy rozmawialiście o filmie *Miłość, krokodyl i jego klejnoty*?

Cingle udawała aktorkę porno. Kilku chłopców z akademika otworzyło się przed nią w pośpiechu. Tak jak powiedziała Muse, dla tej kobiety o figurze zasługującej na grzywnę za obrazę moralności, nakłonienie paru studenciaków do wyznań wcale nie było trudne.

- Może coś o tym mówiliśmy - przyznał Flynn.

- Przez to rozumie pan ten film?

- Tak.

- Hmm - mruknąłem, ponownie udając zdziwionego takim obrotem sprawy. - Tak więc teraz, w obecności pani Shaker jako katalizatora, pamięta pan już film *Miłość, krokodyl i jego klejnoty*?

Próbował nie spuszczać głowy, ale zgarbił się.

- Taaak, chyba pamiętam.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - powiedziałem. Pubin wstał, żeby zgłosić sprzeciw, ale sędzia usadził go machnięciem ręki.

- W rzeczy samej - ciągnąłem - powiedział pan pani Shaker, że *Miłość, krokodyl i jego klejnoty* to ulubiony film porno całego waszego stowarzyszenia, prawda?

Zawahał się.

- W porządku, Jeny. Trzej twoi koledzy powiedzieli pani Shaker to samo.

Mort Pubin:

- Sprzeciw!

Spojrzałem na Cingle Shaker. Wszyscy inni też. Uśmiechnęła się i pomachała ręką jak gwiazda, która właśnie weszła na scenę. Podtoczyłem telewizor z podłączonym odtwarzaczem DVD. Krytyczny film był już w środku. Muse zatrzymała go na początku sceny.

- Wysoki Sądzie, zesłej nocy jeden z moich inspektorów odwiedził King David's Smut Palace w centrum Nowego Jorku. - Spojrzałem na ławników i powiedziałem: - No cóż, ten sklep jest otwarty przez całą dobę, chociaż dla czego ktoś miałby tam iść, powiedzmy, o trzeciej rano, przekracza moje...

- Panie Copeland.

Sędzia dostojnie powstrzymał mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem, ale przysięgli się uśmiechnęli. Doskonale. Chciałem, żeby się odprężyli. A potem, kiedy zmieni im się nastrój, kiedy zobaczą, co jest na tym DVD, solidnie nimi wstrząsnę.

- Krótco mówiąc, mój inspektor zakupił wszystkie filmy dla dorosłych, jakie dom studencki wypożyczył od HotFlixxx w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, łącznie z filmem *Miłość, krokodyl i jego klejnoty*. Teraz chciałbym pokazać scenę, która moim zdaniem ma znaczenie dla tej sprawy.

Wszyscy zamarli. Oczy zwróciły się na sędziego. Arnold Pierce nie spieszył się. Gładził swój podbródek. Wstrzymywałem oddech. W sali było cicho jak makiem zasiał. Wszyscy nastawiali uszu. Pierce znów pogładził podbródek. Miałem ochotę wydusić z niego odpowiedź.

Potem skinął głową i powiedział:

- Proszę. Zezwalam.

- Chwileczkę!

Mort Pubin zgłosił sprzeciw i robił wszystko, co mógł, powołując się na *voir dire* i tak dalej. Flair Hickory przyłączył się do kampanii. Jednak tylko tracili czas. W końcu zaciągnięto zasłony, żeby zapobiec odbłaskom. Wtedy, nie uprzedzając, co zobaczą, nacisnąłem klawisz odtwarzania.

Sceną była najzwyczajniejsza sypialnia. I wielkie łóżce. Troje aktorów. Wzięli się do rzeczy bez długiej gry wstępnej. Rozpoczęły się igraszki we trójkę. Dwóch mężczyzn. Jedna kobieta.

Obaj mężczyźni byli biali. Kobieta czarna.

Mężczyźni traktowali ją jak zabawkę. Przez cały czas szydzili, śmiali się i rozmawiali ze sobą:

- *Obróć ją, Cal... Tak, Jim, właśnie tak... Przekręć ją, Cal...*

Obserwowałem reakcję ławników, a nie ekran. Dziecinne naśladownictwo. Moja córka i jej kuzynka udawały Dorę Odkrywczynię. Jenrette i Marantz w chory sposób odtworzyli scenę z pornograficznego filmu. Na sali sądowej było cicho jak w grobie. Widziałem odrazę na twarzach obecnych, nawet tych siedzących za Jenrette'em i Marantzem, gdy czarna dziewczyna krzyczała, a biali mężczyźni śmiali się okrutnie, zwracając się do siebie po imieniu.

- Przechyl ją, Jim... Ooo, Cal, ta suka to uwielbia... Daj jej, Jim, tak, mocniej...

I tak dalej. Cal i Jim. Raz po raz. Ich głosy były okrutne, okropne, piekielne. Spojrzałem na koniec sali i odnalazłem Chamique Johnson. Siedziała wyprostowana. Z podniesioną głową.

- Oho, Jim... Taaak, teraz moja kolej...

Chamique napotkała moje spojrzenie i skinęła głową. Odpowiedziałem tym samym. Miała łzy na policzkach.

Nie jestem pewien, ale ja chyba też.

20

Flair Hickory i Mort Pubin uzyskali półgodzinną przerwę. Kiedy sędzia wstał z fotela, aby opuścić salę, wybuchło zamieszanie. Odmawiając komentarzy, poszedłem do mojego biura. Muse za mną. Była maleńka, ale zachowywała się jak mój ochroniarz.

Kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi, podniosła dłoń.

- Przybij piątkę!

Tylko na nią spojrzałem. Opuściła rękę.

- To już koniec, Cope.

- Jeszcze nie.

- Ale za pół godziny...? Skinąłem głową.

- Będzie po wszystkim. Jednak tymczasem mamy coś do zrobienia.

Wróciłem do stołu konferencyjnego. Leżała na nim wiadomość od Lucy. Podczas przesłuchiwania Flynnna zdołałem o niej zapomnieć. Zamknąłem Lucy w innej części mojego umysłu. Teraz, chociaż bardzo chciałem przez kilka minut pławić się w chwale, ta wiadomość znów mnie przywoływała.

Muse zobaczyła, że spoglądam na notatkę.

- Znajoma sprzed dwudziestu lat - powiedziała. - To wtedy miał miejsce ten incydent na obozie PLUS?

Spojrzałem na nią.

- To ma z tym związek, prawda?

- Nie wiem - odparłem. - Zapewne ma.

- Jak brzmi jej nazwisko?

- Silverstein. Lucy Silverstein.

- Racja - powiedziała Muse, siadając i krzyżując ręce na piersi. - Tak mi się zdawało.

- Jak na to wpadłaś?

- Daj spokój, Cope. Znasz mnie.

- I wiem, że jesteś zbyt wścibska, żeby ci to wyszło na dobre?

- To dlatego jestem taka atrakcyjna.
- Przez wścibstwo i może obuwie. Zatem kiedy sobie o mnie poczytałaś?
- Gdy tylko usłyszałam, że zostaniesz prokuratorem okręgowym.

Wcale nie byłem zdziwiony.

- Och, przeczytałam też akta tej sprawy, zanim ci powiedziałam, że chcę w to wejść.

Ponownie spojrzałem na wiadomość.

- Była twoją dziewczyną - powiedziała Muse.
- Wakacyjny romans. Byliśmy dzieciakami.
- Kiedy ostatnio miałaś od niej jakąś wiadomość?
- Dawno temu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Słyszałem zamieszanie pod drzwiami. Nie zwracałem na to uwagi. Muse również. Nie odzywaliśmy się. Tylko siedzieliśmy tam, nad leżącą na stole wiadomością.

W końcu Muse wstała.

- Mam trochę roboty.
- Idź - powiedziałem.
- Zdołasz wrócić na salę bez mojej pomocy?
- Jakoś się doczołgam - odparłem.

Muse doszła do drzwi i odwróciła się do mnie.

- Zadzwonisz do niej?
- Później.
- Chcesz, żebym ją sprawdziła? Mam zobaczyć, co uda mi się znaleźć?

Zastanowiłem się.

- Jeszcze nie.
- Dlaczego?
- Ponieważ kiedyś coś dla mnie znaczyła, Muse. Nie chcę, żebyś wtykała nos w jej życie.

Muse podniosła rękę.

- W porządku, w porządku, ciii, nie urywaj mi łba. Nie zamierzałam jej przywlec w kajdankach do biura. Mówiłam o rutynowym sprawdzeniu.

- Nic nie rób, dobrze? Przynajmniej na razie.
- Zatem popracuję nad twoją wizytą w więzieniu u Wayne'a Steubensa.

- Dziękuję.

- Ta historia z Calem i Jimem... Nie pozwolisz im się wywinąć, prawda?

- Nie ma mowy.



Obawiałem się tylko tego, że obrona zacznie twierdzić, iż Chamique Johnson też widziała ten film i zmyśliła wszystko, opierając się na scenariuszu, albo wmówiła sobie, że to przydarzyło się jej. Jednak pomogło mi kilka faktów. Po pierwsze, z łatwością dało się ustalić, że ten film nie był puszcany w telewizorze o dużym ekranie, stojącym w świetlicy akademika. Mogło to potwierdzić wielu świadków. Po drugie, zeznania przesłuchiwanego przeze mnie Jerry'ego Flynna oraz wykonane przez policję zdjęcia dowodziły, że Marantz i Jenrette nie mieli w swoim pokoju telewizora, zatem nie mogła obejrzeć tego filmu u nich.

Tak więc wiedziałem, że mogę pójść tylko w jednym kierunku - DVD można odtworzyć na komputerze. Słabe, to prawda, ale nie zamierzałem ryzykować. Jerry Flynn był jednym z tych świadków, których nazywam „byczymi”. Podczas walki byków byka wypuszczają na arenę i zgraja facetów - nie matador - wymachuje płaszczami. Byk szarżuje na nich, aż opadnie z sił. Potem pojawiają się pikadorzy na koniach, z długimi lancami, i wbijają je w gruczoł za mięśniami karku byka, wytaczając krew i powodując obrzęk karku, który uniemożliwia zwierzęciu poruszanie łbem. Wtedy przybiegają inni faceci i rzucają banderille - ozdobione wstążkami sztylety - które wbijają się w boki byka, w pobliżu barku. Znowu płynie krew. Byk jest już na pół martwy.

Po tym wszystkim matador - od hiszpańskiego *matar*, czyli „zabijać” - wychodzi na arenę i kończy dzieło szpadą.

Teraz to było moje zadanie. Wymęczyłem świadka, wbiłem mu w kark lancę oraz kilka kolorowych ostrzy. Teraz nadszedł czas, by wyjąć szpadę.

Flair Hickory użył wszystkich swoich niemałych umiejętności, aby temu zapobiec. Zażądał przerwy, twierdząc, że dotychczas nie pokazaliśmy im tego filmu i to nieetyczne, ponieważ powinniśmy to zrobić w chwili odkrycia, ple, ple, ple. Odparłem atak. W końcu ten film znajdował się w posiadaniu jego klientów. Zeszłej nocy znaleźliśmy tylko jego kopię. Świadkowie potwierdzili, że był oglądany w akademiku. Jeśli pan Hickory zamierza utrzymywać, iż jego klienci nigdy go nie widzieli, niech pozwoli im zeznawać.

Flair długo się opierał. Zwlekał, poprosił i uzyskał kilka chwil rozmowy z sędzią,

próbując z niejakim sukcesem dać Jerry'emu Flynnowi szansę złapania oddechu.

Wszystko na nic.

Pojąłem to w chwili, gdy Flynn znów znalazł się na podium dla świadków. Został zbyt poważnie zraniony przez sztylety i lancę. Film go dobił. Zamknął oczy, kiedy go puściłem, zaciskając powieki tak mocno, że miałem wrażenie, iż próbuje zatkać sobie uszy.

Mógłbym powiedzieć, że Flynn zapewne nie jest złym chłopcem. W rzeczy samej, jak teraz zeznał, podobała mu się Chamique. Naprawdę umówił się z nią na randkę. Kiedy jednak jego starsi koledzy dowiedzieli się o tym, wydrwili go i zmusili, żeby wziął udział w ich chorym planie „odtworzenia” filmu. I Flynn pierwszorocznik uległ.

- Nienawidziłem się za to - wyznał. - Jednak musi pan zrozumieć.

„Nie, nie muszę”, miałem ochotę powiedzieć. Jednak nie zrobiłem tego. Patrzyłem tylko na niego, dopóki nie spuścił wzroku. Potem z wyzwaniem w oczach spojrzałem na ławę przysięgłych. Minęło kilka sekund.

W końcu odwróciłem się do Flaira Hickory'ego i powiedziałem:

- Świadek jest pański.



Potrwało chwilę, zanim zostałem sam.

Po mojej śmiesznej próbie udawania obrażonego przed Muse postanowiłem zabawić się w detektywa amatora. Wprowadziłem do wyszukiwarki Google numery telefonów Lucy. Dwa nic mi nie dały, ale trzeci, służbowy, okazał się bezpośrednim telefonem do profesor Reston University, niejakiej Lucy Gold.

Gold. Silverstein. Sprytne.

Wiedziałem już, że to „moja” Lucy, ale w ten sposób uzyskałem potwierdzenie. Pytanie tylko, co z tym zrobić? Odpowiedź była stosunkowo prosta. Oddzwonię do niej. Dowiem się, czego chce.

Nie sądziłem, żeby to był przypadek. Nie miałem od niej żadnych wiadomości od prawie dwudziestu lat. Teraz nagle dzwoni i nie zostawia swojego nazwiska. To musi mieć jakiś związek ze śmiercią Gila Pereza. Musi się łączyć z wydarzeniami na obozie PLUS.

To oczywiste.

Partycjonowanie różnych aspektów życia. Powinno być łatwo o niej zapomnieć. Letnia przygoda, nawet tak namiętna, jest tylko przygodą. Może ją kochałem, zapewne tak, ale byłem

jeszcze dzieckiem. Szczęściem miłość nie przetrwa kałuż krwi i trupów. Są drzwi. Te za sobą zamknąłem. Lucy odeszła. Długo trwało, zanim się z tym pogodziłem. Jednak zrobiłem to i trzymałem te przeklęte drzwi zamknięte.

Teraz będę musiał je otworzyć.

Muse chciała ją sprawdzić. Powinienem być wyrazić na to zgodę. Pozwoliłem, by emocje dyktowały mi decyzje. Powinienem poczekać. Jej nazwisko było jak cios między oczy. Powinienem być grać na zwłokę, otrząsnąć się po tym ciosie, trzeźwo spojrzeć na sprawy. Nie zrobiłem tego.

Może jeszcze nie powinienem dzwonić?

Nie, powiedziałem sobie. Dość zwlekania.

Podniosłem aparat i zadzwoniłem do jej domu. Po czwartym sygnale odezwał się kobiecy głos. „Nie ma mnie w domu, ale po sygnale proszę zostawić wiadomość”.

Sygnal zapiszczał za szybko. Nie zdążyłem się przygotować. Rozłączyłem się.

Naprawdę dojrzałe postępowanie.

Kręciło mi się w głowie. Dwadzieścia lat. Minęło dwadzieścia lat. Lucy ma teraz trzydzieści siedem. Zastanawiałem się, czy nadal jest taka piękna. Kiedy sięgnąłem myślą wstecz, doszedłem do wniosku, że miała ten rodzaj urody, która się nie starzeje. Niektóre kobiety takie są.

Skup się na meritum sprawy, Cope.

Próbowałem. Jednak słysząc jej głos, brzmiący dokładnie tak samo... To było jak spotkanie po latach ze starym współlokatorem z college'u: po dziesięciu sekundach minione lata znikają i jest tak, jakby nic się nie zmieniło i znów jesteście razem w akademiku. Teraz też się tak czułem. Jej głos brzmiał tak samo. Znów miałem osiemnaście lat.

Zrobiłem kilka głębokich wdechów. Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść.

Do pokoju weszła Muse.

- Dzwoniłeś już do niej?

- Próbowałem zadzwonić do domu. Nie ma jej.

- O tej porze raczej jej tam nie zastaniesz - powiedziała. - Ma zajęcia.

- A ty wiesz o tym, ponieważ...

- Ponieważ jestem głównym inspektorem dochodzeniowym. I nie muszę cię słuchać we

wszystkim.

Usiadła i położyła na stole nogi w tych praktycznych butach. Przyglądała mi się i nic nie mówiła. Ja też milczałem. W końcu przerwała milczenie:

- Chcesz, żebym sobie poszła?

- Najpierw powiedz, co znalazłaś.

Bardzo starała się nie uśmiechnąć.

- Siedemnaście lat temu zmieniła nazwisko. Teraz nazywa się Lucy Gold.

Skinąłem głową.

- Czyli zaraz po ugodzie.

- Jakiej ugodzie? Och, poczekaj, przecież zaskarżyliście obóz, prawda?

- Zrobiły to rodziny ofiar.

- A ojciec Lucy był organizatorem obozu.

- Zgadza się.

- Proces był paskudny?

- Nie wiem. Nie brałem w nim udziału.

- Jednak wygraliście w sądzie?

- Jasne. To był letni obóz praktycznie bez żadnych zabezpieczeń. - Mówiąc to, skrzywiłem się. - Rodziny zabrały Silversteinowi to, co posiadał.

- Czyli teren, na którym organizował te obozy?

- Tak. Sprzedaliśmy go inwestorowi.

- Cały?

- Część obejmującą lasy. To w większości nieużytki, tak więc są pod ochroną jakiejś państwowej agencji. Nie można tam nic budować.

- A miejsce na obóz wciąż tam jest?

Pokręciłem głową.

- Inwestor zburzył stare chaty i zbudował tam strzeżone osiedle.

- Ile dostaliście?

- Po potrąceniu honorarium prawnika każda rodzina dostała ponad osiemset tysięcy.

Zrobiła wielkie oczy.

- Ooo...

- Tak. Na stracie dziecka można nieźle zarobić.

- Nie chciałam... Machnąłem ręką.
- Wiem. Po prostu jestem dupkiem. Nie spierała się.
- To musiało wiele zmienić - zauważyła.

Nie odpowiedziałem od razu. Te pieniądze wylądowały na wspólnym koncie. Matka wzięła sto tysięcy. Resztę zostawiła nam. Hojny gest, zapewne. My z ojcem wyprowadziliśmy się z Newark i zamieszkaliśmy w ładnym domu w Montclair. Już byłem przyjęty do Rutgers, ale po tym postanowiłem podjąć studia na wydziale prawa uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Tam poznałem Jane.

- Taak - przyznałem. - To wiele zmieniło.
- Czy chcesz dowiedzieć się więcej o swojej dawnej flanie?

Skinąłem głową.

- Poszła na UCLA. Skończyła psychologię. Ma również dyplom USC zrobiony na tej samej uczelni i jeszcze jeden, z anglistyki, na Stanford. Jeszcze nie znam całego przebiegu jej pracy zawodowej, ale obecnie pracuje niedaleko, na uniwersytecie Reston. Podjęła pracę w zeszłym roku. I, hmm, kiedy mieszkała w Kalifornii, dwukrotnie została zatrzymana za prowadzenie pod wpływem. Raz w dwa tysiące pierwszym. Ponownie w dwa tysiące trzecim. Przyznała się do winy. Poza tym ma czysty rejestr.

Zamyśliłem się. Prowadzenie pod wpływem. To niepodobne do Lucy. Jej ojciec, Ira, kierownik obozu, wciąż był na haju - tak często, że ona nie interesowała się żadnymi środkami odurzającymi. A teraz dwukrotnie zatrzymano ją za jazdę po pijanemu. Trudno to zrozumieć. Oczywiście dziewczyna, którą znałem, jeszcze nie była pełnoletnia. Była szczęśliwa, trochę naiwna i dobrze przystosowana, jej rodzina była dobrze sytuowana, a ojciec wydawał się nieszkodliwym wolnym duchem. To wszystko także umarło w lasach tamtej nocy.

- Jeszcze jedno - powiedziała Muse. Z udawaną nonszalancją zmieniła pozycję. - Lucy Silverstein, czyli Gold, nie jest zamężna. Jeszcze nie sprawdziłam wszystkiego, ale z tego co widzę, nigdy nie była.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. To z pewnością nie miało nic wspólnego z tym, co się działo. Mimo to słowa Muse mnie poruszyły. Lucy była tak pełna życia, tak bystra, energiczna i tak łatwo było ją kochać. Jak mogła przez tyle lat pozostać samotna? No i ta jazda pod wpływem...

- O której kończy zajęcia? - Zapytałem.

- Za dwadzieścia minut.

- W porządku, wtedy do niej zadzwonię. Jeszcze coś?

- Wayne Steubens nie przyjmuje gości, poza najbliższą rodziną i prawnikami. Jednak pracuję nad tym. Mam jeszcze kilka innych spraw, ale na razie to tyle.

- Nie trać na to zbyt dużo czasu.

- Nie tracę.

Spojrzałem na zegarek. Dwadzieścia minut.

- Chyba powinnam już iść - stwierdziła Muse.

- Taaak.

Wstała.

- Och, jeszcze jedno.

- Co?

- Chcesz zobaczyć jej zdjęcie?

Podniosłem głowę.

- Uniwersytet Reston ma swoją stronę internetową. Są tam zdjęcia wszystkich profesorów.

- Pokazała mi kawałek papieru. - Mam tutaj adres.

Nie czekała na moją odpowiedź. Położyła adres na stole i zostawiła mnie samego.



Miałem dwadzieścia minut. Czemu nie?

Wywołałem domyślną stronę. Mam ustawioną tę z Yahoo, na której można wybrać znaczną część zawartości. Miałem tam wiadomości, drużyny sportowe, dwa ulubione programy komediowe *Doonesbury* oraz *Fox Trot* - takie rzeczy. Wprowadziłem adres witryny Reston, który dała mi Muse.

Była tam.

To nie była jej najlepsza fotografia. Miała spięty uśmiech i ponurą minę. Pozowała do tego zdjęcia, ale było widać, że nie miała na to ochoty. Blond włosy znikły. Wiem, że tak bywa z wiekiem, ale przeczuwałem, że to jej wybór. Nie pasował jej ten kolor włosów. Była starsza - jasne - ale tak jak przewidziałem, było jej z tym dobrze. Twarz miała bardziej pociągłą. Kości policzkowe wydatniejsze.

I niech mnie diabli, jeśli nadal nie wyglądała pięknie.

Gdy patrzyłem na jej twarz, coś dawno uspiętego ożyło i zaczęło skręcać mnie w

brzuchu. Teraz nie potrzebowałem czegoś takiego. Moje życie było wystarczająco skomplikowane. Nie potrzebowałem powrotu tych dawnych uczuć. Przeczytałem jej krótką biografię i nie dowiedziałem się niczego. Dzisiejsi studenci prowadzą rankingi zajęć i profesorów. Często można znaleźć je w sieci. Tym razem też. Lucy najwidoczniej była przez studentów uwielbiana. Miała niewiarygodne rankingi. Przeczytałem kilka komentarzy. Wyglądało na to, że jej wykłady zmieniały ich życie. Uśmiechnąłem się z dziwną dumą.

Dwadzieścia minut minęło.

Zaczekałem jeszcze pięć, wyobraziłem sobie, jak żegna się ze studentami, rozmawiając z kilkoma opieszalymi, pakując materiały i notatki do jakiejś sfatygowanej skórzanej torby.

Podniosłem słuchawkę służbowego telefonu. Zadzwoiłem do Jocelyn.

- Tak?

- Żadnych telefonów - powiedziałem. - Nie przeszkadzać.

- W porządku.

Wcisnąłem przycisk zewnętrznej linii. Wybrałem numer telefonu Lucy. Po trzecim dzwonku usłyszałem jej głos.

- Halo?

Serce podeszło mi do gardła, ale zdołałem wykrztusić:

- To ja, Luce.

A potem, kilka sekund później, usłyszałem, że płacze.

21

- Luce? Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. Ja tylko...

- Taaak, wiem.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam.

- Zawsze łatwo było doprowadzić cię do płaczu - zażartowałem i natychmiast tego pożałowałem.

Ona jednak parsknęła śmiechem.

- Już nie - powiedziała. Cisza.

- Gdzie jesteś? - Zapytałem po chwili.

- Pracuję na uniwersytecie Restem. Teraz idę przez park.

- Och - bąknąłem, ponieważ nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Przepraszam, że zostawiłam taką tajemniczą wiadomość. Już nie używam nazwiska Silverstein.

Nie chciałem jej mówić, że już o tym wiem. Jednak nie chciałem kłamać. Dlatego znów odpowiedziałem niezachęcającym „och”.

Znów cisza. Tym razem ona ją przerwała.

- Człowieku, jakie to dziwne.

Uśmiechnąłem się.

- Wiem.

- Czuję się jak idiotka - wyznała. - Jakbym znów miała szesnaście lat i martwiła się nowym pryszczem.

- Ja też - powiedziałem.

- Wcale się nie zmieniamy, prawda? Chcę powiedzieć, że w środku zawsze tkwią przestraszone dzieciaki, zastanawiające się, kim będą, gdy dorosną.

Wciąż się uśmiechałem, ale myślałem o tym, że nie wyszła za mąż i prowadziła po spożyciu alkoholu. Pewnie się nie zmieniamy, ale ścieżki naszego życia tak.

- Dobrze słyszeć twój głos, Luce.

- Twój również.

Milczenie.

- Zadzwoiłam, ponieważ... - Lucy urwała, po czym podjęła: - Nawet nie wiem, jak to powiedzieć, więc pozwól, że o coś zapytam. Czy ostatnio przydarzyło ci się coś dziwnego?

- Dlaczego dziwnego?

- Dziwnego, bo związanego z tamtą nocą.

Powinienem być się spodziewać, że powie coś takiego, wiedzieć, że tak będzie, lecz mimo to uśmiech znikł z moich warg, jakby ktoś mnie zdzielił w twarz.

- Tak.

Cisza.

- Co, do diabła, się dzieje, Paul?

- Nie wiem.

- Myślę, że powinniśmy się tym zająć.

- Zgadzam się z tobą.

- Chcesz się ze mną spotkać?

- Tak.

- To będzie dziwne.

- Wiem.

- Chcę powiedzieć, że nie chcę, żeby takie było. I nie dlatego zadzwoniłam. Żeby cię zobaczyć. Jednak uważam, że powinniśmy się spotkać i to omówić, nie sądzisz?

- Sądzę.

- Bełkoczę. Zawsze bełkoczę, kiedy się zdenerwuję.

- Pamiętam - powiedziałem. I ponownie natychmiast tego pożałowałem, więc dodałem pośpiesznie: - Gdzie się spotkamy?

- Czy wiesz, gdzie jest Reston?

- Wiem.

- Mam jeszcze jedno zajęcia, a potem spotkanie ze studentami do siódmej trzydzieści. Chcesz spotkać się ze mną w moim gabinecie? Znajduje się w gmachu Armstronga. Powiedzmy o ósmej?

- Będę.



Kiedy wróciłem do domu, ze zdziwieniem zobaczyłem, że dziennikarze rozbili przed nim obóz. Często się o tym słyszy - o dziennikarzach robiących takie rzeczy - ale to było moje pierwsze doświadczenie tego rodzaju. Miejscowi policjanci byli w pobliżu, najwidoczniej podnieceni tym, że robią coś, co wydaje się choć pozornie ważne. Stali po obu stronach podjazdu, żebym mógł wjechać. Dziennikarze nie próbowali się przez nich przedrzeć. Prawdę mówiąc, ledwie zauważyli, że przybyłem.

Greta zgotowała mi powitanie godne bohatera. Całusy, uściski i gratulacje. Kocham Gretę. Są ludzie, o których wiesz, że są szczerzłoci i zawsze możesz na nich liczyć. Nie ma ich wielu. Jednak trochę ich jest. Wiem, że w razie potrzeby Greta zasłoniłaby mnie własnym ciałem. Budziła we mnie opiekuńcze uczucia.

Pod tym względem przypominała mi siostrę.

- Gdzie jest Cara? - Zapytałem.

- Bob zabrał Carę i Madison na obiad do Baumgarta. Estelle była w kuchni. Wkładała pranie do pralki.

- Wieczorem muszę wyjść - powiedziałem.

- Żaden problem.

- Cara może dziś spać u nas - zaproponowała Greta.

- Dziękuję, ale chyba wolałbym, żeby dziś spała w domu.

Poszła za mną do bawialni. Frontowe drzwi otworzyły się i wszedł Bob z dziewczynkami. Znów wyobraziłem sobie, jak moja córka pada mi w ramiona z okrzykiem: „Tatusiu! Wróciłeś!”. Tak się nie stało. Jednak uśmiechnęła się i podeszła do mnie. Porwałem ją w objęcia i mocno pocałowałem. Nadal się uśmiechała, chociaż wytarła policzek. Cóż. Jakoś to zniosę.

Bob klepnął mnie w plecy.

- Gratuluję sukcesu - powiedział.

- Proces jeszcze się nie skończył.

- Media mówią co innego. Tak czy inaczej, Jenrette powinien się od ciebie odczepić.

- Albo zaatakować jeszcze bardziej desperacko.

Poblądł. Gdyby miał zagrać w filmie, obsadzono by go w negatywnej roli bogatego republikanina. Miał rumiane policzki, drugi podbródek, krótkie i grube palce. Kolejny przykład, że pozory mogą mylić. Bob był typowym niebieskim kołnierzykiem. Uczył się wytrwale i ciężko

pracował. Nic nie przyszło mu łatwo.

Cara weszła do pokoju, niosąc, jak relikwię, DVD. Zamknąłem oczy i przypomniawszy sobie, jaki to dzień tygodnia, zakląłem w duchu, po czym powiedziałem do mojej małej:

- To wieczór filmowy.

Wciąż trzymała DVD. Miała szeroko otwarte oczy. Uśmiechała się. Na okładce była scena z jakiegoś animowanego ręcznie lub komputerowo filmu, przedstawiająca gadające samochody, a może zwierzęta z farmy lub ogrodu zoologicznego, stworzona przez studio Pixar lub Disneya, którą widziałem już ze sto razy.

- Właśnie. Zrobisz prażoną kukurydzę?

Przyklęknąłem, tak że spojrzałem jej w oczy. Położyłem dłonie na jej ramionach.

- Skarbie - powiedziałem. - Tatuś musi dziś wieczorem wyjść.

Żadnej reakcji.

- Przykro mi, kochanie.

Czekałem na łzy.

- Czy mogę obejrzeć go z Estelle?

- Pewnie, skarbie.

- I ona zrobi mi prażoną kukurydzę?

- Oczywiście.

- Super.

Liczyłem na odrobinę rozczarowania. Nic z tego. Cara uciekła. Spojrzałem na Boba. Popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Dzieciaki - co można na to poradzić?”.

- W duchu - powiedziałem, wskazując córkę. - W duchu jest naprawdę zdruzgotana.

Bob się roześmiał i w tym momencie zadzwonił mój telefon komórkowy. Wyświetlacz pokazywał tylko NEW JERSEY, ale rozpoznałem numer i ożywiłem się. Odebrałem i powiedziałem: „Halo”.

- Dobra robota, gwiazdorze.

- Pan gubernator - powiedziałem.

- Niewłaściwa forma.

- Słucham?

- Panie gubernatorze. Do prezydenta Stanów Zjednoczonych należy się zwracać panie prezydencie, a do gubernatorów po prostu gubernatorze albo po nazwisku, na przykład

Gubernatorze Ogierze lub Gubernatorze Zdobywco Lasek.

- A może Gubernatorze Dupolizie? - Dodałem.

- No właśnie.

Uśmiechnąłem się. Na pierwszym roku Rutgers poznałem obecnego gubernatora, Dave'a Markiego, na przyjęciu. Przytłoczył mnie. Ja byłem synem imigranta. Jego ojciec był senatorem Stanów Zjednoczonych. Jednak właśnie na tym polega urok college'u. Łączy dziwnych ludzi. W końcu zostaliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Krytycy Dave'a nie mogli nie zauważyć tej przyjaźni, kiedy mianował mnie prokuratorem okręgowym Essex County. On tylko wzruszył ramionami i przeforsował moją kandydaturę. Miałem już dobrą prasę i zaryzykował tam, gdzie nie powinienem ryzykować, po dzisiejszym sukcesie zwiększyłem swoje szanse na fotel kongresmana.

- Twój wielki dzień, co? Jesteś gość. Hej ho! Dalej, Cope, dalej, to twoje święto.

- Usiłujesz odnaleźć swoje hip-hopowe korzenie?

- Usiłuję zrozumieć moją nastoletnią córkę. W każdym razie gratuluję.

- Dzięki.

- Jeśli chodzi o tę sprawę, to do znudzenia powtarzam: „żadnych komentarzy”.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś mówił: „żadnych komentarzy”.

- Na pewno słyszałeś, tylko w sposób kreatywny: wierzę w nasz system sądowiczy, każdy obywatel jest niewinny, dopóki nie dowiedzie mu się winy, koła sprawiedliwości obracają się powoli, nie jestem sędzią i ławą przysięgłych, powinniśmy poczekać, aż poznamy wszystkie fakty.

- Równie wyświechtane jak „żadnych komentarzy”.

- Równie wyświechtane jak każdy inny komentarz - poprawił mnie. - Zatem jak stoją sprawy, Cope?

- Świetnie.

- Chodzisz na randki?

- Czasem.

- Chłopie, jesteś samotny. I przystojny. Masz trochę pieniędzy w banku. Rozumiesz, co sugeruję?

- Jesteś bardzo subtelny, Dave, ale chyba nadażam.

Dave Markie zawsze był uwodzicielem - przystojny, ale przede wszystkim potrafił być

urzekająco czarujący. Miał charyzmę, która sprawiała, że każda kobieta czuła się w jego obecności najpiękniejszą i najbardziej fascynującą osobą na świecie. Oczywiście to była tylko gra. Po prostu chciał je zdobyć. Nic poza tym. Mimo to nigdy nie poznałem nikogo, kto potrafiłby lepiej podrywać kobiety.

Oczywiście Dave miał teraz żonę i dwoje uroczych dzieci, ale byłem pewny, że ma kogoś na boku. Niektórzy mężczyźni nie potrafią oprzeć się pokusie. To instynktowne i pierwotne. Myśl o tym, że Dave Markie mógłby nie skorzystać z okazji, była po prostu bluźnierstwem.

- Dobra wiadomość - rzekł. - Przyjeżdżam do Newark.

- Po co?

- Newark jest największym miastem w moim okręgu, ot co, a ja cenię sobie wszystkich moich wyborców.

- Yhm...

- I chcę się z tobą zobaczyć. Zbyt długo się nie widzieliśmy.

- Jestem trochę zajęty tą sprawą.

- Nie znajdziesz czasu dla swojego gubernatora?

- O co chodzi, Dave?

- O to, o czym rozmawialiśmy przedtem. Moja ewentualna kandydatura do Kongresu.

- Dobre wieści? - Zapytałem.

- Nie.

Cisza.

- Myślę, że mamy problem - powiedział.

- Jaki problem?

Jego głos znów był jowialny.

- Może to nic, Cope. Porozmawiamy. Niech to będzie w twoim biurze. Powiedzmy w porze lunchu.

- Dobrze.

- Zamów kanapki. Z tego bistra na Brandford.

- Hobby's.

- Właśnie. Pierś indycza z tymi wszystkimi różnościami na żytnim chlebie. Sobie też weź.

Do zobaczenia.



Budynek, w którym pracowała Lucy Gold, był monstrum szpecącym otoczenie, „modernistycznym” gmaszyskiem z lat siedemdziesiątych, które miało wyglądać futurystycznie, ale nie wiedzieć czemu sprawiało wrażenie starej rudery już trzy lata po ukończeniu. Pozostałe budynki były ładne, z czerwonej cegły proszącej się o więcej bluszczu. Zostawiłem samochód w południowo-zachodnim rogu parkingu. Odchyliłem lusterko, a potem, parafrazując Springsteena, przejrzałem się w nim i zapragnąłem zmienić ubranie, uczesanie i twarz.

Ruszyłem przez park. Minąłem grupkę studentów. Dziewczyny były ładniejsze, niż pamiętałem, ale zapewne dlatego, że się starzeję. Skinąłem im głową, przechodząc. Nie odkłoniły się. Kiedy chodziłem do college'u, na moim roku był facet, który miał trzydzieści osiem lat. Poszedł do wojska i dopiero w tym wieku robił dyplom. Pamiętałem, jak wyróżniał się w kampusie, ponieważ był taki stary. Teraz byłem w jego wieku. Niepojęte. Byłem w tym samym wieku, co tamten stary piernik.

Snułem takie głupie myśli, ponieważ pomagały mi ignorować rzeczywistość. Miałem na sobie białą koszulę wyłożoną na spodnie, granatowe dżinsy, niebieski blezer i mokasyny Ferragamo na bosych nogach. Pan Luzak.

Kiedy dochodziłem do budynku, stwierdziłem, że się trzęsę. Skarciłem się w duchu. Jestem dorosły. Byłem żonaty. Jestem ojcem i wdowcem. Ostatnio widziałem tę kobietę ponad pół życia temu.

Kiedy się z tego wyrasta?

Sprawdziłem spis, chociaż Lucy mówiła mi, że jej gabinet jest na drugim piętrze, drzwi B. Znalazłem. Profesor Lucille Gold. 3B. Jakoś zdołałem wcisnąć właściwy guzik w windzie. Wysiadłem na drugim piętrze i skręciłem w lewo, chociaż na tablicy z napisem „A-E” była strzałka wskazująca w prawo.

Znalazłem jej drzwi. Wisiał na niej plan jej godzin pracy. Niemal całkowicie wypełniony. Był tam również plan jej wykładów oraz jakieś ogłoszenie o terminach zaliczeń. O mało nie chuchnąłem na dłoń, żeby ją powąchać, ale już użyłem miętowego odświeżacza.

Zapukałem, mocno i dwoma palcami. Oznaka pewności siebie, pomyślałem. Typowo męska.

Boże, jestem żaloszny.

- Proszę.

Słyszając jej głos, poczułem ucisk w gardle. Otworzyłem drzwi i wszedłem. Stała pod

oknem. Słońce jeszcze nie zaszło i rzucała długi cień. Wciąż była cholernie piękna. Przyjąłem cios i utrzymałem się na nogach. Przez chwilę tylko staliśmy tak, pięć metrów od siebie, nie ruszając się z miejsca.

- Jak światło? - Zapytała.

- Słucham?

- Nie wiedziałam, gdzie stanąć. No wiesz, kiedy zapukałeś. Czy mam otworzyć drzwi? Nie, za szybko znalazłabym się zbyt blisko. Zostać za biurkiem z długopisem w ręku? Spojrzeć na ciebie znad połówkowych szkieł do czytania? Przyjaciel pomógł mi wypróbować wszystkie możliwości. Uznał, że tutaj wyglądam najlepiej - na końcu pokoju, przy do połowy zaciągniętej zasłonie.

Uśmiechnąłem się.

- Wyglądasz niesamowicie.

- Ty też. Ile strojów przymierzyłeś?

- Tylko ten jeden. Ale mówiono mi, że w tym mi najlepiej. A ty?

- Przymierzyłam trzy bluzki.

- Ta mi się podoba - orzekłem. - Zawsze było ci dobrze w zielonym.

- Wtedy miałam jasne włosy.

- Taaak, ale oczy wciąż masz zielone. Mogę wejść? Skinęła głową.

- Zamknij drzwi.

- Czy nie powinniśmy... Sam nie wiem, objąć się albo coś?

- Jeszcze nie.

Lucy usiadła za biurkiem, a ja na stojącym przed nim krześle.

- To takie skomplikowane - westchnęła.

- Wiem.

- Jest milion rzeczy, o które chciałabym cię zapytać.

- Ja też.

- W Internecie znalazłam informację o twojej żonie. Współczuję ci.

Skinąłem głową.

- Co u twojego ojca? - Zapytałem.

- Nie najlepiej.

- Przykro mi to słyszeć.

- Cała ta wolna miłość i prochy... W końcu dają znać o sobie. Ponadto Ira... On nigdy nie pogodził się z tym, co się stało, rozumiesz?

Chyba rozumiałem.

- A co u twoich rodziców? - Spytała Lucy.

- Mój ojciec umarł przed kilkoma miesiącami.

- To smutne. Tak dobrze go pamiętam z tamtego lata.

- Wtedy po raz ostatni był szczęśliwy.

- Z powodu twojej siostry?

- Z wielu powodów. Twój ojciec dał mu szansę. Znow mógł być lekarzem. Uwielbiał leczyć. Potem już nigdy tego nie robił.

- Przykro mi.

- Ojciec nie chciał wnosić sprawy do sądu - lubił Irę - ale kogoś musiał za to obwinić, a moja matka naciskała. Wszystkie pozostałe rodziny również.

- Nie musisz mi tłumaczyć.

Przestałem. Miała rację.

- A twoja matka? - Zapytała.

- Ich małżeństwo nie przetrwało.

Ta odpowiedź najwidoczniej jej nie zaskoczyła.

- Masz coś przeciwko temu, żebym wyraziła moją zawodową opinię? - Spytała.

- Nie, nic.

- Utrata dziecka wywiera przedziwny wpływ na związki małżeńskie. Większość ludzi myśli, że tylko najlepsze małżeństwa mogą przetrwać po takim ciosie. To nieprawda. Studiowałam to zagadnienie. Widziałam, jak pary, które można by uznać za niedobre, przetrwały to, a nawet jeszcze zbliżyły się do siebie. I widywałam takie, które wydawały się wieczne, a rozpadały się jak domki z kart. Czy byliście sobie bliscy?

- Moja matka i ja?

- Tak.

- Nie widziałem jej od osiemnastu lat. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu.

- Straciłeś wiele bliskich osób, Paul.

- Chyba nie zamierzasz poddać mnie psychoanalizie, co?

- Nie, nic podobnego.

Odchyliła się do tyłu, spoglądając w górę i w dal. To spojrzenie przeniosło mnie w przeszłość. Siedzieliśmy na dawnym boisku, zarośniętym wysoką trawą, obejmowałem ją, a ona spoglądała tak właśnie - w górę i w dal.

- Kiedy byłam w college'u - odezwała się - miałam przyjaciółkę. Ona miała siostrę bliźniaczkę. Nie były identyczne. Pewnie to żadna różnica, ale wydaje się, że więź łącząca jednojajowe bliźnięta jest silniejsza. W każdym razie, kiedy byliśmy na pierwszym roku, jej siostra zginęła w wypadku samochodowym. Moja przyjaciółka zareagowała na to w dziwny sposób. Oczywiście, była załamana, a jednocześnie czuła jakby ulgę. Pomyślała, no cóż, stało się. Bóg wybrał mnie. Potem przyszła moja kolej. Teraz nic mi nie jest. Udzielam się w moim gabinecie. Kiedy się traci w taki sposób siostrę bliźniaczkę, to jakby się było bezpiecznym na resztę życia. Jakby wyczerpał się limit tragedii na jedną osobę. Wiesz, co mam na myśli?

- Wiem.

- Jednak w życiu tak nie jest. Jedni mają już potem spokój. Inni, tak jak ty, dostają większą działkę. Znacznie większą. A najgorsze jest to, że to wcale nie chroni ich przed następnymi nieszczęściami.

- Życie nie jest sprawiedliwe - powiedziałam.

- Amen. - Uśmiechnęła się. - To takie dziwne, prawda?

- Tak.

- Wiem, że byliśmy razem przez... Ile, sześć tygodni?

- Coś koło tego.

- I kiedy się nad tym zastanowić, to był tylko wakacyjny romans. Zapewne od tego czasu miałaś dziesiątki dziewczyn.

- Dziesiątki?

- A co, raczej setki?

- Co najmniej.

Cisza. Poczułem, jak coś wzbiera w mojej piersi.

- Jednak ty byłaś kimś szczególnym, Lucy. Byłaś... Urwałem.

- Taaak, wiem. Ty też. Dlatego to takie dziwne. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Jednak nie jestem pewna, czy to odpowiednia chwila.

Miałem wrażenie, że obserwuję pracę chirurga, może chirurga plastycznego operującego

czas. Wyciął dwadzieścia ostatnich lat i połączył moje osiemnastoletnie ja z trzydziestoosmioletnim, niemal nie pozostawiając śladu zszycia.

- Zatem dlaczego do mnie zadzwoniłaś? - Spytałem.

- Pytasz, co dziwnego się wydarzyło?

- Tak.

- Mówiłaś, że tobie również.

Skinałem głową.

- Zechciałbyś opowiedzieć o tym pierwszy? - Zapytała. - No wiesz, jak wtedy, kiedy kręciliśmy ze sobą.

- Hmm.

- Przepraszam. - Zamilkła, skrzyżowała ręce na piersi, jakby było jej zimno. - Gadam głupstwa. To silniejsze ode mnie.

- W ogóle się nie zmieniałaś, Luce.

- Ależ tak, Cope, zmieniałam się. Nie uwierzyłybyś, jak bardzo.

Nasze spojrzenia się spotkały, po raz pierwszy, od kiedy wszedłem do tego pokoju. Nie umiem czytać w oczach. Widziałem zbyt wielu dobrych łgarzy, żeby wierzyć w to, co widzę. Te jednak coś mi mówiły, jakąś opowieść, w której było dużo cierpienia.

Nie chciałem żadnych kłamstw między nami.

- Wiesz, czym się teraz zajmuję? - Spytałem.

- Jesteś prokuratorem okręgowym. To także znalazłam w Internecie.

- Właśnie. Dzięki temu mam dostęp do różnych informacji.

Ktoś z mojego biura cię sprawdził.

- Rozumiem. Zatem wiesz, że prowadziłam pod wpływem.

Nie odpowiedziałem.

- Za dużo piłam, Cope. Nadal piję. Jednak już nie prowadzę.

- To nie moja sprawa.

- Nie, nie twoja. Jednak cieszę się, że mi powiedziałeś. - Odchyliła się do tyłu, opuściła ręce i położyła je na podolku. - Powiedz mi, co się stało, Cope.

- Kilka dni temu dwaj detektywi z wydziału zabójstw z Manhattanu pokazali mi ciało niezidentyfikowanego mężczyzny - powiedziałem. - Myślę, że tym człowiekiem, mężczyzną, którego wiek oceniono na trzydzieści kilka lat, był Gil Perez.

Opadła jej szczęka.

- Nasz Gil?

- Tak.

- Jak to możliwe, do diabła?

- Nie wiem.

- Przez cały ten czas żył?

- Najwidoczniej.

Kręciła w milczeniu głową.

- Zaczekaj, czy zawiadomiłeś jego rodziców?

- Policja sprowadziła ich, żeby go zidentyfikowali.

- I co powiedzieli?

- Powiedzieli, że to nie Gil. Że Gil umarł dwadzieścia lat temu.

Powoli opadła na fotel.

- Ha. - Patrzyłem, jak w zadumie przygryza dolną wargę. Jeszcze jeden gest z naszych czasów na obozie. - Co więc robił przez cały ten czas?

- Poczekaj, nie zapytasz mnie, czy jestem pewien, że to był on?

- Oczywiście, że jesteś pewien. Nie powiedziałbyś tego, gdybyś nie był. Tak więc jego rodzice kłamią albo - co bardziej prawdopodobne - nie przyjmują prawdy do wiadomości.

- Tak.

- To pierwsze czy drugie?

- Nie jestem pewien. Jednak skłaniam się do pierwszego - kłamią.

- Powinniśmy z nimi porozmawiać.

- My?

- Tak. Czego jeszcze dowiedziałeś się o Gilu?

- Niewiele. - Usiadłem wygodniej na krześle. - A co z tobą? Co się stało?

- Moi studenci pisali anonimowe teksty, bardzo osobiste. Przesłano mi taki, który dość dokładnie opisywał to, co przydarzyło nam się tamtej nocy.

Myślałem, że się przesłyszałem.

- Studencki tekst?

- Taaak. Podaje większość faktów. Jak poszliśmy do lasu. Jak się obściskiwaliśmy. Jak usłyszeliśmy krzyk.

Wciąż nie rozumiałem.

- Tekst napisany przez któregoś z twoich studentów?

- Tak.

- I nie masz pojęcia, kto to napisał?

- Nie mam.

Zastanowiłem się.

- Kto zna twoją prawdziwą tożsamość?

- Nie wiem. Nie zmieniałam tożsamości, tylko nazwisko. Nie tak trudno to odkryć.

- A kiedy otrzymałaś ten tekst?

- W poniedziałek.

- Praktycznie dzień po tym, jak Gil został zamordowany. Siedzieliśmy i oswajaliśmy się z tym faktem.

- Masz go tu? - Zapytałem.

- Wydrukowałam ci kopię.

Podawała mi parę kartek. Przeczytałem. Przeszłość wróciła. Czytając, czułem ból. Zastanawiałem się nad wątkiem romansowym, nad tym niezapomnianym tajemniczym „P.”. Jednak kiedy skończyłem, pierwsze, co powiedziałem, to:

- To nie było tak.

- Wiem.

- Chociaż prawie. Skinęła głową.

- Spotkałem się z młodą kobietą, która знаła Gila. Powiedziała, że słyszała, jak o nas mówił. Powiedział, że kłamaliśmy.

Lucy milczała przez chwilę. Potem obróciła fotel tak, że widziałem jej profil.

- Bo skłamaliśmy.

- To nie miało żadnego znaczenia.

- Kochaliśmy się, kiedy ich mordowano - przypomniała. Nic nie powiedziałem. Znowu partycjonowałem różne sprawy.

Tylko dzięki temu jakoś się trzymam. W przeciwnym razie pamiętałbym, że tamtej nocy miałem dyżur. Nie powinienem był wymykać się z dziewczyną. Powinienem lepiej ich pilnować. Gdybym był odpowiedzialny i robił to, co do mnie należało, nie powiedziałbym, że policzyłem podopiecznych, chociaż tego nie zrobiłem. Nie skłamałbym na ten temat następnego ranka.

Wiedzielibyśmy, że nie było ich już wieczorem, a nie dopiero od rana. Tak więc, kiedy stawiałem znaczki na liście obecności, której wcale nie sprawdziłem, mojej siostrze podejrzięto gardło.

- Byliśmy dzieciakami, Cope - powiedziała Lucy.

Wciąż milczałem.

- Wymknęli się. Wymknęliby się nawet, gdybyśmy tam byli.

Raczej nie, pomyślałem. Gdybym tam był, zauważyłbym ich. Albo stwierdził, że łóżka są puste, kiedy robiłem obchód. Jednak nie zrobiłem obchodu. Poszedłem sobie i zabawiałem się z moją dziewczyną. A następnego ranka, kiedy ich nie było, pomyślałem, że po prostu dobrze się bawią. Gil spotykał się z Margot, chociaż wydawało mi się, że ze sobą zerwali. Moja siostra widywała się z Dougiem Billinghamem, chociaż to raczej nie było nic poważnego. Wymknęli się i dobrze się bawili.

Tak więc skłamałem. Powiedziałem, że sprawdzałem chaty i spokojnie w nich spali. Ponieważ nie zdawałem sobie sprawy z zagrożenia. Powiedziałem, że tamtej nocy byłem sam - i trzymałem się tego kłamstwa zbyt długo - ponieważ chciałem chronić Lucy. Czy to nie dziwne? Nie miałem pojęcia, co się stało. Tak więc istotnie, skłamałem. Kiedy znaleziono Margot Green, wyznałem niemal całą prawdę - że niedbale pełniłem dyżur. Jednak nie powiedziałem, jaką rolę odegrała w tym Lucy. Trwałem przy tym kłamstwie, bo bałem się powiedzieć całą prawdę. I tak mnie podejrzewali. Pamiętam sceptyczną minę szeryfa Lowella. Gdybym wyznał wszystko później, policja dziwiłaby się, dlaczego z początku kłamałem. Poza tym to i tak nie miało żadnego znaczenia.

Co za różnica, czy byłem sam, czy z kimś? Tak czy inaczej, nie pilnowałem podopiecznych.

W trakcie procesu adwokat Iry Silversteina próbował rzucić część winy na mnie. Jednak byłem niepełnoletni. Poza tym tylko w tej części obozu, która była przeznaczona dla chłopców, znajdowało się dwanaście chat. Nawet gdybym był na miejscu, z łatwością mogli mi się wymknąć. Środki bezpieczeństwa były niewystarczające. Bezsprzecznie. Formalnie to nie była moja wina.

Formalnie.

- Mój ojciec jeździł do tych lasów - powiedziałem.

Odwróciła się do mnie.

- Jeździł tam kopać - uściśliłem.

- Po co?

- Szukał mojej siostry. Mówił nam, że jedzie na ryby. Jednak wiedziałem. Robił tak przez dwa lata.

- Dlaczego przestał?

- Matka nas zostawiła. Chyba doszedł do wniosku, że ta obsesja zbyt dużo go już kosztowała. Zamiast tego wynajmował prywatnych detektywów. Dzwonił do starych przyjaciół. Jednak nie sądzę, żeby jeszcze kopał.

Popatrzyłem na jej biurko. Panował na nim bałagan. Porozrzucane papiery, niektóre sterty na pół rozsypane, niczym zamrożony wodospad. Pootwierane podręczniki leżały jak ranni na pobojowisku.

- Na tym polega problem, kiedy nie ma ciała - powiedziałem. - Zakładam, że studiowałaś fazy żałoby?

- Owszem. - Skinęła ze zrozumieniem głową. - Pierwszą jest negacja.

- Właśnie. W pewnym sensie nigdy nie wyszliśmy poza pierwszą fazę.

- Brak ciała, stąd negacja. Potrzeba dowodu, żeby przejść do następnej fazy.

- Mój ojciec go potrzebował. Chcę powiedzieć, że ja byłem pewien, że Wayne ją zabił.

Potem jednak widziałem, że ojciec wciąż jej szuka.

- I zacząłeś mieć wątpliwości.

- Powiedzmy, że dopuszczałem taką możliwość, iż ona żyje.

- A twoja matka?

- Coraz bardziej się od nas oddalała. Małżeństwo moich rodziców nigdy nie było idealne. Już wcześniej były na nim rysy. Kiedy zginęła moja siostra - czy cokolwiek, do diabła, się z nią stało - matka zupełnie się od niego odsunęła.

Zamilkliśmy. Gasły ostatnie promienie słońca. Niebo zmieniało się w purpurowy wir. Spojrzałem w okno po lewej. Lucy także. Siedzieliśmy tak, najbliżej siebie od dwudziestu lat.

Powiedziałem przedtem, że te lata znikły jak usunięte przez chirurga. Teraz wydawały się powracać. Znów wrócił smutek. Widziałem go w niej. Destrukcyjny wpływ tamtej nocy na moją rodzinę był faktem. Miałem nadzieję, że Lucy zdołała się z tego otrząsnąć. Jednak nie. Dla niej też ta sprawa nie była zamknięta. Nie wiedziałem, co jeszcze przydarzyło jej się przez te dwadzieścia lat. Przesadą byłoby winić ten wypadek za cały ten smutek, jaki widziałem w jej oczach. Jednak teraz to dostrzegłem. Widziałem, jak odrywam się od niej tamtej nocy.

W swojej pracy studentka napisała, że nigdy nie doszła do siebie po naszym rozstaniu. Nie pochlebiam sobie, że tak było naprawdę. Jednak nigdy nie doszła do siebie po tamtej nocy. Po tym, co stało się z jej ojcem. I jej dzieciństwem.

- Paul?

Wciąż spoglądała za okno.

- Tak?

- I co teraz zrobimy?

- Dowiemy się, co naprawdę wydarzyło się w tych lasach.

22

Pamiętam, że podczas wycieczki do Włoch widziałem gobeliny, które zdawały się zmieniać perspektywę w zależności od miejsca, z jakiego się je oglądało. Jeśli przesunąłeś się w prawo, stół zdawał się ustawiony frontem w prawo. Jeśli ruszyłeś się w lewo, stół podążał za tobą.

Gubernator Dave Markie był ucieleśnieniem tego efektu. Kiedy wszedł do jakiegoś pomieszczenia, każdy z obecnych miał wrażenie, że przybyły spogląda właśnie na niego. Za młodu widziałem, jak zaliczał dziesiątki dziewczyn i bynajmniej nie dzięki swej urodzie, lecz ponieważ okazywał im tak żywe zainteresowanie. Jego spojrzenie miało jakąś hipnotyczną moc. Pamiętam, jak pewna znajoma lesbijka z Rutgers powiedziała: „Kiedy Dave Markie tak na ciebie patrzy, do licha, na tę jedną noc przesłabym do przeciwnej drużyny”.

Wniósł tę umiejętność do mojego biura. Jocelyn Durels, moja sekretarka, chichotała nerwowo. Loren Muse się zarumieniła. Nawet prokurator stanowy Joan Thurston miała na ustach uśmiech, który mówił mi, jak wyglądała po swoim pierwszym pocałunku w siódmej klasie.

Większość ludzi powiedziałyby, że to magia stanowiska. Ja jednak znałem Dave'a, zanim je objął. Jego urząd tylko wzmocnił, a nie stworzył ten efekt.

Powitaliśmy się mocnym uściskiem. Zauważyłem, że ostatnio faceci często to robią - obejmują się na powitanie. Podobało mi się to, ten prawdziwie ludzki kontakt. Nie mam wielu prawdziwych przyjaciół, dlatego ci, których mam, są dla mnie ogromnie ważni. Są starannie dobrani i kocham ich wszystkich.

- Nie chcemy tu tylu osób - szepnął mi do ucha.

Odsunęliśmy się od siebie. Uśmiechał się, ale zrozumiałem wiadomość. Odprawiłem moje panie. Joan Thurston została. Znałem ją bardzo dobrze. Biuro prokuratora stanowego znajdowało się niedaleko. Staraliśmy się współpracować i pomagać sobie wzajemnie. Zakresy naszego działania pokrywały się - Essex County ma wysoką przestępczość - ale ją interesowały tylko duże sprawy. Obecnie to głównie terroryzm i korupcja. Kiedy jej biuro natrafiało na inne przestępstwa, przekazywało je nam.

Gdy tylko za Jocelyn i Muse zamknęły się drzwi, z twarzy Dave'a znikł uśmiech. Usiedliśmy przy stole konferencyjnym. Ja po jednej. Oni po drugiej.

- Źle? - Zapytałem.

- Bardzo.

Wyciągnąłem ręce i palcami dałem im znak, żeby zaczynali. Dave spojrzał na Joan Thurston. Odkasznęła.

- Kiedy tu siedzimy, moi detektywi wchodzą do biura instytucji zwanej JaneCare. Mają nakaz. Zabierzemy książki i pliki. Miałam nadzieję zrobić to po cichu, ale media już o tym wiedziały.

Puls mi przyspieszył.

- To jakieś bzdury.

Nie odezwali się.

- To Jenrette. Wywiera na mnie presję, żebym odpuścił jego synowi.

- Wiemy - rzekł Dave.

- I co?

Spojrzał na Thurston.

- To nie sprawia, że zarzuty są nieprawdziwe.

- O czym, do diabła, mówisz?

- Detektywi Jenrette'a dostali się tam, gdzie my nie moglibyśmy się dostać. Znaleźli nieprawidłowości. Zawiadomili o nich jednego z moich najlepszych ludzi. Ten szukał dalej. Próbowaliśmy zrobić to po cichu. Wiemy, jak takie zarzuty mogą wpłynąć na działalność organizacji charytatywnej.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Znaleźliście coś?

- Twój szwagier podbierał pieniądze z kasy.

- Bob? Niemożliwe.

- Wziął co najmniej sto tysięcy.

- Na co?

Wręczyła mi dwie kartki papieru. Przebiegłem po nich wzrokiem.

- Twój szwagier buduje sobie basen, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- Firma Marston Pools dostała pięćdziesiąt tysięcy w kilku ratach za usługi, które tu zostały zaksięgowane jako koszty rozbudowy. Czy budynek JaneCare został rozbudowany?

Nie odpowiedziałem.

- Kolejne trzydzieści tysięcy dostała firma Barry's Landscaping. Ten wydatek jest zaksięgowany jako upiększenie terenu.

Nasze biuro zajmuje połowę bliźniaka w centrum Newark. Nie planowaliśmy żadnej rozbudowy ani upiększania terenu. Nie potrzebujemy więcej przestrzeni. Koncentrujemy się na zdobywaniu funduszy na kuracje i leki. To nasz główny cel. Widziałem zbyt wiele nadużyć w fundacjach charytatywnych, w których koszty zbierania funduszy znacznie przekraczają sumy oddawane na zbożne cele. Rozmawiałem o tym z Bobem. Podzielał moje poglądy.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Nie możemy robić wyjątków - powiedział Dave. - Wiesz.

- Wiem - odparłem.

- Nawet gdybyśmy chcieli wyciszyć tę sprawę ze względu na naszą przyjaźń, nie moglibyśmy tego zrobić. Ktoś zawiadomił już o tym media. Joan zaraz będzie miała konferencję prasową.

- Zamierzacie go aresztować?

- Tak.

- Kiedy?

Spojrzała na Dave'a.

- Już został zatrzymany. Zgarnęliśmy go godzinę temu.

Pomyślałem o Grecie. I o Madison. Bob okradał fundację charytatywną mojej żony, żeby zbudować sobie cholerny basen.

- Oszczędziliście mu wstydu widowiskowego aresztowania?

- Nie. Za jakieś dziesięć minut postawią mu zarzuty. Przyszedłem tu jako przyjaciel, ale obaj uzgodniliśmy, że będziemy zwalczali takie nadużycia. Nie mogę robić wyjątków.

Kiwnąłem głową. Uzgodniliśmy. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Dave wstał. Joan Thurston również.

- Załatw mu dobrego obrońcę, Cope. Myślę, że to będzie paskudna sprawa.



Włączyłem telewizor i obejrzałem aresztowanie Boba. Nie, nie pokazano tego na żywo w

CNN czy Fox, ale w News 12 z New Jersey, naszym lokalnym całodobowym kanale informacyjnym. Była to transmisja. Zdjęcia będą we wszystkich dużych gazetach, takich jak „Star-Ledger” i „Bergen Records”. Może pokażą coś w lokalnych wiadomościach głównych stacji telewizyjnych, chociaż raczej w to wątpię.

Reportaż trwał kilka sekund. Bob był skuty. Nie pochylił głowy. Jak wielu innych, wyglądał na oszołomionego i dziecinnie zdziwionego. Było mi niedobrze. Zadzwoiłem do Grety na telefon domowy i komórkę. Nie odebrała. Zostawiłem wiadomość na obu automatycznych sekretarkach.

Muse siedziała przez cały ten czas w moim gabinecie. Kiedy telewizja zajęła się czymś innym, powiedziała:

- Parszywa sprawa.
- Tak.
- Powinieneś poprosić Flaira, żeby go reprezentował.
- Konflikt interesów.
- Dlaczego? Z powodu obecnej sprawy?
- Tak.
- Nie widzę związku. Nie są ze sobą powiązane.
- To ojciec jego klienta, E.J. Jenrette, rozpoczął to śledztwo.
- Ach tak. - Usiadła. - Niech to szlag.

Nic nie powiedziałem.

- Jesteś w nastroju, by pogadać o Gilu Perezie i twojej siostrze?

- Jestem.

- Wszystkie ślady krwi były z grupy 0. Taką mieli oboje zaginieni. Mają cztery osoby na dziesięć, więc to nic niezwykłego. W tamtych czasach nie badano DNA, więc nie ma pewności. Sprawdziłam. Nawet gdybyśmy naciskali, badania DNA potrwają minimum trzy tygodnie. Zapewne dłużej.

Słuchałem tylko jednym uchem. Wciąż stawał mi przed oczami Bob, jego twarz podczas zatrzymania. Myślałem o Grecie, słodkiej, miłej Grecie, o tym, że będzie załamana. Myślałem o mojej żonie, mojej Jane, że fundacja jej imienia będzie obiektem krytyki. Założyłem ją, aby uczcić pamięć mojej żony, którą zawiodłem za życia. Teraz zawiodłem ponownie.

- Ponadto w przypadku prób DNA potrzebny jest materiał porównawczy. Krew twojej

siostry moglibyśmy porównać z twoją, ale ktoś z rodziny Pereza też musiałby współdziałać.

- Co jeszcze?

- Tak naprawdę nie musisz badać DNA Pereza.

- Dlaczego?

- Farrell Lynch skończył go postarzać.

Wręczyła mi dwa zdjęcia. Na pierwszym był Manolo Santiago sfotografowany w kostnicy. Drugie ukazywało komputerowo postarzonego Gila Pereza z fotografii, którą jej dałem.

Były prawie identyczne.

- O rany - mruknąłem.

- Mam dla ciebie adres rodziców Pereza.

Podawała mi kartkę. Spojrzałem. Mieszkali w Park Ridge. Niecałą godzinę jazdy stąd.

- Zamierzasz się z nimi spotkać? - Zapytała Muse.

- Tak.

- Mam pojechać z tobą?

Pokręciłem głową. Lucy uparła się, że do mnie dołączy. To wystarczy.

- Ponadto mam pewien pomysł - dodała Muse.

- Jaki?

- Metody odnajdywania zakopanych ciał są teraz znacznie lepsze niż przed dwudziestoma laty. Pamiętasz Andrew Barretta?

- Tego faceta z laboratorium John Jay? Gaduła i dziwak.

- I geniusz. Tak, to on. W każdym razie jest chyba najlepszym ekspertem od obsługi GPR-u* w kraju. Praktycznie to on go wynalazł i twierdzi, że w krótkim czasie może przeszukać duży obszar.

- Ten obszar jest zbyt duży.

- Mimo to moglibyśmy spróbować, no nie? Posłuchaj, Barrett aż się pali, żeby wypróbować swoje dziecię. Mówi, że potrzeba mu trochę pracy w terenie.

- Już z nim rozmawiałaś?

- Pewnie, dlaczego nie?

Wzruszyłem ramionami.

- To ty tu jesteś inspektorem dochodzeniowym.

* Ground Penetrating Radar

Spojrzałem na ekran. Znów pokazywali zatrzymanie Boba. Tym razem wyglądał jeszcze żałośniej. Zacisnąłem pięści.

- Cope? Spojrzałem na nią.

- Musimy iść na salę - przypomniała.

Kiwnąłem głową i podniosłem się bez słowa. Otworzyła drzwi. Kilka minut później zauważyłem w holu E.J. Jenrette'a. Specjalnie stanął mi na drodze. Szczrzył zęby w uśmiechu.

Muse przystanęła i próbowała mnie odciągnąć.

- Skręćmy w lewo. Możemy przejść przez...

- Nie.

Poszedłem prosto. Byłem wściekły. Muse szybko mnie dogoniła. E.J. Jenrette stał i czekał, patrząc, jak nadchodzę. Muse położyła dłoń na moim ramieniu.

- Cope...

Nie zwoleń kroku.

- W porządku.

E.J. wciąż się uśmiechał. Spojrzałem mu w oczy. Nie zszedł mi z drogi. Podeszedłem i zatrzymałem się przed nim, tak że nasze twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Ten idiota wciąż szczrzył zęby.

- Ostrzegałem cię - powiedział.

Odpowiedziałem takim samym uśmiechem i nachyliłem się jeszcze bliżej.

- Wieść już się rozeszła - powiedziałem.

- Co?

- Każdy więzień, którego obsłuzi Mały Edward, może liczyć na szczególnie łagodne traktowanie. Twój chłopak będzie dziwką na swoim oddziale.

Odszedłem, nie czekając na jego reakcję. Muse potruchtała za mną.

- To było klasa - powiedziała.

Szedłem dalej. Oczywiście to była pusta groźba - synowie nie mogą odpowiadać za grzechy swoich ojców - lecz nie zaszkodzi, jeśli E.J. będzie miał tę wizję przed oczami, składając wieczorem głowę na poduszce z gęsiego puchu.

Muse wysunęła się przede mnie.

- Musisz ochłonać, Cope.

- Zapomniałem, Muse - jesteś moim inspektorem czy psychologiem?

Uniosła dłonie, poddając się, i dała mi spokój. Usiadłem przy moim stoliku i czekałem na sędziego.

Co, do diabła, wyobrażał sobie Bob?

Bywają takie dni, gdy w sali sądowej szaleje burza, która niczego nie zmienia. To był jeden z nich. Flair i Mort wiedzieli, że mają poważne kłopoty. Chcieli wykluczyć tę pornograficzną płytę DVD jako dowód, którego nie przedstawiliśmy im wcześniej. Próbowali unieważnić proces. Usiłowali utopić sprawę w powodzi faktów, opinii i papierków. Najwidoczniej ich praktykanci i aplikanci nie zmrużyli oka przez całą noc.

Sędzia Pierce słuchał, marszcząc krzaczaste brwi. Gładził ręką podbródek i wyglądał bardzo... Hm... Dostojnie. Nie wygłaszał żadnych komentarzy. Używał takich wyrażeń, jak „należy wziąć pod uwagę”. Nie martwiłem się. Nie mieli żadnych argumentów. Jednak powoli zaczął mnie drażnić robak wątpliwości. Chcieli się do mnie dobrać. Chcieli tego bardzo.

Czy nie mogli spróbować tego samego z sędzią?

Obserwowałem jego twarz. Niczego nie dało się z niej wyczytać. Patrzyłem mu w oczy, szukając wiele mówiących oznak nieprzespanej nocy. Nie znalazłem, co jednak o niczym nie świadczyło.

Skończyliśmy koło trzeciej po południu. Wróciłem do biura i odsłuchiwałem wiadomości. Nie było żadnej wieści od Grety. Znów do niej zadzwoniłem. Wciąż nie odbierała. Spróbowałem zadzwonić na komórkę Boba. Też nic. Zostawiłem wiadomość.

Spojrzałem na te dwie fotografie - postarzonego Gila Pereza i martwego Manola Santiaga. Potem zadzwoniłem do Lucy. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Cześć - powiedziała.

I w przeciwieństwie do poprzedniego wieczoru, w jej głosie usłyszałem ożywienie. Czas znów się cofnął.

- Cześć.

Zapadła dziwna, niemal radosna cisza.

- Mam adres państwa Perezów - powiedziałem. - Chcę jeszcze raz z nimi porozmawiać.

- Kiedy?

- Teraz. Mieszkają niedaleko ciebie. Zabiorę cię po drodze.

- Będę czekała.

23

Lucy wyglądała bajecznie.

Miała na sobie obcisły zielony sweterek, który uwydatniał dokładnie to, co trzeba. Włosy związała w koński ogon. Odgarnęła kosmyk za ucho. Założyła okulary i podobała mi się w nich.

Gdy tylko wsiadła, przejrzała moje płyty kompaktowe.

- Counting Crows - powiedziała. - *August and Everything After*.

- Lubisz to?

- Najlepszy debiut ostatniego dwudziestolecia.

Kiwnąłem głową.

Włożyłem płytę do odtwarzacza. Popłynęły dźwięki *Round Here*. Jechaliśmy i słuchaliśmy. Kiedy Adam Duritz śpiewał o kobiecie mówiącej, że powinieneś spróbować, że jej mur się kruszy, zaryzykowałem i zerknąłem na Lucy. Miała łzy w oczach.

- Wszystko w porządku?

- Masz jakieś inne płyty?

- Na co masz ochotę?

- Na coś gorącego i seksownego.

- Meat Loaf. - Pokazałem jej płytę. - Może *Bat Out of Hell*?

- O rany - mruknęła. - Pamiętasz?

- Rzadko gdzieś bez niej jadę.

- Boże, zawsze byłeś beznadziejnym romantykiem.

- No to może *Paradise By The Dashboard Light*?

- Tak, ale przejdź od razu do tego fragmentu, w którym ona każe mu obiecać, że zawsze będzie ją kochał, zanim mu ulegnie.

- Zanim mu ulegnie - powtórzyłem. - Podoba mi się to określenie.

Odwrociła się, pokazując mi kontur swego ciała.

- A jakiego użył, żeby zdobyć mnie?

- Zapewne mojego opatentowanego wynalazku.

- Czyli?

Zaskomliłem błagalnie:

- Proszę? No, tak ładnie cię proszę...

Roześmiała się.

- Hej, przecież podziałało.

- To dlatego, że jestem łatwa.

- Racja, zapomniałem.

Żartobliwie szturchnęła mnie w ramię. Uśmiechnąłem się. Odwróciła głowę. Przez chwilę w milczeniu słuchaliśmy Meat Loafa.

- Cope?

- Co?

- Byłeś moim pierwszym.

O mało nie nacisnąłem hamulca.

- Wiem, że udawałam doświadczoną. Mój ojciec i ja... I to szaleństwo na tle wolnej miłości. Ja nigdy nie... Byłeś moim pierwszym. Pierwszym mężczyzną, którego kochałam.

Zapadła głucha cisza.

- Oczywiście potem wskakiwałam do łóżka każdemu.

Pokręciłem głową i zerknąłem na nią. Znow się uśmiechała. Skręciłem w prawo, zgodnie ze wskazówkami miłego głosu mojego urządzenia nawigacyjnego.

Perezowie mieszkali w budynku z mieszkaniami własnościowymi w Park Ridge.

- Spodziewają się nas? - Spytała Lucy.

- Nie.

- Skąd wiesz, że są w domu?

- Zadzwoń tuż przed tym, zanim cię zabrałem. Mam zastrzeżony numer telefonu.

Kiedy odezwała się pani Perez, zmieniłem głos i poprosiłem Harolda. Powiedziała, że to pomyłka. Przeprosiłem i rozłączyłem się.

- Ooo, dobry jesteś.

- Staram się zachować skromność.

Wysiedliśmy z samochodu. Teren był ładnie utrzymany. W powietrzu unosił się ciężki zapach kwiatów. Nie mogłem go rozpoznać. Może bzu. Ten zapach był zbyt silny, lepki, jakby ktoś rozlał tani szampon.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyłem zapukać. Stała w nich pani Perez. Nie powiedziała „cześć” ani żadnego innego słowa na powitanie. Patrzyła na mnie zmrużonymi oczami i czekała.

- Musimy porozmawiać - powiedziałem.

Przeniosła spojrzenie na Lucy.

- Kim pani jest?

- Lucy Silverstein.

Pani Perez zamknęła oczy.

- Córka Iry?

- Tak.

Wyraźnie się zgarbiła.

- Możemy wejść? - Zapytałem.

- A jeśli powiem, że nie?

Napotkałem jej spojrzenie.

- I tak tego nie zostawię.

- Czego? Ten człowiek nie był moim synem.

- Proszę - powiedziałem. - Pięć minut.

Pani Perez westchnęła i cofnęła się. Weszliśmy. Zapach szamponu był tu jeszcze silniejszy. Zbyt silny. Zamknęła drzwi i zaprowadziła nas do kanapy.

- Czy pan Perez jest w domu?

- Nie.

Z jednej z sypialń dochodziły jakieś odgłosy. W kącie stało kilka kartonowych pudeł. Napis na boku wskazywał, że to środki medyczne. Rozejrzałem się po pokoju. Wszystko poza tymi pudłami było na swoim miejscu, tak równo poukładane, że można by przysiąc, iż kupili modelowe mieszkanie.

Był tam kominek. Wstałem i podszedłem do niego. Na półce stały rodzinne fotografie. Popatrzyłem na nie. Nie było wśród nich zdjęć rodziców Pereza. Ani żadnych zdjęć Gila. Na półce stało mnóstwo fotografii osób, w których domyśliłem się dwóch braci i siostry Gila.

Jeden z braci siedział na wózku inwalidzkim.

- To Tomas - powiedziała, wskazując zdjęcie uśmiechniętego chłopca na wózku, absolwenta uniwersytetu Kean. - Ma PM. Wie pan co to takiego?

- Porażenie mózgowe.
- Tak.
- W jakim jest wieku?
- Tomas ma teraz trzydzieści trzy lata.
- A to kto?
- Eduardo.

Jej mina wyraźnie mówiła, żeby nie pytać dalej. Eduardo wyglądał na trudny przypadek. Przypomniałem sobie, że Gil mówił mi, że jego brat jest członkiem gangu lub innej grupy przestępczej, ale mu nie uwierzyłem.

Wskazałem dziewczynę.

- Pamiętam, że Gil o niej opowiadał. Była chyba dwa lata starsza od niego? Przypominam sobie, że mówił, że próbowała dostać się do college'u.

- Glenda jest prawnikiem - oznajmiła pani Perez, dumnie wypinając pierś. - Ukończyła studia prawnicze na Columbii.

- Naprawdę? Ja też - powiedziałem.

Pani Perez uśmiechnęła się. Wróciła na kanapę.

- Tomas mieszka w mieszkaniu obok. Zburzyliśmy ścianę działową.
- Potrafi sam sobie radzić?
- Ja się nim opiekuję. Ponadto zatrudniamy opiekunki.
- Jest teraz w domu?
- Tak.

Kiwnąłem głową i usiadłem. Nie wiem, dlaczego mnie to wszystko interesowało. Jednak zastanawiałem się, czy on wiedział o swoim bracie, o tym, co się z nim działo i gdzie się podziewał przez ostatnie dwadzieścia lat?

Lucy nie podniosła się z kanapy. Milczała, pozwalając mi prowadzić rozmowę. Chłoneła wszystko, przyglądała się wnętrzu, zapewne wykorzystując swoją wiedzę psychologiczną.

Pani Perez spojrzała na mnie.

- Po co tu przyszliście?
- To ciało, które znaleźliśmy, należało do Gila.
- Już wyjaśniłam... Pokazałem jej brązową kopertę.
- Co to jest?

Sięgnąłem do środka i wyjąłem pierwszą fotografię. To była ta stara, zrobiona na obozie. Położyłem ją na ławie. Pani Perez spojrzała na zdjęcie swojego syna. Obserwowałem jej twarz, czekając na reakcję. Wydawało się, że nic się w niej nie zmieniało i nie poruszało, a może przemiana była tak subtelna, że nie zdołałem jej zarejestrować. W jednej chwili była spokojna. W następnej zupełnie się rozsypała. Maską spadła, odsłaniając okropną rzeczywistość.

Zamknęła oczy.

- Dlaczego mi to pokazujecie?

- Ta blizna.

Nadal nie otwierała oczu.

- Powiedziała pani, że Gil miał bliznę na prawym ramieniu. Proszę spojrzeć na to zdjęcie.

Miał ją na lewym.

Nie odezwała się.

- Pani Perez?

- Ten człowiek nie był moim synem. Mój syn został zamordowany przez Wayne'a Steubensa dwadzieścia lat temu.

- Nie.

Sięgnąłem do koperty. Lucy nachyliła się. Jeszcze nie widziała tego zdjęcia. Wyjąłem je.

- To jest Manolo Santiago, mężczyzna z kostnicy. Lucy drgnęła.

- Jak się nazywał?

- Manolo Santiago.

Wyglądała na oszołomioną.

- Co?

Pokręciła głową.

Podjąłem przerwany wątek:

- A to... - Wyjąłem ostatnie zdjęcie. - To jest jego komputerowo zrenderowana fotografia.

Innymi słowy, technik w moim laboratorium wziął stare zdjęcie Gila i postarzył go o dwadzieścia lat. Potem obdarzył go ogoloną głową i zarostem Manola Santiaga.

Położyłem zdjęcia obok siebie.

- Niech pani spojrzy, pani Perez.

Zrobiła to. Patrzyła długo.

- Może jest trochę do niego podobny. To wszystko. A może dla was wszyscy Latynosi są

do siebie podobni.

- Pani Perez? - Lucy po raz pierwszy, od kiedy przyszliśmy, odezwała się do matki Gila. - Dlaczego nie ma tu pani żadnych zdjęć Gila?

Lucy wskazała półkę nad kominkiem. Pani Perez nie spojrzała w tym kierunku. Patrzyła na Lucy.

- Czy ma pani dzieci, pani Silverstein?

- Nie.

- Zatem nie może pani tego zrozumieć.

- Z całym szacunkiem, pani Perez, ale to kompletna bzdura.

Pani Perez zrobiła taką minę, jakby ją spoliczkowano.

- Ma pani tu zdjęcia z czasów, kiedy pani dzieci były małe i Gil jeszcze żył. Czemu nie ma wśród nich jego fotografii? Doradzałam rodzicom będącym w żałobie. Wszyscy trzymają zdjęcia swoich dzieci. Wszyscy. Ponadto kłamała pani, mówiąc, na którym ramieniu miał bliznę. Przecież nie mogła pani zapomnieć. Matka nie popełnia takich pomyłek. Widzi pani te zdjęcia. One nie kłamią. I w końcu Paul jeszcze nie zadał pani *coup de grace*.

Nie miałem pojęcia, co oznacza *coup de grace*. Nie odezwałem się.

- Badanie DNA, pani Perez. W drodze tutaj odebraliśmy wyniki. To dopiero wyniki wstępne, ale potwierdzają nasze podejrzenia. To pani syn.

Człowieku, pomyślałem, jest dobra.

- DNA?! - Krzyknęła pani Perez. - Nie udzieliłam nikomu zezwolenia na zrobienie badań DNA.

- Policja nie potrzebuje pani zezwolenia - powiedziała Lucy. - W końcu sama pani zeznała, że Manolo Santiago nie jest pani synem.

- Ale... Ale skąd mieli moje DNA? Przejąłem pałeczkę.

- Tego nie wolno nam powiedzieć.

- Przecież... Wolno wam tak robić?

- Owszem, wolno.

Pani Perez znów usiadła. Przez długi czas się nie odzywała. Przeczekaliśmy to.

- Kłamiecie.

- Co takiego?

- Wynik badania DNA jest błędny albo kłamiecie. Ten człowiek nie jest moim synem.

Mój syn został zamordowany dwadzieścia lat temu. Tak jak twoja siostra. Zginęli na letnim obozie twojego ojca, ponieważ nikt ich nie pilnował. Oboje uganiacie się za duchami i tyle.

Spojrzałem na Lucy w nadziei, że podsunie mi jakiś pomysł. Pani Perez wstała.

- Teraz chcę, żebyście sobie poszli.

- Proszę - powiedziałem. - Moja siostra też znikła tamtej nocy.

- Nie mogę wam pomóc.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale Lucy pokręciła głową. Zdecydowałem, że lepiej będzie przegrupować siły, żeby się dowiedzieć, co o tym myśli i co ma do powiedzenia, zanim przyprę panią Perez do muru.

Kiedy wyszliśmy za drzwi, pani Perez powiedziała:

- Nie wracajcie tu. Pozwólcie mi opłakiwać go w spokoju.

- Myślałem, że pani syn zmarł dwadzieścia lat temu.

- Nigdy nie przestaje się opłakiwać dziecka.

- Nie - powiedziała Lucy. - Jednak po pewnym czasie nie chce się już tego robić w samotności.

Nie dodała nic więcej. Odwróciłem się. Pani Perez zamknęła drzwi. Wsiadliśmy do samochodu.

- I co? - Zapytałem.

- Pani Perez z całą pewnością kłamie.



- Niezły blef - pochwaliłem.

- Ten z badaniem DNA?

- Tak.

Lucy pozostawiła to bez komentarza.

- Jeszcze coś. Wymieniłeś nazwisko Manola Santiaga.

- To przybrane nazwisko Gila.

Przetrawiała to.

Zaczekałem kilka minut, po czym zapytałem:

- W czym rzecz?

- Wczoraj byłem u ojca. W... Hm... Domu starców. Sprawdziłam rejestr odwiedzin. W ciągu ostatniego miesiąca oprócz mnie miał tylko jednego gościa. Niejakiego Manola Santiaga.

- Ooo - powiedziałem.

- Tak.

Próbowałem dopasować ten fakt do całości. Nie zdołałem.

- Po co Gil Perez miałby odwiedzać twojego ojca?

- Dobre pytanie.

Pomyślałem o tym, co powiedziała Raya Singh, że Lucy i ja skłamaliśmy.

- Możesz zapytać Irę?

- Spróbuję. Nie jest z nim dobrze. Błądzi gdzieś myślami.

- Mimo to warto spróbować.

Skinęła głową.

Skręciłem w prawo i postanowiłem zmienić temat.

- Dlaczego jesteś pewna, że pani Perez kłamie? - Zapytałem.

- Po pierwsze, była w żałobie. A ten zapach? To świece. Była ubrana na czarno. Ponadto miała zaczerwienione oczy i garbiła się. Całe jej zachowanie. Po drugie, zdjęcia.

- Co z nimi?

- W tej sprawie nie blefowałam. To niezwykle, trzymać zdjęcia dzieci od czasów ich dzieciństwa i nie mieć żadnej fotografii tego, które zmarło. Samo w sobie to niewiele znaczy, ale czy zauważyłaś, jak dziwnie były rozstawione? Na tej półce było ich za mało. Domyślam się, że schowała zdjęcia Gila. Na wypadek czegoś takiego.

- Masz na myśli na wypadek, gdyby ktoś do niej przyszedł?

- Nie wiem. Jednak sądzę, że pani Perez pozbyła się dowodów. Myślała, że tylko ona ma zdjęcia, które mogą być wykorzystane do identyfikacji. Nie przypuszczała, że wciąż masz jedno zrobione tamtego lata.

Zastanowiłem się nad tym.

- Jej reakcje były nieprawidłowe, Cope. Jakby grała jakąś rolę. Kłamała.

- Pytanie tylko, co chciała ukryć?

- Mając wątpliwości, wybierz najprostszą odpowiedź.

- Czyli jaką?

Lucy wzruszyła ramionami.

- Gil pomógł Wayne'owi ich zabić. To wyjaśniałoby wszystko. Ludzie zawsze zakładali, że Steubens miał współnika - bo jak inaczej zdołałby tak szybko zakopać ciała? Może jednak

było to tylko jedno ciało.

- Mojej siostry.

- Właśnie. Potem Wayne i Gil upozorowali śmierć Gila. Może Gil zawsze pomagał

Wayne'owi. Kto wie?

Nie odezwałem się.

- Jeśli tak było - powiedziałem po chwili - to moja siostra nie żyje.

- Wiem.

Znow zamilkłem.

- Cope?

- Co?

- To nie twoja wina.

Nie odpowiedziałem.

- Jeśli już to moja - dodała.

Zatrzymałem samochód.

- Jak do tego doszłaś?

- Tamtej nocy chciałeś zostać w obozie. Chciałeś pełnić dyżur. To ja zwabiłam cię do lasu.

- Zwabiłaś?

Nie odpowiedziała.

- Żartujesz, prawda?

- Nie - odparła.

- Miałem swój rozum, Lucy. Do niczego mnie nie zmuszałaś.

Milczała.

- Wciąż się obwiniasz - stwierdziła.

Zacisnąłem dłoń na kierownicy.

- Nie, nic podobnego.

- Tak, Cope, robisz to. Daj spokój. Pomimo ostatnich wydarzeń wiesz, że twoja siostra nie żyje. Miałaś nadzieję, że los da ci drugą szansę. Miałaś nadzieję znaleźć odkupienie.

- Ten twój dyplom z psychologii naprawdę się przydaje, co?

- Nie chciałam...

- A co z tobą, Luce? - Zapytałem ostrzej, niż zamierzałem. - Czy ty siebie winisz? Czy

dlatego za dużo pijesz?

Cisza.

- Nie powinienem był tego mówić.
- Nic nie wiesz o moim życiu - odparła łagodnie.
- Wiem. Przepraszam. To nie moja sprawa.
- Jazda pod wpływem to stara historia.

Milczałem. Odwróciła się ode mnie i patrzyła przed siebie. Jechaliśmy w milczeniu.

- Może masz rację - przyznałem w końcu.

Nadal patrzyła przez okno.

- To coś, o czym nigdy nikomu nie mówiłem - powiedziałem. Poczułem, że pali mnie twarz, a w oczach stają łzy. - Po tamtej nocy w lesie mój ojciec już nigdy nie patrzył na mnie tak jak dawniej.

Odwróciła się do mnie.

- Może tylko tak mi się wydawało. No wiesz, masz rację. W pewnym stopniu winiłem się za to, co się stało. Co by było, gdybyśmy nie opuścili obozu? Gdybym został tam, gdzie powinienem być? Może na jego twarzy malowała się jedynie czysta rozpacz rodzica, który stracił dziecko. Ja jednak zawsze uważałem, że jest tam coś więcej. Coś jakby oskarżenie.

Położyła rękę na moim ramieniu.

- Och, Cope...

- Tak więc może jest coś w tym, co mówisz. Może chcę naprawić błędy z przeszłości. A co z tobą?

- Co ze mną?

- Dlaczego się tym zająłeś? Co masz nadzieję osiągnąć po tylu latach?

- Żartujesz?

- Nie. O co tak naprawdę ci chodzi?

- Życie, jakie miałam, skończyło się tamtej nocy. Rozumiesz to?

Nie odpowiedziałem.

- Rodziny ofiar - łącznie z twoją - zawlokły mojego ojca do sądu. Zabraliście nam wszystko, co mieliśmy. Ira nie był stworzony do znoszenia takich ciosów. Nie wytrzymał stresu.

Czekałem, aż coś doda. Nie zrobiła tego.

- Rozumiem - powiedziałem. - Jednak czego chcesz teraz? No wiesz, tak jak powiedziałaś,

ja próbuję uratować siostrę. Jeśli to okaże się niemożliwe, chcę przynajmniej wiedzieć, co się z nią stało. A czego ty chcesz?

Nie odpowiedziała. Jechaliśmy jeszcze chwilę. Niebo zaczęło ciemnieć.

- Nie wiesz, jaka czuję się teraz bezbronna.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził.

Cisza.

- Częściowo dlatego - podjęła wreszcie - że mam wrażenie, iż miałam dwa życia. Jedno przed tamtą nocą, w którym wszystko było wspaniałe, oraz drugie, później, w którym nic nie było takie jak trzeba. I owszem, wiem, jak żałośnie to brzmi. Jednak czasem wydaje mi się, że tamtej nocy zostałam zepchnięta z jakiejś góry i wciąż z niej spadam. I czasem prawie udaje mi się zatrzymać, ale zbocze jest tak strome, że nie mogę złapać równowagi i lecę dalej. Tak więc może... Sama nie wiem... Może, jeśli pojmem, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, to jakoś opanuję sytuację i przestanę spadać.

Była wspaniała, kiedy byliśmy ze sobą. Chciałem jej o tym przypomnieć. Chciałem jej powiedzieć, że przesadza, że wciąż jest piękna i inteligentna, a życie ma jej jeszcze tyle do zaoferowania. Wiedziałem jednak, że zabrzmiałoby to zbyt protekcyjnie.

Tak więc zamiast tego powiedziałem coś innego:

- Cholernie dobrze znów cię widzieć, Lucy.

Zacisnęła powieki, jakbym ją uderzył. Pomyślałem o tym, co powiedziała, że nie chce czuć się bezbronna. I o tym tekście, w którym napisano, że już nie zazna takiej miłości nigdy. Pragnąłem wyciągnąć rękę i ująć jej dłoń, ale wiedziałem, że w tym momencie dla nas obojga byłoby to zbyt nagłe, że taki gest oznaczałby za wiele i za mało.

24

Podwiozłem Lucy pod jej biuro.

- Rano odwiedzę Irę i zobaczę, co mi powie o Manolu Santiagu - zapowiedziała.

- Dobrze.

Lucy chwyciła za klamkę.

- Mam stertę prac do sprawdzenia.

- Odprowadzę cię.

- Nie rób tego.

Wysiadła z samochodu. Patrzyłem, jak idzie do drzwi. Czułem ściskanie w dołku. Usiłowałem uporządkować swoje uczucia, ale to była jedna fala emocji. Trudno było je rozróżnić.

Zadzwonił mój telefon komórkowy. Spojrzałem na wyświetlacz i zobaczyłem, że to Muse.

- Jak ci poszło z matką Pereza? - Zapytała.

- Sądzę, że ona kłamie.

- Znalazłam coś, co może cię zainteresować.

- Słucham.

- Pan Perez przesiaduje w miejscowym barze o nazwie Smith Brothers. Lubi siedzieć tam z chłopakami, grać w strzałki, takie rzeczy. Z tego, co słyszę, popija z umiarem. Jednak przez dwa ostatnie wieczory nieźle się zalał. Zaczął płakać i zaczepiać ludzi.

- Opłakuje syna - powiedziałem.

W kostnicy to pani Perez była twarda. On się na niej wspierał. Pamiętałem, że był bliski załamania.

- A poza tym alkohol rozwiązuje język - dodała Muse.

- To prawda.

- Nawiasem mówiąc, Perez jest tam teraz. W tym barze, Może to dobre miejsce, żeby z nim pogadać.

- Już jadę.

- Mam jeszcze coś.
- Słucham.
- Wayne Steubens zobaczy się z tobą.

Zaparło mi dech.

- Kiedy?

- Jutro. Odsiaduje wyrok w więzieniu stanowym Red Onion w Wirginii. Ponadto umówiłam cię później na spotkanie z Geoffem Bedfordem w biurze FBI. Był specjalnym agentem prowadzącym sprawę Steubensa.

- Nie dam rady. Muszę być w sądzie.

- Dasz. Jeden z naszych ludzi może zastąpić cię przez jeden dzień. Zarezerwowałam ci bilet na poranny lot.



Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Chyba jakiejś mordowni. Tymczasem ten lokal mógłby należeć do sieci restauracji takiej jak T.G.I. Friday's lub Bennigan's albo innej. Bar był przestronniejszy niż w większości takich miejsc, a część restauracyjna wyraźnie mniejsza. Były tu drewniane boazerie, automaty z darmową prażoną kukurydzą i głośna muzyka z lat osiemdziesiątych. W tym momencie Tears for Fears śpiewali *Head Over Heels*.

Za moich czasów nazywano by to barem dla japiszonów. Byli tu młodzieńcy w poluzowanych krawatach i panie usilnie starające się wyglądać na kobiety interesu. Mężczyźni pili piwo z butelek, bardzo starając się udawać, że świetnie się bawią z kolegami, podczas gdy przyglądali się kobietom. Panie piły wino lub faux martinis i jeszcze dyskretniej przyglądały się panom. Pokręciłem głową. Discovery Channel powinien nakręcić tu film o zwyczajach godowych homo sapiens.

To miejsce nie wyglądało na ulubiony lokal kogoś takiego jak Jorge Perez, ale znalazłem go pod ścianą. Siedział przy barze z czterema czy pięcioma towarzyszami broni, facetami umiejącymi pić i piastującymi swoje drinki, jakby były niemowlętami w powijakach. Zmrużonymi oczami spoglądali na kręcących się wokół japiszonów dwudziestego pierwszego wieku.

Stałem za panem Perezem i położyłem dłoń na jego ramieniu. Odwrócił się do mnie powoli. Jego kumple również. Oczy miał przekrwione i załzawione. Postanowiłem od razu przejść do rzeczy.

- Moje kondolencje - powiedziałem.

Wyglądał na zaskoczonego. Pozostali faceci, sami Latynosi po pięćdziesiątce, spojrzeli na mnie, jakbym lubieżnie przyglądał się ich córkom. Mieli na sobie robocze ubrania, a pan Perez koszulkę polo i spodnie khaki. Zastanawiałem się, czy to coś oznacza, ale nie miałem pojęcia co.

- Czego pan chce? - Warknął.

- Porozmawiać.

- Jak mnie pan znalazł?

Zignorowałem to pytanie.

- Widziałem pana minę w kostnicy. Dlaczego skłamał pan o Gilu?

Zmrużył oczy.

- Kogo nazywa pan kłamcą?

Pozostali spojrzeli jeszcze groźniej.

- Może powinniśmy porozmawiać na osobności.

Pokręcił głową.

- Nie.

- Wie pan, że tamtej nocy zniknęła moja siostra, prawda? Odwrócił się do mnie plecami i wziął butelkę z piwem.

- Taaak, wiem - powiedział.

- Tam w kostnicy to był pana syn.

Wciąż siedział plecami do mnie.

- Panie Perez?

- Wynoś się pan stąd.

- Nigdzie nie pójdę.

Pozostali, twardzi mężczyźni, którzy przez całe życie pracowali fizycznie na powietrzu, patrzyli na mnie gniewnie. Jeden zsunął się ze stołka.

- Siadaj - powiedziałem.

Nie ruszył się. Napotkałem jego spojrzenie. Następny mężczyzna wstał i skrzyżował ręce na piersi.

- Wiecie, kim jestem? - Zapytałem.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem odznakę. Tak, mam taką. W końcu jestem wysokim funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości Essex County. Nie lubię, jak mi się grozi.

Awanturnicy mnie wkurzają. Znacie to stare powiedzenie o stawianiu czoła takim bykom? Możesz wyjść z takiego starcia cało tylko wtedy, jeśli masz się na czym wesprzeć. Ja miałem.

- Lepiej, żebyście wszyscy przebywali tu legalnie - powiedziałem. - Wy, wasze rodziny i przyjaciele. Nawet ludzie, których przypadkowo spotkacie na ulicy.

Zmrużone oczy otworzyły się szeroko.

- Może pokażecie mi wasze dokumenty? Wszyscy.

Ten, który wstał pierwszy, podniósł ręce do góry.

- Hej, nie chcemy żadnych kłopotów.

- No to spadajcie.

Rzucili na ladę kilka banknotów i wyszli. Nie wybiegli i nie zrobili tego w pośpiechu, ale też nie ociągali się. Zwykle czułbym niesmak z powodu takich czczych pogroźek i nadużywania władzy, ale sami się o to prosili.

Perez odwrócił się do mnie, wyraźnie przybity.

- No co? Jaki sens nosić odznakę, jeśli nie robi się z niej użytku?

- Jeszcze panu mało? - Mruknął.

Stółek obok niego był wolny. Usiadłem. Przywołałem barmana i zamówiłem kufel „tego samego”, wskazując kufel Jorge Pereza.

- Tam w kostnicy to był pański syn - powiedziałem. - Mógłbym to panu udowodnić, ale obaj to wiemy.

Dopił piwo i zamówił następne. Przyniesiono je razem z moim. Podniosłem kufel, jakbym chciał wznieść toast. On tylko spojrzał na mnie i nie podniósł swojego. Upiłem łyk. Pierwszy łyk piwa w upalny dzień jest jak zanurzenie palca w nowo otwartym słoiku z masłem orzechowym. Rozkoszowałem się jego boskim smakiem.

- Możemy to rozegrać na dwa sposoby - podjąłem. - Może pan nadal udawać, że to nie on. Już zleciłem wykonanie badań DNA. Wie pan, co to takiego, prawda, panie Perez?

Popatrzył na tłum.

- A kto dziś tego nie wie?

- Racja, wiem. *Kryminalne zagadki* i inne policyjne seriale w telewizji. Zatem wie pan, że bez trudu możemy dowieść, iż Manolo Santiago to Gil.

Perez upił następny łyk. Trzęsły mu się ręce, na twarzy pojawiły się głębokie bruzdy. Naciskałem dalej.

- Tak więc, co się stanie, kiedy już udowodnimy, że to pański syn? Spodziewam się, że pan i pana żona wśród ochów i achów spróbujecie wcisnąć nam kit, że „nie mieliście pojęcia”. To się wam nie uda. Wyjdziecie na kłamców. Wtedy moi ludzie rozpoczną prawdziwe śledztwo. Sprawdzimy wszystkie wykazy rozmów telefonicznych, konta bankowe, zapukamy do wszystkich drzwi, wypytując o was waszych znajomych i sąsiadów, dowiadując się o wasze dzieci...

- Zostawcie moje dzieci w spokoju.

- Nie ma mowy.

- To nie w porządku.

- Nie w porządku jest kłamać, że to nie wasz syn.

Pokręcił głową.

- Pan nic nie rozumie.

- Akurat. Moja siostra też była w tych lasach tamtej nocy.

Łzy stanęły mu w oczach.

- Zabiorę się za pana, pańską żonę i dzieci. Będę szukał, i niech mi pan wierzy, coś znajdę.

Zapatrzył się w swoje piwo.

Łzy popłynęły mu po policzkach. Nie otarł ich.

- Niech to szlag...

- Co się stało, panie Perez?

- Nic.

Spuścił głowę. Przysunął twarz do jego twarzy.

- Czy wasz syn zabił moją siostrę?

Podniósł głowę. Przywarł wzrokiem do mojej twarzy, jakby szukał na niej pocieszenia, którego nie mogło tam być. Nie ustępowałem.

- Nie będę już z panem rozmawiał - rzekł Perez.

- Zrobił to? Czy to próbujecie ukryć?

- Niczego nie próbujemy ukryć.

- Nie rzucam słów na wiatr, panie Perez. Dobiore się do was. Dobiore się do waszych dzieci.

Wyciągnął rękę tak szybko, że nie zdążyłem zareagować. Złapał mnie za kłapy i przyciągnął do siebie. Był ode mnie o ponad dwadzieścia lat starszy, ale czułem jego siłę. Natychmiast doszedłem do siebie i przypomniawszy sobie jeden z nielicznych chwytów, których nauczyłem się jako chłopiec - uderzyłem kantami dłoni w jego przedramiona.

Puścił mnie. Nie wiedziałem, czy zrobił to pod wpływem bólu, czy dobrowolnie. Jednak puścił. Wstał. Ja też wstałem. Barman przyglądał się nam.

- Potrzebuje pan pomocy, panie Perez? - Zapytał.

Ponownie wyjąłem odznakę.

- Zgłasza pan wszystkie napiwki skarbowce?

Wycofał się. Wszyscy kłamią. Każdy ma jakieś tajemnice. Wszyscy łamią prawo i mają swoje sekrety.

Patrzyliśmy z Perezem na siebie.

- Powiem jasno i wyraźnie - wycedził.

Czekałem.

- Jeśli zabierze się pan za moje dzieci, ja zabiorę się za pańskie.

Krew zawrzała mi w żyłach.

- A co to ma znaczyć, do diabła?

- To, że nie obchodzi mnie, jaką ma pan odznakę. Nie będzie pan groził moim dzieciom.

Wyszedł. Przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami. Nie spodobały mi się. Wyjąłem telefon komórkowy i zadzwoniłem do Muse.

- Wygrzeb wszystko, co zdołasz, o Perezach - powiedziałem.

25

Greta w końcu oddzwoniła.

Byłem w drodze do domu, wciąż w samochodzie, i pospiesznie zacząłem włączać zestaw głośno mówiący, żeby prokuratora Essex County nie przyłapano na łamaniu prawa.

- Gdzie jesteś? - Zapytała.

Słyszałem, że mówi przez łzy.

- W drodze do domu.

- Możemy się tam spotkać?

- Oczywiście. Dzwoniłem...

- Byłam w sądzie.

- Czy Bob wyszedł za kaucją?

- Tak. Jest na górze i kładzie Madison spać.

- Czy mówił ci...

- O której będziesz w domu?

- Za piętnaście, góra dwadzieścia minut.

- Zobaczymy się za godzinę, dobrze?

Greta rozłączyła się, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

Kiedy wróciłem do domu, Cara jeszcze nie spała. Ucieszyłem się. Położyłem ją do łóżka i graliśmy w jej nową ulubioną grę w ducha. Duch to w zasadzie połączenie zabawy w chowanego i berka. Jedna osoba się chowa. Kiedy zostaje znaleziona, próbuje dogonić szukającego, zanim ten zdąży wrócić do bazy. Nasza wersja tej zabawy była jeszcze głupsza, ponieważ bawiliśmy się w nią w łóżku, co poważnie ograniczało liczbę kryjówek i szanse powrotu do bazy. Cara chowała się pod kołdrę, a ja udawałem, że nie mogę jej znaleźć. Potem zamykała oczy, a ja chowałem głowę pod poduszkę. Udawała równie dobrze jak ja. Czasem ukrywałem się, przysuwając moją twarz do jej twarzy, żeby ujrzała mnie, gdy tylko otworzy oczy. Oboje zaśmiewaliśmy się jak... No, jak dzieci. To głupia zabawa, z której Cara szybko wyrośnie - czego żałowałem.

Zanim przyszła Greta, używszy klucza, który dałem jej przed laty, byłem tak pochłonięty

zabawą z córką, że prawie o wszystkim zapomniałem - o młodych gwałcicielach, dziewczętach znikających w lasach, seryjnych mordercach podzynających gardła, szwagrach zawodzących zaufanie, pogrążonych w żałobie ojcach grożących małym dziewczynkom. Jednak brzęk kluczy przy frontowych drzwiach przypomniał mi o tym wszystkim.

- Muszę iść - powiedziałem do Cary.

- Jeszcze raz - poprosiła.

- Przyszła ciocia Greta. Muszę z nią porozmawiać, dobrze?

- Jeszcze raz! Proszę!

Dzieci zawsze proszą o jeszcze jeden raz. A jeśli ulegniesz, będą prosiły bez końca. Jeśli raz ustąpisz, nigdy nie przestaną. Dlatego powiedziałem: „Dobrze, jeszcze raz”.

Cara uśmiechnęła się i schowała, ja ją znalazłem, ona mnie klepnęła, a potem powiedziałem, że muszę iść, a wtedy zaczęła prosić o jeszcze jeden raz, ale jestem konsekwentny, więc pocałowałem ją w policzek i zostawiłem błagającą, bliską łez.

Greta stała na dole przy schodach. Nie była blada. Oczy miała suche. Usta zaciśnięta w wąską linię, podkreślającą zbyt wydatne policzki.

- Bob nie przyszedł? - Zapytałem.

- Pilnuje Madison. Ponadto czeka na adwokata.

- Kogo wziął?

- Hester Crimstein.

Znałem ją. Była bardzo dobra.

Zszedłem po schodach. Zwykle całowałem Gretę w policzek. Dziś tego nie zrobiłem. Nie wiedziałem, jak się zachować. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Greta ruszyła do salonu. Poszedłem za nią. Usiedliśmy na kanapie. Wziąłem ją za rękę. Spojrzałem na jej twarz, tę pospolitą twarz, i jak zawsze zobaczyłem anioła. Uwielbiałem Gretę. Naprawdę. Pękało mi serce.

- Co się dzieje? - Zapytałem.

- Musisz pomóc Bobowi - powiedziała. I zaraz dodała: - Pomóc nam.

- Zrobię, co będę mógł. Wiesz o tym.

Jej dłonie były zimne jak lód. Spuściła głowę, a potem podniosła ją i spojrzała mi w oczy.

- Musisz powiedzieć, że pożyczyłeś nam te pieniądze - powiedziała beznamiętnie. - Że wiedziałeś o wszystkim. Że uzgodniliśmy, że oddamy je z procentem.

Siedziałem oniemiały.

- Paul?
- Chcesz, żebym skłamał?
- Dopiero co powiedziałaś, że zrobisz wszystko, co będziesz mógł.
- Chcesz powiedzieć... - Zająknąłem się. - Chcesz powiedzieć, że Bob wziął te pieniądze?

Że okradał fundację?

Jej głos brzmiał stanowczo.

- On je pożyczył, Paul.
- Żartujesz, prawda? Greta zabrała rękę.
- Nie rozumiesz.
- No to mi wyjaśnij.
- Pójdzie do więzienia. Mój mąż. Ojciec Madison. Bob pójdzie do więzienia. Rozumiesz?

Nasze życie legnie w gruzach.

- Bob powinien o tym pomyśleć, zanim zaczął okradać fundację.
- Nie okradał. Pożyczył. Kiepsko szło mu w pracy. Czy wiedziałaś, że stracił dwóch największych udziałowców?

- Nie. Dlaczego mi nie powiedział?

- A co miał powiedzieć?

- Tak więc uznał, że kradzież jest rozwiązaniem?

- On nie... - Urwała i pokręciła głową. - To nie jest takie proste. Podpisaliśmy umowę i zleciliśmy wykonanie basenu. Popelniliśmy błąd. Przeceniliśmy nasze możliwości.

- A co z pieniędzmi po twoich rodzicach?

- Po śmierci Jane moi rodzice uznali, że najlepiej będzie trzymać wszystko w funduszu powierniczym. Nie mogę ich ruszyć.

Pokręciłem głową.

- Dlatego kradł?

- Przestaniesz to powtarzać? Spójrz. - Pokazała mi kilka kserokopii. - Bob księgował tu każdego centa, który wziął. Doliczał do tego sześć procent. Zamierzał oddać wszystko z nawiązką, kiedy stanie na nogi. W ten sposób po prostu chciał uporządkować nasze finanse.

Przejrzałem papiery, szukając czegoś pomocnego, co dowiodłoby, że nie zrobił tego, co mówili. Nie znalazłem. Te odręczne notatki mogły być sporządzone kiedykolwiek. Podupałem na duchu.

- Wiedziałaś o tym? - Zapytałem.

- To nieistotne.

- Akurat. Wiedziałaś?

- Nie - odparła. - Nie powiedział mi, skąd wziął pieniądze. Posłuchaj, czy wiesz, ile godzin pracy Bob poświęcił JaneCare? Był dyrektorem. Człowiek na takim stanowisku powinien dostawać pensję. Co najmniej sześciocyfrową.

- Proszę, powiedz mi, że nie zamierzasz usprawiedliwiać tego w taki sposób.

- Będę to usprawiedliwiała, jak zechcę. Kocham mojego męża. Znasz go. Bob to dobry człowiek. Pożyczył te pieniądze i oddałby je, zanim ktoś by się zorientował. Ludzie wciąż robią takie rzeczy. Przecież wiesz. Jednak policja wywęszyła to z twojego powodu i tej przekłetej sprawy gwałtu. I z twojego powodu urządzają mu pokazowy proces. Zniszczą człowieka, którego kocham. A jeśli zniszczą jego, zniszczą mnie i moją rodzinę. Rozumiesz to, Paul?

Rozumiałem. Widziałem już takie przypadki. Miała rację. Przepuszczają całą rodzinę przez wyżymaczkę. Staralem się opanować gniew. Próbowałem spojrzeć na to jej oczami, zaakceptować jej usprawiedliwienia.

- Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz - powiedziałem wreszcie.

- Mówimy o moim życiu.

Pobladłem, kiedy to powiedziała.

- Uratuj nas. Proszę.

- Kłamiąc?

- To była pożyczka. Po prostu nie zdążył ci powiedzieć. Zamknąłem oczy i pokręciłem głową.

- Okradł fundację. Okradł fundację twojej siostry.

- Nie mojej siostry - powiedziała. - Twoją.

Pozostawiłem to bez komentarza.

- Chciałbym ci pomóc, Greto.

- Odwracasz się do nas plecami?

- Nie odwracam się do was plecami. Jednak nie mogę dla was kłamać.

Popatrzyła na mnie. Anioł znikł.

- Ja zrobiłabym to dla ciebie. Wiesz o tym.

Milczałem.

- Zawiodłeś wszystkich swoich bliskich - ciągnęła Greta. - Na tym obozie nie upilnowałeś swojej siostry. A pod koniec, kiedy moja siostra najbardziej cierpiała...

Urwała.

Temperatura w pokoju opadła o dziesięć stopni. Wąż śpiący w moim brzuchu zbudził się i zaczął pełzać. Napotkałem jej spojrzenie.

- Powiedz to. No już, powiedz.

- JaneCare nie była dla Jane. Tylko dla ciebie. Z powodu twojego poczucia winy. Moja siostra umierała. Cierpiała. Byłam tam, przy jej łożu śmierci. A ty nie.

Niekończące się cierpienie. Dni zmieniające się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Byłem tam. Widziałem to wszystko. A przynajmniej większość. Patrzyłem, jak kobieta, którą uwielbiałem, moja opoka, powoli odchodzi. Widziałem, jak gaśnie światło w jej oczach. Czułem otaczający ją odór śmierci, wokół tej kobiety, która pachniała bzem, kiedy kochałem się z nią pod gołym niebem w pewne deszczowe popołudnie. I w końcu nie mogłem już tego znieść. Nie mogłem patrzeć, jak gaśnie jej życie. Załamane się. To była najgorsza chwila w moim życiu. Załamane się, uciekłem i moja Jane umarła beze mnie. Greta miała rację. Zawiodłem ją, nie zostając z nią do końca. Tego też nigdy sobie nie wybaczę, i rzeczywiście, poczucie winy skłoniło mnie do założenia JaneCare.

Oczywiście Greta wiedziała, co zrobiłem. Jak właśnie mi przypomniała, w końcu została tam sama. Jednak nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy nie przypomniała mi o tym najbardziej zawstydzającym uczynku w moim życiu. Zawsze chciałem wiedzieć, czy Jane pytała o mnie w ostatnich chwilach swego życia. Czy wiedziała, że mnie tam nie ma. Jednak nigdy o to nie zapytałem. Chciałem spytać teraz, ale co by to zmieniło? Jaka odpowiedź by mnie zadowoliła? Na jaką odpowiedź zasłużyłem?

Greta wstała.

- Nie pomożesz nam?

- Pomogę. Nie będę kłamał.

- Gdyby to mogło ocalić Jane, skłamałbyś?

Nie odpowiedziałem.

- Gdyby kłamstwo mogło uratować jej życie, gdybyś kłamiąc, mógł odzyskać siostrę...

Zrobiłbyś to?

- To piekielnie hipotetyczne.

- Nie, wcale nie. Ponieważ mówimy o moim życiu. Nie skłamiesz, żeby je uratować. To dla ciebie typowe, Cope. Jesteś gotowy zrobić wszystko dla zmarłych. Tylko dla żywych nie jesteś tak dobry.

26

Muse przesłała mi faksem trzystronicowe sprawozdanie o Wayne Steubensie.

Na Muse można polegać. Nie przysłała mi całej teczki. Przeczytała zawartość i wyciągnęła najważniejsze fakty. Większość znałem. Pamiętam, że kiedy został aresztowany, wielu ludzi zastanawiało się, co go skłoniło do zabijania obozowiczów. Czyżby jakieś złe przeżycia na letnim obozie? Jeden z psychiatrów tłumaczył, że chociaż Steubens nic o tym nie mówił, jego zdaniem w dzieciństwie był molestowany seksualnie właśnie na jakimś obozie. Jednak inny psychiatra podejrzewał, że Steubens zabijał obozowiczów tylko dlatego, że to było łatwe: swoje pierwsze cztery ofiary zabił na obozie PLUS i uniknął złapania. Letnie obozy zaczęły mu się kojarzyć z polowaniem i dreszczykiem emocji, dlatego kontynuował tę działalność.

Wayne nie był pracownikiem tych następnych obozów. Oczywiście, to byłoby zbyt oczywiste. Jednak zbieżność okoliczności i tak go zgubiła. Przygwoździł go Geoff Bedford, jeden z najlepszych specjalistów FBI od sporządzania profili psychologicznych seryjnych morderców. Od czasu tych pierwszych czterech morderstw Wayne znajdował się w kręgu podejrzanych. Jeszcze zanim zamordował tego chłopaka w Indianie, Bedford już zaczął szukać kogoś, kto w czasie zabójstw znajdował się w tych wszystkich miejscach. Oczywiście pierwszymi na liście podejrzanych byli obozowi wychowawcy.

A wśród nich, o czym dobrze wiedziałem, ja.

Początkowo Bedford niczego nie znalazł w Indianie, będącej miejscem drugiego morderstwa, ale odkrył, że Wayne Steubens pobrał pieniądze z bankomatu w mieście znajdującym się niedaleko miejsca, gdzie zamordowano chłopca w Wirginii. To był przełom. Bedford zaczął sprawdzać jeszcze dokładniej. Wayne Steubens nie korzystał z żadnego bankomatu w stanie Indiana, ale zrobił to w Everett w Pensylwanii oraz w Columbus w Ohio. Wzór sugerował, że jechał tamtędy samochodem ze swojego domu w Nowym Jorku. Nie miał alibi i w końcu znaleźli właściciela małego motelu w pobliżu Muncie, który go zidentyfikował. Bedford poszperał jeszcze trochę i zdobył nakaz.

Znaleźli pamiątki zakopane na podwórku Steubensa.

Nie było wśród nich niczego po pierwszej czwórce zamordowanych. Według przyjętej teorii, ponieważ były to jego pierwsze morderstwa, nie miał czasu na zabieranie pamiątek albo nie przyszło mu to do głowy.

Wayne odmówił zeznań. Twierdził, że jest niewinny. Powiedział, że został wrobiony.

Skazano go za morderstwa w Wirginii i Indianie. W tych sprawach zgromadzono najwięcej dowodów. Nie było ich wystarczająco dużo w sprawie morderstw na letnim obozie. Ponadto były z nią pewne problemy. Steubens posługiwał się nożem. Jak zdołał zabić całą czwórkę? Jak zwiabił ich do lasu? W jaki sposób pozbył się dwóch ciał? Wszystko to można było wytłumaczyć - że zdążył ukryć zwłoki tylko dwóch ofiar, które zagnał daleko w las - ale nie była to czysta sprawa. Natomiast morderstwa w Indianie i Wirginii nie budziły najmniejszych wątpliwości.

Lucy zadzwoniła prawie o północy.

- Jak ci poszło z Jorge Perezem? - Zapytała.

- Miałaś rację. Oni kłamią. Jednak on też nie chciał mówić.

- Zatem jaki będzie następny ruch?

- Spotkam się z Wayne'em Steubensem.

- Naprawdę?

- Yhm.

- Kiedy?

- Jutro rano.

Cisza.

- Lucy?

- Tak?

- Kiedy go aresztowano, co pomyślałaś?

- O co ci chodzi?

- Tamtego lata Wayne miał... Ile, dwadzieścia lat?

- Tak.

- Ja byłem opiekunem czerwonej chaty - przypomniałem. - On żółtej, dwie alejki dalej.

Widywałem go codziennie. Przez cały tydzień robiliśmy boisko do koszykówki, tylko my dwaj.

Owszem, uważałem, że jest trochę dziwny. Ale żeby zaraz zabójca?

- To nie jest jak tatuaż czy coś. Przecież pracujesz z przestępcami. Sam wiesz.

- Chyba tak. Ty też go znałaś, prawda?

- Znałam.

- Co o nim myślałaś?

- Uważałam, że to palant.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

- Przypuszczałaś, że jest do tego zdolny?

- Do czego? Do podrzynania gardeł i zakopywania ludzi żywcem? Nie, Cope. Nie przyszło mi to do głowy.

- On nie zabił Gila Pereza.

- Jednak zabił tamtych ludzi. Wiesz o tym.

- Chyba tak.

- Daj spokój, przecież wiesz, że to on musiał zabić Margot i Douga. Jak inaczej można to wytłumaczyć? Może przypadkiem był wychowawcą na obozie, na którym miały miejsce te morderstwa i potem sam zaczął zabijać?

- Nie można tego wykluczyć.

- Hę?

- Może te morderstwa wytrąciły go z równowagi. Może miał to w sobie i tamtego lata, kiedy był opiekunem na obozie i dwojgu uczestnikom podejrząno gardła, to wydarzenie zadziało jak katalizator.

- Naprawdę kupujesz tę wersję?

- Raczej nie, ale kto wie?

- Jest jeszcze związany z nim fakt, który zapamiętałam.

- Jaki?

- Wayne był patologicznym kłamcą. No wiesz, teraz, mając w szufladzie dyplom z psychologii, znam fachowe określenie. Jednak nawet wtedy wiedziałam. Nie pamiętasz tego? Zawsze kłamał. Dla samej frajdy. Taki już był. Nie powiedziałby prawdy, nawet gdybyś go zapytał, co jadł na śniadanie.

Zastanowiłem się.

- Taaak, pamiętam. Częściowo były to normalne obozowe przechwałki. Był bogatym dzieciakiem i próbował dopasować się do nas, stojących po drugiej stronie barykady. Mówił, że

jest dilerem narkotyków. I należy do gangu. Ma dziewczynę, która pozowała do „Playboya”. Wygadywał same bzdury.

- Pamiętaj o tym, kiedy będziesz z nim rozmawiał - poprosiła.

- Będę pamiętał.

Cisza. Śpiący wąż znikł. Teraz poczułem, jak budzą się inne uśpione uczucia. Wciąż coś czułem do Lucy. Nie wiedziałem, czy to fakt, nostalgia czy rezultat całego tego stresu, ale czułem to i nie chciałem tego ignorować, a jednocześnie wiedziałem, że muszę.

- Jesteś tam jeszcze? - Zapytała.

- Jestem.

- To wciąż jest niesamowite, nieprawdaż? To z nami.

- Tak, owszem.

- Tak tylko, żebyś wiedział. Nie jesteś osamotniony. Ja też w tym siedzę, jasne?

- Jasne.

- Czy to ci pomogło?

- Tak. A tobie?

- Też. Byłoby paskudnie, gdybym tylko ja to czuła. Uśmiechnąłem się.

- Dobranoc, Cope.

- Dobranoc, Luce.



Seryjne zabójstwa - a przynajmniej poważny niedobór sumienia - najwidoczniej nie są stresujące, ponieważ Wayne Steubens przez te dwadzieścia lat prawie się nie postarzał. Kiedy go znałem, był przystojnym chłopakiem. I takim pozostał. Teraz miał włosy obcięte na jeża, a nie falujące, ukochane przez mamusię loki, ale dobrze mu było w tej fryzurze. Wiedziałem, że wypuszczają go z celi tylko na godzinę dziennie, ale najwidoczniej spędzał ten czas na słońcu, gdyż nie miał tej typowo więziennej, bladej cery.

Obdarzył mnie zabójczym, niemal doskonałym uśmiechem.

- Przeszedłeś zaprosić mnie na zlot obozowiczów? - Zapytał.

- Urządzamy go w Rainbow Room na Manhattanie. O rany, mam nadzieję, że przyjdiesz.

Ryknął śmiechem, jakbym powiedział najprzedniejszy dowcip. Nie łudziłem się, że tak było, ale to przesłuchanie miało być tańcem na linie. Przesłuchiwali go najlepsi funkcjonariusze FBI w kraju. Badali psychiatrzy, którzy znali wszystkie sztuczki z *Podręcznika psychopaty*.

Zwykle metody tu nie podziałają. Mieliśmy wspólne wspomnienia. Byliśmy prawie przyjaciółmi. Powiniennem to wykorzystać.

Jego śmiech przeszedł w chichot, a potem ucichł.

- Wciąż nazywają cię Cope?

- Tak.

- No to jak leci, Cope?

- Fajnie.

- Fajnie - powtórzył Wayne. - Mówisz jak wuj Ira. Na obozie nazywaliśmy starszych wujami i ciotkami.

- Ira to był szalony facet, no nie, Cope?

- Wtedy tak.

- Jasne. - Wayne odwrócił wzrok. Próbowałem spojrzeć w te jego szaroniebieskie oczy, ale wciąż gdzieś błędziły. Sprawiał wrażenie cierpiącego na lekką psychozę maniakalno-depresyjną. Zastanawiałem się, czy podają mu leki - zapewne - a potem zapytałem się w duchu, dlaczego tego nie sprawdziłem.

- No więc - rzekł Wayne - powiesz mi, dlaczego naprawdę tu jesteś? - A potem, zanim zdążyłem odpowiedzieć, podniósł dłoń. - Zaczekaj, nie, nie mów mi. Jeszcze nie.

Spodziewałem się czegoś innego. Nie wiem czego. Oczekiwałem, że będzie bardziej szalony czy ostentacyjny. Przez szalonego rozumiałem kompletnego wariata, jakiego wyobrażamy sobie, myśląc o seryjnych zabójcach: świdrujące spojrzenie, intensywne i przeszywające do szpiku kości oblizywanie warg, zaciskające się i prostujące palce, ledwie skrywana furia. W nim nie dostrzegałem niczego takiego. Przez ostentacyjnego rozumiałem ten typ socjopaty, jaki napotykamy codziennie, wygadane go faceta, który ewidentnie łąże w żywe oczy i jest zdolny do wszystkiego. Do takich też nie dało się go zaliczyć.

Natomiast poczułem coś o wiele bardziej przerażającego. Siedząc tak i rozmawiając z nim - z człowiekiem, który najprawdopodobniej zamordował moją siostrę i siedem innych osób - czułem się zupełnie normalnie. Może nawet swobodnie.

- Minęło dwadzieścia lat, Wayne. Chcę wiedzieć, co się zdarzyło w tych lasach.

- Dlaczego?

- Ponieważ tam była moja siostra.

- Nie, Cope, nie o to pytam. - Nachylił się. - Dlaczego teraz? Jak sam powiedziałeś, minęło dwadzieścia lat. Zatem czemu, stary przyjacielu, chcesz wiedzieć to teraz?

- Nie jestem pewien.

Jego oczy znieruchomiały i przywarły do moich. Starłem się nie mrugnąć. Zamiana ról: psychopata usiłował sprawdzić, czy nie kłamię.

- Wybrałeś bardzo interesujący moment - zauważył.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie jesteś pierwszym nieoczekiwanym gościem, który ostatnio mnie odwiedził.

Powoli pokiwałem głową, starając się nie okazać nadmiernego zaciekawienia.

- A kto jeszcze cię odwiedził?

- Dlaczego miałbym ci powiedzieć?

- A dlaczego nie?

Wayne Steubens znów się wyprostował.

- Nadal jesteś przystojnym facetem, Cope.

- Ty też - powiedziałem. - Jednak nasza randka raczej nie wchodzi w grę.

- Właściwie powinienem być na ciebie zły.

- Ach tak?

- Popsułeś mi tamto lato.

Partycjonowanie. Mówiłem już o tym. Wiem, że moja twarz nie zdradziła żadnych uczuć, ale miałem wrażenie, że ktoś kroi mi wnętrzności brzytwą. Gawędziłem sobie z seryjnym mordercą. Spojrzałem na jego ręce. Wyobraziłem sobie krew. Wyobraziłem sobie ostrze przyciśnięte do odsłoniętego gardła. Te dłonie. Te pozornie nieszkodliwe dłonie, które teraz spoczywały na stalowym blacie stołu. Co zrobiły?

Oddychałem miarowo.

- W jaki sposób? - Zapytałem.

- Ona powinna być moja.

- Kto powinien być twój?

- Lucy. Tamtego lata czekała na chłopaka. Gdyby ciebie tam nie było, miałbym duże szanse na dobry finisz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale brnąłem dalej.

- Myślałem, że interesowałaś się Margot Green.

Uśmiechnął się.

- Miała ciało, no nie?

- Istotnie.

- To była laska. Pamiętasz to na boisku do koszykówki?

Pamiętałem. Ten obraz natychmiast stanął mi przed oczami. Zabawne. Margot była obozową seksbombą i - człowieku - doskonale o tym wiedziała. Zawsze nosiła wyzywająco obcisłe topy, które wydawały się bardziej nieprzyzwoite niż zupełna nagość. Tamtego dnia któraś z dziewczyn miała wypadek na boisku do siatkówki. Nie pamiętam, jak się nazywała. Zdaje się, że złamała sobie nogę, ale kto to dziś pamięta? Natomiast wszyscy pamiętają - i to wspomnienie dzielę z tym psycholem - przerażoną Margot Green, pędzącą przez boisko do koszykówki w tym cholernym topie, z którego wszystko wyszło jej na wierzch, wzywającą pomocy, podczas gdy my, około trzydziestu lub czterdziestu chłopaków na boisku do kosza, staliśmy jak wryci i gapiliśmy się z rozdziawionymi ustami.

Mężczyźni to świny, tak. Jednak nastoletni chłopcy też. Natura urządziła to tak, że samce homo sapiens w wieku od około czternastu do siedemnastu lat są chodzącą erekcją. Nic na to nie możesz poradzić. Tymczasem społeczeństwo uważa, że w tym wieku jesteś za młody, żeby robić coś innego, jak tylko cierpieć. A to cierpienie stawało się dziesięciokrotnie dotkliwsze w obecności Margot Green.

Bóg ma poczucie humoru, nie sądzicie?

- Pamiętam - powiedziałem.

- Co za laska - rzekł Wayne. - Wiesz, że rzuciła Gila?

- Margot?

- Tak. Tuż przed morderstwem. - Uniósł brew. - To daje do myślenia, co?

Nawet nie drgnąłem, pozwalając mu mówić w nadziei, że powie więcej. Powiedział.

- Miałem ją, wiesz. Margot. Jednak nie była tak dobra jak Lucy.

Przyłożył dłoń do ust, jakby powiedział za dużo. Niezłe przedstawienie. Nadal nie drgnąłem.

- Wiesz, że chodziliśmy ze sobą tamtego lata, zanim się pojawiłeś, prawda? Lucy i ja.

- Uhm.

- Trochę pozieleniałeś, Cope. Chyba nie jesteś zazdrosny, co?

- To było dwadzieścia lat temu.

- Tak, rzeczywiście. I mówiąc szczerze, doszedłem tylko do drugiej bazy. Założę się, że ty doszedłeś dalej, Cope. Założę się, że zerwałeś jej wianek, co?

Próbował wyprowadzić mnie z równowagi. Nie zamierzałem dać się wciągnąć w tę grę.

- Dżentelmen nigdy nie opowiada o swoich podbojach.

- Racja, pewnie. I nie zrozum mnie źle. Wy dwoje byliście dobrą parą. Nawet ślepy by to zauważył. Ty i Lucy to było coś. Coś szczególnego, nieprawdaż?

Uśmiechnął się do mnie i zamrugał.

- To było dawno temu.

- Chyba w to nie wierzysz, co? Starzejemy się, pewnie, ale pod wieloma względami jesteśmy tacy sami jak kiedyś. Nie sądzisz?

- Niezupełnie, Wayne.

- No cóż, świat idzie naprzód, jak sądzę. Mamy tu dostęp do Internetu, wiesz. Żadnych witryn pornograficznych i tym podobnych rzeczy, i sprawdzają wszystkie nasze połączenia. Jednak poszperałem sobie w sieci. Wiem, że jesteś wdowcem i masz sześcioletnią córkę. Jednak nie mogłem znaleźć w sieci jej imienia. Jak ma na imię?

Tego było już za wiele. Przewracało mi się w żołądku. Słuchając, jak ten psychol mówi o mojej córce, czułem się gorzej, niż kiedy trzymałem jej zdjęcia w moim gabinecie. Jakos opanowałem się i przeszedłem do rzeczy:

- Co się stało w tych lasach, Wayne?

- Zginęli ludzie.

- Daruj sobie te gierki.

- Tylko jeden z nas sobie pogrywa, Cope. Jeśli chcesz prawdy, to zacznijmy od ciebie. Dlaczego tu dziś przyszedłeś? Właśnie dzisiaj. Ponieważ to nie jest przypadek. Obaj o tym wiemy.

Obejrzałem się. Wiedziałem, że jesteśmy obserwowani. Wcześniej zażądałem, by wyłączono podsłuch. Teraz dałem znak, żeby ktoś wszedł. Strażnik otworzył drzwi.

- Tak, proszę pana? - Zapytał.

- Czy pan Steubens miał jakichś gości w ciągu... Powiedzmy, ostatnich dwóch tygodni?

- Tak, proszę pana. Jednego.

- Kogo?

- Mogę sprawdzić, jeśli pan chce.

- Proszę to zrobić.

Strażnik wyszedł. Znow spjrzałem na Wayne'a. Nie wyglądał na rozżłoszczonego.

- Celny strzał - pochwalił. - Nie musiałeś tego robić. Powiem ci. To był niejaki Curt Smith.

- Nie znam nikogo takiego.

- Ach, ale on zna ciebie. Widzisz, pracuje dla firmy zwanej MVD.

- Prywatny detektyw?

- Tak.

- I przyszedł tutaj, ponieważ chciał... - Teraz zrozumiałem. Cholerne sukinsyny. - Chciał wygrzebać jakieś brudy na mój temat.

Wayne Steubens dotknął nosa palcem, a potem wycelował go we mnie.

- I co ci zaproponował? - Spytałem.

- Jego szef był kiedyś szycią u federalnych. Powiedział, że może mi załatwić lepsze traktowanie.

- Powiedziałeś mu coś?

- Nie. Z dwóch powodów. Po pierwsze, jego propozycja była kompletną bzdurą. Były fedzio w niczym nie może mi pomóc.

- A po drugie?

Wayne Steubens pochylił się do mnie. Upewnił się, że patrzę mu prosto w oczy.

- Chcę, żebyś mnie wysłuchał, Cope. Chcę, żebyś posłuchał mnie bardzo uważnie.

Wytrzymałem jego spojrzenie.

- Zrobiłem w moim życiu wiele złych rzeczy. Nie będę wdawał się w szczegóły. Nie ma potrzeby. Popęlniałem błędy. Spędziłem w tej piekielnej dziurze osiemnaście ostatnich lat, płacąc za nie. A nie powinienem. Naprawdę nie powinienem. Nie będę mówił o Indianie, Wirginii czy innych sprawach. Ludzie, którzy tam umarli... Nie znałem ich. To byli obcy.

Umilkł, zamknął oczy, przesunął dłonią po twarzy. Miał szeroką twarz o błyszczącej, niemal woskowanej cerze. Znow otworzył oczy i upewnił się, że wciąż na niego patrzę. Patrzyłem. Nie mógłbym się poruszyć, nawet gdybym chciał.

- Jednak - i to jest drugi powód, Cope - nie mam pojęcia, co wydarzyło się w tamtych lasach dwadzieścia lat temu. Ponieważ mnie tam nie było. Nie wiem, co przydarzyło się moim

przyjaciołom - nie obcym, Cope, ale przyjaciołom - Margot Green, Dougowi Billinghamowi, Gilowi Perezowi i twojej siostrze.

Cisza.

- Czy zabiłeś tych chłopców w Indianie i Wirginii? - Zapytałem.

- A uwierzyłybyś, gdybym powiedział, że nie?

- Było mnóstwo dowodów.

- Tak, było.

- Jednak ty wciąż twierdzisz, że jesteś niewinny.

- Tak twierdę.

- Jesteś niewinny, Wayne?

- Skupmy się na jednym, dobrze? Mówię o tamtym lecie. Mówię o tym obozie. Nie zabiłem tam nikogo. Nie wiem, co się wydarzyło w tamtych lasach.

Nic nie powiedziałem.

- Jesteś teraz prokuratorem, zgadza się?

Skinąłem głową.

- Ludzie szperają w twojej przeszłości. Rozumiem to. Nie zwróciłbym na to uwagi. Jednak teraz ty też tu jesteś. A to oznacza, że coś się stało. Coś nowego. Coś związanego z tamtą nocą.

- Do czego zmierzasz, Wayne?

- Zawsze sądziłeś, że to ja ich zabiłem - rzekł. - Jednak teraz, po raz pierwszy, nie jesteś już tego pewien, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- Coś się zmieniło. Widzę to po twojej minie. Po raz pierwszy poważnie się zastanawiasz, czy miałem coś wspólnego z wydarzeniami tamtej nocy. A jeśli dowiedziałeś się czegoś nowego, masz obowiązek powiedzieć mi o tym.

- Nie mam obowiązku, Wayne. Nie zostałeś skazany za te morderstwa. Osądzono cię i skazano za morderstwa w Indianie i Wirginii.

Rozłożył ręce.

- To co ci szkodzi powiedzieć mi, czego się dowiedziałeś?

Zastanowiłem się. Miał trochę racji. Gdybym mu powiedział, że Gil Perez do niedawna wciąż żył, w niczym nie podważyłoby to jego wyroku, ponieważ nie został skazany za zabicie

Gila. Jednak ten fakt rzuciłby długi cień. Sprawa seryjnego mordercy jest dosłownie i w przenośni jak dom pełen trupów. Gdyby okazało się, że jedna z ofiar wcale nie została zamordowana - a przynajmniej nie wtedy, kiedy przypuszczano, i nie przez seryjnego mordercę - osłabiłoby to fundamenty całej konstrukcji.

Na razie postanowiłem zachować dyskrecję. Poza tym nie miałem podstaw, by coś mówić, dopóki nie zidentyfikujemy Gila Pereza. Spojrzałem na Wayne'a. Czy jest szaleńcem? Tak uważałem. Tylko czy mogłem być tego absolutnie pewny? Tak czy inaczej dowiedziałem się już wszystkiego, czego mogłem się dziś dowiedzieć. Wstałem.

- Żegnaj, Wayne.

- Żegnaj, Cope.

Ruszyłem do drzwi.

- Cope? Odwróciłem się.

- Wiesz, że ich nie zabiłem, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- A jeśli ja ich nie zabiłem - ciągnął - to musisz na nowo przemyśleć wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy - nie tylko Margot, Dougowi, Gilowi i Camille. Również to, co przydarzyło się mnie. I tobie.

27

- Ira, popatrz na mnie przez chwilę.

Lucy czekała na jedną z tych chwil, kiedy ojciec wydawał się niemal zupełnie przytomny. Siedziała naprzeciwko niego w jego pokoju. Ira powymyślał dziś stare płyty. Na okładkach był długowłosy James Taylor z *Sweet Baby Jane* i Beatlesi przechodzący Abbey Road (z bosonogim, a więc „martwym” Paulem). Marvin Gaye spoglądał w górę na *What's Going On*, a oswiały Jim Morrison emanował seksem na okładce oryginalnego albumu *Doorsów*.

- Ira?

Uśmiechał się do starego zdjęcia z obozu. Żółty volkswagen garbus został ozdobiony przez dziewczyny z najstarszej grupy. Umieściły na nim kwiaty i pacyfki. Ira stał w środku z rękami skrzyżowanymi na piersi. Dziewczęta otoczyły samochód. Wszyscy nosili szorty, bawełniane koszulki i promiennie się uśmiechali. Lucy pamiętała tę chwilę. To był dobry dzień, jeden z tych, które chowasz w pudełku na dnie szuflady i wyciągasz, kiedy jest ci naprawdę smutno.

- Ira?

Odwrócił się do niej.

- Słucham.

Barry McGuire śpiewał swój klasyczny antywojenny hymn *Eve of Destruction*. Choć niepokojący, ten utwór zawsze Lucy uspokajał. Ukazuje szczególnie przygnębiającą wizję świata. Mówi o eksplozjach, o ciałach w rzece Jordan, o lęku przed wybuchem wojny nuklearnej, o nienawiści w czerwonych Chinach i w Selmie w stanie Alabama (kiepski rym, ale przeszedł), o całej hipokryzji i nienawiści tego świata - a chór niemal drwiąco pyta, jak słuchacz może być tak naiwny, by sądzić, że nie znajdujemy się w przededniu samozagłady.

Dlaczego to ją pocieszało?

Ponieważ było prawdą. Ten świat był straszny, okropny. Planeta znajdowała się na skraju przepaści. Jednak przetrwała - a niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że rozkwitła. Dzisiejszy świat też wydaje się okropny. Nie do wiary, że jakoś przetrwa. Świat McGuire'a był równie

prerażający. Może bardziej. Cofnijmy się o dwadzieścia lat - druga wojna światowa, faszyzm. Przy tym lata sześćdziesiąte były jak Disneyland. To również przetrwaliśmy.

Zawsze zdajemy się znajdować w przededniu samozniszczenia. I jakoś zawsze udaje nam się przetrwać.

Może wszystkim nam jest pisane wychodzić cało z katastrof, jakie sami wywołujemy?

Pokręciła głowę. Jakie to naiwne. Jakie pensjonarskie. Powinna być rozsądniejsza.

Ira miał dziś przystrzyżoną brodę. Włosy nadal rozczochrane. Siwizna przybierała niemal siny odcień. Trzęsły mu się ręce i Lucy zastanawiała się, czy to nie zapowiedź choroby Parkinsona. Wiedziała, że jego ostatnie lata życia nie będą miłe. Jednak w ciągu minionego dwudziestolecia mało miał dobrych.

- O co chodzi, kochanie? - Zapytał z widoczną troską.

To była jedna z największych zalet Iry - szczerze troszczył się o ludzi. Był wspaniałym słuchaczem. Zauważał cierpienie i próbował znaleźć jakiś sposób, żeby złagodzić ból. Wszyscy wyczuwali tę cechę Iry - każdy obozowicz, rodzic, znajomy. A kiedy było się jego jedynym dzieckiem, osobą ukochaną nad życie, to było jak najcieplejszy koc w chłodny dzień.

Boże, był takim wspaniałym ojcem. Tak bardzo brakuje jej tego człowieka.

- W książce zapisano, że odwiedził cię niejaki Manolo Santiago. - Przechyliła głowę. - Pamiętasz to, Iro?

Jego uśmiech zgasł.

- Iro?

- Tak - powiedział. - Pamiętam.

- Czego chciał?

- Porozmawiać.

- Porozmawiać o czym?

Ściągnął wargi, jakby przytrzymując język za zębami.

- Iro?

Pokręcił głowę.

- Proszę, powiedz mi.

Ira otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W końcu przemówił ochryłym szeptem:

- Wiesz, o czym chciał porozmawiać.

Lucy spojrzała przez ramię. Byli w pokoju sami. *Eve of Destruction* skończyła się. Mamas and Papas zaczęli im mówić, że wszystkie liście zbrązowiały.

- O obozie? - Podsunęła. Kiwnął głową.

- Co chciał wiedzieć?

Zaczął płakać.

- Iro?

- Nie chciałem tam wracać - szlochał.

- Wiem, że nie chciałeś.

- A on wciąż pytał.

- O co, Iro? O co cię pytał?

Ukrył twarz w dłoniach.

- Proszę...

- O co prosisz?

- Nie mogę tam znów wrócić. Rozumiesz? Nie mogę tam wrócić.

- Nic ci już nie grozi.

Wciąż chował twarz w dłoniach. Drżały mu ramiona.

- Te biedne dzieciaki.

- Iro? - Wyglądał na cholernie przestraszonego. - Tatusiu?

- Zawiodłem wszystkich.

- Nie, wcale nie.

Nie mógł powstrzymać szlochu. Lucy uklękła przed nim. Poczwała, że jej też łyzy cisną się do oczu.

- Proszę, tato, spójrz na mnie.

Nie chciał. Do pokoju zajrzała pielęgniarka Rebecca.

- Przyniosę mu coś - zaproponowała.

Lucy powstrzymała ją.

- Nie trzeba.

Ira znów zaszlochał.

- Myślę, że potrzebuje czegoś na uspokojenie.

- Jeszcze nie - powiedziała Lucy. - My tylko... Proszę nas zostawić.

- Odpowiadam za niego.

- Nic mu nie jest. To prywatna rozmowa. Trochę się wzruszył, to wszystko.

- Przyprowadzę lekarza.

Lucy chciała ją powstrzymać, ale pielęgniarka już wyszła.

- Iro, proszę, posłuchaj mnie.

- Nie.

- Co mu powiedziałeś?

- Nie mogłem upilnować wszystkich. Rozumiesz?

Nie rozumiała. Wzięła jego twarz w dłonie i próbowała go zmusić, żeby spojrzał jej w oczy. Jego krzyk ją wystraszył. Puściła go. Cofnął się, przewracając krzesło. Skulił się w kącie.

- Nie...!

Pielęgniarka Rebecca wróciła z dwiema kobietami. W jednej z nich Lucy rozpoznała lekarkę. Druga, zapewne pielęgniarka, trzymała w ręku strzykawkę.

- Wszystko w porządku, Iro - powiedziała Rebecca.

Ruszyły ku niemu. Lucy zastąpiła im drogę.

- Wyjdźcie stąd - warknęła.

Lekarka - według napisu na identyfikatorze Julie Construcci - odkaszlnęła.

- Jest bardzo wzburzony.

- Ja też - powiedziała Lucy.

- Słucham?

- Powiedziała pani, że jest wzburzony. Wielkie rzeczy. Wzburzenie to część życia. Ja też czasem bywam wzburzona. Pani też czasem jest wzburzona, prawda? Dlaczego on nie może?

- Ponieważ nie jest zdrowy.

- Nic mu nie jest. Chcę, żeby jeszcze przez kilka minut był przytomny.

Ira znów zaszlochał.

- Pani twierdzi, że on jest przytomny?

- Muszę z nim chwilę porozmawiać.

Doktor Construcci skrzyżowała ręce na piersi.

- Decyzja nie należy do pani.

- Jestem jego córką.

- Pani ojciec jest tu z własnej woli. Może wychodzić i wracać, kiedy chce. Żaden sąd go nie ubezwłasnowolnił. Decyzja należy do niego.

Construcci spojrzała na Irę.

- Chce pan środek uspokajający, panie Silverstein?

Ira wodził wzrokiem po pokoju jak zapędzone w kąt zwierzę, którym nagle się stał.

- Panie Silverstein?

Spojrzał na córkę. Znow zaczął płakać.

- Nic mu nie powiedziałem, Lucy. Co mogłem mu powiedzieć?

Znowu zaszlochał. Lekarka spojrzała na Lucy, a ta na ojca.

- W porządku, Iro.

- Kocham cię, Luce.

- Ja też cię kocham.

Pielęgniarki podeszły. Ira wyciągnął rękę. Uśmiechnął się sennie, gdy igła weszła w ciało.

Lucy przypomniało się dzieciństwo. Otwarcie palił przy niej trawkę. Pamiętała, jak głęboko się zaciągał z takim właśnie uśmiechem. Teraz zadała sobie pytanie, dlaczego tego potrzebował. Pamiętała, jak po tamtym obozie robił to coraz częściej. Kiedy była dzieckiem, narkotyki były częścią jego stylu życia - częścią „ruchu”. Teraz zaczęła się zastanawiać. A jej picie? Czyżby w ten sposób ujawnił się jakiś gen uzależnień? A może Ira, tak jak Lucy, korzystał z używek takich jak narkotyki czy wódka, żeby uciec, znieczulić się, nie spojrzeć prawdzie w oczy?

28

- Proszę mi powiedzieć, że to był żart.

Specjalny agent FBI Geoff Bedford i ja siedzieliśmy w regulaminowej wielkości bufecie, takim z aluminium na zewnątrz i podpisanymi zdjęciami miejscowych komentatorów telewizyjnych w środku. Bedford był schludnym facetem z sumiastymi i nawoskowanymi wąsami. Jestem pewien, że już gdzieś takie widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Miałem wrażenie, że zaraz dołączy do niego trzech innych facetów, tworząc zgrany kwartet fryzjerów.

- Nie był.

Przyszła kelnerka. Nie wyzwała nas od złociutkich. Nienawidzę tego. Bedford przeczytał menu, ale zamówił tylko kawę. Pojąłem znaczenie tego faktu i zamówiłem to samo. Oddaliśmy jej menu. Bedford zaczął, aż odejdzie.

- Steubens zrobił to, bez dwóch zdań. Zabił tych wszystkich ludzi. Dotychczas nie było co do tego żadnych wątpliwości. I teraz też nie ma. I nie mówię o uzasadnionej wątpliwości. Mówię o jakiegokolwiek wątpliwości.

- Pierwsze cztery zabójstwa. Te w lasach.

- Co z nimi?

- Nie było dowodów, które by go z nimi łączyły - przypomniałem.

- Nie było.

- Cztery ofiary. Dwie z nich to były młode kobiety. Margot Green i moja siostra?

- Zgadza się.

- Jednak żadna z późniejszych ofiar Steubensa nie była płci żeńskiej.

- Owszem.

- Wszystkie były płci męskiej i w wieku od szesnastu do osiemnastu lat. Nie uważa pan, że to dziwne?

Spojrzał na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

- Proszę posłuchać, panie Copeland, zgodziłem się spotkać z panem, ponieważ po

pierwsze, jest pan prokuratorem okręgowym, a po drugie, pańska siostra zginęła z ręki tego potwora. Jednak kierunek tej rozmowy...

- Właśnie odwiedziłem Wayne'a Steubensa - oznajmiłem.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I pozwolę sobie powiedzieć, że to cholernie przebiegły psychopata i patologiczny kłamca.

Przypomniałem sobie, że Lucy mówiła to samo. A także to, że Wayne twierdził, iż romansował z Lucy, zanim pojawiłem się na obozie.

- Wiem o tym - powiedziałem.

- Nie jestem pewien. Pozwoli pan, że coś panu wyjaśnię. Wayne Steubens był częścią mojego życia przez prawie dwadzieścia lat. Proszę o tym pomyśleć. Słyszałem, jak przekonująco potrafi kłamać.

Nie wiedziałem, jak to rozegrać, więc wypaliłem z grubej rury:

- Wszedł na jaw nowy fakt.

Bedford zmarszczył brwi. Koniuszki wąsów opadły mu wraz z kącikami ust.

- O czym pan mówi?

- Wie pan, kim jest Gil Perez?

- Oczywiście. Wiem wszystko i o wszystkich zamieszanych w tę sprawę.

- Nigdy nie znaleźliście jego ciała.

- Zgadza się. Ani ciała pańskiej siostry.

- Jak pan to wyjaśni?

- Był pan na tym obozie. Zna pan ten teren.

- Znam.

- Wie pan, ile kilometrów kwadratowych mają te lasy?

- Wiem.

Podniósł prawą rękę i spojrzał na nią.

- Cześć, panno Igło. Potem zrobił to samo z lewą.

- Proszę poznać mojego przyjaciela, pana Siano.

- Wayne Steubens jest mężczyzną o drobnej budowie ciała - przypomniałem.

- Co z tego?

- To, że Doug miał prawie metr osiemdziesiąt. A Gil był zawiadką. W jaki sposób, pańskim zdaniem, Wayne zaskoczył lub pokonał całą czwórkę?

- Miał nóż. Margot Green była związana. Po prostu poderznął jej gardło. Nie jesteśmy pewni, w jakiej kolejności zabił pozostałych. Może też ich związał - w różnych miejscach lasu. Po prostu nie wiemy. Załatwił Douga Billingham. Jego ciało znaleziono w płytkim grobie kilometr od ciała Margot. Miał kilka ran kłutych i skaleczenia na rękach, świadczące o tym, że się bronił. Znaleźliśmy krew i ubrania należące do pańskiej siostry i Gila Pereza. Wie pan o tym wszystkim.

- Wiem.

Bedford odchylił się z krzesłem do tyłu, opierając się na obcasach.

- Zatem niech mi pan powie, panie Copeland, jaki to nowy fakt tak nagle wyszedł na jaw?

- Gil Perez.

- Co z nim?

- *On nie zginął tamtej nocy. Umarł w zeszłym tygodniu.*

Krzesło opadło.

- Słucham?

Opowiedziałem mu o Manolu Santiagu, który okazał się Gilem Perezem. Powiedziałbym, że przyjął to sceptycznie, ale to byłoby zbyt łagodne określenie. Agent Bedford patrzył na mnie tak, jakbym próbował go przekonać, że wielkanocny Króliczek istnieje naprawdę.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - powiedział, kiedy skończyłem. Kelnerka wróciła z naszą kawą. Bedford nic do swojej nie dodał. Ostrożnie podniósł kubek i zdołał nie zamoczyć w nim wąsów. - Rodzice Pereza zaprzeczają, że to on. Wydział zabójstw z Manhattanu nie wierzy, że to on. A pan mi mówi...

- To on.

Bedford zachichotał.

- Myślę, że zabrał mi pan już dość czasu, panie Copeland. Odstawił kawę i zaczął wstawiać.

- Ja wiem, że to on. Jest tylko kwestią czasu, zanim to udowodnię.

Bedford znieruchomiał.

- Powiem panu coś - rzekł. - Przyjmijmy pańską wersję. Powiedzmy, że to istotnie Gil Perez. Że jakoś przeżył tamtą noc.

- Dobrze.

- To wcale nie oczyszcza Wayne'a Steubensa. Bynajmniej. Jest wielu takich - tu przeszył

mnie wzrokiem - którzy wierzą, że dokonując pierwszych czterech zabójstw, Steubens mógł mieć współnika. Sam pan pytał, w jaki sposób bez niczyjej pomocy załatwił cztery osoby. No cóż, jeśli było ich dwóch i tylko trzy ofiary, było im o wiele łatwiej, nie sądzi pan?

- Zatem teraz myśli pan, że Perez mógł być tym współnikiem?

- Nie. Do diabła, nawet nie wierzę, że przeżył tamtą noc. Mówię hipotetycznie. Gdyby te zwłoki z Manhattanu istotnie okazały się ciałem Gila Pereza.

Dodałem do kawy opakowanie splenda i trochę mleka.

- Zna pan książki Arthura Conan Doyle'a? - Zapytałem.

- Tego faceta, który pisał o Sherlocku Holmesie?

- Właśnie. Jedno z ulubionych powiedzeń Sherlocka brzmiało tak: „To poważny błąd teoretyzować, nie mając dowodów, ponieważ zaczyna się wtedy naginać fakty do teorii, zamiast tworzyć teorię, opierając się na faktach”.

- Zaczyna pan nadużywać mojej cierpliwości, panie Copeland.

- Podałem panu nowy fakt. Zamiast spróbować ponownie przemyśleć sprawę, natychmiast znalazł pan sposób, żeby dopasować ten fakt do pańskiej teorii.

Wytrzeszczył oczy. Nie miałem mu tego za złe. Atakowałem ostro, musiałem nacierać.

- Czy wie pan coś o przeszłości Wayne'a Steubensa? - Zapytał.

- Co nieco.

- Idealnie pasuje do profilu.

- Profile to nie dowody.

- Jednak są pomocne. Na przykład, czy wie pan, że kiedy Steubens był nastolatkiem, jego sąsiadom ginęły zwierzęta?

- Naprawdę? No cóż, więc nie potrzebuję już innych dowodów.

- Mogę podać panu pewien ilustrujący to przykład? Mamy świadka. Chłopca, niejakiego Charliego Kadisona. Wtedy nic nikomu nie powiedział, ponieważ się bał. Kiedy Wayne Steubens miał szesnaście lat, kupił małego białego pieska... Nie wiem jakiej rasy, jakiejś francuskiej...

- Bichon frise?

- Właśnie. Zakopał tego psa w ziemi aż po szyję, tak że wystawał mu tylko łeb. Zwierzę nie mogło się ruszać.

- Obrzydliwe.

- Było jeszcze gorzej.

Elegancko upił kolejny łyk. Czekałem. Odstawił kubek z kawą i otarł usta serwetką.

- No więc kiedy go zakopał, pański stary obozowy kumpel poszedł do domu tego małego Kadisona. Widzi pan, oni mieli kosiarkę do trawników. Pożyczył ją i...

Umilkł, popatrzył na mnie i skinął głową.

- Błę - powiedziałem.

- Znam inne podobne historie. Chyba z tuzin.

- A mimo to Wayne Steubens dostał pracę jako opiekun na obozie...

- Też mi niespodzianka. Sam pan wie, jak Ira Silverstein dokładnie sprawdzał przyjmowanych pracowników.

- I nikt nie podejrzewał Wayne'a po tych pierwszych morderstwach? - Zdziwiłem się.

- Nie znaliśmy tych faktów. Przede wszystkim sprawę obozu PLUS prowadziła lokalna policja, nie my. To nie była sprawa FBI. Przynajmniej na początku. A w dodatku ludzie za bardzo się bali, żeby opowiadać nam o młodych latach Steubensa. Tak jak Charlie Kadison. Musi pan także pamiętać, że Steubens pochodził z bogatej rodziny. Jego ojciec wcześniej umarł, ale matka broniła go, płaciła odszkodowania i tak dalej. Nawiasem mówiąc, była nadopiekuńcza. Bardzo konserwatywna. Bardzo zasadnicza.

- Następnym szczegółem pasującym do pańskiego profilu seryjnego mordercy?

- Nie chodziło tylko o profil, panie Copeland. Zna pan fakty. Mieszkał w Nowym Jorku, ale nie wiadomo po co przebywał w pobliżu wszystkich trzech miejsc zbrodni - w Wirginii, Indianie i Pensylwanii - w chwili, gdy popełniono te morderstwa. Jakie było prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności? No i kluczowy dowód: po uzyskaniu nakazu przeszukania na terenie jego posiadłości znaleźliśmy przedmioty - typowe trofea - należące do wszystkich ofiar.

- Nie wszystkich - przypomniałem.

- Wystarczająco wielu.

- Jednak nie było tam niczego, co należało do pierwszej czwórki obozowiczów.

- Zgadza się.

- Dlaczego?

- Mam zgadywać? Zapewne się spieszył. Steubens musiał pozbyć się ciała. Miał mało czasu.

- To również wygląda na dopasowywanie faktów do teorii.

Usiadł prosto i przyglądał mi się.

- A jaką pan ma teorię, panie Copeland? Umieram z ciekawości.

Nie odpowiedziałem. Bedford rozłożył ręce.

- Uważa pan, że seryjny morderca, który podrzynał ofiarom gardła w Indianie i Wirginii zupełnie przypadkowo był opiekunem na letnim obozie, na którym co najmniej dwojgu uczestnikom poderżnięto gardła?

Miał trochę racji. Zastanawiałem się nad tym od początku i niczego nie mogłem wymyślić.

- Zna pan fakty, dopasowane do teorii czy nie. Jest pan prokuratorem. Niech mi pan powie, co pana zdaniem się zdarzyło.

Zamyśliłem się. Czekał. Zastanawiałem się jeszcze przez chwilę.

- Jeszcze nie wiem - powiedziałem wreszcie. - Może za wcześnie na teoretyzowanie. Może powinniśmy zebrać więcej faktów.

- A kiedy pan będzie to robił, taki facet jak Wayne Steubens zabije kilku następnych obozowiczów.

W tym również miał rację. Pomyślałem o oskarżeniu o gwałt, wniesionym przeciwko Jenrette'owi i Marantzowi. Jeśli spojrzeć na to obiektywnie, było równie wiele - a zapewne więcej - dowodów przeciwko Wayne'owi Steubensowi.

A przynajmniej tak się zdawało.

- On nie zabił Gila Pereza - przypomniałem.

- Słyszałem. Zatem wprowadźmy tę poprawkę do równania, dla dobra dyskusji. Powiedzmy, że nie zabił chłopaka Perezów. - Podniósł obie ręce do góry. - I co to panu daje?

Rozważyłem jego słowa. To daje mi podstawy, pomyślałem, aby zastanawiać się, co naprawdę stało się z moją siostrą.

29

Godzinę później siedziałem w samolocie. Jeszcze nie zamknięto drzwi, gdy zadzwoniła Muse.

- Jak ci poszło ze Steubensem? - Zapytała.

- Opowiem ci później. Co w sądzie?

- Z tego co słyszałam, dużo pustych gestów i gadaniny. Wciąż używali sformułowania „należy rozważyć”. Praca prawnika musi być cholernie nudna. Jak w taki dzień udaje ci się nie palnąć sobie w łeb?

- Rzeczywiście, to spory wysiłek. Zatem nic się nie wydarzyło?

- Nic, ale jutro masz wolne. Sędzia chce widzieć obie strony w swoim gabinecie w czwartek rano.

- Po co?

- Dużo mówili o tym rozważaniu, ale twój asystent powiedział, że to zapewne nic poważnego. Posłuchaj, mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

- Co?

- Kazałam naszemu najlepszemu specowi od komputerów przejrzeć tekst przysłany twojej przyjaciółce Lucy.

- I co?

- I wszystko zgadzało się z tym, co już wiedzieliśmy. Przynajmniej na początku.

- Jak to na początku?

- Zabrałam się za sprawdzanie tych informacji, które znalazł. Wykonałam kilka telefonów, trochę poszperałam. I odkryłam coś interesującego.

- Co?

- Chyba wiem, kto przysłał ten tekst.

- Kto?

- Masz przy sobie palmtopa?

- Tak.

- Jest tego tona. Może będzie łatwiej, jeśli prześlę ci szczegóły pocztą elektroniczną.
- Dobrze.
- Nie powiem ci nic więcej. Wolę zobaczyć, czy dojdiesz do tego samego wniosku, co ja. Zastanowiłem się nad tym i usłyszałem echo mojej rozmowy z Geoffem Bedfordem.
- Nie chcesz, żebym dopasowywał fakty do teorii, co?
- Hę?
- Nieważne, Muse. Po prostu mi to przyślij.



Cztery godziny po tym, jak pożegnałem się z Geoffem Bedfordem, siedziałem w pokoju sąsiadującym z gabinetem Lucy, zwykle użytkowanym przez wykładowcę języka angielskiego, który wziął roczny urlop. Lucy miała klucz.

Wyglądała przez okno, gdy jej stażysta, niejaki Lonnie Berger, wszedł bez pukania. Zabawne. Lonnie trochę przypominał mi ojca Lucy, Irę. Miał ten sposób bycia Piotrusia Pana, włóczęgi i marzyciela. Nie potępiam hipisów, lewaków czy jak tam chcecie ich zwać. Są nam potrzebni. Głęboko wierzę w to, że potrzebne są ugrupowania z obu stron politycznej sceny, nawet (a może przede wszystkim) te, z którymi się nie zgadzamy, a może nawet jesteśmy gotowi ich nienawidzić. Bez nich byłoby nudno. Nie trzeba byłoby starannie dobierać argumentów. Przemyslcie to sobie: bez lewicy nie ma prawicy. A bez nich obu nie ma centrum.

- Co jest, Luce? Mam umówioną randkę z moją gorącą kelnerką... - Lonnie zauważył mnie i zamilkł. - Kto to?

Lucy wciąż spoglądała przez okno.

- I dlaczego jesteśmy w gabinecie profesora Mitnicka?

- Jestem Paul Copeland - przedstawiłem się. Wyciągnąłem rękę. Uścisnął ją

- Ooo - powiedział. - Pan jest tym facetem z tej pracy, tak? Panem P. czy jak mu tam. Chcę powiedzieć, że czytałem to w sieci i...

- Tak, Lucy opowiedziała mi o pańskim amatorskim śledztwie. Jak pan zapewne wie, pracuje dla mnie paru bardzo dobrych detektywów. Zawodowców.

Puścił moją dłoń.

- Czy chciałby się pan czymś z nami podzielić? - Zapytałem.

- O czym pan mówi?

- Nawiasem mówiąc, miał pan rację. Ten e-mail rzeczywiście przyszedł z banku

komputerowego we Frost Library o osiemnastej czterdzieści dwie. Jednak Sylvii Potter nie było tam między osiemnastą o dziewiętnastą. Cofnął się o krok.

- Ty tam byłeś, Lonnie.

Uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową, próbując zyskać trochę czasu.

- To kupa bzdur. Hej, chwileczkę... - Uśmiech zgasł, gdy Lonnie udał zaskoczonego i urażonego. - Daj spokój, Luce, chyba nie wierzysz, że ja...

Lucy w końcu odwróciła się do niego. Wciąż nic nie mówiła. Lonnie wskazał mnie palcem.

- Chyba nie wierzysz temu facetowi, co? On jest...

- Kim jestem?

Nie odpowiedział. Lucy tylko na niego patrzyła. Nie odezwała się słowem. Tylko patrzyła na niego, aż zaczął tracić kontenans. W końcu osunął się na krzesło.

- Niech to szlag.

Czekaliśmy. Spuścił głowę.

- Nie rozumiecie.

- No to nam wytłumacz - zachęciłem go. Spojrzał na Lucy.

- Naprawdę wierzysz temu facetowi? - Zapytał.

- O wiele bardziej niż tobie - odparła.

- Nie robiłbym tego. Ten facet to złe wieści, Luce.

- Dzięki za płomienną rekomendację - powiedziałem. - A teraz powiedz, dlaczego wysłałeś Lucy ten tekst?

Zaczął bawić się kolczykiem.

- Nic nie muszę panu mówić.

- Ależ musisz. Jestem prokuratorem okręgowym.

- I co z tego?

- To, Lonnie, że mogę cię aresztować za nękanie.

- Nie może pan. Przede wszystkim nie udowodni pan, że coś wysłałem.

- Właśnie, że udowodnię. Sądziś, że znasz się na komputerach i zapewne tak jest w pewnym ograniczonym zakresie wystarczającym, by robić wrażenie na koleżankach. Natomiast w moim biurze pracują eksperci, którzy są doskonale wyszkolonymi zawodowcami. Już wiemy, że ty wysłałeś te pliki. Mamy dowód.

Zastanowił się, nie wiedząc, czy nadal zaprzeczać, czy spróbować czegoś innego. Wybrał to drugie.

- I co z tego? Nawet jeśli ja je wysłałem, co to za nękanie? Od kiedy jest nielegalne wysyłanie opowiadań profesorom college'u?

Miał rację.

- Dopilnuję, żeby cię zwolniono - powiedziała Lucy.

- Może tak, może nie. A skoro o tym mowa, Luce, to chyba miałabyś więcej do wyjaśnienia niż ja. To ty nakłamałaś w swoim życiorysie. Ty zmieniłaś nazwisko, żeby ukryć swoją przeszłość.

Lonniemu spodobał się ten argument. Wyprostował się, skrzyżował ręce na piersi i zrobił zadowoloną minę. Miałem ochotę rąbnąć go w nos. Lucy wciąż na niego patrzyła. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Wycofałem się na moment, ustępując jej miejsca.

- Myślałam, że jesteście przyjaciółmi - powiedziała.

- Jesteśmy.

- Tak?

Pokręcił głową.

- Nie rozumiesz.

- No to mi wyjaśnij.

Lonnie znów zaczął się bawić kolczykiem.

- Nie przy nim.

- Przy nim, Lonnie.

To tyle, jeśli chodzi o ustępowanie miejsca. Klepnąłem go w ramię.

- Teraz jestem twoim najlepszym kumplem. Wiesz dlaczego?

- Nie.

- Ponieważ jestem wpływowym i wkurzonym funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości. I założę się, że kiedy moi inspektorzy zaczną kopać, coś o tobie wykopią.

- Nie ma mowy.

- Jest - zapewniłem. - Mam ci podać przykład?

Milczał.

Pokazałem mu mojego palmtopa.

- Tu jest rejestr twoich przestępstw. Mam go odczytać?

Cwany uśmiezek znikł.

- Mam tu je wszystkie, przyjacielu. Nawet sprawy, które zostały zamknięte. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że jestem wpływowym i wkurzonym przedstawicielem prawa. Mogę cię załatwić na wiele sposobów. Dlatego skończ z tymi bzdurami i powiedz mi, dlaczego wysłałeś te pliki.

Napotkałem spojrzenie Lucy. Nieznacznie skinęła głową. Może zrozumiała. Przed przyjściem Lonniego omówiliśmy strategię. Gdyby została z nim sam na sam, Lonnie znów stałby się sobą - kłamałby, opowiadał bajeczki, kluczył, kręcił i próbował wykorzystać łączącą ich przyjaźń. Znałem ten typ. Mógł zgrywać luzaka, dobrego kumpla, próbować czarować tym krzywym uśmiechem, ale przyparty do muru, taki facet jak Lonnie zawsze pęka. I przeważnie szybciej wydobędzie się z niego prawdę, przyciskając go, niż próbując odwoływać się do dobrych cech jego charakteru. Teraz spojrzał na Lucy.

- Nie miałem innego wyjścia - wyznał.

Zaczyna szukać wymówek. Dobrze.

- Tak naprawdę, to zrobiłem to dla ciebie, Luce. Chciałem cię chronić. No dobrze, siebie też. Widzisz, nie umieściłem rejestru tych aresztowań w moim podaniu o przyjęcie do Reston. Gdyby uczelnia się o tym dowiedziała, wylaliby mnie. Od razu. Tak mi powiedzieli.

- Kto tak powiedział? - Zapytałem.

- Nie znam nazwisk.

- Lonnie...

- Mówię poważnie. Nie podali mi ich.

- A co powiedzieli?

- Obiecali mi, że to nie wyrządzi krzywdy Lucy. Ona ich nie interesowała. Powiedzieli, że to będzie dla jej dobra, że... - Lonnie teatralnym gestem odwrócił głowę i spojrzał na mnie. - Powiedzieli, że chcą złapać mordercę.

Spróbował przeszyć mnie wzrokiem, co niezupełnie mu się udało. Czekałem, aż krzyknie „oskarżam!”. Kiedy tego nie zrobił, powiedziałem:

- Tylko do twojej wiadomości: w środku cały się trzęsę.

- Oni myślą, że może pan mieć coś wspólnego z tymi morderstwami.

- Cudownie, dziękuję. I co było dalej, Lonnie? Kazali ci podesłać ten tekst, tak?

- Tak.

- Kto go napisał?

- Nie wiem. Pewnie oni.

- Wciąż mówisz „oni”. Ilu ich było?

- Dwóch.

- A jak się nazywali?

- Nie wiem. Słuchajcie, to byli prywatni detektywi, jasne? I tyle. Powiedzieli, że zostali wynajęci przez rodzinę jednej z ofiar.

Rodzinę jednej z ofiar. Kłamstwo. Bezcelne kłamstwo. Byli z MVD, prywatnej firmy detektywistycznej z Newark. Nagle wszystko zaczęło nabierać sensu. Wszystko.

- Wymienili nazwisko tego klienta?

- Nie. Powiedzieli, że to poufne.

- Na pewno. Co jeszcze mówili?

- Powiedzieli mi, że ich firma bada sprawę tych morderstw. I że nie wierzą w oficjalną wersję, obwiniającą o nie Letniego Rzeźnika.

Spojrzałem na Lucy. Powtórzyłem jej moją rozmowę z Wayne'em Steubensem i Geoffem Bedfordem. Rozmawialiśmy o tym przez całą noc - o naszej roli, popełnionych przez nas błędach, aprobowanej dotychczas teorii, że cała czwórka nie żyje i zabił ich Wayne Steubens.

Teraz nie wiedzieliśmy już, co o tym sądzić.

- Jeszcze coś?

- To wszystko.

- Och, daj spokój, Lonnie.

- To wszystko, co wiem, przysięgam.

- Nie, nie sądzę. No wiesz, ci faceci przysłali Lucy tę pracę, żeby sprowokować jakąś reakcję, prawda?

Nie odpowiedział.

- Miałeś ją obserwować. Miałeś opowiedzieć im o wszystkim, co mówiła i robiła. Dlatego przyszedłeś tu pewnego dnia i powiedziałeś, że znalazłeś w sieci te wszystkie informacje o jej przeszłości. Miałeś nadzieję, że ci się zwierzy. To była część twojego zadania, prawda? Miałeś wykorzystać jej zaufanie i jeszcze bardziej wkraść się w jej łaski.

- To nie było tak.

- Ależ było. Czy zaproponowali ci coś ekstra, jeśli wygrzebiez jakieś brudy?

- Ekstra?

- Tak, Lonnie, ekstra. Dodatkowe pieniądze.

- Nie robiłem tego dla pieniędzy.

Pokręciłem głową.

- To zwyczajne kłamstwo.

- Co?

- Nie udawajmy, że zrobiłeś to wszystko z obawy przed zdemaskowaniem czy z altruistycznej chęci zdemaskowania zabójcy. Zapłacili ci, prawda?

Otworzył usta, żeby zaprzeczyć. Zamknąłem mu je, zanim zdążył to zrobić.

- Ci sami inspektorzy, którzy odkryli rejestr twoich przestępstw - powiedziałem - mają dostęp do rejestrów bankowych. Na przykład mogą ustalić, kto, gdzie i kiedy wpłacił pięć tysięcy dolarów. Ty wpłaciłeś je pięć dni temu w banku Chase w West Orange.

Zamknął usta. Muszę oddać sprawiedliwość zdolnościom Muse. Naprawdę jest niewiarygodna.

- Nie zrobiłem niczego nielegalnego - zastrzegł.

- Można by o tym podyskutować, ale nie jestem teraz w odpowiednim nastroju. Kto napisał ten tekst?

- Nie wiem. Dali mi wydruk i kazali przekazywać jej po kilka kartek.

- Czy powiedzieli, skąd mają te informacje?

- Nie.

- I nie domyślasz się?

- Mówili, że mają swoje źródła. Słuchajcie, wiedzieli o mnie wszystko. Wiedzieli wszystko o Lucy. Jednak chcieli dorwać ciebie, koleś. Tylko o to im chodziło. Cokolwiek, co będę mógł im powiedzieć o Paulu Copelandzie - to był ich główny cel. Myśleli, że może jest pan zabójcą.

- Nie, wcale tak nie myśleli, Lonnie. Myśleli, że może jesteś idiotą, który zdoła obrzucić mnie błotem.

Urażony Lonnie usilnie starał się udawać urażonego. Spojrzał na Lucy.

- Naprawdę mi przykro. Nigdy bym cię nie skrzywdził, przecież wiesz.

- Zrób coś dla mnie, Lonnie - powiedziała. - Zejdź mi, do cholery, z oczu.

30

Aleksander „Sosh” Siekierky był sam w swoim apartamencie.

Człowiek przyzwyczajają się do swojego środowiska. Z nim tak było. Robił się wygodny. Zbyt wygodny jak na człowieka, który zaczynał tak jak on. Teraz oczekiwano od niego takiego stylu życia. Zastanawiał się, czy wciąż jest tak silny jak kiedyś, czy mógłby bez zmrużenia oka wejść do tych melin, do ich legowisk i zostawić za sobą pobojowisko. Był pewien, że nie. I to nie wiek go osłabił, a komfort.

Kiedy Sosh był dzieckiem, jego rodzina utknęła w oblężonym przez Niemców Leningradzie. Hitlerowcy otoczyli miasto, przysparzając potwornych cierpień jego mieszkańcom. Sosh skończył pięć lat dwudziestego pierwszego października 1941 roku, miesiąc po rozpoczęciu blokady. Ukończył sześć i siedem, a oblężenie wciąż trwało. W styczniu 1942 roku, kiedy racje żywnościowe ograniczono do ćwierci bochenka chleba na dzień, dwunastoletni brat Sosha Gawryła i jego ośmioletnia siostra Alina umarły z głodu. Sosh przeżył, jedząc bezpańskie zwierzęta, głównie koty. Ludzie słuchają takich opowieści, ale nie są w stanie pojąć ogromu strachu i cierpienia. Jesteś bezsilny. Po prostu je znosisz.

Jednak nawet do tego, nawet do takich okropności można się przyzwyczaić. Tak samo jak komfort, cierpienie może stać się czymś zwyczajnym.

Sosh pamiętał swój przyjazd do USA. Wszędzie można było kupić żywność. Nie było długich kolejek. Nie było pustych półek. Pamiętał, jak kupił sobie kurę. Trzymał ją w zamrażalniku. Nie mógł w to uwierzyć. Kura. Czasem budził się w środku nocy, zlany zimnym potem. Biegł do zamrażalnika, otwierał go, patrzył na tę kurę, i czuł się bezpieczny.

Nadal tak robił.

Większość jego kolegów z Rosji tęskniła za dawnymi czasami. Brakowało im władzy. Niektórzy wrócili do starego kraju, ale większość została. Byli rozgoryczeni. Sosh zatrudniał niektórych, ponieważ im ufał i chciał pomóc. Mieli wspólną przeszłość. A kiedy przychodziły ciężkie chwile i jego dawni przyjaciele z KGB zaczynali się nad sobą użalać, Sosh wiedział, że oni też otwierali swoje zamrażarki i zachwycali się, jak długą przeszli drogę.

Nie myślisz o szczęściu i spełnieniu, kiedy głodujesz.

Dobrze o tym pamiętać.

Żyjesz w niewiarygodnym przepychu i gubisz się. Przejmujesz się takimi bzdurami jak życie wewnętrzne i równowaga ducha, zadowolenie i stosunki międzyludzkie. Nie masz pojęcia, jakie masz szczęście. Nie masz pojęcia, co oznacza głodować, patrzeć, jak zmieniasz się w żywy szkielet, bezradnie siedzieć i przyglądać się, jak ktoś, kogo kochasz, ktoś młody i zdrowy powoli umiera, a jednocześnie jakiś straszliwie pierwotny instynkt niemal każe ci się z tego cieszyć, ponieważ teraz dostaniesz kawałek chleba wystarczający na półtora kęsa, a nie tylko na jeden.

Ci, którzy uważają, że jesteśmy czymś więcej niż zwierzętami, są ślepi. Wszyscy ludzie to dzikusy. Tylko że syci są po prostu leniwi. Nie muszą zabijać, żeby zdobyć pożywienie. Tak więc stroją się i wynajdują sobie tak zwane wyższe cele, żeby dowieść, że są ponad to. Co za bzdura. Dzikusy są po prostu bardziej głodne. To wszystko.

Robisz straszne rzeczy, żeby przetrwać. Każdy, kto uważa, że jest ponad to, żyje złudzeniami.

Jego komputer zgłosił, że otrzymał wiadomość.

Tak to się robi w dzisiejszych czasach. Nie telefonicznie, nie osobiście. Komputery. Poczta elektroniczna. Tak łatwo można porozumieć się w ten sposób, nie dając się wytropić. Zastanawiał się, jak stary sowiecki reżym poradziłby sobie z Internetem. Przecież w znacznej mierze opierał się na kontroli informacji. A jak można kontrolować coś takiego jak Internet? Choć może nie byłoby to aż tak wielkim problemem. W końcu z nieprzyjaciółmi walczoneo, wykorzystując przecieki. Ludzie mówili. Ludzie sprzedawali jedni drugim. Ludzie zdradzali swoich sąsiadów i bliskich. Czasem za kromkę chleba. Czasem za bilet do wolności. Wszystko zależało od tego, jak bardzo byli głodni.

Sosh ponownie przeczytał wiadomość. Była krótka, jasna i Sosh nie wiedział, co z nią zrobić. Mieli numer telefonu. Mieli adres. Jednak raz po raz wracał spojrzeniem do pierwszego zdania. Takie proste stwierdzenie.

Przeczytał je jeszcze raz.

ZNALEŻLIŚMY JĄ.

A teraz zastanawiał się, co powinien z tym zrobić.



Zadzwońem do Muse.

- Możesz mi znaleźć Cingle Shaker?

- Pewnie tak. Po co, co się dzieje?

- Chcę zadać jej kilka pytań o MVD.

- Zaraz jej poszukam.

Rozłączyłem się i odwróciłem do Lucy. Wciąż spoglądała przez okno.

- Wszystko w porządku?

- Ufałam mu.

Już miałem powiedzieć, że mi przykro albo coś równie wyświechtanego, ale postanowiłem zatrzymać to dla siebie.

- Miałaś rację - powiedziała.

- W czym?

- Lonnie Berger był chyba moim najlepszym przyjacielem. Ufałam mu bardziej niż komukolwiek. No, może poza Iraw, który jedną rękę ma już w kaftanie bezpieczeństwa.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

- Przy okazji, jak wyglądam w roli litującej się nad sobą? Bardzo atrakcyjnie, co?

- Prawdę mówiąc, tak.

Odwróciła się od okna i spojrzała na mnie.

- Spróbujemy jeszcze raz, Cope? No wiesz, kiedy już będzie po wszystkim i dowiemy się, co naprawdę stało się z twoją siostrą. Powrócimy do naszego dotychczasowego życia czy spróbujemy i zobaczymy, co będzie?

- Lubię, kiedy owijasz w bawełnę. Lucy się nie uśmiechnęła.

- Taaaak, chcę spróbować - odrzekłem.

- Dobra odpowiedź. Bardzo dobra.

- Dzięki.

- Nie zawsze mam ochotę narażać się na złamanie serca.

- Nie musisz - powiedziałem. - Ja też biorę w tym udział.

- Zatem kto zabił Margot i Douga? - Zapytała.

- Ooo, to była szybka zmiana tematu

- No cóż, im szybciej ustalimy, co się stało... - Wzruszyła ramionami.

- Wiesz co?

- Co?

- Cholernie łatwo pamiętać, dlaczego się w tobie zakochałem.

Lucy odwróciła się.

- Nie będę płakała, nie będę płakała, nie będę płakała...

- Już sam nie wiem, kto ich zabił.

- W porządku. A co z Wayne'em Steubensem? Wciąż sądzisz, że on to zrobił?

- Nie wiem. Natomiast wiemy, że nie zabił Gila Pereza.

- Myślisz, że powiedział ci prawdę?

- *Powiedział mi, że obściskował się z tobą.*

- Fuj!

- I że doszedł tylko do drugiej bazy.

- Jeśli liczy ten raz, kiedy specjalnie wpadł na mnie przy grze w piłkę i zdołał mnie dotknąć, to teoretycznie nie kłamie. Naprawdę tak powiedział?

- Tak. Powiedział też, że sypiał z Margot.

- To pewnie prawda. Wielu facetów ją miało.

- Nie ja.

- To dlatego, że zawłaszczyłam cię, gdy tylko przyjechałeś.

- Zgadza się. Mówił też, że Gil i Margot zerwali ze sobą.

- I co z tego?

- Myślisz, że to prawda? - Spytałem.

- Nie wiem. Wiesz jednak, jak było na obozie. To jak cykl życiowy trwający siedem tygodni. Wciąż tworzyły się pary, potem zrywały ze sobą i łączyły się nowe.

- Racja.

- Jednak?

- Jednak według powszechnie przyjętej teorii obie te pary poszły do lasu, żeby... Hmmm...

Pobaraszkować.

- Tak jak my - dodała.

- Właśnie. A moja siostra i Doug wciąż byli parą. Nie zakochanych ani nic takiego, ale wiesz, o czym mówię. Rzecz w tym, że jeśli Gil i Margot już nie byli ze sobą, to po co wymknęli się do lasu?

- Rozumiem. Tak więc jeśli ona i Gil zerwali, a wiemy, że Gil nie umarł w tych lasach...

Pomyślałem o sugestii Rayi Singh, kobiety, która najwyraźniej znała Gila Pereza, czyli Manola Santiaga, i była z nim blisko związana.

- Może Gil zabił Margot, a Camille i Doug to zobaczyli?

- I dlatego zamknął im usta.

- Właśnie. I miał poważny problem. Zastanów się. Pochodzi z biednej rodziny. Ma brata kryminalistę. Byłby głównym podejrzanym.

- Dlatego upozorował swoją śmierć - podsunęła. Oboje przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Coś przeoczyliśmy - stwierdziła.

- Wiem.

- Jednak chyba jesteśmy blisko rozwiązania.

- Albo bardzo daleko.

- Jedno z dwojga - przyznała Lucy. Ludzie, jak dobrze było z nią być.

- Jest jeszcze coś - powiedziałem.

- Co?

- Ten dziennik. Co w nim było? Jak znalazłaś mnie zakrwawionego i powiedziałem ci, że nikomu nie możemy o tym powiedzieć?

- Nie wiem.

- Zacznijmy od pierwszej części - tej, którą odgadli prawidłowo. Jak wymknęliśmy się z obozu.

- Dobrze.

- Skąd mogli o tym wiedzieć?

- Nie mam pojęcia - odparła.

- Skąd wiedzieli, że mnie prowadziłaś?

- Albo... - Urwała i przełknęła ślinę. - Albo co do ciebie czułam?

Cisza.

Lucy wzruszyła ramionami.

- Może to było oczywiste dla każdego, kto widział, jak na ciebie patrzyłam.

- Ja tu staram się skupić, a nie uśmiechać.

- Nie staraj się za bardzo - poprosiła. - No, to mamy pierwszą część tego tekstu.

Przejdźmy do drugiej.

- To o mnie uwalanym krwią. Jak na to wpadli, do diabła?
 - Nie mam pojęcia. Jednak wiesz, co naprawdę mnie przeraża?
 - Co?
 - To, że wiedzieli, że się rozdzieliliśmy. I że straciliśmy się z oczu.
- Ja również o tym myślałem.
- Kto mógł o tym wiedzieć? - Zastanawiałem się.
 - Ja nigdy nikomu o tym nie mówiłam - odparła.
 - Ja też nie.
 - Widocznie ktoś się domyślił. - Lucy zamilkła i spojrzała w sufit. - Albo...
 - Albo co?
 - Nie mówiłeś nikomu o tym, że się rozdzieliliśmy, prawda?
 - Prawda.
 - I ja też nikomu o tym nie powiedziałam.
 - I co z tego?
 - To, że jest tylko jedno wyjaśnienie.
 - Czyli?

Spojrzała mi w oczy.

- Ktoś nas widział tamtej nocy. Cisza.
- Może Gil - podsunąłem. - Albo Wayne.
- To nasi dwaj podejrzani, mam rację?
- Masz.
- Kto zatem zamordował Gila?

Zaniemówiłem.

- Gil sam się nie zabił i nie przewiózł swojego ciała - ciągnęła. - A Wayne Steubens siedzi w więzieniu o najwyższym rygorze w Wirginii.

Zastanawiałem się nad tym.

- Zatem jeśli zabójcą nie był Wayne ani Gil - powiedziała - to kto jeszcze może nim być?



- Znalazłam ją - oznajmiła Muse, wchodząc do mojego gabinetu.

Cingle Shaker weszła za nią. Wiedziała, jak to robić, ale nie byłem pewien, czy był to z jej strony świadomy akt. W jej energicznych ruchach było coś, co sprawiało wrażenie, że nawet

powietrze pospiesznie ustępuje jej miejsca. Muse nie była wątłym kwiatuszkiem, lecz wyglądała na taki przy Cingle Shaker.

Obie usiadły. Cingle skrzyżowała długie nogi.

- A więc MVD chce się do ciebie dobrać - oznajmiła.

- Na to wygląda.

- I tak jest. Sprawdziłam. Stosują taktykę spalonej ziemi. Nie oszczędzają na kosztach. Nie mają litości. Już zniszczyli męża twojej szwagierki. Posłali kogoś do Rosji. Rozesłali ludzi na ulice. Nie wiem ilu. Ktoś od nich próbował przekupić twojego starego kumpla, Wayne'a Steubensa. Krótko mówiąc, zamierzają dobrać ci się do tyłka.

- Wiadomo, co mają?

- Na razie nie. Tylko to, o czym już wiesz.

Powiedziałem jej o pracy studenckiej. Cingle, słuchając, kiwała głową.

- Robili już takie rzeczy. Na ile dokładny jest ten tekst?

- Niezbyt dokładny. Nigdy nie znalazłem śladów krwi i nie mówiłem, że musimy zachować to w tajemnicy, ani niczego takiego. Jednak wiedzą, co nas łączyło. Wiedzą, że wymknęliśmy się z obozu, w jaki sposób i tak dalej.

- Interesujące.

- Jak mogli zdobyć tę informację?

- Trudno powiedzieć.

- Masz jakieś pomysły?

Rozmyślała przez długą chwilę.

- Jak już powiedziałam, właśnie tak działają. Próbują narobić zamieszania. Nieważne, czy to prawda, czy nie. Czasem trzeba odrobinę zmienić rzeczywistość. Wiesz, co mam na myśli?

- Nie, raczej nie.

- Jak to wyjaśnić... - Cingle zastanowiła się. - Czy wiesz, co kazano mi robić, kiedy rozpoczęłam pracę w MVD?

Pokręciłem głową.

- Łapać niewiernych małżonków. Zdrada to świetny interes. Dla mojej firmy też. W MVD takie sprawy przynosiły czterdzieści procent zysków albo więcej. Oni są w tym najlepsi, chociaż ich metody czasem bywają trochę nieortodoksyjne.

- Czyli?

- To zależy od przypadku, ale pierwszy krok zawsze jest taki sam: rozpracuj klienta. Innymi słowy zorientuj się, czego klient naprawdę chce. Czy poznać prawdę? Czy woli być okłamany? Czy chce się upewnić co do wierności małżonka, czy uzyskać rozwód?

- Nie nadażam. Nie wszyscy chcą poznać prawdę?

- Tak i nie. Po prostu nienawidziłam takich spraw. Nie mam nic przeciwko śledzeniu czy sprawdzaniu - no wiesz, chodzeniu za mężem czy żoną, sprawdzaniu operacji dokonanych za pomocą karty kredytowej, rejestrów rozmów telefonicznych, takich rzeczy. To wszystko jest trochę niesmaczne, ale jakoś to znoszę. To ma sens. Jednak jest też druga strona medalu.

- Jaka?

- Taka, która chce mieć problem. Na przykład niektóre żony chcą, żeby mąż je zdradzał.

Spojrzałam na Muse.

- Chyba się pogubiłam.

- Nie, wcale nie. Mężczyzna powinien być wierny na wieki, prawda? Znam takiego faceta. Rozmawiam z nim przez telefon - zanim jeszcze spotkamy się twarzą w twarz - i mówi mi, że nigdy, przenigdy nie zdradziłby żony, ponieważ bardzo ją kocha, ple, ple, ple. Jednak ten facet to niechlujny brzydal, pracujący jako zastępca kierownika w CVS lub innej takiej firmie, więc myślę sobie: Czy jakaś kobieta próbowałaby takiego uwieść? Prawda?

- Nadal nie nadażam.

- Łatwiej być dobrym i słownym facetem, jeśli się nie ma pokus. Jednak w takich przypadkach MVD zmienia rzeczywistość. Wykorzystując mnie jako przynętę.

- Po co?

- A jak myślisz, po co? Jeśli żona chce przygwoździć męża za zdradę, moim zadaniem jest go uwieść. Tak działa MVD. Kiedy mąż był w barze lub innym takim miejscu, posyłałam mnie jako - tu palcami nakreśliła w powietrzu cudzysłów - test wierności.

- I co?

- Nie chcę się chwalić, ale spójrz. - Cingle rozłożyła rękę. Chociaż miała na sobie luźny sweter, widok naprawdę robił wrażenie. - Jeśli to nie jest nieczyste zagranie, to nie wiem, co nim jest.

- Ponieważ jesteś tak atrakcyjna?

- Yhm.

Wzruszyłam ramionami.

- Jeśli facet jest wierny, atrakcyjność kobiety nie powinna robić żadnej różnicy.

Cingle Shaker skrzywiła się.

- Proszę!

- O co?

- Udajesz niedomyślnego? Sądysz, że trudno by mi było skłonić na przykład tego gościa z CVS, żeby się mną zainteresował?

- Zainteresowanie to jedno. Zdrada to co innego. Cingle spojrzała na Muse.

- On mówi poważnie?

Muse wzruszyła ramionami.

- Ujmę to tak - powiedziała Cingle. - Wykonałam zapewne trzydzieści lub czterdzieści tych tak zwanych prób wierności. Proszę, zgadnij, ilu żonatych mi odmówiło?

- Nie mam pojęcia.

- Dwóch.

- Przyznaję, że to niezbyt imponująca statystyka...

- Chwileczkę, pozwól mi skończyć. Ci dwaj, którzy mi odmówili. Czy wiesz dlaczego?

- Nie.

- Ponieważ się połapali. Zrozumieli, że coś jest nie tak.

Obaj pomyśleli podobnie: Chwila, dlaczego zainteresowała się mną kobieta o takim wyglądzie? Zorientowali się, że to pułapka i dlatego w nią nie wpadli. Czy to czyni ich lepszymi od pozostałych?

- Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ nic nie zrobili.

- Czemu miałyby to mieć znaczenie? Jeden mógł powiedzieć nie, ponieważ obawiał się, że zostanie przyłapany. Czy to czyni go przyzwoitszym od tego, który się nie boi? Może ten, który się nie bał, bardziej kocha swoją żonę. Może jest lepszym, bardziej oddanym mężem. Może ten drugi chciałby zdradzać swoją na prawo i lewo, ale jest tak potulny i nieśmiały, że nie potrafi.

- I co?

- To, że tylko strach - nie miłość, nie przysięga małżeńska, nie przywiązanie - czyni go uczciwym. Zatem który z tych dwóch jest lepszy? Co decyduje, czyny czy chęci?

- Trudne pytanie, Cingle.

- Jakie jest pana zdanie, panie prokuratorze?

- Właśnie. Jestem prokuratorem. Liczą się tylko czyny.

- One nas określają?

- W oczach prawa, tak.

- Zatem facet, który za bardzo się boi, żeby to zrobić, jest czysty?

- Tak. Ponieważ tego nie zrobił. Powód jest nieistotny. Nikt nie twierdzi, że powinien dotrzymać przysięgi jedynie z miłości. Obawa może być równie dobrym powodem.

- Ooo, nie zgadzam się z tym.

- Wolno ci. Jednak do czego to zmierza?

- Do tego: MVD chce wygrzebać jakieś brudy. W dowolny sposób. Jeśli rzeczywista sytuacja ich nie dostarcza - czytaj: jeśli mąż nie zdradza żony - zmienia tę rzeczywistość. Czytaj: ktoś taki jak ja poderwie męża. Teraz rozumiesz?

- Tak sądzę. Nie tylko powinienem uważać na to, co mogłem zrobić kiedyś, ale także na to, co robię, co zdaję się robić i do zrobienia czego mógłbym zostać namówiony.

- Trafiony, zatopiony.

- I nie masz pojęcia, kto dostarczył im tych informacji, które znalazły się w tekście?

- Jeszcze nie. Jednak w końcu zatrudniliście mnie, żebym zajęła się działalnością kontrwywiadowczą. Kto wie, co odkryję? - Wstała. - Mogę pomóc w czymś jeszcze?

- Nie, Cingle, myślę, że to wszystko.

- Super. Przy okazji, mam przy sobie rachunek za sprawę Jenrette-Marantz. Komu mam go dać?

Muse wyciągnęła rękę.

- Ja go wezmę.

Cingle dała go jej i uśmiechnęła się do mnie.

- Z przyjemnością oglądałam cię w sądzie, Cope. Przygwoździłeś tych sukinsynów na dobre.

- Bez ciebie nie zdołałbym.

- Eee. Widziałam paru prokuratorów. Jesteś dobry.

- Dzięki. Jednak coś mnie męczy. Posługując się twoją definicją, czy... Hmmm... Dokonaliśmy jakiejś zmiany rzeczywistości?

- Nie. Kazałeś mi zdobyć prawdziwe informacje. Bez sztuczek. Owszem, wykorzystałam

mój wygląd, aby poznać prawdę. Jednak nie ma w tym niczego złego.

- Nie ma - przyznałem.

- Ufff. Chyba na tym powinniśmy poprzestać. Splotłem dłonie i założyłem je za głowę.

- MVD musi za tobą tęsknić.

- Słyszałam, że mają nową gorącą sztukę. Podobno jest bardzo dobra.

- Na pewno nie tak jak ty.

- Nie bądź taki pewien. No cóż, może spróbuję im ją podkraść. Przydałaby mi się druga gorąca sztuka, a w dodatku o urodzie przemawiającej do nieco innych grup etnicznych.

- Czyli?

- Ja jestem blondynką. Ta nowa dziewczyna MVD jest ciemnoskóra.

- Afroamerykanka?

- Nie.

Nagle doznałem wrażenia, że podłoga zapadła mi się pod nogami, gdy Cingle Shaker dodała:

- Zdaje się, że to Hinduska.

31

Zadzwońnię na komórkę Rayi Singh. Cingle Shaker poszła sobie, ale Muse została.

Raya odebrała po trzecim sygnale.

- Halo?

- Może miałaś rację - powiedziałem do niej.

- Panie Copeland?

Ten akcent był taki sztuczny. Jak mogłem dać się zwieść - a może podświadomie przez cały czas wiedziałem?

- Mów mi Cope - zachęciłem.

- Dobrze... Hmm... Cope - powiedziała ciepłym głosem. Usłyszałem ten kuszący ton. -
W czym może miałam rację?

- Skąd wiem, że nie jesteś tą jedyną. Skąd wiem, że nie uczyniłabyś mnie szaleńczo szczęśliwym.

Muse przewróciła oczami. Potem udała, że wkłada palec do ust i obficie wymiotuje.

Zamierzałem umówić się z nią na wieczór, ale Raya nie chciała o tym słyszeć. Nie naciskałem. Gdybym nalegał, mogłaby nabrać podejrzeń. Umówiliśmy się na rano.

Rozłączyłem się i spojrzałem na Muse. Pokręciła głową.

- Nie zaczynaj.

- Naprawdę użyła takiego zwrotu? „Szaleńczo szczęśliwy”?

- Powiedziałem, nie zaczynaj.

Znów pokręciła głową.

Spojrzałem na zegar. Dwudziesta trzydzieści.

- Lepiej pójde do domu - powiedziałem.

- W porządku.

- A ty, Muse?

- Mam trochę roboty.

- Już późno. Idź do domu.

Zignorowała to.

- Jenrette i Marantz naprawdę bardzo chcą cię załatwić.

- Poradzę sobie z tym.

- Wiem, że tak. Jednak to zdumiewające, do czego potrafią posunąć się rodzice, żeby chronić swoje dzieci.

Już miałem powiedzieć, że to rozumiem, że ja też mam córkę i zrobiłbym wszystko, żeby nie stała jej się krzywda. Jednak zabrzmiałoby to zbyt protekcyjnie.

- Mnie już nic nie dziwi, Muse. Człowiek pracuje tu po całych dniach, widzi, do czego ludzie są zdolni.

- Właśnie o to mi chodziło.

- O co?

- Jenrette i Marantz słyszeli, że zamierzasz ubiegać się o fotel. Uznali, że to twój słaby punkt. Dlatego robią wszystko, co mogą, żeby cię przestraszyć. Sprytnie. Wielu facetów by się ugięło. Ponadto wynik sprawy wcale nie był pewny. Oni myśleli, że zrozumiesz aluzję i się wycofasz.

- No to źle myśleli. I co?

- To, że chyba nie sądzisz, iż po prostu odpuszczą? Myślisz, że będą atakowali tylko ciebie? Nie uważasz, że może być jakiś powód tego, że sędzia Pierce chce cię widzieć jutro rano w swoim gabinecie?



Kiedy wróciłem do domu, czekał na mnie e-mail od Lucy.

Pamiętasz, jak kiedyś polecałiśmy sobie niektóre piosenki? Nie wiem, czy słyszałeś tę, więc załączam. Nie ośmielę się prosić, żebyś myślał o mnie, kiedy będziesz jej słuchał. Jednak mam nadzieję, że będziesz.

Twoja Lucy

Ściągnąłem załączoną piosenkę. Był to stosunkowo mało znany klasyczny utwór Bruce'a Springsteena, zatytułowany *Back In Your Arms*. Siedziałem przy komputerze i słuchałem. Bruce śpiewał o obojętności i żalu, o wszystkim, co odrzucił i stracił, a za czym teraz tęskni, a potem żałośnie błagał, żeby znów wzięła go w ramiona.

Zapłakałem.

Siedząc tak, sam, słuchając tej piosenki, myśląc o Lucy i o tamtej nocy, zapłakałem po raz pierwszy, od kiedy umarła moja żona.

Załadowałem tę piosenkę do mojego iPod'a i zaniósłem do sypialni. Odtworzyłem ją ponownie. I jeszcze raz. I po jakimś czasie w końcu zapadłem w sen.



Następnego ranka Raya czekała na mnie przed bistro Janice w Ho-Ho-Kus, miasteczku na północny wschód od New Jersey. Nikt nie jest pewny, czy pisze się to Hohokus, Ho Ho Kus czy HoHoKus. Niektórzy twierdzą, że ta nazwa pochodzi od indiańskiego słowa użytego przez Lenniego Lenape'a, który kontrolował ten teren do 1698 roku, gdy zaczęli osiedlać się tu Holendrzy. Jednak nie ma żadnego konkretnego dowodu przemawiającego za którąś z tych wersji, co jakoś nie powstrzymuje mieszkańców od spierania się o to.

Raya miała na sobie czarne dzinsy i białą bluzkę rozpiętą pod szyją. Zabójcza. Naprawdę zabójcza. Jej uroda robiła wrażenie, chociaż teraz wiedziałem już, o co jej chodzi. Byłem zły, oszukany, a jednak pociągała mnie i nienawidziłem się za to.

Z drugiej strony, chociaż była młoda i piękna, nie mogłem oprzeć się myśli, że nie dorasta Lucy do pięt. Spodobała mi się ta refleksja. Przytrzymałem się jej. Pomyślałem o Lucy i uśmiechnąłem się kącikiem ust. Mój oddech trochę przyspieszył. Zawsze tak było przy Lucy. Teraz wróciło.

I zrozum tu miłość.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś - powiedziała Raya.

- Ja też.

Musnęła wargami mój policzek. Poczułem subtelny zapach lawendy. Poszliśmy do oddzielonego ściankami stolika na końcu sali. Całą ścianę zajmował namalowany przez córkę właściciela imponujący fresk, przedstawiający naturalnej wielkości klientów. Ich oczy zdawały się podążać za nami. Dostaliśmy ostatni stolik, pod wielkim zegarem. Jadałem w bistro Janice przez ostatnie cztery lata. Nigdy nie widziałem, żeby ten zegar pokazywał właściwy czas. Pewnie to taki żarcik właściciela.

Usiedliśmy. Raya posłała mi swój najlepszy obezwładniający uśmiech. Pomyślałem o Lucy. To wywarło pożądany efekt.

- A zatem - zagailem - jesteś prywatnym detektywem.

Subtelność na nic by się tu nie zdała. Poza tym nie miałem na to czasu ani ochoty.

Mówiłem dalej, zanim zaczęła zaprzeczać:

- Pracujesz dla Most Valuable Detection z Newark w stanie New Jersey. Wcale nie pracujesz w tej hinduskiej restauracji. Powinienem od razu się zorientować, kiedy kobieta za ladą nie wiedziała, kim jesteś.

Jej uśmiech był teraz nieco wymuszony, ale nie przygasł. Wzruszyła ramionami.

- Jak mnie przejrzałeś?

- Powiem ci później. Ile z tego, co mi mówiłaś, było kłamstwem?

- Właściwie niewiele.

- Nadal zamierzasz trzymać się tej bajeczki, że nie wiedziałaś, kim naprawdę był Manolo Santiago?

- To akurat było prawdą. Nie wiedziałam, że to był Gil Perez, dopóki mi nie powiedziałeś. Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

- Jak naprawdę się poznaliście? - Spytałem.

Odchyliła się do tyłu i skrzyżowała ręce na piersi.

- Wiesz, że nie muszę z tobą rozmawiać. W grę wchodzi interes klientów adwokata, który mnie wynajął.

- Gdyby Jenrette wynajął cię za pośrednictwem Morta lub Flaira, mogłabyś tak twierdzić. Jednak tak nie było. Rozpracowujesz mnie. W żaden sposób nie możesz twierdzić, że Gil Perez ma jakiś związek z Jenrette'em czy Marantzem.

Nic nie powiedziała.

- A ponieważ bez skrupułów próbowałaś mnie załatwić, ja bez wahania załatwię ciebie. Myślę, że ci z MVD nie byliby zachwyceni tym, że zostałam zdemaskowana. Nie muszą o tym wiedzieć. Ty pomożesz mnie, ja tobie, remis. Teraz możesz dodać jakiś swój wyświechtany zwrot.

Uśmiechnęła się.

- Poznałam go na ulicy - powiedziała. - Tak jak ci mówiłam.

- Tylko nie przypadkowo.

- Nie, nie przypadkowo. Miałam się do niego zbliżyć.

- Dlaczego?

Przy naszym stole pojawił się John, właściciel bistra. Janice była jego żoną i szefową. Ucisnął mi rękę i zapytał, kim jest ta śliczna dama. Przedstawiłem go. Ucałował jej dłoń.

Zmarszczyłem brwi. Odszedł.

- Twierdził, że ma o tobie jakieś informacje.

- Nie rozumiem. Gil Perez przyszedł do MVD...

- Dla nas był Manolem Santiagiem.

- No dobrze. Manolo Santiago przyszedł do was i oznajmił, że może wam pomóc wygrzebać jakieś moje brudy.

- Brudy to takie mocne słowo, Paul.

- Dla ciebie, prokurator Copeland - powiedziałem. - Takie miałaś zadanie, prawda? Znaleźć coś, co by mnie obciążało? Czym mogliby mnie zmusić, żebym się wycofał? Nie odpowiedziała. Nie musiała.

- I nie możesz bronić się obowiązkiem chronienia interesów klienta, prawda? Dlatego odpowiadasz na moje pytania, Ponieważ Flair nigdy nie pozwoliłby na to swojemu klientowi. Nawet Mort, chociaż to jeden wielki wrzód na dupie, nie jest tak pozbawiony zasad. E.J. Jenrette wynajął was na własną rękę.

- Nie wolno mi o tym rozmawiać. I szczerze mówiąc, nie mogę nic o tym wiedzieć. Pracuję w terenie. Nie rozmawiam z klientami.

Nie interesował mnie podział obowiązków w ich firmie, ale w ten sposób potwierdziła moje przypuszczenia.

- Zatem Manolo Santiago przyszedł do was - ciągnąłem - i powiedział, że ma o mnie jakieś informacje. Co dalej?

- Nie chciał powiedzieć jakie. Był chytry. Chciał pieniędzy i to dużo.

- A ty przekazałaś tę wiadomość Jenrette'owi.

Wzruszyła ramionami.

- I Jenrette był gotów zapłacić. Kontynuujmy od tego miejsca.

- Chcieliśmy dostać jakiś dowód. Manolo zaczął mówić, że musi jeszcze ustalić kilka szczegółów. I tak było. Już go sprawdziliśmy i wiedzieliśmy, że w rzeczywistości nie nazywa się Manolo Santiago. Jednak wiedzieliśmy również, że wpadł na trop czegoś dużego. Nawet wielkiego.

- Czego?

Kelner przyniósł nam napoje. Raya upiła łyk.

- Powiedział nam, że wie, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, gdy czworo dzieciaków

zginęło w lesie. Powiedział, że może udowodnić, że skłamałeś, składając zeznania.

- Jak was znalazł? - Zapytałem.

- Nie rozumiem.

Jednak to już zdążyłem przemyśleć.

- Szukano w Rosji informacji o moich rodzicach.

- To nie ja.

- Wiem, jakiś inny detektyw z MVD. Wiedzieliście również o tych morderstwach, a nawet o tym, że przesłuchiwał mnie szeryf. Dlatego... - Teraz zrozumiałem. - Dlatego przesłuchiwaliście wszystkich zamieszanych w tę sprawę. Wiem, że posłaliście kogoś, aby odwiedził Wayne'a Steubensa. A to oznacza, że poszliście również do Perezów, prawda?

- Nie wiem, ale to ma sens.

- W ten sposób dowiedział się o tym Gil. Odwiedziliście Perezów. Ojciec Gila, jego matka lub ktoś inny powiedział mu o was. Gil dostrzegł okazję zarobku. Przyszedł do was. Nie powiedział wam, kim jest naprawdę. Mimo to miał dość informacji, żeby was zainteresować. Dlatego posłali ciebie, żebyś... Co miałaś zrobić, uwieść go?

- Zbliżyć się do niego. Nie uwieść.

- Jak zwał, tak zwał. I co, połknął haczyk?

- Jak większość mężczyzn.

Pomyślałem o tym, co powiedziała mi Cingle. Nie miałem ochoty znów o tym rozmawiać.

- I co ci powiedział?

- Prawie nic. Widzisz, powiedział nam, że tamtej nocy byłeś z dziewczyną. Jakąś Lucy. To wszystko, co wiedziałam i co ci powiedziałam. Dzień po tym, jak go poznałam, zadzwoniłam do Manola na numer jego telefonu komórkowego. Zgłosił się detektyw York. Resztę znasz.

- Zatem Gil próbował znaleźć dla was jakiś dowód? Żeby zgarnąć swoją kupę forsy?

- Tak.

Zastanowiłem się nad tym. Odwiedził Irę Silversteina. Po co? Co mógł mu powiedzieć Ira?

- Czy Gil mówił coś o mojej siostrze?

- Nie.

- Czy powiedział coś o... No, o Gilu Perezie? Czy o którejś z pozostałych ofiar?

- Nic. Jak już mówiłam, był sprytny. Jednak było jasne, że *wpadł na coś dużego*.

- A potem zginął.

Uśmiechnęła się.

- Możesz sobie wyobrazić, co sobie pomyśleliśmy. Podeszedł do nas kelner. Przyjął zamówienie. Ja wziąłem specjalną sałatkę. Raya cheesburgera, lekko przypieczonego.

- Słucham - powiedziałem.

- Facet mówi, że ma na ciebie jakieś brudy. Chce dostarczyć nam dowód, ale żąda pieniędzy. A potem, zanim zdąży powiedzieć nam, co wie, ginie. - Raya oderwała kawałek chleba i zanurzyła go w oliwie z oliwek. - Co pomyślałbyś na naszym miejscu?

Pominałem oczywistą odpowiedź.

- Zatem kiedy Gila znaleziono martwego, dostałaś inne zadanie.

- Tak.

- Miałaś zbliżyć się do mnie.

- Tak. Myślałam, że pomoże mi w tym opowieść o nędzy w Kalkucie. Wyglądałaś na takiego.

- Jakiego?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu na takiego... Nie wiem... Jednak nie zadzwoniłaś. Dlatego ja zadzwoniłam do ciebie.

- To lokatorskie mieszkanie w Ramsey, to, w którym niby mieszkał Gil...

- Wynajęliśmy je. Próbowałam cię nakłonić do wyznań.

- I rzeczywiście czegoś się dowiedziałaś.

- Tak. Jednak nie mieliśmy pewności, że mówiłaś wszystko i szczerze. Nikt nie wierzył w to, że Manolo Santiago to Gil Perez. Doszliśmy do wniosku, że to jego krewny.

- A ty?

- Ja ci uwierzyłam.

- Powiedziałem ci również, że Lucy była moją dziewczyną.

- Już o tym wiedzieliśmy. A nawet odszukaliśmy ją.

- W jaki sposób?

- Jesteśmy agencją detektywistyczną. Jednak według Santiaga ona również kłamała, zeznając na temat tego, co się wówczas zdarzyło. Dlatego uznaliśmy, że wypytywanie jej nic nie da.

- I zamiast tego podesłaliście jej tę pracę studencką.

- Tak.

- Skąd uzyskaliście informacje?

- Tego nie wiem.

- A Lonnie Berger miał ją szpiegować.

Nie fatygowała się odpowiedzią.

- Jeszcze coś? - Zapytałem.

- Nie - odpowiedziała. - Właściwie to nawet mi ulżyło, kiedy mnie rozszyfrowałeś.

Przedtem to było w porządku, bo myślałam, że jesteś zabójcą. Teraz czuję się po prostu paskudnie.

Wstałem.

- Może zechcę, żebyś zeznawała.

- Nie zrobię tego.

- Taaak - powiedziałem. - Wciąż to słyszę.

Loren Muse sprawdzała rodzinę Perezów.

Od razu zauważyła coś dziwnego. Perezowie byli właścicielami baru, tego, w którym Cope rozmawiał z Jorge Perezem. Muse uznała to za interesujące. Ta rodzina biednych emigrantów teraz posiadała sieć restauracji wartą ponad cztery miliony dolarów. Oczywiście zaczęli przed dwudziestoma laty, mając prawie milion dolarów, więc ta suma nie była szokująca, gdyż wystarczyło umiarkowanie rozsądnie zainwestować te pieniądze.

Zastanawiała się, co to oznacza, jeśli w ogóle coś oznaczało, gdy zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę, po czym przytrzymała ją brodą i ramieniem.

- Muse.

- Hej, słodka, tu Andrew.

Andrew Barrett był jej znajomym w college'u John Jay, facetem od badań laboratoryjnych. Tego ranka miał pojechać na miejsce, gdzie kiedyś znajdował się obóz PLUS i zacząć szukać ciała swoim nowym aparatem.

- Słodka?

- Pracuję z maszynami - powiedział. - Z ludźmi kiepsko mi idzie.

- Widzę. Mamy jakiś problem?

- Hmm, niezupełnie.

W jego głosie słychać było dziwne nutki.

- Dotarliście już na miejsce? - Zapytała.

- Żartujesz? Oczywiście, że tak. Wyruszyłem zaraz po tym, jak dałaś mi zezwolenie.

Jechaliśmy całą noc, przenocowaliśmy w Motelu Sześć i o świcie zaczęliśmy pracę.

- I co?

- To, że byliśmy w tym lesie, no nie? I zaczęliśmy szukać. Mój XRJ - tak się nazywa to urządzenie, XRJ - zachowywał się trochę dziwnie, ale zaraz dobrze go podstroilem. Och i zabrałem ze sobą paru studentów. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Nie mam.

- Tak przypuszczałem. Przecież ich nie znasz. No wiesz, czemu miałybyś protestować? To dobre dzieciaki, wiesz, i strasznie podekscytowane pracą w terenie. Pamiętasz, jak to jest. Prawdziwa robota. Przez całą noc szperali w Internecie, czytając o tym obozie i tej sprawie.

- Andrew...

- Racja, przepraszam. Jak powiedziałem, dobrze sobie radzę z maszynami, a nie z ludźmi. Oczywiście nie uczę maszyn, no nie? Chcę powiedzieć, że moi studenci to ludzie z krwi i kości, ale jednak... - Odkasznął. - W każdym razie pamiętasz, jak powiedziałem, że to nowe urządzenie

- mój XRJ - potrafi zdziałać cuda?

- Tak.

- No cóż, miałem rację.

Muse przełożyła słuchawkę do drugiej ręki.

- Chcesz powiedzieć...

- Mówię ci, żebyś natychmiast tu przyjechała. Koroner już tu jedzie, ale chcę, żebyś sama to zobaczyła.



Zadzwonił telefon detektywa Yorka. Policjant podniósł słuchawkę.

- York.

- Cześć, tu Max z laboratorium.

Max Reynolds był w tej sprawie ich łącznikiem z laboratorium. W ramach nowej organizacji pracy laboratorium. Łącznik. Każde kolejne morderstwo przydzielano tam komuś innemu. York lubił tego chłopaka. Max był bystry i przekazywał tylko suche informacje. Niektórzy z nowych facetów w laboratorium naoglądali się za dużo telewizji i myśleli, że objaśniający wszystko monolog jest obowiązkowy.

- Co jest, Max?

- Mam wyniki badań tych włókien. No wiesz, tych zebranych z ciała Manola Santiaga.

- Świetnie.

Zazwyczaj łącznik po prostu przysyłał raport.

- Coś niezwykłego?

- Tak.

- Co?

- Te włókna są stare.

- Nie wiem, czy nadażam.

- Te badania zwykle dają dość ogólny wynik. Wszystkie fabryki samochodów kupują dywaniki u tych samych producentów. Dopasujesz włókna i masz około pięcioletni przedział czasu, w jakim został wyprodukowany dywanik. Czasem masz więcej szczęścia. Na przykład dany kolor był używany tylko w jednym modelu lub przez jeden rok. Tego rodzaju szczegóły. Wtedy w raporcie masz, jak sam wiesz, samochód z szarą tapicerką, wyprodukowany przez Forda w latach od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć do dwa tysiące cztery. Coś w tym rodzaju.

- Racja.

- Włókna z tego dywanika są stare.

- Może nie pochodzą z samochodu? Może ktoś zawiązał go w stary dywan?

- Z początku też tak sądziliśmy. Jednak sprawdziliśmy dokładnie. To był dywanik samochodowy. Tylko z samochodu mającego ponad trzydzieści lat.

- Ooo.

- Tego rodzaju dywaniki były używane od sześćdziesiątego ósmego do siedemdziesiątego czwartego roku.

- Jeszcze coś?

- Samochód wyprodukowano w Niemczech.

- Mercedes?

- Nic aż tak ekskluzywnego - odparł Max. - Mam zgadywać? Prawdopodobnie volkswagen.



Lucy postanowiła jeszcze raz spróbować porozmawiać z ojcem.

Kiedy do niego przysła, Ira malował. Była z nim siostra Rebecca. Niechętnym spojrzeniem przywitała wchodzącą Lucy. Ojciec stał plecami do drzwi.

- Ira?

Kiedy się odwrócił, o mało nie cofnęła się o krok. Wyglądał strasznie. Twarz bez kropli krwi. Ogolił się tak niestaranie, że na szyi i policzkach zostały kępki włosów. Wiecznie rozczochrane włosy zawsze dodawały mu swoistego uroku. Nie dziś. Teraz wyglądały tak, jakby przez wiele lat żył wśród bezdomnych.

- Jak się czujesz? - Zapytała Lucy.

Siostra Rebecca przeszła ją spojrzeniem typu „a nie mówiłam”.

- Niezbyt dobrze - odpowiedział.

- Nad czym pracujesz?

Lucy podeszła do płótna. Zaparło jej dech, gdy zobaczyła, co na nim jest.

Lasy.

Ten widok przeniósł ją w czasie. Oczywiście, to były te lasy. Wokół starego obozu. Dobrze znała to miejsce. Dokładnie oddał każdy szczegół. Zdumiewające. Wiedziała, że on nie ma już żadnych zdjęć, a poza tym ani jedno nie zostało zrobione pod takim kątem. Ira pamiętał to wszystko. Ten obraz miał wyryty w pamięci.

Obraz przedstawiał nocny krajobraz. Księżyc oświetlał korony drzew.

Lucy spojrzała na ojca. On na nią.

- Chcielibyśmy zostać sami - powiedziała Lucy do pielęgniarki.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Siostra Rebecca myślała, że rozmowa pogorszy jego stan. Wprost przeciwnie. Coś tam tkwiło zamknięte w głowie Iry. Powinni stawić temu czoło, w końcu, po tylu latach.

- Rebecca? - Powiedział Ira.

- Tak, Iro?

- Wyjdź.

Tak po prostu. Jego głos nie był chłodny, ale też nie zachęcał do dyskusji. Rebecca niespiesznie wygładziła sukienkę, westchnęła i wstała.

- Gdybyś mnie potrzebował - powiedziała - wystarczy zawołać. Dobrze, Iro?

Nie odpowiedział. Rebecca wyszła. Nie zamknęła za sobą drzwi.

Dziś w pokoju nie grała muzyka. To trochę zdziwiło Lucy.

- Mam puścić jakąś muzykę? Może coś Hendriksa?

Ira pokręcił głową.

- Nie teraz, nie.

Zamknął oczy. Lucy usiadła przy nim i wzięła jego dłonie w swoje.

- Kocham cię - powiedziała.

- Ja też cię kocham. Najbardziej na świecie. Zawsze. Na wieki.

Lucy czekała. Nie otwierał oczu.

- Wracasz myślami do tamtego lata...

Nadal nie otwierał oczu.

- Kiedy przyszedł do ciebie Manolo Santiago...

Jeszcze mocniej zacisnął powieki.

- Iro?

- Skąd o tym wiesz?

- Skąd co wiem?

- Że mnie odwiedził.

- Był zapisany w rejestrze.

- Jednak... - W końcu otworzył oczy. - To nie wszystko, prawda?

- O co ci chodzi?

- Ciebie też odwiedził?

- Nie.

Wyglądał na zaskoczonego tym faktem. Lucy spróbowała podejść do sprawy inaczej.

- Czy pamiętasz Paula Copelanda? - Zapytała.

Znow zamknął oczy, jakby go to bolało.

- Oczywiście.

- Widziałam go - oznajmiła. Szeroko otworzył oczy.

- Co?

- Odwiedził mnie.

Ira otworzył usta.

- Coś się dzieje, Iro. Coś sprawia, że po tylu latach wszystko powraca. Muszę się dowiedzieć co.

- Nie, nie musisz.

- A jednak. Pomóż mi, dobrze?

- Dlaczego...? - Urwał. - Dlaczego Paul Copeland cię odwiedził?

- Ponieważ chce się dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. - Przechyliła głowę na bok. - Co powiedziałaś Manolowi Santiagowi?

- Nic! - Krzyknął. - Absolutnie nic!

- W porządku, Iro. Jednak słuchaj, muszę wiedzieć...

- Nie, nie musisz.

- Czego nie musisz? Co mu powiedziałaś, Iro?

- Paul Copeland.

- Co?

- Paul Copeland.

- Słyszałam cię, Iro. Co z nim?

Spojrzał na nią prawie przytomnie.

- Chcę się z nim widzieć.

- Dobrze.

- Teraz. Chcę się z nim widzieć teraz.

Z każdą chwilą był coraz bardziej wzburzony. Spróbowała łagodnego tonu głosu:

- Zadzwońię do niego, dobrze? Sprowadzę go...

- Nie!

Odwrócił się i spojrzał na płótno. Łzy stanęły mu w oczach. Wyciągnął rękę do lasów, jakby chciał w nich zniknąć.

- Iro, co się dzieje?

- Sam - rzekł. - Chcę zostać z Paulem Copelandem sam.

- Nie chcesz, żebym też przyszła?

Pokręcił głową, wciąż patrząc na lasy.

- Nie mogę ci tego powiedzieć, Luce. Chciałbym. Jednak nie mogę. Paul Copeland. Powiedz mu, żeby tu przyszedł. Sam. Powiem mu to, co chce wiedzieć. A wtedy może duchy wreszcie zasną.



Po powrocie do biura przeżyłem kolejny szok.

- Jest tu Glenda Perez - oznajmiła Jocelyn Durels.

- Kto?

- To adwokat. Jednak twierdzi, że prędzej ją pan rozpozna jako siostrę Gila Pereza.

Na moment zapomniałem, że miał rodzeństwo. Pomknąłem prosto do poczekalni i natychmiast ją rozpoznałem. Glenda Perez wyglądała tak samo jak na zdjęciach na półce nad kominkiem.

- Pani Perez?

Wstała i niedbale uścisnęła moją dłoń.

- Zakładam, że ma pan czas ze mną porozmawiać.

- Mam.

Glenda Perez nie czekała, aż ją poprowadzę. Z wysoko podniesioną głową pomaszerowała do mojego gabinetu. Poszedłem za nią i zamknąłem drzwi. Nacisnąłbym guzik interkomu i powiedziałbym: „Nie przeszkadzać”, ale odniosłem wrażenie, że Jocelyn zrozumiała mowę naszych ciał.

Machnięciem ręki wskazałem gościowi fotel. Nie skorzystała. Ja usiadłem za biurkiem. Glenda Perez wzięła się pod boki i przeszła mnie gniewnym wzrokiem.

- Niech mi pan powie, panie Copeland, bawi pana groźenie starym ludziom?

- Nie, z początku nie. Jednak kiedy już wejdzie to człowiekowi w nawyk, to i owszem, całkiem niezła zabawa.

Opadły jej ręce.

- Uważa pan, że to śmieszne?

- Czemu pani nie usiądzie, pani Perez?

- Groził pan moim rodzicom?

- Nie. Chwileczkę... Owszem. Pani ojcu. Powiedziałem, że jeśli nie powie mi prawdy, zburzę jego świat i zabiorę się za niego i jego dzieci. Jeśli nazywa to pani groźbą, to tak, groziłem mu.

Uśmiechnąłem się do niej. Oczekiwała zaprzeczeń, przeprosin i wyjaśnień. Nie usłyszała żadnych i to zbiło ją z tropu. Otworzyła usta, zamknęła je, usiadła.

- Zatem - powiedziałem - oszczędźmy sobie udawania. Przed dwudziestoma laty pani brat wyszedł żywy z tych lasów. Muszę wiedzieć, co się wtedy stało.

Glenda Perez miała na sobie szarą garsonkę. I oślepiająco białe pończochy. Założyła nogę na nogę i próbowała udawać odprężoną. Nie udało jej się. Czekałem.

- To nieprawda. Mój brat został zamordowany razem z pańską siostrą.

- A myślałem, że oszczędzimy sobie udawania. Usiadła i postukała palcem o dolną wargę.

- Naprawdę zamierza się pan zabrać za moją rodzinę?

- Mówimy o mojej zamordowanej siostrze. Pani powinna rozumieć to najlepiej.

- Uznam to za potwierdzenie.

- Zdecydowane i gniewne potwierdzenie.

Znów postukała palcem o wargę. Poczekałem jeszcze chwilę.

- A gdybym przedstawiła to hipotetycznie?

Rozłożyłem ręce.

- Zawsze chętnie słucham hipotez.

- Załóżmy - zaczęła Glenda Perez - że ten zabity, ten Manolo Santiago, istotnie był moim bratem. Powtarzam, tylko hipotetycznie.

- No dobrze, załóżmy. I co dalej?

- Jak pan sądzi, co by to oznaczało dla mojej rodziny?

- To, że mnie okłamaliście.

- Nie tylko pana.

Usiadłem wygodniej.

- Kogo jeszcze?

- Wszystkich.

Zaczęła postukiwać palcem o wargę.

- Jak pan wie, wszystkie nasze rodziny wytoczyły sprawę. Wygrały milionowe odszkodowania. Teraz okazałoby się, że to wyłudzenie, prawda? Hipotetycznie mówiąc.

Nic nie powiedziałem.

- Wykorzystaliśmy te pieniądze, żeby rozkręcić interes, zainwestować, opłacić moją edukację i pomóc mojemu choremu bratu. Gdybyśmy nie mieli tych pieniędzy, Tomas byłby martwy lub w przytułku. Rozumie pan?

- Rozumiem.

- I hipotetycznie mówiąc, gdyby Gil żył, a my wiedzielibyśmy o tym, całe nasze oskarżenie opierałoby się na kłamstwie. Groziłaby nam wysoka grzywna i może nawet proces. Co więcej, policja prowadziła dochodzenie w sprawie poczwórnego morderstwa. Robiła to, wychodząc z założenia, że cała czwórka nastolatków zginęła. Gdyby Gil przeżył, moglibyśmy zostać oskarżeni o utrudnianie śledztwa. Rozumie pan?

Popatrzyliśmy na siebie. Teraz ona czekała.

- Jest jeszcze jeden problem wynikający z tej hipotezy - powiedziałem.

- Jaki?

- Cztery osoby weszły do lasu. Jedna wyszła żywa. I ukryła ten fakt. Opierając się na pani hipotezie, należałoby przyjąć, że ta osoba zabiła pozostałe trzy. Postukała w wargę.

- Rozumiem, że mógłby pan wyciągnąć taki wniosek.

- Jednak?

- On tego nie zrobił.

- Mam pani uwierzyć na słowo?

- Czy to ważne?

- Oczywiście.

- Gdyby mój brat ich zabił, to już jest po wszystkim, czyż nie? Przecież nie żyje. Nie może go pan wskrzesić i skazać.

- Tu ma pani rację.

- Dziękuję.

- Czy pani brat zabił moją siostrę?

- Nie, nie zabił.

- A kto?

Glenda Perez wstała.

- Przez długi czas nie wiedziałam. Hipotetycznie, rzecz jasna. Nie wiedziałam, że mój brat żyje.

- A pani rodzice?

- Nie przyszedłam tu rozmawiać o nich.

- Muszę wiedzieć...

- ...Kto zabił pańską siostrę. Zrozumiałam.

- I?

- I zamierzam powiedzieć panu jeszcze jedno. To wszystko. Powiem to panu tylko pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Takim, że to pozostanie hipotezą. Przestanie pan mówić władzom, że Manolo Santiago to mój brat. Obieca pan zostawić moich rodziców w spokoju.

- Tego nie mogę obiecać.

- Zatem ja nie mogę panu powiedzieć, co wiem o pańskiej siostrze.

Cisza. No i tyle. Impas. Glenda Perez wstała, szykując się do wyjścia.

- Jest pani prawnikiem - powiedziałam. - Jeśli się postaram, odbiorą pani prawo wykonywania zawodu...

- Dość gróźb, panie Copeland.

Zamilkłem.

- Wiem coś o tym, co przydarzyło się tamtej nocy pańskiej siostrze. Jeśli chce się pan tego dowiedzieć, zawrze pan tę umowę.

- Uwierzy mi pani na słowo?

- Nie. Przygotowałam ją na piśmie.

- Żartuje pani.

Glenda Perez sięgnęła do kieszeni garsonki i wyjęła papiery. Rozłożyła je. W zasadzie był to list żelazny. Miałem się zobowiązać, że nic nie powiem i niczego nie zrobię, aby ujawnić, że Manolo Santiago w rzeczywistości był Gilem Perezem, zapewniając nietykalność jej rodzicom.

- Wie pani, że taka umowa nie ma mocy prawnej.

Wzruszyła ramionami.

- Niczego lepszego nie zdołałam wymyślić.

- Nie ujawnię tego - rzekłem - jeśli nie będę zmuszony. Nie zamierzam nękać pani ani pani rodziny. Ponadto nie będę już mówił Yorkowi ani nikomu innemu, że moim zdaniem Manolo Santiago to pani brat. Mogę obiecać, że zrobię, co będę mógł. Jednak oboje wiemy, że tylko tyle mogę zrobić.

Glenda Perez zawahała się. Potem złożyła kartki, wepchnęła je z powrotem do kieszeni i ruszyła do drzwi. Położyła dłoń na klamce i odwróciła się do mnie.

- Nadal hipotetycznie?

- Tak.

- Jeśli mój brat wyszedł z tych lasów żywy, to nie sam.

Zmartwiałem. Nie mogłem się ruszyć. Oniemiałem. Próbowałem coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie. Napotkałem spojrzenie Glendy Perez. Popatrzyła mi w oczy. Kiwnęła głową i zobaczyłem, że w oczach ma łzy. Odwróciła się i przekreśliła klamkę.

- Nie pogrywaj sobie ze mną, Glendo.

- Nie robię tego, Paul. Nic więcej nie wiem. Mój brat przeżył tamtą noc. Twoja siostra również.

33

Dzień powoli poddawał się ceniom, gdy Loren Muse dotarła na miejsce dawnego letniego obozu.

Tablica głosiła, że to zespół mieszkalny Lake Charmaine. Muse wiedziała, że to ogromny teren, rozciągający się aż za rzekę Delaware, oddzielającą New Jersey i Pensylwanię. Jezioro i apartamentowce znajdowały się w Pensylwanii. Większość lasów w New Jersey.

Muse nienawidziła lasu. Lubiła sport, ale nienawidziła wielkich otwartych przestrzeni. Nienawidziła owadów, łowienia ryb, brodzenia w strumieniach, długich wędrówek, znajdowania zabytkowych przedmiotów, kurzu, składów handlowych, przynęt, prosiąt w nagrodę, festynów i wszystkiego, co uważała za „wiejskie”.

Zatrzymała samochód przy budyneczku ochroniarza i pokazała odznakę, spodziewając się, że szlaban pójdzie w górę. Ochroniarz, jeden z tych napakowanych ciężarowców, wziął jej odznakę i złapał za słuchawkę.

- Hej, spieszy mi się.

- Nie wyskakuj z majtek.

- Nie... Co? Zapieniła się.

W oddali widziała miganie kogutów. Domyśliła się zaparkowanych tam radiowozów. Pewnie każdy gliniarz w promieniu siedemdziesięciu kilometrów chciał sobie popatrzeć.

Ochroniarz odłożył słuchawkę. Usiadł w swojej budce. Nie wrócił do jej samochodu.

- Hej, ty! - Zawołała Muse.

Nie zareagował.

- Hej, koleś, do ciebie mówię.

Odwrócił się do niej powoli. Niech to szlag, pomyślała. Nie tylko samiec, ale w dodatku młody. Na tym polegał problem. Starszy wiekiem ochroniarz to zazwyczaj jakiś pełen dobrych chęci, znudzony emeryt. Kobieta ochroniarz? Często matka szukająca dodatkowego zarobku. A mężczyzna w pełni sił? Siedmiu na dziesięciu to najgorszy z tępaków, niedoszły gliniarz. Z jakiegoś powodu nieprzyjęty do policji. Bez obrazy dla organów ścigania, ale jeśli facet chce

zostać gliniarzem i nie może, to często jest po temu jakiś powód i lepiej nie mieć z takim do czynienia.

Czy jest lepszy sposób na podbudowanie swojego rozdętego ego, jak kazać czekać głównemu inspektorowi - w dodatku kobiecie?

- Proszę pana?! - Zawołała nieco uprzejmie.

- Jeszcze nie może pani wjechać.

- Dlaczego?

- Musi pani poczekać.

- Na co?

- Na szeryfa Lowella.

- Szeryfa Lobo?

- Lowella. Powiedział, że nikomu nie wolno wjechać bez jego zezwolenia.

Ochroniarz naprawdę podciągnął przy tym spodnie.

- Jestem głównym inspektorem dochodzeniowym Essex County - powiedziała Muse.

Prychnął.

- Czy to wygląda na Essex County?

- W środku są moi ludzie. Muszę się tam dostać.

- Hej, nie wyskakuj z majtek.

- Dobry.

- Co?

- Ten greps z wyskakiwaniem z majtek. Rzuciłeś nim już dwa razy. Naprawdę bardzo, bardzo śmieszny. Mogę go kiedyś użyć, no wiesz, kiedy rzeczywiście będę chciała kogoś zdołować. Powiem, że to twój tekst.

Podniósł gazetę, ignorując ją. Zaczęła się zastanawiać, czy nie staranować szlabanu.

- Masz broń? - Zapytała ochroniarza. Odłożył gazetę.

- Co?

- Broń. Masz jakąś? No wiesz, żeby zrekompensować inne braki.

- Zamknij się, do cholery.

- Bo ja mam broń, wiesz. Powiem ci coś. Otworzysz szlaban, to pozwolę ci jej dotknąć.

Nic nie powiedział. Do licha z dyplomacją. Może powinna go po prostu zastrzelić.

Ochroniarz przeszywał ją gniewnym wzrokiem. Wolną ręką podrapała się po policzku,

znacząco pokazując mu mały palec. Sądząc po tym, jak na nią spojrział, aluzja była boleśnie trafna.

- Drzesz ze mnie łacha?

- Hej - powiedziała Muse, kładąc obie ręce na kierownicy - nie wyskakuj z majtek.

Wiedziała, że to głupie, ale - do diabła - sprawiło jej satysfakcję. Adrenalina zaczęła działać. Muse chciała jak najszybciej dowiedzieć się, co znalazł Andrew Barrett. Sądząc po liczbie migających kogutów, musiało to być coś dużego.

Na przykład ciało.

Minęły dwie minuty. Muse już miała wyjąć broń i zmusić tępaka do podniesienia szlabanu, gdy zauważyła maszerującego ku niej mundurowego. Miał szerokoskrzydły kapelusz i odznakę szeryfa. Naszywka na piersi głosiła „LOWELL”.

- W czym mogę pomóc, panienko?

- Panienko? Czy powiedział panu, kim jestem?

- Uhm, nie, przepraszam, powiedział tylko...

- Jestem Loren Muse, główny inspektor dochodzeniowy Essex County. - Muse pokazała palcem na wartownię. - Ten pan Małejaja ma moją odznakę.

- Hej, jak mnie nazwałaś?

Szeryf Lowell westchnął i wytarł nos w chustkę. Nos miał bulwiasty i dość okazały. Tak jak rysy twarzy - wyglądającej, jakby ktoś wyrzeźbił jego karykaturę i zostawił ją, by nadtopiła się w słońcu. Machnął na ochroniarza ręką, w której trzymał chustkę.

- Wyluzuj, Sandy.

- Sandy - powtórzyła Muse. Spojrzała na wartownię. - Czy to nie dziewczęce imię?

Szeryf Lowell zmierzył ją spojrzeniem. Zapewne pełnym dezaprobaty. Nie mogła mieć mu tego za złe.

- Sandy, daj mi odznakę tej damy.

Majtki, potem panienska, a teraz dama. Muse bardzo się starała nie wpaść w furję. Oto była tu, niecałe dwie godziny jazdy od Newark i Nowego Jorku, a równie dobrze mogłaby być w jakimś cholernym Mayberry.

Sandy oddał Lowellowi jej odznakę. Lowell głośno wytarł sobie nos. Skórę miał tak obwisłą, że Muse niemal obawiała się, że zedrze sobie przy tym część naskórka. Obejrzał odznakę, westchnął i powiedział:

- Powinieneś powiedzieć mi, kim ona jest, Sandy.

- Przecież mówił pan, że nikt nie może wjechać bez pańskiego zezwolenia.

- I gdybyś powiedział mi przez telefon, kim ona jest, dałbym je...

- Ale...

- Słuchajcie, chłopcy - przerwała im Muse - zróbcie coś dla mnie. Podyskutujcie sobie o waszych obyczajach na następnym wiejskim zebraniu, dobrze? Ja muszę się tam dostać.

- Zaparkuję pani na prawo - rzekł zupełnie niewzruszony Lowell. - Musimy tam podejść. Zaprowadzę panią.

Skinął głową Sandy'emu. Ten nacisnął guzik i szlaban się podniósł. Przejeżdżając, Muse ponownie podrapała się po policzku, pokazując mu mały palec. Sandy zapienił się bezsilnie, co uznała za najzupełniej naturalne.

Zaparkowała. Lowell dołączył do niej. Miał dwie latarki i dał jej jedną. Cierpliwość Muse zaczynała się kończyć. Wyrwała mu latarkę z ręki.

- No dobrze, a teraz dokąd?

- Umie pani być miła dla ludzi - stwierdził.

- Dzięki, szeryfie.

- Na prawo. Chodźmy.

Muse miała mieszkanie z ogródkiem w ohydny budynku nieudolnie pozującym na wiktoriański, więc nie powinna krytykować, ale nawet dla jej niewprawnego oka ten zespół mieszkalny wyglądał dokładnie tak samo jak każdy inny, z tym jednym wyjątkiem, że tu architekt zamierzał stworzyć coś niby rustykalnego i kompletnie spała robotę. Aluminiowe fasady udawały chaty z bali, co wyglądało gorzej niż zabawnie w przypadku trzypoziomowych apartamentowców. Lowell skręcił z brukowanej drogi na żwirową.

- Sandy pewnie powiedział, żeby nie wyskakiwała pani z majtek? - Zapytał.

- Tak.

- Proszę się nie obrażać. Każdemu tak mówi. Nawet facetom.

- Musi być duszą towarzystwa waszego kółka łowieckiego.

Muse naliczyła siedem radiowozów i trzy pojazdy takiego czy innego pogotowia. Wszystkie miały włączone koguty. Nie miała pojęcia po co. Mieszkańcy, mieszanina starych i młodych małżeństw, zgromadzili się, zwabieni niepotrzebnie migającymi światłami i nie wiadomo po co patrzyli w półmrok.

- Jak daleko trzeba iść? - Zapytała.

- Może pół mili. Czy po drodze mam panią oprowadzić?

- Po czym?

- Po starym miejscu zbrodni. Będziemy mijali miejsce, gdzie przed dwudziestoma laty znaleziono jedno ciało.

- Brał pan udział w tym śledztwie?

- Marginalny - odparł.

- Czyli?

- Marginalny. Dotyczący stosunkowo mało ważnych lub zupełnie nieistotnych aspektów.

Pobocznych albo marginesowych. Marginalny.

Muse spojrzała na niego.

Lowell być może się uśmiechał, lecz trudno to było dostrzec w fałdach obwisłej skóry.

- Nieźle jak na tępaka z wiejskiego kółka łowieckiego?

- Jestem olśniona - powiedziała Muse.

- Mogłaby pani być dla mnie odrobinę miłsza.

- A to dlaczego?

- Po pierwsze, przysłała pani ludzi na poszukiwanie zwłok w moim okręgu, nie informując mnie o tym. Po drugie, to moje miejsce zbrodni. Pani jest tu gościem, wpuszczonym z uprzejmości.

- Chyba nie zamierza się pan ze mną spierać o jurysdykcję, co?

- Nie - rzekł. - Jednak lubię udawać twardziela. Jak mi wyszło?

- Eee. Zatem możemy kontynuować wycieczkę?

- Jasne.

Ścieżka tak zwięzała się, że praktycznie znikła. Wspinali się na głązy i obchodzili drzewa.

Muse zawsze była zwinna jak ryś. Podobało jej się to. A jej buty - na pohybel Flakowi Hickory'emu - doskonale to znosiły.

- Tutaj - powiedział Lowell.

Słońce jeszcze nie całkiem skryło się za horyzontem. Muse widziała profil Lowella. Zdjął kapelusz i znów kichnął w chustkę.

- Tu znaleziono dzieciaka Billinghamów. Doug Billingham.

Na dźwięk tych słów las jakby zamarł, a wiatr zaczął szumieć starą piosenkę. Muse

spojrzała pod nogi. Dzieciak. Billingham miał siedemnaście lat. Znalaziono go z siedmioma ranami kłutymi, zadanymi głównie, gdy próbował się bronić. Walczył z napastnikiem. Spojrzała na Lowella. Miał spuszczoną głowę i zamknięte oczy.

Muse przypomniała sobie jeszcze coś - coś, co było w aktach. Lowell. To nazwisko.

- Marginalny, akurat - prychnęła. - Kierował pan tym śledztwem.

Lowell nie odpowiedział.

- Nie rozumiem. Dlaczego mi pan nie powiedział?

Wzruszył ramionami.

- A dlaczego pani mi nie powiedziała, że ponownie otworzyliście śledztwo?

- Właściwie nie otworzyliśmy. Chcę powiedzieć, że jeszcze nie mamy niczego konkretnego.

- Zatem wasi chłopcy strzelali na oślep - stwierdził. - To był ślepy traf?

Muse nie podobał się kierunek tej rozmowy.

- Jak daleko stąd do miejsca, gdzie znaleziono Margot Green? - Zapytała.

- Pół mili na południe.

- Margot Green znaleziono pierwszą, zgadza się?

- Tak. Widzi pani, skąd przyszliśmy? Te budynki? Tam był kiedyś obóz dziewcząt. No, wie pani. Ich chaty. Chłopcy mieli swoje na południu. Dziewczynę Greenów znaleziono w pobliżu.

- Ile minęło czasu od jej znalezienia do chwili zlokalizowania ciała Billinghama?

- Trzydzieści sześć godzin.

- Sporo.

- Duży teren do przeszukania.

- Mimo wszystko. Zostawiono je na widoku?

- Nie, leżało w płytkim grobie. Zapewne dlatego przeoczono je podczas pierwszych poszukiwań. Wie pani, jak to jest. Wszyscy słyszą o zaginionych dzieciach i chcą być dobrymi obywatelami, więc przychodzą pomóc nam w poszukiwaniach. Przeszli tuż obok niego. Nie zauważyli grobu. Muse spoglądała na ziemię. Miejsce niczym nie różniło się od otoczenia. Jedyne krzyżem, takim jak te prowizoryczne, stawiane przy drogach w miejscach wypadków samochodowych. Ten był stary i mocno przechylony. Nie było zdjęcia Billinghama. Żadnych pamiątek, kwiatów czy pluszowych misiów. Tylko sfatygowany krzyż. Sam w tych lasach. Muse

o mało nie zadrżała.

- Zabójcą był - o czym zapewne pani wie - niejaki Wayne Steubens. Opiekun, jak się okazało. Jest wiele teorii co do tego, co wydarzyło się tamtej nocy, ale wszystkie zgodnie przyjmują, że Steubens najpierw zajął się dwójką zaginionych, czyli Perezem i dziewczyną Copelandów. Zakopał ich. Zaczął kopać grób dla Douga Billingham, kiedy znaleziono Margot Green. Wtedy uciekł. Według spryciarzy z Quantico zakopywanie ciał było dla niego częścią zabawy. Wie pani, że Steubens zakopał wszystkie swoje ofiary? Te w innych stanach?

- Tak, wiem.

- I wie pani, że dwie z nich jeszcze żyły, kiedy je zakopywał?

O tym też wiedziała.

- Czy przesłuchiwał pan Wayne'a Steubensa? - Zapytała.

- Rozmawialiśmy ze wszystkimi na tym obozie. Powiedział to powoli, ostrożnie. W głowie Muse zadźwięczał dzwonek alarmowy. Lowell mówił dalej:

- I tak, na widok Steubensa przechodziły mnie ciarki - a przynajmniej teraz tak mi się zdaje. Może jednak tylko to sobie wmawiam. Sam już nie wiem. Nie było żadnych dowodów łączących go z tymi morderstwami. W ogóle nie było dowodów. Ponadto Steubens był bogaty. Jego rodzina zatrudniła adwokata. Jak łatwo sobie wyobrazić, obóz natychmiast się zakończył. Wszystkie dzieciaki wróciły do domów. Steubens został wysłany za ocean na następny semestr. Zdaje się, że do jakiejś szkoły w Szwajcarii.

Muse wciąż nie odrywała oczu od krzyża.

- Gotowa iść dalej?

Kiwnęła głową. Znów poszli.

- Od jak dawna jest pani głównym inspektorem? - Zapytał Lowell.

- Od kilku miesięcy.

- A przedtem?

- Trzy lata w wydziale zabójstw. Znów wytarł nos.

- Człowiek nigdy się nie przyzwyczaja, prawda? Uznała pytanie za retoryczne, więc nie odpowiedziała i szła dalej.

- Nie chodzi o gniew - mówił. - A nawet nie o martwych. Ich już nie ma i nic nie można na to poradzić. Chodzi o to, co zostaje - o echo. Te lasy, przez które pani idzie. Niektórzy starzy mieszkańcy myślą, że słychać tu echa. Kiedy się nad tym zastanowić, ma to sens. Ten dzieciak

Billinghamów... Jestem pewien, że krzyczał. Krzyczy, krzyk odbija się echem, przelatuje tam i z powrotem. Powoli cichnie, ale nigdy do końca. Jakby jakaś jego część wciąż wołała, jeszcze teraz. Morderstwo odbija się takim echem.

Muse szła z opuszczoną głową, patrzyła pod nogi na kamienistym terenie.

- Spotkała pani kogoś z rodzin ofiar?

Zastanowiła się.

- Jednym z nich jest mój szef.

- Paul Copeland - powiedział Lowell.

- Pamięta go pan?

- Jak już powiedziałem, przesłuchiwałem wszystkich z tego obozu.

Dzwonek alarmowy znów się rozdzwonił.

- To on zlecił pani tę sprawę? - Spytał Lowell.

Nie odpowiedziała.

- Morderstwo jest takie niesprawiedliwe - ciągnął. - Bóg miał swój plan i ustanowił naturalny porządek, a ktoś postanowił go zakłócić. Jeśli rozwiąże pani tę sprawę, to oczywiście pomoże go utrzymać. Jednak to tak jak z pomiętym kawałkiem aluminiowej folii. Znajdując zabójcę, rozprostowałaby pani tę folię, ale nie zdołałaby przywrócić jej pierwotnego kształtu.

- Folia aluminiowa?

Lowell wzruszył ramionami.

- Niezły z pana filozof, szeryfie.

- Niech pani czasem spojrzy w oczy swojego szefa. Cokolwiek zdarzyło się wówczas w tych lasach, wciąż tam jest. Wciąż odbija się echem, prawda?

- Nie wiem - odparła Muse.

- A ja nie wiem, czy powinna pani tu być.

- A to dlaczego?

- Ponieważ tamtej nocy przesłuchiwałem pani szefa.

Muse przystanęła.

- Chce pan powiedzieć, że zachodzi tu konflikt interesów?

- Chcę powiedzieć dokładnie to, co mówię.

- Paul Copeland był podejrzany?

- Ta sprawa wciąż jest otwarta. I nadal, pomimo pani obecności, jest to moja sprawa.

Dlatego nie odpowiem na to pytanie. Jednak coś pani powiem: on skłamał, składając zeznanie.

- Był młodym wychowawcą i miał dyżur. Nie wiedział, że to może mieć tak poważne konsekwencje.

- To żadne usprawiedliwienie.

- Przecież okazało się, że jest czysty.

Lowell nie odpowiedział.

- Czytałam akta. Zaspał i nie zrobił tego, co powinien robić na dyżurze. Mówi pan o skutkach. Co z poczuciem winy, które musi go męczyć? Na pewno brakuje mu siostry. Sądzę jednak, że bardziej doskwiera mu poczucie winy.

- Interesujące.

- Co?

- Mówi pani o jego poczuciu winy. Z jakiego powodu?

Szła dalej.

- To dziwne, nie uważa pani?

- Co? - Spytała Muse.

- To, że tamtej nocy opuścił swoje stanowisko. No, wie pani, zastanówmy się. Jest obowiązkowym chłopcem. Wszyscy tak mówili. I nagle, akurat tej nocy, kiedy te dzieciaki wymykają się z obozu, tej nocy, kiedy Wayne Steubens postanawia popełnić poczwórne morderstwo, Paul Copeland zaniedbuje swoje obowiązki.

Muse milczała.

- To, moja młoda koleżanko, zawsze wydawało mi się piekielnie dziwnym zbiegiem okoliczności. - Lowell uśmiechnął się i odwrócił. - Chodźmy. Robi się ciemno, a pani chce zobaczyć to, co znalazł pani przyjaciel Barrett.



Kiedy Glenda Perez wyszła, nie rozplakałam się, ale niewiele brakowało.

Siedziałem w moim gabinecie sam, oszołomiony, nie wiedząc, co myśleć i co właściwie czuję. Drżałem. Spojrzałem na swoje dłonie. Wyraźnie się trzęsły. Zrobiłem to wszystko, co robisz, kiedy podejrzewasz, że śnisz. Uszczypnąłem się i w ogóle. Nie śniłem. To działo się naprawdę.

Camille żyje.

Moja siostra wyszła żywa z tych lasów. Tak jak Gil Perez.

Zadzwoiłem na komórkę Lucy.

- Cześć - rzuciła.

- Nie uwierzysz, co właśnie powiedziała mi siostra Gila Pereza.

- Co?

Powtórzyłem jej. Gdy doszedłem do tego, że Camille wyszła żywa z lasów, Lucy westchnęła głośno.

- Wierysz jej? - Zapytała.

- W to o Camille?

- Tak.

- Dlaczego miałyby tak mówić, gdyby to nie była prawda?

Lucy nie odpowiedziała.

- No co? Myślisz, że kłamała? Jaki miałyby motyw?

- Nie wiem, Paul. Jednak brakuje nam tylu faktów.

- Rozumiem cię. Zastanów się jednak. Glenda Perez nie miała powodu, żeby mnie w tej sprawie okłamywać.

Milczenie.

- No co, Lucy?

- To po prostu dziwne, tylko tyle. Jeśli twoja siostra żyje, to gdzie się podziewała, do diabła?

- Nie wiem.

- I co zamierzasz teraz zrobić?

Zastanowiłem się nad tym, próbując ochłonać. Dobre pytanie. Co dalej? Od czego zacząć?

- Jeszcze raz porozmawiałam z ojcem - oznajmiła Lucy.

- I co?

- On pamięta coś związanego z tamtą nocą.

- Co?

- Nie chciał mi powiedzieć. Uparł się, że powie tylko tobie.

- Mnie?

- Tak. Ira powiedział, że chce się z tobą zobaczyć.

- Teraz?

- Jeśli chcesz.

- Chcę. Mam cię zabrać?

Zawahąła się.

- O co chodzi?

- Ira mówił, że chce zobaczyć się z tobą sam. Nie będzie rozmawiał przy mnie.

- W porządku.

Znów się zastanowiła.

- Paul?

- Co?

- Mimo wszystko zabierz mnie. Zaczekam w samochodzie.



Detektywi wydziału zabójstw, York i Dillon, siedzieli w pomieszczeniu technicznym, jedząc pizzę. Pomieszczenie techniczne właściwie było salką konferencyjną, do której w razie potrzeby wtaczano stoliki z telewizorami, magnetowidami i tym podobnym sprzętem.

Wszedł Max Reynolds.

- Jak leci, chłopcy?

- Ta pizza jest okropna - rzekł Dillon.

- Przykro mi.

- Rany boskie, przecież jesteśmy w Nowym Jorku. Wielkie Jabłko. Bastion pizzy. A to smakuje jak coś z woreczka na psie odchody.

Reynolds włączył telewizor.

- Przykro mi, że kuchnia tego lokalu nie spełnia twoich oczekiwań.

- Czy ja przesadzam? - Dillon zwrócił się do Yorka. - Pytam poważnie, czy to smakuje jak rzygi menela, czy coś jest nie tak z moim smakiem?

- To twój trzeci kawałek - przypomniał York.

- I zapewne ostatni. Choćby po to, żeby pokazać, że mówię serio.

York odwrócił się do Maksa Reynoldsa.

- Co masz dla nas?

- Myślę, że znalazłem naszego faceta. A przynajmniej jego samochód.

Dillon oderwał zębami następny kęs.

- Mniej gadania, więcej faktów.

- Dwie przecznice od miejsca, gdzie znaleźliście ciało, jest nocny sklep - zaczął Reynolds.

- Właściciel ma kłopoty ze złodziejami kradnącymi towar wystawiony na zewnątrz. Dlatego zainstalował kamerę.

- Koreańczyk? - Zapytał Dillon.

- Przepraszam?

- Właściciel tego sklepu. To Koreańczyk, prawda?

- Nie wiem. Co to ma do rzeczy?

- Stawiam dychę, że to Koreańczyk. Zainstalował kamerę, ponieważ jakiś dupek ukradł mu pomarańczę. Potem zacznie wykrzykiwać, że płaci podatki, więc ktoś powinien coś z tym zrobić, podczas gdy zapewne zatrudnia w swoim sklepie dziesięciu nielegalnych emigrantów. Uważa, że policja powinna przejrzeć jego parszywe, ziarniste filmy, żeby znaleźć złodzieja owocu.

Zamilkł. York spojrział na Maksa Reynoldsa.

- Mów dalej.

- No cóż, tak, właśnie, kamera pokazuje fragment ulicy. Zaczęliśmy szukać samochodów mających ponad trzydzieści lat i spójrzcie, co znaleźliśmy.

Reynolds miał już ustawioną kasetę. Po ekranie przejechał stary volkswagen garbus. Reynolds zatrzymał film.

- To ten samochód? - Zapytał York.

- Volkswagen garbus z siedemdziesiątego pierwszego roku. Jeden z naszych ekspertów rozpoznał rocznik po przednim zawieszaniu i klapie bagażnika. Co więcej, do tego modelu samochodu pasują włókna z dywanika, które znaleźliśmy na ubraniu pana Santiaga.

- Niech mnie szlag - mruknął Dillon.

- Możecie odczytać numer rejestracyjny? - Zapytał York.

- Nie. Mamy tylko boczne ujęcie. Nie widać na nim nawet fragmentu tablicy.

- Ile takich starych żółtych volkswagenów garbusów może jeszcze jeździć po drogach? -

Powiedział York. - Zaczniemy od wydziału komunikacji w Nowym Jorku, a potem w New Jersey i Connecticut.

Dillon kiwnął głową i nadal zawzięcie żuł.

- Powinniśmy na coś trafić - wymamrotał z pełnymi ustami. York znów odwrócił się do Reynoldsa.

- Jeszcze coś?

- Dillon miał rację, jakość taśm nie jest rewelacyjna. Jednak jeśli powiększy się to ujęcie...

- Nacisnął guzik, powiększając obraz. - Mamy częściowy obraz tego faceta.

Dillon zmrużył oczy.

- Wygląda jak Jerry Garcia albo ktoś taki.

- Długie siwe włosy, długa siwa broda - przytaknął Reynolds.

- To tyle?

- Tyle?

- Zaczniemy sprawdzać rejestry samochodów - powiedział York do Dillona. - Taki samochód łatwo będzie znaleźć.

34

Oskarżenie rzucone przez szeryfa Lowella odbijało się echem w ciszy lasu.

Lowell, niegłupi gość, uważał, że Paul Copeland skłamał w sprawie tych morderstw.

Czy tak było? Czy miało to jakieś znaczenie?

Muse zastanawiała się nad tym. Lubiła Cope'a, bez dwóch zdań. Był świetnym szefem i cholernie dobrym prokuratorem. Teraz jednak słowa Lowella sprowadziły ją na ziemię. Przypomniały jej o tym, o czym już wiedziała. To sprawa zabójstwa. Jak każda inna. Nie można ignorować dowodów, nawet jeśli wskazują na jej szefa.

Żadnych wyjątków.

Kilka minut później usłyszała szelest w krzakach i zobaczyła Andrew Barretta. Chudy i wysoki Barrett wyglądał jak postać z kubistycznego obrazu, ze swoimi długimi kończynami, sterczącymi łokciami oraz niezgrabnymi, gwałtownymi ruchami. Ciągnął za sobą coś, co przypominało dziecinny wózek, a zapewne było urządzeniem XJR. Muse zawołała go. Barrett podniósł głowę, wyraźnie niezadowolony z tego, że ktoś mu przeszkadza. Ale kiedy zobaczył kto to, rozpromienił się.

- Cześć, Muse!

- Cześć, Andrew.

- Hej, fajnie cię widzieć.

- Yhm - mruknęła. - Co robisz?

- Jak to, co robię? - Wyłączył urządzenie. Za nim truchtała trójka młodych ludzi w bluzach z godłem uczelni, zapewne studentów. - Szukam grobów.

- Myślałam, że coś znalazłeś.

- Znalazłem. O tam, sto metrów dalej. Jednak słyszałem, że brakuje dwóch ciał, więc pomyślałem sobie, że nie ma co spoczywać na laurach, no wiesz...

Muse przełknęła ślinę.

- Znalazłeś jakieś ciało?

Twarz Barretta płonęła zapalem zwykle zarezerwowanym na konferencje naukowe.

- Muse, ta maszyna! O rany, jest zdumiewająca. Oczywiście mieliśmy trochę szczęścia. Na tym obszarze nie było deszczu od... No nie wiem, od jak dawna, szeryfie?

- Od dwóch, może trzech tygodni - rzekł Lowell.

- Widzisz, to pomaga. Bardzo. Sucha ziemia. Wiesz coś o tym, w jaki sposób działa takie urządzenie radarowe? To jest ustawione na 800 megaherców, co pozwala mi zejść tylko na półtora metra - ale jakie półtora metra! Przeważnie szuka się zbyt głęboko. A przecież niewielu zabójców kopie głębiej niż metr, półtora. Drugi problem to ten, że obecnie maszyny mają problemy z rozróżnianiem podobnych przedmiotów. Na przykład rur czy długich korzeni od tego, czego szukamy, czyli kości. XJR nie tylko pokazuje wyraźniejsze przekroje poprzeczne gruntu, ale ta nowa stereoskopowa przystawka...

- Barrett? - Powiedziała Muse.

Poprawił okulary.

- Co?

- Czy ja wyglądam na kogoś, kogo choć odrobinę obchodzi, jak działa ta twoja zabawka?

Ponownie poprawił okulary.

- Hmm...

- Dla mnie ważne jest tylko to, że działa. Zatem bądź tak dobry i powiedz mi, co znaleźliście, zanim kogoś zastrzele.

- Kości, Muse - rzekł z uśmiechem. - Znaleźliśmy kości.

- Ludzkie, prawda?

- Zdecydowanie. Prawdę mówiąc, najpierw znaleźliśmy czaszkę. Wtedy przestaliśmy kopać. Teraz zajęli się tym fachowcy.

- Jaki jest ich wiek?

- Kości?

- Nie, Barrett, tych dębów. Oczywiście, że kości.

- Skąd mam wiedzieć, do diabła? Może koroner coś powie. Jest już na miejscu.

Muse wyminęła go i pospiesznie ruszyła naprzód. Lowell za nią. Przed sobą zobaczyła porozstawiane reflektory, niemal jak na planie filmu. Wiedziała, że wiele ekip używa silnego oświetlenia nawet przy wykopywaniu zwłok przy dziennym świetle. Jak wyjaśnił jej kiedyś jeden technik, silne światło pomaga odróżnić śmieci od złota. „Bez jasnego światła to jak oceniać urodę dziewczyny po pijaku w ciemnym barze. Wydaje ci się, że znalazłeś skarb, a rano masz ochotę

odgryźć sobie rękę".

Lowell wskazał atrakcyjną kobietę w gumowych rękawiczkach. Nie mogła mieć jeszcze trzydziestu lat i Muse myślała, że to studentka. Długie, kruczoczarne włosy miała idealnie gładko ściągnięte w koński ogon, niczym tancerka flamenco.

- To doktor O'Neill - powiedział Lowell.

- Jest waszym koronerem?

- Tak. Wie pani, że tutaj wybiera się koronera?

- Ma pan na myśli kampanię wyborczą i takie rzeczy? Na przykład: „Cześć, jestem doktor O'Neill i naprawdę dobrze sobie radzę z trupami”?

- Rzuciłbym jakąś zabawną uwagę - rzekł Lowell - ale wy, cwaniaki z miasta, jesteście zbyt sprytni dla nas, wsioków.

Gdy Muse podeszła bliżej, zobaczyła, że słowo „atrakcyjna” było co najmniej niedopowiedzeniem. Tara O'Neill była zjawiskowa. Muse zauważyła, że jej uroda wywiera spore wrażenie na wszystkich obecnych. Koroner nie prowadzi dochodzenia. Miejsce zbrodni należy do policji. Tu jednak wszyscy spoglądali na O'Neill. Muse podeszła do niej.

- Jestem Loren Muse, główny inspektor dochodzeniowy Essex County.

Tamta podała jej dłoń w rękawiczkach.

- Tara O'Neill, koroner.

- Co może mi pani powiedzieć o tych zwłokach?

O'Neill czujnie zerknęła na szeryfa, ale Lowell skinął głową, że wszystko w porządku.

- To pani przysłała tu pana Barretta? - Zapytała O'Neill.

- Tak.

- Interesujący gość.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

- Ta jego maszyna naprawdę działa. Nie wiem, jak, u licha, on znalazł te kości. Jest dobry.

Zapewne pomogło to, że najpierw natrafili na czaszkę.

O'Neill zamrugła i odwróciła głowę.

- W czym problem? - Spytała Muse.

Koroner potrząsnęła głową.

- Wychowałam się tutaj. Bawiłam się tu, dokładnie w tym miejscu. Można by sądzić... Nie wiem, można by sądzić, że człowieka przejdzie dreszcz albo coś. Jednak nie, nic.

Muse postukała stopą o ziemię.

- Miałam dziesięć lat, kiedy znikli ci obozowicze. Przychodziłam tutaj z przyjaciółmi, wie pani? Paliliśmy ogniska. Wymyślaliśmy historie o tym, że ci dwoje, których nigdy nie odnaleziono, wciąż tu są, obserwują nas, że są zombie albo czymś takim i zamierzają nas zabić. Takie głupoty. Tylko po to, żeby chłopak okrył cię swoją kurtką i przytulił.

Tara O'Neill uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Doktor O'Neill?

- Tak?

- Proszę mi powiedzieć, co tu znaleziono.

- Jeszcze nad tym pracujemy, ale z tego, co widziałam, mamy tu prawie kompletny szkielet. Znaleziono go trzy stopy pod ziemią. Muszę przewieźć kości do laboratorium, żeby dokonać identyfikacji.

- A co może mi pani powiedzieć teraz?

- Proszę za mną.

Zaprowadziła Muse na drugą stronę wykopu. Kości były opatrzone karteczkami i ułożone na niebieskim brezencie.

- Nie było ubrania? - Zapytała Muse.

- Nie.

- Rozpadło się czy ciało zakopano nagie?

- Nie mam pewności. Ponieważ jednak nie ma monet, biżuterii, guzików, zamków błyskawicznych, a nawet obuwia, które zazwyczaj bardzo długo może przetrwać w ziemi, podejrzewam, że ciało zakopano nagie.

Muse spoglądała na zbrązowiałą czaszkę.

- Przyczyna śmierci?

- Za wcześnie, by coś powiedzieć. Jednak to i owo już wiemy.

- Na przykład?

- Kości są w bardzo złym stanie. Nie były zakopane głęboko i leżały tu przez jakiś czas.

- Jak długo?

- Trudno powiedzieć. W ubiegłym roku byłam na seminarium poświęconym pobieraniu próbek gleby z miejsc zbrodni. Po sposobie ułożenia ziemi można wywnioskować, kiedy wykopano dół. Aczkolwiek jedynie szacunkowo.

- Jeszcze coś? Choćby domysły?

- Kości leżały tu jakiś czas. Moim zdaniem co najmniej piętnaście lat. Krótko mówiąc - i uprzedzając pani pytanie - czas zgadzałyby się z czasem tamtych morderstw sprzed lat.

Muse przełknęła ślinę i zadała pytanie, które chciała zadać od samego początku:

- Czy może pani określić płeć? Może pani stwierdzić, czy to kości kobiety, czy mężczyzny?

- Hej, doktorze? - Przerwał im basowy głos.

Głos należał do jednego z techników pracujących w laboratorium kryminalistyki i noszącego obowiązkową kamizelkę z informującym o tym napisem. Facet był postawny, z imponującą brodą i jeszcze bardziej imponującym brzuchem. W ręku trzymał łopatkę i sapał z wysiłku, co świadczyło o braku formy.

- Co jest, Terry? - Zapytała O'Neill.

- Chyba mamy już wszystko.

- Chcecie się spakować?

- Myślę, że na dzisiaj tak. Może przyjedziemy tu jutro i sprawdzimy, czy nie ma jeszcze czegoś. Teraz jednak chcielibyśmy przewieźć kości, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dajcie mi jeszcze dwie minuty - poprosiła O'Neill.

Terry skinął głową i zostawił je same. Tara O'Neill nie odrywała oczu od kości.

- Czy pani wie coś o ludzkim szkielecie, pani inspektor Muse?

- Trochę.

- Bez dokładnych badań bardzo trudno odróżnić szkielet kobiety od szkieletu mężczyzny.

Między innymi opieramy się na rozmiarach i gęstości kości. Oczywiście, męskie są przeważnie cięższe i większe. Czasem pomaga nam wzrost ofiary - mężczyźni są zwykle wyżsi. Często jednak te cechy nic nam nie mówią.

- Chce pani powiedzieć, że nie wiecie?

O'Neill uśmiechnęła się.

- Nic podobnego. Pozwoli pani, że pokażę.

Tara O'Neill przykucnęła. Muse również. O'Neill trzymała w ręku małą latarkę, jedną z tych rzucających wąski, lecz silny strumień światła.

- Jak powiedziałam, to bardzo trudne, ale nie niemożliwe. Proszę spojrzeć.

Oświetliła czaszkę.

- Czy pani wie, na co patrzeć?

- Nie - odparła Muse.

- Po pierwsze, kości są nieco cieńsze. Po drugie, proszę spojrzeć na tę część, gdzie znajdowały się brwi.

- Patrzę.

- Fachowo nazywa się to wałem nadoczodołowym. U mężczyzn jest wyraźniej uwydatniony. Kobiety mają gładsze czoła. Wprawdzie ta czaszka jest w kiepskim stanie, ale widać, że nie ma wydatnego wału nadoczodołowego. Jednak kluczem do tego, co chce pani wiedzieć, jest miednica, a konkretnie jej jama.

Przesunęła strumień światła.

- Widzi ją pani?

- Tak, chyba tak. I co?

- Jest dość szeroka.

- A to oznacza?

Tara O'Neill zgasła latarkę.

- To oznacza - powiedziała, prostując się - że pani ofiara była biała, miała metr sześćdziesiąt dwa wzrostu - nawiasem mówiąc, tyle samo co Camille Copeland - i była kobietą.



- Nie uwierzysz - powiedział Dillon.

York podniósł głowę.

- W co?

- Komputer odnalazł mi tego volkswagena. W trzech stanach jest tylko czternaście takich, które pasują do opisu. Jednak to jeszcze nie wszystko. Jeden z nich jest zarejestrowany na niejakiego Iry Silversteina. Czy to ci coś mówi?

- Czy to nie ten facet, który prowadził obóz?

- Właśnie.

- Chcesz mi powiedzieć, że Copeland miał jednak rację?

- Mam adres miejsca pobytu Iry Silversteina - dodał Dillon. - To jakiś dom opieki.

- No to na co czekamy? - Rzekł York. - Ruszmy tyłki.

35

Kiedy Lucy wsiadła do samochodu, wcisnąłem przycisk odtwarzacza płyt kompaktowych. Rozległy się dźwięki *Back In Your Arms* Bruce'a. Uśmiechnęła się.

- Już wypaliłeś?

- Tak.

- Podoba ci się?

- Bardzo. Dodałem kilka innych. Bootlegowe wydanie jednego z solowych koncertów Springsteena. *Drive All Night*.

- Zawsze przy niej płaczę.

- Płaczesz przy każdej piosence - przypomniałem.

- Nie przy *Super Freak* Ricka Jamesa.

- Kajam się.

- I nie przy *Promiscuous*. Przy tej nie płaczę.

- Nawet kiedy Nelly śpiewa *Czy godna MVP jest twa gra, tak jak ta Steve'a Nasha?*

- Boże, jak ty mnie dobrze znasz!

Uśmiechnąłem się.

- Wydajesz się dość spokojny jak na faceta, który właśnie się dowiedział, że jego siostra być może żyje.

- Partycjonowanie.

- Słucham?

- Tak sobie radzę. Umieszczam różne sprawy w osobnych pudełkach. Żeby nie zwariować. Po prostu na razie wetknąłem to gdzie indziej.

- Partycjonowanie - powtórzyła Lucy.

- Właśnie.

- My, psychologowie, mamy na to inne określenie - powiedziała Lucy. - Nazywamy to negacją rzeczywistości.

- Nazywaj to, jak chcesz. Mamy przełom, Luce. Znajdziemy Camille. Żywą i zdrową.

- My, psychologowie, na to też mamy inne określenie. Nazywamy to myśleniem życzeniowym albo urojeniami.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

- Co twój ojciec mógł sobie przypomnieć? - Zapytałem.

- Nie wiem. Wiemy jednak, że odwiedził go Gil Perez. Podejrzewam, że ta wizyta przypomniła o czymś Irze. Nie wiem, co to jest. Może nic. On nie jest zdrowy. Może to być coś, co sobie wyobraził, a nawet wymyślił.

Zaparkowaliśmy na placu w pobliżu volkswagena garbusa Iry. Dziwnie było patrzeć na ten stary samochód. Jego widok powinien budzić wspomnienia. Ira wciąż jeździł nim po obozie. Wychylał głowę przez okno, z uśmiechem rozwożąc różne rzeczy. Pozwalał obozowiczom dekorować garbusa jak na paradę. Jednak teraz widok starego volkswagena nie przywołał żadnych wspomnień.

Moje partycjonowanie zaczynało zawodzić.

Ponieważ miałem nadzieję.

Miałem nadzieję, że odnajdę siostrę. Miałem nadzieję, że po raz pierwszy od śmierci Jane naprawdę coś mnie łączy z kobietą, że poczuję, jak moje serce bije przy innym sercu.

Próbowałem się ostrzec. Przypominałem sobie, że nadzieja jest najokrutniejszą z kochanek i potrafi zmiążyć ci serce niczym styropianowy kubek. Jednak teraz nie chciałem się w to wgłębiać. Chciałem tej nadziei. Chciałem uczeplić się jej i choć na chwilę zrzucić ciężar z serca.

Popatrzyłem na Lucy. Uśmiechnęła się i jakby ktoś rozerwał mi pierś. Od tak dawna tego nie czułem, tego nagłego oszołomienia. Potem zrobiłem coś, co mnie samego zaskoczyło. Wyciągnąłem ręce i przyciągnąłem jej twarz do mojej twarzy. Przestała się uśmiechać. Szukała wzrokiem moich oczu. Uniosłem jej twarz i pocałowałem tak delikatnie, że prawie boleśnie. Poczulem drżenie. Usłyszałem jej jęk. Odwzajemniła mój pocałunek.

Poczulem się bezgranicznie szczęśliwy.

Lucy oparła głowę na mojej piersi. Usłyszałem jej cichy szloch. Pozwoliłem jej płakać. Gładziłem jej włosy i walczyłem z burzą uczuć. Nie wiem, jak długo tak siedzieliśmy. Może pięć minut, może piętnaście. Po prostu nie wiem.

- Lepiej tam wejdź - powiedziała wreszcie.

- Zamierzasz tu zostać?

- Ira wyraził się jasno. Tylko ty. Może uruchomię jego samochód i upewnię się, że akumulator się nie rozładował.

Nie pocałowałem jej ponownie. Wsiadłem i pomaszerowałem ścieżką. Dom stał w spokojnym, zielonym otoczeniu. Sama rezydencja była z cegły, chyba w stylu wiktoriańskim, niemal idealnie prostokątna z białymi kolumnami na frontonie. Przypominała mi ekskluzywny akademik.

W recepcji siedziała kobieta. Podałem jej moje nazwisko. Poprosiła mnie, żebym się wpisał. Zrobiłem to. Zadzwoiła i szepnęła coś do telefonu. Czekałem, słuchając czegoś w rodzaju utworu Neila Sedaki w aranżacji Muzaka, co trochę przypominało utwór Muzaka w aranżacji Muzaka.

Podeszła do mnie rudowłosa kobieta w cywilnym ubraniu. Miała spódniczkę i okulary na łańcuszku. Wyglądała jak pielęgniarka starająca się nie wyglądać na pielęgniarkę.

- Jestem Rebecca - powiedziała.

- Paul Copeland.

- Zaprowadzę pana do pana Silversteina.

- Dziękuję.

Spodziewałem się, że poprowadzi mnie w głąb korytarza, ale przeszliśmy na tył i od razu na zewnątrz. Ogród był dobrze utrzymany. Lampy ogrodowe paliły się, chociaż było na to trochę za wcześnie. Gęste żywopłoty otaczały cały teren niczym stado psów.

Od razu zauważyłem Irę Silversteina.

Zmienił się, a zarazem wcale się nie zmienił. Znacie takich ludzi. Robią się starsi, siwi, otyli, obwiśli, a jednak pozostają dokładnie tacy sami. Tak było z Irą.

- Ira?

Na obozie nie używaliśmy nazwisk. Do dorosłych mówiliśmy „ciociu” lub „wujku”, ale jakoś nie mogłem już nazywać go wujem Irą.

Nosił poncho, które ostatnio widziałem na filmie dokumentalnym o Woodstock. Na nogach miał sandały. Wstał powoli i wyciągnął do mnie ręce. Na obozie też tak było. Wszyscy się ściskali. Wszyscy się kochali. Wszystko bardzo *Kumbaya*. Wpadłem w jego ramiona. Uściskał mnie mocno, z całej siły. Poczułem jego brodę na moim policzku.

Puścił mnie.

- Zostaw nas samych - powiedział do pielęgniarki.

Odwróciła się i odeszła. Zaprowadził mnie do parkowej ławki z cementu i drewna. Usiedliśmy.

- Nic się nie zmieniłeś, Cope - rzekł. Pamiętał moje przezwisko.

- Ty też.

- Można by pomyśleć, że te trudne lata pozostawią więcej śladów na naszych twarzach, co?

- Pewnie tak, Iro.

- I co teraz robisz?

- Jestem prokuratorem okręgowym.

- Naprawdę?

- Tak.

Zmarszczył brwi.

- Zatem pracujesz w państwowej instytucji.

Cały Ira.

- Nie ścigam uczestników manifestacji antywojennych - zapewniłem go - tylko morderców i gwałcicieli. Takich ludzi.

Zmrużył oczy.

- Dlatego tu jesteś?

- Słucham?

- Usiłujesz znaleźć morderców i gwałcicieli?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc popłynąłem z prądem.

- Chyba w pewnym sensie. Próbuję się dowiedzieć, co zdarzyło się tamtej nocy w lasach.

Ira zamknął oczy.

- Lucy powiedziała, że chcesz się ze mną widzieć.

- Tak.

- Dlaczego?

- Chcę wiedzieć, po co wróciłeś.

- Nigdy nie odchodziłem.

- Złamałeś Lucy serce, wiesz.

- Pisałem do niej. Dzwoniłem. Nie chciała mnie znać.

- Mimo wszystko cierpiała.

- Nigdy nie chciałem, żeby cierpiała.
- Zatem dlaczego wróciłeś?
- Chcę wiedzieć, co się stało z moją siostrą.
- Została zamordowana. Tak jak inni.
- Nie, nie została.

Nic nie powiedział. Postanowiłem trochę go przycisnąć.

- Wiesz o tym, Iro. Przecież był tu Gil Perez, prawda?

Ira oblizał wargi.

- Wyschnięty.
- Co?

- Jestem wyschnięty. Kiedyś miałem znajomego z Cairns. To w Australii. Najfajniejszy facet, jakiego znałem. On zwykł mówić: „Człowiek to nie wielbłąd, koleś”. W ten sposób dopominał się o drinka. - Uśmiechnął się.

- Nie sądzę, żebyś tutaj mógł dostać jakiegoś drinka, Iro.

- Och, wiem. Poza tym nigdy nie przepadałem za gorzałą. Bardziej odpowiadały mi środki, które dziś nazywają „miękkimi narkotykami”. Jednak mówię o wodzie. W tej chłodziarce jest kilka butelek Poland Spring. Czy wiesz, że Poland Spring płynie do was prosto z Maine?

Roześmiał się, a ja nie poprawiałem błędnego cytatu z tej starej reklamy radiowej. Wstał i powlókł się do chłodziarki. Poszedłem za nim. Chłodziarka była w kształcie kufra z emblematem nowojorskich Rangersów. Podniósł wieko, wziął butelkę, dał mi ją i wyjął następną. Odkręcił korek i pociągnął łyk. Woda popłynęła mu po brodzie, zmieniając białą brodę w ciemnoszarą.

- Ach - szepnął, gdy skończył pić. Spróbowałem naprowadzić go z powrotem na temat.
- Powiedziałeś Lucy, że chcesz się ze mną widzieć.
- Tak.
- Dlaczego?
- Ponieważ tu jesteś.

Czekałem, aż powie coś więcej.

- Jestem tutaj - powiedziałem powoli - ponieważ chciałeś się ze mną widzieć.
- Nie chodzi o tutaj, ale tu, w naszym życiu.
- Mówiłem ci, próbuję się dowiedzieć...

- Dlaczego teraz?

Znów to pytanie.

- Ponieważ Gil Perez nie zginął tamtej nocy. Wrócił.

Odwiedził cię, prawda?

Oczy Iry przybrały nieobecny wyraz. Zaczął odchodzić. Dogoniłem go.

- Czy on był tutaj, Iro?

- Nie używał tego nazwiska.

Nie przystawał. Zauważyłem, że utyka. Krzywił się z bólu.

- Nic ci nie jest? - Zapytałem.

- Muszę się przejść.

- Dokąd?

- Są ścieżki. W lasach. Chodź.

- Iro, nie przyszedłem tu...

- Powiedział, że nazywa się Manolo jakiś tam. Jednak wiedziałem, kim jest. Mały Gilly

Perez. Pamiętasz go? No wiesz, z tamtych czasów?

- Tak.

Ira pokręcił głową.

- Miły chłopiec. Jednak tak łatwo dawał sobą manipulować.

- Czego chciał?

- Nie powiedział mi, kim jest. Nie od razu. Nie wyglądał tak samo, ale było coś w jego zachowaniu, wiesz? Można ukryć różne szczegóły. Przybrać na wadze. Jednak Gil wciąż lekko seplenił. I nadal tak samo się poruszał. Jakby był wiecznie zmęczony. Wiesz, o czym mówię?

- Wiem.

Myślałem, że dziedziniec jest ogrodzony, ale nie był. Ira prześlizgnął się przez dziurę w żywopłocie. Poszedłem za nim. Przed nami było porośnięte lasem wzgórze. Ira zwawo ruszył ścieżką.

- Wolno ci opuszczać ośrodek?

- Oczywiście. Jestem tu dobrowolnie. Mogę wychodzić i wracać, kiedy chcę.

Szedł dalej.

- Co powiedział ci Gil? - Zapytałem.

- Chciał wiedzieć, co się stało tamtej nocy.

- On tego nie wiedział?
- Trochę wiedział. Chciał się dowiedzieć więcej.
- Nie rozumiem.
- Nie musisz.
- Owszem, Iro, muszę.
- Już po wszystkim. Wayne siedzi w więzieniu.
- Wayne nie zabił Gila Pereza.
- Myślałem, że zabił.

Nie rozumiałem tego. Szedł coraz szybciej, utykając i krzywiąc się z bólu. Chciałem go powstrzymać, ale bałem się, że przestanie mówić.

- Czy Gil wspomniał o mojej siostrze?

Przystanął na moment. Uśmiechnął się smutno.

- Camille.
- Tak.
- Biedaczka.
- Wspomniał o niej?
- Kochałem twojego ojca, wiesz. Taki miły człowiek, a tak skrzywdzony przez życie.
- Czy Gil powiedział, co się stało z moją siostrą?
- Biedna Camille.
- Tak. Camille. Czy mówił coś o niej?

Ira znów zaczął piąć się po zboczu.

- Tyle krwi tamtej nocy.
 - Proszę, Iro, chcę, żebyś się skupił. Czy Gil powiedział coś o Camille?
 - Nie.
 - No to czego chciał?
 - Tego samego co ty.
 - Czyli czego?
- Odwrócił się.
- Odpowiedzi.
 - Na jakie pytania?
 - Te same. Co się stało tamtej nocy. Nie rozumiał, Cope. Już po wszystkim. Oni nie żyją.

Zabójca siedzi w więzieniu. Trzeba pozostawić umarłych w spokoju.

- Gil nie był zmarłym.

- Do tamtego dnia, dopóki do mnie nie przyszedł, był. Rozumiesz?

- Nie.

- Już po wszystkim. Zmarli odeszli. Żywi są bezpieczni. Wyciągnąłem rękę i złapałem go za ramię.

- Iro, co ci powiedział Gil Perez?

- Nie rozumiesz.

Przystanęliśmy. Ira spoglądał w dół zbocza. Powiodłem wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem. Stąd widziałem tylko dach budynku. Byliśmy w gęstym lesie. Obaj ciężko dyszeliśmy. Ira był blady.

- To musi pozostać tam, gdzie jest.

- Co?

- Tak powiedziałem Gilowi. Już po wszystkim. Wszystko się zmieniło. To było tak dawno. On był martwy. A potem nie był. Jednak powinien być.

- Iro, posłuchaj mnie. Co powiedział ci Gil?

- Nie zostawisz tego w spokoju, prawda?

- Nie - powiedziałem. - Nie zostawię.

Ira kiwnął głową. Miał smutną minę. Sięgnął pod poncho, wyjął broń, wycelował we mnie i bez słowa strzelił.

36

- No i mamy tu problem.

Szeryf Lowell wytarł nos w chustkę wielkości cyrkowego namiotu. Jego biuro było nowocześniejsze, niż Muse oczekiwała, ale jej oczekiwania nie były szczególnie wygórowane. Budynek był nowy, wnętrza nowoczesne i czyste, podzielone na przegrody z monitorami komputerowymi. Mnóstwo bieli i szarości.

- Co mamy - odparła Muse - to zwłoki.

- Nie o tym mówię. - Pokazał kubek, który trzymał w ręce. - Jak kawa?

- Prawdę mówiąc, nadzwyczajna.

- Kiedyś była ohydna. Jedni chłopcy parzyli za mocną, inni za słabą. Za długo stała na piecu. Aż wreszcie w zeszłym roku jeden z zacnych obywateli naszej społeczności przekazał nam w darze zaparzakę do kawy. A wy używacie takich zaparzarek?

- Szeryfie?

- Tak?

- Czy próbuje mnie pan urzec swoim przaśnym, staroświeckim czarem?

Uśmiechnął się.

- Trochę.

- Niech mnie pan uważa za urzeczoną. Na czym polega ten nasz problem?

- Właśnie znaleźliśmy kości, które niewątpliwie bardzo długo leżały w tych lasach. Znamy trzy fakty: należą do kobiety, białej, metr sześćdziesiąt dwa. To wszystko, co wiemy. Już sprawdziłem rejestry. Nie ma w nich żadnych adnotacji o żadnej odpowiadającej temu rysopisowi kobiecie, zaginionej w promieniu siedemdziesięciu kilometrów.

- Oboje wiemy, kim ona jest - powiedziała Muse.

- Nie, jeszcze nie wiemy.

- Myśli pan, że jakaś inna dziewczyna z tego obozu została zamordowana i pochowana obok tych dwóch ciał?

- Tego nie powiedziałem.

- Zatem co pan powiedział?

- To, że jeszcze nie zidentyfikowano tych kości. Doktor O'Neill jeszcze nad tym pracuje. Zażądaliśmy zdjęć dentystycznych Camille Copeland. Za dzień lub dwa będziemy mieli pewność. Nie ma pośpiechu. Mamy inne sprawy.

- Nie ma pośpiechu?

- Tak powiedziałem.

- Chyba nie nadążam.

- Widzi pani, w tym momencie muszę sobie zadać pytanie, pani inspektor Muse, co jest dla pani ważniejsze? Czy przyjechała tu pani jako funkcjonariuszka wymiaru sprawiedliwości, czy współpracownica polityka?

- Co ma pan na myśli, do diabła?

- Jest pani głównym inspektorem w biurze prokuratora okręgowego. Chciałbym wierzyć, że osoba na tym stanowisku, szczególnie dama w pani wieku, zdobyła je dzięki swoim zdolnościom i umiejętnościom. Jednak nie od dziś chodzę po tym świecie. Słyszałem o łapownictwie, nepotyzmie i wazeliniarstwie. Dlatego pytam...

- Zasłużyłam na nie.

- Jestem tego pewien.

Muse pokręciła głową.

- Nie do wiary, że muszę się przed panem tłumaczyć.

- Niestety, moja droga, musisz. Ponieważ gdyby to była pani sprawa, a ja wetknąłbym w nią nos i wiedziałaby pani, że zaraz pognam do domu i opowiem o wszystkim mojemu szefowi - komuś, kto był co najmniej w to zamieszany - co by pani zrobiła?

- Myśli pan, że próbowałabym zamieść śmieci pod dywan?

Lowell wzruszył ramionami.

- Inaczej: gdybym na przykład był zastępcą szeryfa zatrudnionym przez szefa zamieszanego w to morderstwo, co by pani pomyślała?

Muse usiadła.

- No dobrze - powiedziała. - Co mogę zrobić, żeby pana uspokoić?

- Może pani dać mi trochę czasu na zidentyfikowanie ciała.

- Nie chce pan, żeby Copeland się dowiedział, co tu znaleźliśmy?

- Czekał dwadzieścia lat. Chyba może poczekać jeszcze dzień czy dwa?

Muse zrozumiała, do czego to zmierza.

- Chcę poprowadzić to śledztwo jak należy - zapewniła - ale nie podoba mi się okłamywanie człowieka, którego darzę zaufaniem i szacunkiem.

- Życie jest ciężkie, pani inspektor.

Zmarszczyła brwi.

- I chcę jeszcze czegoś - ciągnął Lowell. - Musi mi pani powiedzieć, dlaczego ten cały Barrett przyjechał tu ze swoją zabawką szukać zakopanych dawno temu zwłok.

- Mówiłam panu. Chcieli przetestować to urządzenie w terenie.

- Pracuje pani w Newark w New Jersey. Chce mi pani powiedzieć, że nie macie tam miejsc, w których moglibyście szukać zakopanych ciał?

Oczywiście, miał rację. Czas wszystko wyjaśnić.

- W Nowym Jorku znaleziono zwłoki zamordowanego mężczyzny - powiedziała Muse. - Mój szef uważa, że to był Gil Perez.

Lowell zgubił gdzieś swoją pokerową twarz.

- Może pani powtórzyć?

Już miała mu to wyjaśnić, gdy do biura wpadła Tara O'Neill. Lowell wyglądał na zirytowanego tym, że im przeszkodziła, ale zachował spokój.

- Co się stało, Taro?

- Odkryłam coś - powiedziała. - Myślę, że to ważne.



Po tym, jak Cope wysiadł z samochodu, Lucy przez ponad pięć minut siedziała z uśmiechem na ustach. Wciąż była oszołomiona jego pocałunkiem. Nigdy nie doświadczyła czegoś takiego. Sposób, w jaki ujął w dłonie jej twarz, w jaki na nią patrzył... Jakby jej serce nie tylko zaczęło mocniej bić, ale uleciało pod niebo.

To było cudowne. Przerazające.

Przejrzała jego płyty kompaktowe, znalazła Bena Folds'a i puściła *Brick*. Nigdy nie wiedziała, o czym właściwie jest ta piosenka - o przedawkowaniu, aborcji czy załamaniu nerwowym - ale w końcu kobieta jest cegłą, która ciągnie go na dno.

Chyba smutna muzyka jest lepsza od popijania. Jednak niewiele.

Gdy zgasła silnik, zobaczyła zielony samochód, forda z nowojorską rejestracją, podjeżdżający pod budynek. Zaparkował w niedozwolonym miejscu. Wysiedli z niego dwaj

mężczyźni - jeden wysoki, drugi zbudowany jak cementowy blok - i weszli do środka. Lucy nie wiedziała, co to ma oznaczać. Zapewne nic.

Klucze do garbusa Iry miała w torebce. Pogrzebała w niej i je znalazła. Włożyła do ust gumę do żucia. Gdyby Cope znów chciał ją pocałować, niech ją diabli, jeśli miałby go zniechęcić brzydki zapach z ust.

Zastanawiała się, co Ira chce powiedzieć Cope'owi. I co w ogóle pamięta. Nigdy nie rozmawiali o tamtej nocy, oni, ojciec i córka. Ani razu. A powinni. To mogłoby wszystko zmienić. Chociaż może niczego by nie zmieniło. Martwi pozostałoby martwymi, żywi wciąż by żyli. Nieszczęśliwie głęboka myśl, ale cóż.

Wysiadła z samochodu i ruszyła do starego volkswagena. Wycelowała w jego kierunku kluczyk, który trzymała w ręku. Dziwne, jak człowiek przyzwyczaja się do różnych rzeczy. Dziś żadnego samochodu nie otwiera się kluczykami. Wszystkie są na pilota. Oczywiście nie garbus. Wepchnęła klucz do zamka w drzwiczkach po stronie kierowcy i przekręciła. Zamek był zardzewiały i musiała włożyć w to trochę siły, ale otworzyła drzwi.

Myślała o swoim życiu, o błędach, jakie popełniła. Mówiła Cope'owi o tym, że od tamtej nocy ma wrażenie, że została zepchnięta i spada po zboczu, nie mogąc się zatrzymać. Powiedziała prawdę. W ciągu tych lat próbował ją odnaleźć, ale ukrywała się. Może powinna skontaktować się z nim wcześniej. Może powinna była od razu spróbować ustalić, co zdarzyło się tamtej nocy. Zamiast to zrobić, chowasz się za murem niepamięci. Nie chcesz stawić temu czoła. Tak bardzo obawiasz się konfrontacji, że znajdujesz rozmaite sposoby, by się ukryć. A kryjówka Lucy była tam, gdzie ludzie chowają się najczęściej - na dnie butelki.

Ludzie nie szukają w butelce ucieczki.

Szukają kryjówek.

Usiadła za kierownicą i natychmiast zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Pierwszy widoczny dowód znajdował się na siedzeniu pasażera. Popatrzyła na nie i ściągnęła brwi.

Puszka po napoju gazowanym.

Ściśle mówiąc, po dietetycznej coli.

Podniosła ją. W środku było jeszcze trochę płynu. Zastanowiła się. Od jak dawna nie otwierała garbusa? Co najmniej od trzech lub czterech tygodni. Wtedy nie było tu tej puszki. Albo jeśli była, to ona jej nie zauważyła. Być może.

Potem poczuła ten odór.

Przypomniała sobie coś, co zdarzyło się w lesie w pobliżu obozu, kiedy miała dwanaście lat. Usłyszeli strzały i Ira się wściekł. Myśliwi wtargnęli na ich ziemię. Znalazł ich i zaczął krzyczeć, że to prywatna własność. Jeden z myśliwych też zaczął krzyczeć. Podeszedł do nich, stuknął palcem w pierś Iry i Lucy pamiętała, że okropnie śmierdział.

Teraz też czuła ten odór.

Odwróciła się i spojrzała na tył samochodu.

Zobaczyła na podłodze krew.

I wtedy usłyszała huk wystrzału w oddali.



Resztki szkieletu ułożono na nierdzewnym stole z maleńkimi otworami. Te otworki ułatwiały zmywanie go wodą z węża. Podłoga była wykafelkowana i lekko nachylona do otworu ściekowego na środku, jak kabina prysznicowa w siłowni, co również ułatwiało pozbywanie się resztek. Muse wołała nie myśleć, co tkwiło w takich ściekach, czym je udrażniali, czy wystarczał „Kret” czy też musieli używać silniejszego środka.

Lowell stał po jednej stronie stołu, Muse i Tara O’Neill po drugiej.

- No i w czym rzecz? - Zapytał Lowell.

- Po pierwsze, brakuje kilku kości. Pójdę tam później i rozejrzę się jeszcze raz. Małe kawałki, nic ważnego. To normalne w takich przypadkach. Miałam zrobić kilka zdjęć rentgenowskich, sprawdzić ośrodki kostnienia, szczególnie w obojczyku.

- Co nam to powie?

- Da pewne pojęcie o wieku ofiary. W miarę, jak się starzejemy, kości przestają rosnać. Ostatnie centrum kostnienia jest właśnie tam, w miejscu, gdzie obojczyk spotyka się z mostkiem. Ten proces ustaje mniej więcej w wieku dwudziestu ośmiu lat. Teraz jednak nie jest to istotne.

Lowell spojrzał na Muse. Wzruszyła ramionami.

- No więc co takiego ważnego odkryłaś?

- To.

O’Neill wskazała miednicę.

- Już mi pani to pokazywała - powiedziała Muse. - To dowodzi, że jest to szkielet kobiety.

- Tak, owszem. Miednica jest szersza, jak już mówiłam. Ponadto mamy mniej uwydatniony wał nadoczodołowy i mniejszą gęstość tkanki kostnej - wszystko to dowodzi, iż to

kobieta. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Patrzymy na szkielet kobiety.

- Zatem co chce nam pani pokazać?

- Kość łonową.

- Co z nią?

- Widzicie to tutaj? Nazywamy to wgłębieniem albo dołkiem kości łonowej.

- Jasne.

- Tkanka chrzęstna łączy kości. To podstawowy fakt z dziedziny anatomii. Zapewne dobrze wam znany. Najczęściej myślimy o tkance chrzęstnej w kolanach i łokciach. Jest elastyczna. Rozciągliwa. Jednak widzicie to? Te ślady na powierzchni kości łonowej? Powstały w miejscu, gdzie kości kiedyś się stykały, a później się rozeszły.

O'Neill spojrzała na nich. Miała zarumienioną twarz.

- Nadążacie?

- Nie - odpowiedziała Muse.

- Takie ślady powstają, kiedy tkanka chrzęstna zostaje rozciągnięta. Kiedy kości łonowe się rozchodzą.

Muse spojrzała na Lowella. Szeryf wzruszył ramionami.

- A to oznacza...? - Spróbowała Muse.

- To oznacza, że za życia ofiary te kości się rozeszły. A to świadczy, pani inspektor Muse, że ta kobieta rodziła.

37

Czas wcale nie zaczyna biec wolniej, kiedy ktoś wyceluje w ciebie broń.

Wprost przeciwnie, jeszcze przyspiesza. Kiedy Ira we mnie wymierzył, spodziewałem się, że będę miał czas zareagować. Zacząłem podnosić ręce do góry - pierwotny gest oznaczający brak złych zamiarów. Zacząłem otwierać usta, żeby spróbować mu to wyperswadować, powiedzieć, że będę współpracował i zrobię wszystko, co chce. Moje serce zaczęło mocniej bić, nie mogłem oddychać i widziałem tylko tę broń, a raczej samą jej lufę, wielki czarny otwór, skierowany prosto na mnie.

Nie zdążyłem nic zrobić. Nie zdążyłem zapytać Iry dlaczego. Nie zdążyłem go spytać, co się stało z moją siostrą, czy żyje, czy nie, jak Gil tamtej nocy uszedł z życiem z tych lasów, czy Wayne Steubens był w to zamieszany. Nie zdążyłem powiedzieć Irze, że miał rację, że powinienem dać sobie z tym spokój, że zrobię to teraz i obaj znów będziemy mogli wrócić do swojego życia.

Nie miałem na to czasu.

Ponieważ Ira już naciskał spust.

Rok wcześniej czytałem książkę Malcolma Gladwella zatytułowaną *Blink*. Nie odważę się uprościć jego argumentów, ale twierdzi między innymi, że powinniśmy w większym stopniu opierać się na naszych instynktach - tej zwierzęcej części świadomości, która odruchowo każe nam uskoczyć z drogi przed nadjeżdżającą ciężarówką. Ponadto zauważa, że podejmujemy błyskawiczne decyzje, czasem pozornie oparte na niewystarczających przesłankach i nazywane przecuciami, które często okazują się słuszne. Może tak było teraz. Może coś w postawie Iry lub sposobie, w jaki wyciągnął broń, uświadomiło mi, że nie będę miał okazji niczego mu powiedzieć, że zaraz strzeli i umrę.

To coś kazało mi uskoczyć.

Mimo to i tak mnie trafił.

Celował w pierś. Kula trafiła mnie w bok, niczym rozżarzona lanca przeszywając ciało nad biodrem. Runąłem na bok i spróbowałem przetoczyć się za drzewo. Ira strzelił ponownie.

Tym razem chybił. Przeturlałem się dalej.

Moja dłoń natrafiła na kamień. To nie była świadoma decyzja. Po prostu złapałem go i wciąż tocząc się po ziemi, rzuciłem nim w niego. To była żalosna próba zrodzona z desperacji, coś, czego mogłoby spróbować dziecko leżące na brzuchu.

Trafiłem go, ale rzuciłem za słabo, żeby odniosło to jakiś skutek. Zrozumiałem, że Ira wszystko zaplanował. Dlatego chciał rozmawiać ze mną w cztery oczy. Dlatego zabrał mnie do lasu. Chciał mnie zastrzelić.

Ira, ten pozornie łagodny człowiek, był zabójcą.

Obejrzałem się przez ramię. Był za blisko. W oczach stanęła mi scena ze starej komedii *Teściowie*, w której Alanowi Arkinowi każą zygzakować, jeśli chce uniknąć kul. Tutaj byłoby to bezcelowe. Napastnik był zaledwie dwa lub trzy metry ode mnie. Miał broń. Byłem ranny i czułem, że wycieka ze mnie krew.

Miałem umrzeć.

Byliśmy na zboczu wzgórza - ja turlałem się w dół, a Ira zbiegał, usiłując nie upaść i złapać równowagę, żeby wystrzelić jeszcze raz. Wiedziałem, że to zrobi. Zostało mi zaledwie kilka sekund.

Miałem tylko jedną szansę.

Wbiłem palce w ziemię, powstrzymując spadanie. Ira stracił równowagę. Próbował się zatrzymać. Oburącz złapałem się jakiegoś drzewa i przytrzymując się go niczym łęku drewnianego konia, spróbowałem kopnąć Irę. Pomyślałem, że i ta próba jest skazana na niepowodzenie, ale Ira akurat znalazł się w zasięgu i jeszcze nie złapał równowagi. Kopnąłem go w prawą kostkę. Niezbyt mocno. Jednak to wystarczyło.

Ira z krzykiem runął na ziemię.

Broń, pomyślałem. Łap broń.

Rzuciłem się ku niemu na czworakach. Byłem większy. I młodszy. W znacznie lepszej formie. On był stary i na pół szalony. Jasne, potrafił strzelić. Ręce i nogi wciąż miał silne. Jednak wiek i narkotyki spowolniły jego refleks.

Przycisnąłem go do ziemi, starając się złapać broń. Miał ją w prawej ręce. Chwyciłem ją. Myśl o tej ręce. Tylko o niej. Złapałem ją obiema rękami, przetoczyłem się, przygniotłem ją do ziemi i wykręciłem.

Dłoń była pusta.

Tak skupiłem się na prawej ręce, że nie zauważyłem nadchodzącego ciosu. Ira uderzył. Widocznie padając, wypuścił broń. Teraz trzymał ją jak kamień w lewej ręce. Uderzył mnie kolbą w czoło.

Jakby błyskawica przeszła mi czaszkę. Poczułem, że mój mózg rozpląszcza się na jej prawej ścianie, jakby oderwany od pnia. Moje ciało wyprężyło się konwulsyjnie.

Puściłem go.

Spojrzałem w górę. Wycelował we mnie broń.

- Nie ruszać się, policja!

Rozpoznałem ten głos. To był York.

Powietrze zgęstniało, szumiało mi w uszach. Oderwałem wzrok od broni i spojrzałem Irze w oczy. Leżeliśmy obok siebie i trzymał ją wycelowaną w moją twarz. Zrozumiałem, że zamierza strzelić i mnie zabić. Nie zdołają go powstrzymać.

Policja już tu jest. Dla niego gra się skończyła. Musiał to wiedzieć. Mimo to zamierzał mnie zabić.

- Tato! Nie!

To Lucy. Usłyszał jej głos i w jego oczach coś się zmieniło.

- Rzuć broń! Zrób to! Już!

Znów York. Wciąż patrzyłem Irze w oczy. On też patrzył w moje.

- Twoja siostra nie żyje - powiedział.

Potem uniósł lufę, włożył ją do ust i nacisnął spust.

38

Straciłem przytomność.

Tak mi powiedziano. Mimo to pamiętam, jak przez mgłę. Ira upadł na mnie. Cały tył jego głowy znikł. Pamiętam krzyk Lucy. Pamiętam, że patrzyłem w górę, widziałem niebieskie niebo i przepływające nade mną obłoki. Domyślałem się, że leżałem na plecach, na noszach niesionych do karetki. Na tym kończą się moje wspomnienia. Na tym błękitnym niebie. Na białych obłokach.

A potem, kiedy zacząłem odzyskiwać spokój, przypomniałem sobie słowa Iry.

„Twoja siostra nie żyje”...

Pokręciłem głową. Nie. Glenda Perez powiedziała mi, że Camille wyszła żywa z lasów. Ira o tym nie wiedział. Nie mógł wiedzieć.

- Panie Copeland?

Zamrugałem i otworzyłem oczy. Leżałem w łóżku. W szpitalnej sali.

- Jestem doktor McFadden.

Powiodłem wzrokiem po pokoju. Za plecami lekarza zobaczyłem Yorka.

- Został pan postrzelony. Pozszywaliśmy pana. Nic panu nie będzie, ale przez jakiś czas ból...

- Doktorze?

McFadden wpadł w swój lekarski trans i nie spodziewał się, że mu przerwę. Zmarszczył brwi.

- Tak?

- Nic mi nie będzie, zgadza się?

- Tak.

- To może pomówimy o tym później? Naprawdę muszę porozmawiać z tym detektywem.

York powstrzymał uśmiech. Spodziewałem się oporu. Lekarze są jeszcze bardziej arogancy niż adwokaci. Jednak nie spierał się. Wzruszył ramionami.

- Jasne - powiedział. - Niech pielęgniarka zawiadomi mnie na pager, kiedy skończycie.

- Dzięki, doktorze.

Wyszedł bez słowa.

- Skąd wiedzieliście o Irze? - Zapytałem.

- Chłopcy z laboratorium dopasowali włókna znalezione na ciele... Hmm... - York umilkł. - No cóż, nadal nie zidentyfikowaliśmy zabitego, ale jeśli pan chce, możemy go nazywać Gilem Perezem.

- Byłoby dobrze.

- No cóż, w każdym razie znaleźli na nim włókna z dywanika. Wiedzieliśmy, że pochodzą ze starego samochodu. Ponadto mieliśmy film z kamery ze sklepu znajdującego się w pobliżu miejsca, gdzie podrzucano zwłoki. Odkryliśmy, że to był żółty volkswagen, należący do Silversteina. Natychmiast pojechaliśmy do niego.

- Gdzie jest Lucy?

- Dillon zadaje jej kilka pytań.

- Nie rozumiem. Ira zabił Gila Pereza?

- Tak.

- Na pewno?

- Tak. Po pierwsze, znaleźliśmy krew na tylnym siedzeniu volkswagena. Sądzę, że badania dowiodą, iż to krew Pereza. Po drugie, personel domu opieki potwierdza, że Perez - podając się za Manola Santiaga - odwiedził Silversteina dzień przed morderstwem. Personel potwierdził także, że następnego ranka Silverstein pojechał gdzieś volkswagenem. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy. Skrzywiłem się.

- I nie wpadło im do głowy, żeby powiedzieć o tym jego córce?

- Ci, którzy to widzieli, nie byli na dyżurze, kiedy przyszła tu Lucy Gold. Ponadto, jak wielokrotnie mi powtarzali, Silverstein nie był niepełnosprawny ani ubezwłasnowolniony. Mógł wychodzić i wracać, kiedy chciał.

- Nie rozumiem. Dlaczego Ira go zabił?

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego chciał zabić pana. Obaj próbowaliście odkryć, co zdarzyło się na tym obozie przed dwudziestoma laty. A pan Silverstein sobie tego nie życzył.

Usiłowałem to poskładać.

- Zatem to on zabił Margot Green i Douga Billinghamą?

York czekał chwilę, jakby spodziewał się, że dodam do tej listy moją siostrę. Nie

zrobiłem tego.

- Możliwe.

- A co z Wayne'em Steubensem?

- Zapewne zrobili to razem, nie wiem. Natomiast wiem, że Ira Silverstein zabił mojego faceta. Och, jeszcze jedno: ta broń, z której Ira strzelał do pana. Jest tego samego kalibru co ta, z której zastrzelono Gila Pereza. Jeszcze przeprowadzamy badania balistyczne, ale sam pan wie, że ich wynik będzie pozytywny. Niech pan doda do tego krew na tylnym siedzeniu garbusa, taśmę z kamery w pobliżu miejsca, gdzie podrzuciono zwłoki, na której jest Ira oraz jego samochód... Sam pan widzi, że dowodów jest aż za dużo. Jednak cóż, Ira Silverstein nie żyje i jak pan wie, bardzo trudno skazać nieboszczyka. Natomiast co do tego, co Ira Silverstein zrobił lub nie dwadzieścia lat temu... - York wzruszył ramionami. - No cóż, mnie też to ciekawi. Jednak tę tajemnicę musi rozwikłać ktoś inny.

- Pomoże pan w razie potrzeby?

- Jasne. Z przyjemnością. A kiedy już pan wszystko poskłada do kupy, może wpadnie pan do miasta, to zabiorę pana na porządny obiad?

- Umowa stoi.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Powinienem panu podziękować za uratowanie mi życia - powiedziałem.

- Taaak, powinien pan. Tylko że nie sądzę, żeby to była moja zasługa.

Przypomniałem sobie wyraz twarzy Iry, jego determinację. Chciał mnie zabić. York też to widział. Ira zamierzał mnie zastrzelić, nie zważając na konsekwencje. Ocalił mnie krzyk Lucy, a nie detektyw York.

York wyszedł. Zostałem sam w szpitalnej izolatce. Zapewne są bardziej przygnębiające miejsca, ale jakoś żadne nie przychodziło mi do głowy. Myślałem o mojej Jane, jaka była dzielna, że jedyne, czego się bała, co ją przerażało, to samotność w szpitalnym pokoju. Dlatego byłem przy niej całą noc. Spałem w jednym z tych foteli, które są najbardziej niewygodnymi łózkami na tym padole łez. Nie mówię o tym, oczekując uznania. To był jej jedyny moment słabości, przed pierwszą nocą, którą miała spędzić w szpitalu, gdy załapała mnie za rękę i starając się ukryć rozpacz, powiedziała: „Proszę, nie zostawiaj mnie tu samej”.

I nie zrobiłem tego. Nie wtedy. Dopiero o wiele później, kiedy już była w domu, w którym chciała umrzeć, ponieważ myśl o powrocie do takiego pokoju jak ten, w którym leżałem

teraz...

Teraz przyszła moja kolej. Byłem tu sam. Nie przerażało mnie to. Rozmyślałem o tym, jak potoczyło się moje życie. Kto mógł tu być w takiej chwili? Kogo mogłem się spodziewać przy moim łóżku, budząc się w szpitalu? Pierwszymi osobami, które przyszły mi do głowy, byli Greta i Bob. Kiedy w zeszłym roku skaleczyłem się w rękę, rozcinając obwarzanek, Bob zawiózł mnie do szpitala, a Greta zaopiekowała się Carą. Byli moją rodziną - jedyną, jaka mi została. A teraz nie miałem także ich.

Przypomniałem sobie, jak ostatni raz leżałem w szpitalu. Miałem dwanaście lat i dostałem gorączki reumatycznej. Wtedy była bardzo rzadka, a teraz jest jeszcze rzadsza. Spędziłem w szpitalu dziesięć dni. Pamiętam odwiedziny Camille. Czasem przyprowadzała swoje irytujące przyjaciółki, ponieważ wiedziała, że to mnie rozerwie. Dużo graliśmy w boggle. Chłopcy uwielbiali Camille. Przynosiła kasety z muzyką, które dla niej nagrywali - takich zespołów jak Steely Dan, Supertramp czy Doobie Brothers. Camille mówiła mi, które zespoły są świetne, które kiepskie, a ja przyjmowałem jej uwagi jak biblijne prorocstwa.

Czy cierpiała w tych lasach?

Zawsze zadawałem sobie to pytanie. Co zrobił jej Wayne Steubens? Czy sterroryzował ją i związał, tak jak zrobił z Margot Green? Czy bronila się i została poraniona jak Doug Billingham? Czy zakopał ją żywcem, jak swoje ofiary w Indianie i Wirginii? Jak bardzo cierpiała? Jak straszne były ostatnie chwile jej życia?

A teraz... Nowe pytanie: czy Camille jakimś cudem wyszła z tych lasów żywa?

Wróciłem myślami do Lucy. Myślałem o tym, co musiała czuć, patrząc, jak jej ukochany ojciec popełnia samobójstwo. Zastanawiałem się nad całą tą sprawą. Chciałem być przy niej, powiedzieć coś, spróbować choć trochę pocieszyć.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę.

Spodziewałem się, że to pielęgniarka. Jednak nie. To była Muse. Uśmiechnąłem się do niej. Oczekiwałem, że uśmiechnie się w odpowiedzi. Nie zrobiła tego. Twarz miała nieruchomą, jak wykutą z kamienia.

- Nie rób takiej ponurej miny - powiedziałem. - Nic mi nie jest.

Muse podeszła do mojego łóżka. Nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Mówię ci...

- Już rozmawiałam z lekarzem. Powiedział, że chyba nawet nie będziesz musiał zostać na noc.

- No to czemu ta ponura mina?

Muse chwyciła krzesło i przystawiła je do łóżka.

- Musimy porozmawiać.



Widziałem już taką minę Muse.

Była zarezerwowana na łowy. Mina z rodzaju „przyskrzynię tego drania”. Mówiąca: „Przylapię cię, jeśli spróbujesz kłamać”. Widziałem tę minę, kiedy Muse rozmawiała z mordercami, gwałcicielami, złodziejami samochodów i bandziorami. Teraz pokazywała ją mnie.

- O co chodzi?

Nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Jak ci poszło z Rayą Singh?

- Było dokładnie tak, jak sądziliśmy. - Krótco omówiłem treść rozmowy, ponieważ uważałem, że teraz Raya Singh nie ma niemal żadnego znaczenia. - Jednak naprawdę ważne jest to, że przysłała do mnie Glenda Perez. Powiedziała mi, że Camille wciąż żyje.

Dostrzegłem zmianę na jej twarzy. Była dobra, bez wątpienia, ale ja też. Mówią, że taka wiele mówiąca zmiana trwa zaledwie ułamek sekundy. Mimo to zauważyłem ją. Muse nie była szczególnie zaskoczona tym, co usłyszała. Jednak zrobiło to na niej wrażenie.

- Co się dzieje, Muse?

- Dzisiaj rozmawiałam z szeryfem Lowellem.

Zmarszczyłem brwi.

- Jeszcze nie przeszedł na emeryturę?

- Nie.

Już miałem zapytać, po co z nim rozmawiała, ale wiedziałem, że jest dokładna. To oczywiste, że skontaktowała się z tym, kto prowadził śledztwo. Częściowo wyjaśniało to jej zachowanie.

- Niech zgadnę - powiedziałem. - On uważa, że skłamałem o tamtej nocy.

Muse nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła.

- To dziwne, nie sądzisz? To, że nie zostałeś na dyżurze w tę noc, kiedy popełniono te morderstwa.

- Wiesz dlaczego. Czytałaś tę pracę studencką.

- Tak, czytałam. Wymknąłeś się z dziewczyną. A potem nie chciałeś, żeby miała kłopoty.

- Właśnie.

- Jednak w tym dzienniku było również napisane, że byłeś zakrwawiony. To też była prawda?

Spojrzałem na nią.

- Co się, do diabła, dzieje?

- Udaję, że nie jesteś moim szefem.

Spróbowałem usiąść. Szwy na boku bolały jak cholera.

- Czy Lowell powiedział, że jestem podejrzany?

- Nie musiał. I nie musisz być podejrzany, żebym zadawała ci te pytania. Skłamałeś o tamtej nocy...

- Chroniłem Lucy. Już o tym wiesz.

- Wiem to, co mi powiedziałaś. Jednak postaw się w mojej sytuacji. Powinnam prowadzić tę sprawę bezstronnie i bez uprzedzeń. Czy na moim miejscu nie zadałbyś tych pytań?

Zastanowiłem się.

- No dobrze, w porządku, świetnie, strzelaj. Pytaj, o co chcesz.

- Czy twoja siostra była kiedyś w ciąży?

Otworzyłem usta, oszołomiony. To pytanie wstrząsnęło mną jak niespodziewany lewy sierpowy. Zapewne celowo.

- Pytasz poważnie?

- Tak.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć, do diabła?

- Po prostu odpowiedz na pytanie.

- Nie, moja siostra nigdy nie była w ciąży.

- Jesteś pewien?

- Przecież bym wiedział.

- Wiedziałbyś?

- Nie rozumiem. Dlaczego o to pytasz?

- Znamy przypadki, kiedy dziewczęta ukrywały to przed rodzinami. Wiesz o tym. Do

licha, mieliśmy nawet taki przypadek, kiedy sama dziewczyna o niczym nie wiedziała, dopóki nie urodziła. Pamiętasz?

Pamiętałem.

- Słuchaj, Muse, teraz pytam jako przełożony. Dlaczego interesuje cię, czy moja siostra była w ciąży?

Spojrzała na mnie. Czułem, jak jej oczy przesuwają się po mojej twarzy niczym dwa oślisze robaki.

- Daruj to sobie - mruknąłem.

- Musisz się wytłumaczyć, Cope. Sam wiesz.

- Nic nie muszę.

- Właśnie że tak. To wciąż sprawa Lowella. Jego show.

- Lowell? Ten wieśniak nic nie zrobił w tej sprawie od aresztowania Wayne'a Steubensa przed osiemnastu laty.

- Mimo wszystko to jego sprawa. On ją prowadzi. Nie byłem pewien, co to ma oznaczać.

- Czy Lowell wie, że Gil Perez przez cały czas żył?

- Powiedziałam mu o twojej teorii.

- No to czemu nagle zaskakujesz mnie pytaniami o to, czy Camille była w ciąży?

Nie odpowiedziała..

- Dobrze, jak sobie chcesz. Posłuchaj, obiecałem Glendzie Perez, że spróbuję nie mieszać do tego jej rodziny. Mimo to powiedz o tym Lowellowi. Może pozwoli ci nadal uczestniczyć w śledztwie. Znacznie bardziej ufam tobie niż temu szeryfowi z zabitej dziury. Najważniejsze jest to, że Glenda Perez powiedziała, że moja siostra wyszła z tych lasów żywa.

- A Ira Silverstein powiedział, że nie żyje - przypomniała.

Zapadła martwa cisza. Tym razem jej twarz jeszcze wyraźniej zdradziła prawdę. Obrzuciłem ją twardym spojrzeniem. Próbowała je wytrzymać, ale w końcu spuściła wzrok.

- Co się, do diabła, dzieje, Muse?

Wstała. Otworzyły się drzwi za jej plecami. Weszła pielęgniarka. Bez przywitania owinęła mi rękę gumową opaską i zaczęła tłoczyć powietrze, żeby zmierzyć ciśnienie. Wetknęła mi do ust termometr.

- Zaraz wrócę - powiedziała Muse.

Nadal miałem w ustach termometr. Pielęgniarka zmierzyła mi puls. Pewnie przekroczył

wszelkie normy. Spróbowałem zawołać z termometrem w ustach:

- Muse!

Wyszła. Zostałem na łóżku, wściekły.

W ciąży? Czy Camille mogła być w ciąży?

Nie wiedziałem tego. Próbowałem sobie przypomnieć. Czy zaczęła nosić luźne ubrania? Jak długo była w ciąży - ile miesięcy? Mój ojciec zauważyłby, gdyby coś było po niej widać - przecież był ginekologiem położnikiem. Nie zdołałaby tego przed nim ukryć.

A może wcale nie ukrywała?

Powiedziałbym, że to nonsens, że to absolutnie niemożliwe, żeby moja siostra była w ciąży, gdyby nie jedno. Nie wiedziałem, co, do diabła, się dzieje, ale Muse wiedziała więcej, niż mi powiedziała. To nie było przypadkowe pytanie. Czasem dobry prokurator musi tak zrobić. Musi uznać za możliwą zupełnie nieprawdopodobną ewentualność. Tylko po to, żeby sprawdzić. Tylko aby zobaczyć, czy nie pasuje do całości.

Pielęgniarka skończyła. Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do domu, żeby sprawdzić, co z Carą. Zdziwiłem się, gdy Greta zgłosiła się przyjaznym „halo”.

- Cześć - powiedziałem.

Przyjacielski ton znikł.

- Słyszę, że nic ci nie będzie.

- Tak mówią.

- Jestem teraz z Carą - poinformowała rzeczowo Greta. - Może u mnie zostać na noc, jeśli chcesz.

- Byłoby wspaniale, dzięki.

Zapadła krótka cisza.

- Paul?

Zwykle nazywała mnie Cope. Nie podobała mi się ta zmiana.

- Tak?

- Dobro Cary jest dla mnie bardzo ważne. Nadal jest moją siostrzenicą. Córką mojej siostry.

- Rozumiem.

- Natomiast ty jesteś dla mnie nikim.

Odłożyła słuchawkę.

Usiadłem i czekałem na powrót Muse, próbując poukładać to wszystko w obolałej głowie. Posuwałem się krok po kroku.

Glenda Perez powiedziała, że moja siostra uszła z tych lasów z życiem.

Ira Silverstein twierdził, że nie żyje.

Komu wierzyć?

Glenda Perez wyglądała na w miarę normalną. Ira Silverstein był stuknięty.

Tak więc Glendzie Perez.

Ponadto przypomniałem sobie, że Ira wciąż powtarzał, że nie chce, by ktoś odgrzebywał tę sprawę. Zabił Gila Pereza i zamierzał zabić mnie, ponieważ chciał nas powstrzymać od dalszych poszukiwań. Zapewne zrozumiał, że nie przestanę szukać, dopóki będę uważał, że moja siostra żyje. Będę szperał, szukał i robił wszystko, co potrzebne, nie zważając na konsekwencje, dopóki będę uważał, że jest choć cień szansy na sprowadzenie Camille z powrotem do domu. Ira najwyraźniej tego nie chciał.

Tak więc miał powód, by skłamać i powiedzieć, że ona nie żyje.

Natomiast Glenda Perez także chciała, abym zaprzestał poszukiwań. Dopóki prowadziłem śledztwo, jej rodzina znajdowała się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Mogło wyjść na jaw ich oszustwo i inne wymienione przez nią nadużycia. Tak więc ona również zdawała sobie sprawę z tego, że najlepiej byłoby zapobiec temu, przekonując mnie, że przez tych dwadzieścia lat nic się nie zmieniło, że Wayne Steubens istotnie zabił moją siostrę. Gdyby powiedziała mi, że Camille nie żyje, leżałoby to w jej interesie.

Jednak nie powiedziała.

Zatem Glenda Perez.

Poczułem, jak w moim sercu budzi się - znów to słowo - nadzieja.

Wróciła Loren Muse. Zamknęła za sobą drzwi.

- Właśnie rozmawiałam z szeryfem Lowellem - oznajmiła.

- Ach tak?

- Jak już mówiłam, to jego sprawa. Nie mogę rozmawiać o pewnych sprawach bez jego zezwolenia.

- Czy to ma związek z tym pytaniem o ciążę?

Muse usiadła, jakby się obawiała, że krzesło może się załamać. Położyła ręce na podolku. Dziwnie to wyglądało. Zazwyczaj gestykulowała jak naćpany amfetaminą Sycylińczyk, który o

mało nie został potrącony przez szybko jadący samochód. Nigdy nie widziałem jej równie powściągliwej. Miała spuszczone oczy. Trochę jej wybaczyłem. Starła się robić co trzeba. Jak zawsze.

- Muse?

Podniosła głowę. Nie spodobało mi się to, co ujrzałem w jej oczach.

- Co się tu dzieje?

- Pamiętasz, że wysłałam Andrew Barretta na teren obozu?

- Oczywiście - odparłem. - Barrett chciał wypróbować jakiś nowy rodzaj detektora radarowego. I co?

Muse spojrzała na mnie. Tylko tyle. Popatrzyła na mnie i zobaczyłem, że ma łzy w oczach. Potem skinęła głową. Było to najsmutniejsze skinienie głową, jakie widziałem w życiu.

Mój świat runął i rozsypał się.

Nadzieja. Nadzieja, która tak łagodnie tuliła moje serce, teraz wysunęła szpony i je zmiażdżyła. Nie mogłem złapać tchu. Pokręciłem głową, ale Muse wciąż kiwała swoją.

- Znaleźli szkielet niedaleko miejsca, gdzie leżały tamte ciała - powiedziała.

Jeszcze energiczniej pokręciłem głową. Nie teraz. Nie po tym wszystkim.

- Kobieta, metr sześćdziesiąt dwa, zapewne spoczywająca w ziemi od piętnastu do trzydziestu lat.

Nadal kręciłem głową. Muse zamilkła, czekając, aż się pozbieram. Spróbowałem otrzeźwieć, nie słyszeć tego, co mówi. Próbowałem zastopować i przewinąć taśmę. A potem o czymś sobie przypomniałem.

- Zaczekaj, pytałaś mnie, czy Camille była w ciąży. Chcesz powiedzieć, że to ciało... Zdołali ustalić, że była w ciąży?

- Nie tylko była w ciąży - odparła Muse - ale urodziła dziecko.

Siedziałem i milczałem. Usiłowałem oswoić się z tą myślą. Nie mogłem. Usłyszeć, że była w ciąży, to jedno. To było możliwe. Mogła dokonać aborcji lub poronić, nie wiem. Jednak myśl, że donosiła ciążę i urodziła dziecko, a potem umarła po tym wszystkim...

- Dowiedz się, co się stało, Muse.

- Dowiem się.

- A jeśli jest tam gdzieś dziecko...

- Je także znajdziemy.

- Mam wiadomość.

Aleksiej Kokorow wciąż był imponującym, choć odrażającym okazem. Pod koniec lat osiemdziesiątych, zanim runął mur berliński i ich życie całkowicie się zmieniło, Kokorow był podwładnym Sosha w Intouriście. Zabawne, kiedy o tym pomyśleć. W kraju byli elitą KGB. W 1974 byli „Specgrupą A” - czyli Grupą Alfa. Oficjalnie mieli zwalczać terroryzm i zbrodnie, lecz w zimowy grudniowy ranek 1979 roku ich oddział zdobył szturmem pałac Darulaman w Kabulu. Niedługo potem Sosh dostał pracę w Intouriście i przeniósł się do Nowego Jorku. Kokorow, za którym Sosh nigdy specjalnie nie przepadał, też się tam znalazł. Obaj zostawili w kraju rodziny. Tak to wtedy było. Nowy Jork potrafił zauroczyć. Wysyłano tam tylko najzagorzalszych komunistów. Jednak nawet najwierniejszych pilnował kolega, niekoniecznie lubiany i darzony zaufaniem. Nawet najbardziej lojalnym trzeba było przypominać, że w domu zostawili bliskich, którzy mogą cierpieć.

- Mów - rzucił Sosh.

Kokorow był pijakiem. Zawsze, ale za młodu czasem było to zaletą. Był silny, sprytny, a po pijanemu stawał się agresywny. I był posłuszny jak pies. Teraz lata odcisnęły na nim swoje piętno. Jego dzieci dorosły i już go nie potrzebowały. Żona opuściła go wiele lat temu. Był żałosny, ale jednak mieli wspólną przeszłość. Nie lubili się, to prawda, ale nadal łączyła ich jakaś więź. Kokorow był lojalny wobec Sosha. Dlatego Sosh trzymał go na swojej liście płac.

- Znaleźli zwłoki w lasach - powiedział Kokorow.

Sosh zamknął oczy. Tego się nie spodziewał, ale wcale go to nie zaskoczyło. Paul Copeland chciał poznać sekrety z przeszłości. Sosh miał nadzieję, że zdoła go powstrzymać. Są sprawy, o których lepiej nie wiedzieć. Gawryła i Alina, jego brat i siostra, zostali pochowani w zbiorowym grobie. Bez nagrobka, bez godności. To nigdy nie drażniło Sosha. Z prochu w proch i tak dalej. Czasem jednak zastanawiał się. Czasem zadawał sobie pytanie, czy Gawryła pewnego dnia powstanie z grobu i oskarżycielsko wskaże palcem swojego młodszego brata, tego, który ponad sześćdziesiąt lat temu ukradł mu kęs chleba. Sosh wiedział, że to był tylko jeden kęs.

Niczego nie zmienił. A mimo to Sosh codziennie rano, przez całe swe życie, myślał o tym, co zrobił.

Czy z tym też tak jest? Czy martwi domagają się pomsty?

- Jak się o tym dowiedziałeś? - Zapytał Sosh.

- Od wizyty Pawła oglądałem lokalne wiadomości - odparł Kokorow. - W Internecie.

Podali tę informację.

Sosh uśmiechnął się. Co za ironia losu - dwaj dawni twardziele z KGB zbierający informacje w amerykańskim Internecie.

- Co mamy robić? - Zapytał Kokorow.

- Robić?

- Tak. Co mamy robić?

- Nic, Aleksieju. To było dawno temu.

- W tym kraju morderstwo nie ulega przedawnieniu. Rozpoczną dochodzenie.

- I co odkryją?

Kokorow nic nie powiedział.

- To zamknięta sprawa. Nie ma już firmy ani kraju, który musimy chronić.

Zapadła cisza. Aleksiej gładził brodę i spoglądał w dal.

- No co?

- Czy tęsknisz do tamtych dni, Sosh? - Zapytał Kokorow.

- Tęsknię za moją młodością - odparł. - Za niczym innym.

- Ludzie bali się nas. Trzęśli się, kiedy przechodziliśmy.

- I co, to było dobre, Aleksieju?

Miał okropny uśmiech, zęby za małe w stosunku do szerokich ust, jak gryzoń.

- Nie udawaj. Mieliśmy władzę. Byliśmy bogami.

- Nie, oprychami. Nie byliśmy bogami - jedynie płatnymi siepaczami bogów. Oni mieli władzę. Bali się ich, więc sprawiliśmy, że wszyscy inni bali się nas. Wtedy czuliśmy się wielcy - budząc strach słabych.

Aleksiej zbył to machnięciem ręki.

- Starzejesz się.

- Obaj się starzejemy.

- Nie podoba mi się, że ta sprawa powraca.

- Nie podobało ci się i to, że wrócił Paweł. To dlatego, że przypomina ci jego dziadka, prawda?

- Nie.

- Człowieka, którego aresztowałeś. Starca i jego starą żonę.

- Myślisz, że ty byłeś lepszy, Sosh?

- Nie. Wiem, że nie byłem.

- To nie była moja decyzja. Przecież wiesz. Doniesiono na nich, podjęliśmy działania.

- Właśnie. Bogowie kazali ci to zrobić. A ty posłuchałeś. Nadal czujesz się wielki?

- To nie było tak.

- Dokładnie tak.

- Zrobiłbyś to samo.

- Tak, zrobiłbym.

- Robiliśmy to dla sprawy.

- Naprawdę w to wierzyłeś, Aleksieju?

- Tak. Nadal wierzę. I wciąż się zastanawiam, czy naprawdę się myliliśmy. Kiedy widzę wszystkie zagrożenia, które sprowadziła wolność, wciąż się zastanawiam.

- A ja nie - powiedział Sosh. - Byliśmy zbirami. Cisza.

- I co będzie teraz, kiedy znaleźli ciało?

- Może nic. Może umrze jeszcze kilka osób. A może Paweł w końcu będzie miał okazję stawić czoło swojej przeszłości.

- Nie powiedziałeś mi, że nie powinien tego robić, że powinien pozostawić przeszłość w spokoju?

- Powiedziałem. Jednak nie chciał słuchać. Kto wie, który z nas miał rację?



Przyszedł doktor McFadden i oznajmił mi, że miałem szczęście, gdyż kula przeszła przez tkanki, nie uszkadzając żadnego z organów wewnętrznych. Zawsze przewracam oczami, kiedy postrzelony bohater wstaje i chodzi, jakby nic się nie stało. Jednak naprawdę wiele ran postrzałowych goi się w taki właśnie sposób. Siedzenie w szpitalnym łóżku w niczym nie jest lepsze od siedzenia w domu.

- Bardziej niepokoi mnie to uderzenie w głowę - dodał.

- Mogę jednak iść do domu?

- Proszę się przed tym chwilę przespać, dobrze? Zobaczmy, jak będzie się pan czuł po przebudzeniu. Myślę, że powinien pan zostać tu na noc.

Miałem zamiar się sprzeczać, ale wychodząc do domu, niczego bym nie zyskał. Byłem obolały, chory i przygnębiony. Zapewne wyglądałem okropnie i tylko przeraziłbym swoim wyglądem Carę.

Znaleźli w lesie zwłoki. Wciąż nie mieściło mi się to w głowie.

Muse przesłała do szpitala faks ze wstępnymi wynikami autopsji. Na razie niewiele wiedzieli, ale trudno było nie wierzyć, że to nie moja siostra. Lowell i Muse dokładnie przejrzeni wszystkie zaginione w tym rejonie kobiety, sprawdzając, czy rysopis którejś z nieodnalezionych pasuje do szkieletu. Poszukiwania były bezowocne - jedyną zaginioną osobą wytypowaną przez komputer była moja siostra.

Na razie koroner nie określiła przyczyny zgonu. W przypadku szkieletu w takim stanie nie było w tym niczego dziwnego. Jeśli zabójca poderżnął jej gardło lub zakopał żywcem, nigdy nie będą wiedzieli. Nie będzie żadnych śladów na kościach. Tkanka chrzęstna i organy wewnętrzne już dawno się rozłożyły, przed wieloma laty padłszy łupem jakichś pasożytów.

Przeszedłem do kluczowego dowodu. Do wgłębienia kości łonowych.

Ofiara rodziła.

Znów zacząłem się nad tym zastanawiać. Pytałem sam siebie, czy to możliwe. W innych okolicznościach mogłoby mi to dać nadzieję, że wykopaną ofiarą nie była moja siostra. Tylko że w takim wypadku co mógłbym stwierdzić? To, że mniej więcej w tym samym czasie jakaś inna dziewczyna - której nikt nie szukał - została zamordowana i zakopana w tym samym miejscu, co dwie ofiary z obozu?

To nie miało sensu.

Coś przeoczyłem. Nawet bardzo dużo.

Wyjąłem telefon komórkowy. W szpitalu nie było zasięgu, ale odszukałem numer Yorka. Zadzwoiłem do niego z telefonu stojącego przy łóżku.

- Coś nowego? - Zapytałem.

- Czy pan wie, która jest godzina?

- Nie wiem. - Sprawdziłem. - Kilka minut po dziesiątej - poinformowałem go. - Coś nowego?

Westchnął.

- Balistyka potwierdziła to, co już wiedzieliśmy. Broń, z której strzelał do pana Silverstein, była tą samą, której użył do zamordowania Gila Pereza. I chociaż badania DNA potrważą kilka tygodni, grupa krwi z tylnego siedzenia volkswagena garbusa pasuje do grupy krwi Pereza. W terminologii sportowej byłby to gem, set, mecz.

- Co powiedziała Lucy?

- Dillon mówił, że niewiele pomogła. Była w szoku. Powiedziała, że jej ojciec był chory i zapewne wyobraził sobie, że coś mu grozi.

- I Dillon to kupił?

- Jasne, czemu nie? Tak czy inaczej, nasza sprawa jest zamknięta. Jak się pan czuje?

- Kwitnąco.

- Dillon też raz został postrzelony.

- Tylko raz?

- Dobrze. W każdym razie pokazuje bliźnę każdej kobiecie, z którą się spotyka. Mówi, że to je kręci. Warto zapamiętać.

- Dillona porady dla uwodzicieli. Dzięki.

- Niech pan zgadnie, co im mówi, pokazując tę bliźnę?

- Hej, dziecino, a chcesz zobaczyć moją armatę?

- Do licha, skąd pan wie?

- Dokąd poszła Lucy, kiedy skończyliście ją przesłuchiwać?

- Odwieźliśmy ją do jej mieszkania w kampusie.

- W porządku, dziękuję.

Rozłączyłem się i wybrałem numer Lucy. Zgłosiła się jej poczta głosowa. Zostawiłem wiadomość. Potem zadzwoniłem na komórkę Muse.

- Gdzie jesteś? - Zapytałem.

- Wracam do domu, czemu pytasz?

- Pomyślałem, że może jedziesz do Reston, żeby zadać Lucy kilka pytań.

- Już tam byłam.

- I co?

- Nie otworzyła drzwi. Jednak widziałam zapalone światła. Jest w domu.

- Nic jej nie jest?

- A skąd mam wiedzieć?

Nie spodobało mi się to. Jej ojciec zginął, a ona jest sama w domu.

- Jak daleko jesteś od szpitala?

- Piętnaście minut jazdy.

- Możesz mnie zabrać?

- Wypuścili cię?

- A kto mnie zatrzyma? Poza tym wyjdę tylko na chwilę.

- Czy ty, mój szef, prosisz mnie, żebym podwoziła cię do domu przyjaciółki?

- Nie. Ja, prokurator okręgowy, proszę cię, żebyś zawiozła mnie do domu jednej z osób mogących mieć informacje o dokonanym niedawno morderstwie.

- Tak czy inaczej zaraz tam będę.



Nikt mnie nie zatrzymywał, kiedy opuszczałem szpital.

Nie czułem się najlepiej, ale bywało gorzej. Niepokoiłem się o Lucy i coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, że to coś więcej niż zwykły niepokój.

Tęskniłem za nią.

Brakowało mi jej w sposób, w jaki tęskni się za kimś, kogo się kocha. Mógłbym kluczyć, osłabić wagę tego stwierdzenia, powiedzieć, że moje emocje uległy rozchwianiu w wyniku ostatnich burzliwych wydarzeń, przypisać to nostalgii za lepszymi czasami, za chwilami niewinnej młodości, kiedy moi rodzice byli razem, a moja siostra żyła - do licha, nawet Jane była gdzieś zdrowa, piękna i szczęśliwa. Jednak nie.

Lubiłem być z Lucy. Podobało mi się to, co wtedy czułem. Lubiłem być z nią tak, jak lubisz być z kimś, w kim się zakochałeś. Nie muszę nic więcej wyjaśniać.

Muse prowadziła. Jej samochód był mały i ciasny. Nie jestem miłośnikiem motoryzacji i nie miałem pojęcia, co to za model, ale cuchnął dymem z papierosów. Widocznie zauważyła moją minę, ponieważ wyjaśniła:

- Moja matka jest nałogową palaczką.

- Uhm.

- Mieszka ze mną. Tylko chwilowo. Dopóki nie znajdzie męża numer pięć. W międzyczasie mówię jej, żeby nie paliła w moim wozie.

- A ona to ignoruje.

- Nie, nie. Myślę, że moje gadanie prowokuje ją do palenia. To samo w mieszkaniu.

Wracam z pracy do domu, otwieram drzwi i mam wrażenie, że wpadłam do popielniczki.

- Wolałbym, żebyś jechała szybciej.
- Będziesz jutro mógł stawić się w sądzie?
- Tak myślę, tak.
- Sędzia Pierce chce się spotkać ze stronami w swoim gabinecie.
- Domyślasz się po co?
- Nie.
- O której?
- Dokładnie o dziewiątej rano.
- Będę.
- Chcesz, żebym cię podwiozła?
- Chcę.
- Mogę wziąć samochód firmy?
- Nie pracujemy dla żadnej firmy. Pracujemy dla okręgu.
- No to wóz okręgu?
- Może być.
- Super. - Przez chwilę jechała, nic nie mówiąc. - Przykro mi z powodu twojej siostry.

Nic nie powiedziałem. Wciąż nie wiedziałem, jak reagować na ten fakt. Może czekałem na ostateczną identyfikację. A może po dwudziestoletniej żałobie nie byłem w stanie nadal jej opłakiwać. Albo, co najbardziej prawdopodobne, spychałem emocje w najgłębszy kąt.

Zginęły jeszcze dwie osoby.

Cokolwiek stało się przed dwudziestoma laty w lasach... Może miejscowe dzieciaki miały rację, te które mówiły, że pożarł ich potwór lub porwał strach. Cokolwiek zabiło Margot Green i Douga Billingham, a najprawdopodobniej i Camille Copeland, wciąż było żywe, wciąż oddychało, nadal pozbawiało życia. Może przespało te dwadzieścia lat. Może przeniosło się w inne miejsce lub do lasów w innych stanach. Teraz jednak potwór wrócił - i niech mnie szlag, jeśli znów pozwolę mu uciec.

Hotele asystenckie uniwersytetu Reston sprawiały przygnębiające wrażenie. Udające stare, ceglane budynki były stłoczone i kiepsko oświetlone. Pomyślałem, że może to i dobrze.

- Zechcesz poczekać w samochodzie? - Zapytałem.
- Muszę coś szybko załatwić - powiedziała Muse. - Zaraz wrócę.

Poszedłem chodnikiem. Światła były zgaszone, ale słyszałem muzykę. Rozpoznałem piosenkę. *Somebody* Bonnie McKee. Przygnębiająca jak diabli - tym „kimś” była idealna miłość, która gdzieś tam czeka i która nigdy się nie spełni - ale to cała Lucy. Uwielbiała takie cliche kawałki. Zapukałem do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoiłem i ponownie zapukałem. Wciąż nic.

- Luce!

Nic.

- Luce!

Zapukałem jeszcze raz. Cokolwiek podał mi lekarz, przestawało działać. Czułem pozszywany bok. Miałem wrażenie, że przy każdym ruchu szwy rozrywają mi skórę - i tak właśnie było.

- Luce!

Spróbowałem przekręcić klamkę. Drzwi były zamknięte. Próbowałem zajrzeć przez okna. W środku było zbyt ciemno. Usiłowałem je otworzyć. Oba były zamknięte.

- Daj spokój, wiem, że tam jesteś.

Usłyszałem podjeżdżający samochód. To była Muse. Zatrzymała wóz i wysiadła.

- Masz - powiedziała.

- Co to?

- Klucz uniwersalny. Dostałam go od ochrony.

Muse.

Rzuciła mi go i wróciła do samochodu. Wetknąłem klucz do zamka, zapukałem jeszcze raz, przekręciłem. Drzwi się otworzyły. Wszedłem i zamknąłem je za sobą.

- Nie zapalaj światła.

To była Lucy.

- Zostaw mnie samą, Cope, dobrze?

IPod zaczął odtwarzać następny utwór. Alejandro Escovedo śpiewnie pytał, cóż to za miłość niszczy matkę i każe jej przedzierać się przez gąszcz drzew.

- Powinnaś puścić jedną z tych składanek K-tel - powiedziałem.

- Co?

- No wiesz, jedna z tych, które kiedyś reklamowali w telewizji. Time Life prezentuje najbardziej przygnębiające piosenki wszech czasów.

Usłyszałem, jak parsknęła śmiechem. Moje oczy oswajały się z mrokiem. Zobaczyłem, że siedzi na kanapie. Podeszedłem bliżej.

- Nie - powiedziała.

Jednak to mnie nie powstrzymało. Usiadłem przy niej. W rękę trzymała butelkę wódki. Do połowy pustą. Rozejrzałem się. W mieszkaniu nie było niczego osobistego, niczego nowego, kolorowego czy wesołego.

- Ira - powiedziała.

- Tak mi przykro.

- Policja mówi, że zabił Gila.

- A co ty myślisz?

- Widziałam krew w jego samochodzie. Postrzelił cię. No cóż, tak, myślę, że zabił Gila.

- Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Pociągnęła następny łyk.

- Może mi to oddasz? - Zaproponowałem.

- Oto czym jestem, Cope.

- Nie, nie jesteś.

- Nie jestem dla ciebie. Nie możesz mnie ocalić.

Miałem na to kilka odpowiedzi, ale wszystkie były wyświechtane. Nie powiedziałem nic.

- Kocham cię. No wiesz, nigdy nie przestałam cię kochać. Miałam innych mężczyzn. Różne związki. Jednak ty zawsze tam byłeś. W naszym pokoju. Nawet w naszym łóżku. To głupie, idiotyczne, bo byliśmy jeszcze dziećmi, ale tak już jest.

- Rozumiem.

- Oni myślą, że może to Ira zabił Margot i Douga?

- A ty nie?

- On tylko chciał, żeby to odeszło. Wiesz? To było tak bolesne, przysporzyło tylu cierpień.

A potem, kiedy zobaczył Gila, pewnie było tak, jakby duch wrócił, żeby go dręczyć.

- Przykro mi - powtórzyłem.

- Wracaj do domu, Cope.

- Wołałbym zostać.

- Nie ty o tym decydujesz. To mój dom. Moje życie. Idź do domu.

Pociągnęła następny łyk.

- Nie chcę cię tak zostawiać. Zaśmiała się z odrobiną goryczy.

- A co, czy to pierwszy raz?

Spojrzała na mnie, oczekując, że będę się spierał. Nie zamierzałem.

- Tak właśnie robię. Piję po ciemku i puszczam te przekłete piosenki. Wkrótce zacznę dryfować albo urwie mi się film - jak wolisz. A jutro prawie nie będę miała kaca.

- Chcę zostać.

- Nie chcę, żebyś tu został.

- Nie ze względu na ciebie. Na mnie. Chcę być z tobą. Szczególnie dziś wieczorem.

- Nie chcę cię tu. Będzie jeszcze gorzej.

- Przecież...

- Proszę - powiedziała błagalnie. - Proszę, zostaw mnie samą. Jutro. Możemy znów zacząć jutro.

40

Doktor Tara O'Neill rzadko spała dłużej niż cztery czy pięć godzin. Po prostu nie potrzebowała więcej snu. O pierwszym brzasku, o szóstej rano, znów była w lesie. Kochała te lasy - prawdę mówiąc, każdy las. Szkołę średnią i studia medyczne skończyła w mieście, na uniwersytecie stanu Pensylwania w Filadelfii. Ludzie myśleli, że będzie to uwielbiała. Jesteś taką ładną dziewczyną, mówili. Miasto tętni życiem, jest tam tylu ludzi, tyle się dzieje.

Jednak przez cały okres pobytu w Filadelfii O'Neill każdy weekend spędzała w domu. W końcu wystartowała w wyborach na koronera i dorabiała sobie jako patolog w szpitalu Wilkesa-Barre'a. Próbowała wypracować sobie własną filozofię życiową i wyszło jej coś, co kiedyś usłyszała z ust gwiazdora rocka - chyba Erica Claptona - który w udzielonym wywiadzie powiedział, że nie jest wielkim fanem, hmm, ludzi. Ona też nie była. Wołała - chociaż to śmiesznie brzmi - własne towarzystwo. Lubiła czytać i oglądać filmy, nie słuchając przy tym komentarzy. Nie radziła sobie z mężczyznami, ich rozbuchanym ego, nieustannymi przechwałkami i brakiem poczucia bezpieczeństwa. Nie chciała mieć towarzysza życia.

Tutaj - w takich lasach jak te - była najszczęśliwsza.

O'Neill niosła walizeczkę z narzędziami, lecz ze wszystkich wymyślnych nowych gadżetów kupionych za pieniądze podatników za najbardziej przydatny uważała najprostszy z nich: sito. Niemal dokładnie takie, jakiego używała w kuchni. Wyjęła je i zaczęła przesiewać ziemię.

Sito służyło do wyszukiwania zębów oraz małych kostek.

To było żmudne zajęcie, nieco podobne do pracy archeologa, którą wykonywała w ramach praktyk wakacyjnych w przedostatniej klasie liceum. Miała praktykę w Badlands w Dakocie Południowej, na obszarze zwanym Big Pig Dig, ponieważ wykopano tam *Archaeotherium*, będące właściwie ogromną pradawną świnia. Pracowała przy tej świni oraz przy skamielinach pradawnych nosorożców. To było cudowne doświadczenie.

Równie cierpliwie pracowała przy tym grobie, całkowicie pochłonięta zajęciem, które większość ludzi uważałaby za otepiająco monotonne. Tymczasem Tara O'Neill to uwielbiała.

Po godzinie znalazła kawałek kości.

Serce zabiło jej szybciej. Spodziewała się czegoś takiego po obejrzeniu zdjęć rentgenowskich ośrodków kostnienia. Mimo wszystko znalezienie tego brakującego kawałka...

- O rany...

Powiedziała to na głos i słowa odbiły się echem w leśnej ciszy. Nie mogła w to uwierzyć, ale dowód miała przed oczami, leżący na jej okrytej gumową rękawiczką dłoni.

Kość gnykowa.

A przynajmniej jej połowa. Mocno zwapniała, a nawet krucha. Wznowiła poszukiwania, przesiewając ziemię najszybciej, jak mogła. Nie trwały długo. Pięć minut później O'Neill znalazła drugą połowę kości. Przyłożyła do siebie obie połówki.

Nawet po tylu latach pasowały jak fragmenty układanki.

Na twarzy Tary O'Neill pojawił się anielski uśmiech. Przez moment spoglądała na swoje dzieło i z podziwem kręciła głową.

Potem wyjęła telefon komórkowy. Brak zasięgu. Pospiesznie przeszła prawie kilometr, aż pojawiły się dwa słupki. Wtedy wybrała numer szeryfa Lowella. Odebrał po drugim sygnale.

- To ty, doktorze?

- Ja.

- Gdzie jesteś?

- Przy grobie.

- Masz podekscytowany głos.

- Owszem.

- Dlaczego?

- Znalazłam tu coś - powiedziała Tara O'Neill.

- I?

- I to zmienia cały nasz pogląd na tę sprawę.



Zbudził mnie jeden z tych rozlegających się w nieregularnych odstępach czasu pisków szpitalnej aparatury. Poruszyłem się powoli, otworzyłem oczy i zobaczyłem siedzącą przy mnie panią Perez.

Przysunęła sobie krzesło do mojego łóżka. Torebkę miała na podolku. Kolana razem. Plecy wyprostowane. Spojrzałem jej w oczy. Płakała.

- Słyszałam o panu Silversteinie - powiedziała.

Czekałam.

- I słyszałam też, że znaleźli w lesie kości.

Zaschło mi w gardle. Spojrzałam w prawo. Na stoliku obok stał żółtobrązowy plastikowy bidon z wodą, jeden z tych spotykanych wyłącznie w szpitalach i specjalnie zaprojektowanych tak, żeby woda miała okropny smak. Już miałam po niego sięgnąć, ale pani Perez ubiegła mnie, zanim zdołałam unieść rękę. Napełniła kubek wodą i podała mi go.

- Chce pan usiąść? - Zapytała.

- To chyba dobry pomysł.

Nacisnęła guzik zdalnego sterowania i łóżko uniosło mnie do pozycji siedzącej.

- Tak dobrze?

- Świetnie - zapewniłem.

Usiadła z powrotem.

- Nie zostawi pan tej sprawy w spokoju - stwierdziła.

Nie fatygowałam się odpowiedzią.

- Mówią, że pan Silverstein zamordował mojego Gila.

Myśli pan, że to prawda?

Mojego Gila. Zatem przestała udawać. Koniec ukrywania się za kłamstwem lub plecami córki. Koniec z hipotezami.

- Tak.

Skinęła głową.

- Czasem myślę, że Gil naprawdę umarł w lasach. Bo tak powinno być. Cały późniejszy czas był pożyczony. Kiedy tamtego dnia zadzwonił do mnie ten policjant, już wiedziałam. Spodziewałam się tego, rozumie pan? Część Gila nigdy nie uciekła z tych lasów.

- Proszę powiedzieć mi, co się stało.

- Myślałam, że wiem. Przez te wszystkie lata. Może jednak nigdy nie poznałam prawdy. Może Gil mnie okłamał.

- Proszę mi powiedzieć, co pani wie.

- Był pan na tym obozie. Znał pan mojego Gila.

- Tak.

- I znał pan tę dziewczynę. Tę Margot Green.

Potwierdziłem.

- Gil bardzo się w niej zakochał. Był biednym chłopcem. Mieszkaliśmy w spalonej dzielnicy Irvington. Pan Silverstein przeznaczał kilka miejsc na obozie dla dzieci pracowników. Ja pracowałam w pralni. Wie pan o tym.

Wiedziałem.

- Bardzo lubiłam pańską matkę. Była taka mądra. Dużo rozmawialiśmy. O wszystkim. O książkach, o życiu, o naszych rozczarowaniach. Natasza była jedną z tych osób, na które mówimy „dusza człowiek”. Była taka piękna, a jednocześnie krucha. Rozumie pan?

- Myślę, że tak.

- W każdym razie Gil bardzo zakochał się w Margot Green. Zupełnie zrozumiałe. Miał osiemnaście lat. Dla niego była jak modelka z magazynu dla mężczyzn. Tak to już jest z mężczyznami. W dużym stopniu kieruje nimi żądza. Mój Gil nie był inny. Jednak ona złamała mu serce. To też często się zdarza. Powinien pocierpieć kilka tygodni i żyć dalej. I pewnie tak by było. Zamilkła.

- Cóż więc się stało? - Spytałem.

- Wayne Steubens.

- Co z nim?

- Namawiał Gila. Powiedział mu, że nie powinien puścić tego Margot płazem. Odwołał się do męskiej dumy Gila. Powiedział mu, że Margot się z niego śmieje. Musisz odpłacić jej za te kpiny, szeptał mu do ucha Wayne Steubens. I po jakimś czasie - nie wiem jak długim - Gil się zgodził.

Skrzywiłem się.

- Zatem razem poderżnęli jej gardło?

- Nie. Margot nadal dumnie paradowała po obozie. Pamięta pan to, prawda?

Wayne też tak mówił. Była kusicielką.

- Dużo dzieciaków chciało dać jej nauczkę. Mój syn, oczywiście. I Doug Billingham. Może pańska siostra. Ona też tam była, ale może namówił ją Doug. To nieistotne.

Pielęgniarka otworzyła drzwi.

- Nie teraz - powiedziałem.

Spodziewałem się oporu, ale widocznie przekonał ją ton mojego głosu. Wycofała się i zamknęła za sobą drzwi. Pani Perez miała spuszczone oczy. Spoglądała na swoją torebkę, jakby

się bała, że ktoś ją ukradnie.

- Wayne wszystko starannie zaplanował. Tak mówił Gil. Mieli zwabić Margot do lasu. To miał być żart. Pańska siostra im pomogła. Powiedziała, że spotkają fajnych chłopców. Gil założył maskę. Złapał Margot. Związał ją. Na tym miało się to zakończyć. Mieli zostawić ją tak na kilka minut. Gdyby nie rozwiązała się sama, zdjęliby jej więzy. To był głupi, niedojrzały pomysł, ale na obozach takie rzeczy się zdarzają.

Wiedziałem, że ma rację. Na obozach często robiono sobie takie kawały. Pamiętam, jak kiedyś, w nocy, wynieśliśmy do lasu łóżko ze śpiącym na nim chłopakiem. Obudził się rano sam, pod gołym niebem, przerażony. Świeciliśmy latarką w oczy śpiącemu, udając parowóz, trzęsąc łóżkiem i krzyżąc: „Zejdź z torów!”, a potem patrzyliśmy, jak ofiara spada z łóżka. Pamiętam, jak raz załatwiliśmy dwóch obozowych chuliganów, którzy przezywali wszystkich pedałami. Późną nocą, kiedy obaj mocno spali, rozebraliśmy jednego i przenieśliśmy go do łóżka drugiego. Rano wszyscy zobaczyli ich nagich w jednym łóżku. Przestali chuliganic.

Wiązanie flirciary, żeby zostawić ją na chwilę samą w lesie... Taki pomysł wcale by mnie nie zdziwił.

- I wtedy stało się coś bardzo złego - powiedziała pani Perez.

Czekałem. Łza spłynęła jej z oka. Sięgnęła do torebki i wyjęła zwitek chusteczek higienicznych. Otarła oczy i schowała chustki.

- Wayne Steubens wyciągnął brzytwę.

Chyba trochę szerzej otworzyłem oczy, kiedy to powiedziała. Niemal widziałem tę scenę. Widziałem całą ich piątkę tam, w lesie, wyobrażałem sobie ich miny, ich zaskoczenie.

- Widzi pan, Margot od razu zrozumiała, co się dzieje. Nie opierała się. Pozwoliła Gilowi się związać. A potem zaczęła drwić z mojego syna. Wyśmiewała go, powiedziała, że nie wie, co robić z prawdziwą kobietą. Rzucała te same obelgi, jakie kobiety od wieków rzucają w twarz mężczyznom. Mimo to Gil nic jej nie zrobił. Co mógł zrobić? Tylko że nagle Wayne Steubens wyjął brzytwę. Z początku Gil myślał, że to część żartu. Przecież chcieli ją przestraszyć. Jednak Wayne Steubens nie zawahał się. Podeszedł do Margot i poderżnął jej gardło od ucha do ucha.

Zamknąłem oczy. Znów to zobaczyłem. Ujrzałem ostrze przesuwające się po gładkiej skórze, tryskającą krew, uchodzące z niej życie. Myślałem o tym, że kiedy mordowano Margot Green, byłem zaledwie kilkaset metrów dalej, kochając się z moją dziewczyną. Zapewne było jakieś głębokie przesłanie w tym, że najokropniejszemu z ludzkich czynów towarzyszyło coś

najwspanialszego, ale jakoś trudno mi było je dostrzec.

- Przez moment nikt się nie ruszał. Wszyscy po prostu stali. Potem Wayne uśmiechnął się do nich i powiedział: „Dzięki za pomoc”.

Zmarszczyłem brwi, ale może zaczynałem rozumieć. Camille zwabiła Margot do lasu, Gil ją związał...

- Wtem Wayne podniósł brzytwę. Gil mówił, że było widać, jak bardzo spodobało mu się to, co zrobił. Jak patrzył na ciało Margot. Poczł żądzę krwi. Ruszył na nich. A oni uciekli. Rozbiegli się w różne strony. Wayne ich gonił. Gil uciekał wiele kilometrów. Nie wiem, co dokładnie się stało, ale można się domyślić. Wayne dogonił Douga Billingham. I zabił go. Jednak Gil zdołał uciec. I pańska siostra także.

Pielęgniarka wróciła.

- Przepraszam, panie Copeland. Muszę zmierzyć panu puls i ciśnienie.

Skinąłem głowę, żeby weszła. Musiałem złapać oddech. Czuję, jak serce łomocze mi w piersi. Znowu. Jeśli się nie uspokoję, zatrzymają mnie tu na zawsze.

Pielęgniarka pracowała szybko i w milczeniu. Pani Perez rozglądała się po pokoju, jakby dopiero co weszła i właśnie zauważyła, gdzie jest. Obawiałem się, że zamknie się w sobie.

- Wszystko w porządku - powiedziałem do niej.

Skinęła głowę.

Pielęgniarka skończyła.

- Dziś rano zostanie pan wypisany.

- Wspaniale.

Posłała mi skąpy uśmiech i zostawiła nas samych. Czekałem, aż pani Perez podejmie przerwany wątek.

- Oczywiście Gil był przerażony. Pańska siostra także. Może pan to sobie wyobrazić. Musi pan tylko spojrzeć na to z ich punktu widzenia. Byli młodzi. O mało nie zostali zabici. Widzieli, jak zamordowano Margot Green. Jednak chyba najbardziej przerażyły ich słowa Wayne'a Steubensa. „Dzięki za pomoc”. Rozumie pan?

- Zrobił z nich współsprawców.

- Tak.

- I co zrobili?

- Po prostu się ukryli. Na ponad dwadzieścia cztery godziny. Pańska matka i ja strasznie

się niepokoiłyśmy. Mój mąż był w domu w Irvington. Pański ojciec też był na obozie. Brał udział w poszukiwaniach. Pana matka i ja byłyśmy razem, kiedy odebrałam telefon. Gil znał numer płatnego telefonu na tyłach kuchni. Dzwonił trzy razy i rozłączał się, kiedy odebrał ktoś inny. Dopiero ponad dzień od chwili ich zaginięcia ja podniosłam słuchawkę.

- Gil powiedział pani, co się stało?

- Tak.

- Powiedziała pani mojej matce?

Kiwnęła głową. Zacząłem rozumieć.

- Skontaktowałyście się z Wayne'em Steubensem?

- Nie musiałyśmy. Już skontaktował się z pańską matką.

- Co powiedział?

- Nic, co by go obciążało. Jednak wyraził się jasno. Załatwił sobie alibi na tamtą noc. A ponadto, widzi pan, już wiedziałyśmy. Matki już takie są.

- Co wiedziałyście?

- Brat Gila, mój Eduardo, siedział w więzieniu. Gil był raz aresztowany - ukradł z kolegami samochód. Pańska rodzina była biedna, moja też. Na sznurze zostały odciski palców. Policja pytałaby, dlaczego pana siostra zaprowadziła Margot Green do lasu. Wayne pozbył się wszystkich obciążających go dowodów. Był bogaty, lubiany i mógł zatrudnić najlepszych adwokatów. Jest pan prokuratorem, panie Copeland. Niech mi pan powie, gdyby Gil i Camille zgłosili się na policję, kto by im uwierzył?

Zamknąłem oczy.

- Dlatego kazaliśmy im pozostać w ukryciu.

- Tak.

- Kto podrzucił ich zakrwawione ubrania?

- Ja. Spotkałam się z Gilem. Wciąż był w lesie.

- Widziała pani moją siostrę?

- Nie. Dał mi ubrania. Skaleczył się i przycisnął swoją koszulę do rany. Powiedziałam mu, żeby pozostał w ukryciu, dopóki czegoś nie wymyślimy. Próbowaliśmy z pańską matką znaleźć jakiś sposób, żeby wszystko naprawić, podsunąć policji dobry trop. Jednak niczego nie wymyśliłyśmy. Mijały dni. Wiedziałam, co zrobiłaby policja. Nawet gdyby nam uwierzyli, Gil

nadal byłby współnikiem. Camille też.

Pojałem jeszcze coś.

- Miała pani niepełnosprawnego syna.

- Tak.

- I potrzebowała pani pieniędzy. Na opiekę nad nim. Może także, aby opłacić studia Glendy. - Spojrzałem jej w oczy. - Kiedy zorientowała się pani, że możecie dostać odszkodowanie?

- To nie było częścią naszego pierwotnego planu. Dopiero później - kiedy ojciec Billingham narobił krzyku, że pan Silverstein nie opiekował się należycie jego synem.

- Dostrześliście okazję.

Wierciła się na krześle.

- Pan Silverstein powinien ich lepiej pilnować. Nie powinni byli wymknąć się do lasu. Nie był bez winy. Dlatego tak, dostrzegłam okazję. Pańska matka również.

Kręciło mi się w głowie. Próbowałem to opanować i zaakceptować te nowe fakty.

- Chce mi pani... - Urwałem. - Chce mi pani powiedzieć, że moi rodzice wiedzieli, że moja siostra żyje?

- Nie rodzice.

Poczułem, że zimna dłoń ścisła mi serce.

- Och nie...

Pani Perez milczała.

- Nie powiedziała mojemu ojcu, prawda?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ go nienawdziła.

Siedziałem i milczałem. Myślałem o ich kłótniach, rozgoryczeniu, niezadowoleniu.

- Aż tak bardzo?

- Co?

- Nienawdzić kogoś to jedno - powiedziałem. - Czy nienawdziła mojego ojca tak bardzo, że pozwoliła mu myśleć, że jego córka nie żyje?

Nie odpowiedziała.

- Zadałem pani pytanie, pani Perez.

- Nie znam na nie odpowiedzi. Przykro mi.

- Pani powiedziała mężowi, prawda?

- Tak.

- A ona nigdy nie powiedziała mojemu ojcu.

Milczenie.

- Jeździł do tych lasów i szukał jej. Trzy miesiące temu, kiedy umierał, w swoich ostatnich słowach prosił mnie, żebym nie przestawał szukać. Czy ona aż tak bardzo go nienawidziła, pani Perez?

- Nie wiem.

Zaczęło to do mnie dochodzić, jak wielkie, ziębiące ciało krople deszczu. Zimne jak lód.

- Czekąca na właściwy moment, prawda?

Pani Perez nie odpowiedziała.

- Ukryła moją siostrę. Nikomu nie powiedziała, nawet... Nawet mnie. Czekąca, aż zaczną przychodzić pieniądze z odszkodowania. Taki był jej plan. I gdy tylko je dostała... Uciekła. Zabrała część pieniędzy, uciekła i spotkała się z moją siostrą.

- Taki był... Taki był jej plan.

- Dlaczego nie zabrała mnie ze sobą? - Wypaliłem.

Pani Perez tylko na mnie popatrzyła. Zastanowiłem się. Dlaczego? Uświadomiłem sobie coś.

- Gdyby mnie zabrała, ojciec nigdy nie przestałby szukać. Zaangażowałby wuja Sosh i jego starych kumpli z KGB. Może zostawiłby w spokoju moją matkę, bo zapewne też przestał ją kochać. Myślał, że moja siostra nie żyje, więc szukał tylko jej zwłok. Jednak matka wiedziąca, że mnie nigdy nie przestałby szukać.

Przypomniałem sobie, co wuj Sosh powiedział o jej powrocie do Rosji. Czy wróciły tam obie? Gdzie są teraz? Czy to miało sens?

- Gil zmienił nazwisko - ciągnęła. - Dużo podróżował. Wiódł niezbyt interesujące życie. A kiedy do naszego domu przyszli prywatni detektywi i zaczęli zadawać pytania, zwietrzył okazję. Dostrzegł szansę ponownego zarobku. Widzi pan, był dziwny. Pana też obwiniął.

- Mnie?

- Tamtej nocy nie został pan na dyżurze.

Nic nie powiedziałem.

- Dlatego częściowo winił i pana. Pomyślał, że nadarza się okazja, żeby panu odpłacić.

Wszystko się zgadzało. Doskonale pasowało do tego, co powiedziała mi Raya Singh. Pani Perez wstała.

- Nic więcej nie wiem.

- Pani Perez?

Spojrzała na mnie.

- Czy moja siostra była w ciąży?

- Nie wiem.

- Widziała ją pani?

- Słucham?

- Camille. Gil powiedział pani, że ona żyje. Moja matka powiedziała pani, że ona żyje.

Czy jednak widziała ją pani na własne oczy?

- Nie - odparła. - Po tamtej nocy nigdy jej nie widziałam.

41

Nie wiedziałem, co myśleć.

I nie miałem na to czasu. Pięć minut po tym, jak pani Perez wyszła z mojego pokoju, przyszła Muse.

- Musisz jechać do sądu.

Bez trudu wypisałem się ze szpitala. W biurze miałem zapasowy garnitur. Przebrałem się, po czym skierowałem do pokoju sędziego Pierce'a. Flair Hickory i Mort Pubin już tam byli. Słyszeli o moim wypadku poprzedniej nocy, ale jeśli się tym przejęli, to nie było tego po nich widać.

- Panowie - zaczął sędzia - mam nadzieję, że zdołamy znaleźć sposób rozwiązania tej sprawy.

Nie byłem w nastroju.

- Zatem o to tu chodzi?

- O to.

Popatrzyłem na sędziego. On na mnie. Pokręciłem głową. No tak. Jeśli próbowali wyrzucić na mnie presję, szukając haków, co miałyby ich powstrzymać przed przyciśnięciem sędziego?

- Prokuratura nie jest zainteresowana ugodą - oznajmiłem.

Wstałem.

- Niech pan siada, panie Copeland - rzekł sędzia Pierce.

- Mogą być problemy z tym dowodem, jakim jest płyta DVD. Może będę musiał ją wyłączyć. Ruszyłem do drzwi.

- Panie Copeland!

- Nie zamierzam tu zostać. Taka jest moja decyzja, panie sędzio. Pan zrobił swoje. Może pan zrzucić winę na mnie.

Flair Hickory zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

Nie odpowiedziałem. Położyłem rękę na klamce.

- Niech pan siada, panie Copeland, albo zostanie pan zawieszony.

- Za to, że nie chcę ugody?

Odwróciłem się i spojrzałem na Arnolda Pierce'a. Drżała mu dolna warga.

- Czy ktoś mi wyjaśni, co się tu, u diabła, dzieje? - Zapytał Mort Pubin.

Pierce i ja zignorowaliśmy go. Skinąłem głową, dając sędziemu znać, że wszystko rozumiem. Jednak nie zamierzałem ustąpić. Nacisnąłem klamkę i wyszedłem. Ruszyłem korytarzem. Bolał mnie zraniony bok. Łupało mnie w głowie. Chciałem usiąść i zapłakać. Chciałem usiąść i pomyśleć o tym, czego właśnie dowiedziałem się o mojej matce i siostrze.

- Wiedziałem, że to się nie uda. Odwróciłem się. To był E.J. Jenrette.

- Ja tylko próbuję uratować mojego syna - powiedział.

- Pański syn zgwałcił dziewczynę.

- Wiem.

Przystanąłem. W rękę trzymał brązową kopertę.

- Usiądźmy na chwilę - zaproponował.

- Nie.

- Niech pan pomyśli o pańskiej córce. O Carze. Proszę sobie wyobrazić, że jest już dorosła. Może wypije za dużo na przyjęciu. Może siądzie za kierownicą i kogoś przejedzie. Może ten ktoś umrze. Coś w tym rodzaju. Jakiś błąd.

- Gwałt to nie błąd.

- A jednak. Pan wie, że on już nigdy czegoś takiego nie zrobi. Schrzań. Myślał, że jest niepokonany. Teraz wie, że nie.

- Nie będziemy znów tego roztrząsali - powiedziałem.

- Wiem. Jednak każdy ma jakieś sekrety. Każdy popełnia błędy, przestępstwa, wykroczenia. Tylko niektórzy ukrywają je lepiej od innych.

Nic nie powiedziałem.

- Nawet nie próbowałem grozić pańskiemu dziecku - rzekł Jenrette. - Dobierałem się do pana. Grzebałem w pańskiej przeszłości. Dobrałem się nawet do pańskiego szwagra. Jednak tego nigdy nie próbowałem. To dla mnie nieprzekraczalna granica.

- Jest pan wielki - powiedziałem. - Co ma pan na sędziego Pierce'a?

- Nieważne.

Miał rację. Nie musiałem tego wiedzieć.

- Jak mam pomóc mojemu synowi, panie Copeland?

- Ten koń już uciekł ze stajni - odparłem.

- Naprawdę tak pan uważa? Myśli pan, że jego życie się skończyło?

- Pański syn zapewne odsiedzi najwyżej pięć lub sześć lat. O jego dalszym życiu zadecyduje to, co będzie robił w więzieniu i po wyjściu na wolność.

E.J. Jenrette podał mi brązową kopertę.

- Nie wiem, co mam z tym zrobić.

Milczałem.

- Człowiek robi, co w jego mocy, żeby ochronić swoje dzieci. Może tak mogą się usprawiedliwiać. I pana ojciec również.

- Mój ojciec?

- Pana ojciec był w KGB. Wiedział pan o tym?

- Nie mam czasu na takie rozmowy.

- To streszczenie jego akt. Moi ludzie przetłumaczyli je na angielski.

- Nie chcę tego czytać.

- Myślą, że powinien pan, panie Copeland. - Wyciągnął rękę. Nie wziąłem koperty. - Jeśli chce się pan dowiedzieć, jak daleko może posunąć się ojciec, żeby zapewnić lepsze życie swoim dzieciom, powinien pan to przeczytać. Może wtedy trochę lepiej będzie mnie pan rozumiał.

- Nie chcę pana rozumieć.

E.J. Jenrette tylko podał mi kopertę. W końcu ją wziąłem. Odszedł bez słowa.

Wróciłem do mojego gabinetu i zamknąłem drzwi. Usiadłem za biurkiem i otworzyłem akta. Przeczytałem pierwszą stronę. Nic zaskakującego. Potem przeczytałem drugą i wtedy, kiedy myślałem, że nic nie może mnie już bardziej zboleć, słowa otworzyły nową ranę w mojej piersi i rozdarły mnie na strzępy.

Muse weszła bez pukania.

- Ten szkielet, który znaleźli niedaleko dawnego obozu, nie należał do twojej siostry - powiedziała.

Nie mogłem wykrztusić słowa.

- Widzisz, ta cała O'Neill znalazła coś, co nazywa kością gnykową. Sądzę, że to część krtani. W kształcie podkowy. Była złamana na pół. A to oznacza, że ofiara została uduszona.

Jednak u młodych ludzi kość gnykowa nie jest taka krucha i bardziej przypomina chrząstkę. Dlatego O'Neill zrobiła kilka dodatkowych zdjęć rentgenowskich, sprawdzając ośrodki kostnienia. Krótko mówiąc, ten szkielet należał do kobiety po czterdziestce, może nawet po pięćdziesiątce, nie do dziewczyny w wieku Camille.

Nic nie powiedziałem. Tylko patrzyłem na leżącą przede mną kartkę.

- Nie rozumiesz? To nie jest twoja siostra. Zamknąłem oczy. Było mi tak cholernie ciężko na sercu.

- Cope?

- Wiem - powiedziałem.

- Co?

- Tam, w tych lasach, nie leży moja siostra. To moja matka.

42

Sosh nie zdziwił się na mój widok.

- Wiedziałaś, prawda?

Rozmawiał przez telefon. Zakrył dłonią mikrofon.

- Usiądź, Pawle.

- Zadałem ci pytanie.

Skończył rozmowę i odłożył słuchawkę na widełki. Potem zobaczył brązową kopertę w mojej dłoni.

- Co to takiego?

- Streszczenie akt KGB mojego ojca.

Zgarbił się.

- Nie możesz wierzyć we wszystko, co tam znajdziesz - powiedział, ale w jego słowach nie było przekonania.

Jakby odczytywał je z ekranu.

- Na stronie numer dwa - powiedziałem, próbując opanować drżenie głosu - jest opisane to, co zrobił mój ojciec.

Sosh spoglądał na mnie w milczeniu.

- Wydał moich dziadków, prawda? To on był tym informatorem, który ich zdradził. Mój własny ojciec.

Sosh nadal nie odpowiadał.

- Odpowiedz mi, do cholery.

- Nadal nic nie rozumiesz.

- Mój własny ojciec wydał moich dziadków, tak czy nie?

- Tak.

Zamilkłem.

- Twój ojciec został oskarżony o błąd w sztuce lekarskiej. Nie wiem, czy go popełnił, czy nie. To bez różnicy. Rząd chciał go dopaść. Mówiłem ci, do czego byli zdolni. Mogli zniszczyć

całą swoją rodzinę.

- Zatem sprzedał moich dziadków, żeby ocalić swoją skórę?

- Rząd i tak by ich dopadł. Jednak tak, rzeczywiście, Władimir zdradził swoich starych teściów, żeby uratować swoje dzieci. Nie przewidział, że tak się to skończy. Myślał, że reżim tylko trochę ich postraszy, pokaże siłę i tyle. Sądził, że twoi dziadkowie w najgorszym razie spędzą kilka tygodni w areszcie. A w zamian za to wasza rodzina dostanie szansę. I twój ojciec będzie mógł zapewnić lepsze życie swoim dzieciom i wnukom. Nie rozumiesz?

- Nie, przykro mi, nie rozumiem.

- Ponieważ jesteś bogaty i bezpieczny.

- Nie wciskaj mi kitu, Sosh. Ludzie nie sprzedają członków swojej rodziny. Powinieneś to wiedzieć. Przecież przeżyłeś blokadę Leningradu. Mieszkańcy tego miasta nie poddali się. Obojętne, co robili naziści, przyjmowaliście ciosy z podniesionym czołem.

- I uważasz, że to było mądre? - Warknął. Zaciśnął pięści. - Mój Boże, jakiś ty naiwny. Mój brat i siostra umarli z głodu. Rozumiesz? Gdybyśmy się poddali, gdybyśmy oddali tym draniom to przeklęte miasto, Gawryła i Alina nadal by żyli. Wojna z nazistami i tak zostałaby wygrana. Mój brat i siostra mogliby żyć, mieć dzieci, wnuki, zestarzeć się. Zamiast tego...

Odwrócił się do mnie plecami.

- Kiedy matka dowiedziała się o tym, co zrobił? - Zapytałem.

- Dręczyło go to. Mówię o twoim ojcu. Myślę, że twoja matka zawsze coś podejrzewała. Sadzę, że dlatego tak nim gardziła. A tamtej nocy, kiedy zniknęła twoja siostra, pomyślał, że Camille nie żyje. Załamał się. I wyznał jej prawdę.

To miało sens. Okropny sens. Matka dowiedziała się, co zrobił mój ojciec. Nie mogła mu wybaczyć tego, że zdradził jej ukochanych rodziców. Nie mogła wymyślić surowszej kary niż pozwolić mu sądzić, że jego córka nie żyje.

- I wtedy - powiedziałem - moja matka ukryła Camille. Zaczekała, aż przyjdą pieniądze z odszkodowania. Wtedy zamierzała zniknąć z Camille.

- Tak.

- Pozostaje jednak kluczowe pytanie, czyż nie?

- Jakie?

Rozłożyłem ręce.

- Co ze mną, jej jedynym synem? Jak mogła mnie zostawić?

Sosh nie odpowiedział.

- Całe moje życie... Przez całe życie myślałem, że matka mnie nie kochała. Sądziłem, że uciekła i nigdy nie obejrzała się za siebie. Jak mogłeś pozwolić mi w to wierzyć, Sosh?

- Uważasz, że prawda jest lepsza?

Pomyślałem o tym, jak szpiegowałem ojca w lasach. Wciąż je przekopywał, szukając córki. A potem pewnego dnia przestał. Myślałem, że przestał, ponieważ moja matka odeszła. Przypomniałem sobie, jak pojechał w te lasy ostatni raz, jak powiedział mi, żebym go nie śledził.

Nie dziś, Paul. Dzisiaj pojedę tam sam...

Tamtego dnia wykopał ostatni dół. Nie szukał mojej siostry. Zakopał w nim moją matkę.

Czy była w tym poetycka sprawiedliwość, że pochował ją tam, gdzie miała spoczywać moja siostra, czy też ze względów praktycznych - bo komu przyszłoby do głowy szukać w miejscu, które tak dokładnie zostało przeszukane?

- Tato dowiedział się, że zamierzała uciec.

- Tak.

- Jak na to wpadł?

- Ja mu powiedziałem.

Sosh napotkał moje spojrzenie. Milczałem.

- Dowiedziałem się, że twoja matka przelała sto tysięcy dolarów z ich wspólnego konta. Ludzie z KGB zawsze pilnowali się nawzajem. Zapytałem ojca o ten przelew.

- A on zażądał od niej wyjaśnień.

- Tak.

- Wtedy matka... - Głos uwiązał mi w gardle. Odkaszlnąłem, zamrugałem, spróbowałem ponownie. - Matka wcale nie zamierzała mnie porzucić. Chciała zabrać i mnie.

Sosh spojrział mi w oczy i skinął głową.

Prawda powinna mnie choć trochę pocieszyć. Nie pocieszyła.

- Wiedziałeś, że on ją zabił, Sosh?

- Tak.

- Tak po prostu?

Znów nie odpowiedział.

- I nic nie zrobiłeś, prawda?

- Nadal pracowaliśmy dla KGB - powiedział. - Gdyby wyszło na jaw, że jest mordercą,

wszyscy bylibyśmy w niebezpieczeństwie.

- Ojciec by cię wydał.

- Nie tylko mnie. Znał wielu naszych.

- Dlatego pozwoliłeś, żeby uszło mu to płazem.

- Tak wtedy robiono. Dla dobra sprawy. Ojciec powiedział, że ona chciała wydać nas wszystkich.

- Uwierzyłeś w to?

- Czy to ważne, w co wierzyłem? Twój ojciec wcale nie chciał jej zabić. Był załamany.

Wyobraź to sobie. Natasza zamierza od niego odejść. Chce zabrać mu dzieci i zniknąć na zawsze.

Teraz przypomniałem sobie ostatnie słowa umierającego ojca...

„Paul, wciąż musimy ją znaleźć”...

Czy mówił o zwłokach Camille? Czy o Camille żywej?

- Ojciec odkrył, że moja siostra żyje - podsunąłem.

- To nie jest takie proste.

- Dlaczego nie jest proste? Dowiedział się czy nie? Matka mu powiedziała?

- Natasza? - Sosh prychnął. - Nigdy. Mówiłeś o odwadze, umiejętności znoszenia cierpień. Twoja matka nic by mu nie powiedziała. Obojętnie, co by jej zrobił.

- Nawet kiedy ją dusił?

Sosh nie odpowiedział.

- No to jak się dowiedział?

- Po tym, jak ją zabił, twój ojciec przejrzał jej papiery i sprawdził wykazy połączeń telefonicznych. Poskładał wszystkie fakty, a przynajmniej miał pewne podejrzenia.

- Zatem wiedział?

- Jak już mówiłem, to nie jest takie proste.

- Mówisz bez sensu, Sosh. Czy on szukał Camille?

Sosh zamknął oczy. Przeszedł za swoje biurko.

- Wcześniej pytałeś mnie o oblężenie Leningradu - powiedział. - Czy wiesz, czego mnie ono nauczyło? Martwi się nie liczą. Nie ma ich. Grzebiesz ich i żyjesz dalej.

- Zapamiętam to, Sosh.

- Rozpocząłeś poszukiwania. Nie chciałeś zostawić martwych w spokoju. I co ci to dało? Zginęły kolejne dwie osoby. Dowiedziałeś się, że twój ukochany ojciec zamordował twoją

matkę. Warto było, Pawle? Warto było budzić stare upiory?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, co stało się z moją siostrą.

Czekałem.

Przypomniały mi się ostatnie słowa ojca:

„Czy wiedziałeś?”.

Myślałem, że mnie oskarżał, że wyczytał w mojej twarzy poczucie winy. Jednak nie o to mu chodziło. Czy znałem prawdziwy los mojej siostry? Czy wiedziałem, co zrobić? Czy wiedziałem, że zamordował moją matkę i zakopał ją w lesie?

- Co się stało z moją siostrą, Sosh?

- Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że to nie jest takie proste.

Czekałem.

- Musisz zrozumieć. Twój ojciec nie miał pewności. Znalazł kilka dowodów, owszem, ale jedyne, czego był pewien, to tego, że twoja matka zamierzała uciec z pieniędzmi i zabrać cię ze sobą.

- I co?

- To, że poprosił mnie o pomoc. Poprosił, żebym sprawdził te dowody. Prosił, żebym znalazł twoją siostrę.

Spojrzałem na niego.

- Zrobiłeś to?

- Sprawdziłem to, owszem. - Zrobił krok w moją stronę. - A kiedy skończyłem, powiedziałem twojemu ojcu, że się pomylił.

- Co?

- Powiedziałem twojemu ojcu, że twoja siostra zginęła tamtej nocy.

Nie pojmowałem.

- A zginęła?

- Nie, Pawle. Nie umarła tamtej nocy. Poczułem, że serce rośnie mi w piersi.

- Okłamałeś go. Nie chciałeś, żeby ją znalazł.

Nic nie powiedział.

- A teraz? Gdzie jest teraz?

- Twoja siostra wiedziała, co zrobił wasz ojciec. Oczywiście nie mogła tego zgłosić. Nie miała żadnego dowodu. I przecież ukrywała się przed policją. Ponadto bała się ojca. Czy mogła wrócić do człowieka, który zamordował jej matkę?

Pomyślałem o rodzinie Perezów, oskarżeniu o wyłudzenie i tym wszystkim. Tak samo byłoby z moją siostrą. Nawet gdyby nie uwzględnić w równaniu ojca, trudno byłoby jej wrócić do domu.

Znów poczułem przyływ nadziei.

- Zatem znalazłeś ją?

- Tak.

- I co?

- I dałem jej pieniądze.

- Pomogłeś jej ukryć się przed nim?

Nie odpowiedział. Nie musiał.

- Gdzie jest teraz?

- Straciłem z nią kontakt wiele lat temu. Musisz zrozumieć. Camille nie chciała cię zranić. Chciała cię zabrać ze sobą. Jednak to było nierealne. Wiedziała, jak bardzo kochałeś ojca. A później, kiedy stałeś się znaną postacią, wiedziała, że zniszczyłby cię jej powrót i wywołany tym skandal. Widzisz, gdyby powróciła, wszystko wyszłoby na jaw. A wtedy twoja kariera byłaby skończona.

- Już jest.

- Tak, teraz to wiemy.

Wiemy. Liczba mnoga.

- Gdzie jest zatem Camille? - Zapytałem.

- Jest tu, Pawle.

W pokoju zabrakło powietrza. Nie mogłem oddychać. Pokręciłem głową.

- Znalezienie jej po tylu latach trochę trwało - zaczął Sosh. - Jednak w końcu ją znalazłem.

Porozmawialiśmy. Nie wiedziała, że wasz ojciec nie żyje. Powiedziałem jej. I to, oczywiście, wszystko zmieniło.

- Zaczekaj chwilę. Ty... - Urwałem. - Ty rozmawiałeś z Camille?

Ledwie poznałem swój głos.

- Tak, Pawle.

- Nie rozumiem.

- Kiedy tu wszedłeś, rozmawiałem z nią przez telefon.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Zatrzymała się w hotelu dwie przecznice dalej. Powiedziałem jej, żeby tu przyszła. - Spojrzał w kierunku windy. - To ona. Już tu jedzie.

Powoli odwróciłem się i patrzyłem na rosnące na wyświetlaczu liczby. Usłyszałem brzęk. Zrobiłem krok w kierunku windy. Nie mogłem w to uwierzyć. To jeszcze jeden okrutny żart. Nadzieja znów igrała sobie ze mną.

Winda zatrzymała się. Usłyszałem odgłos otwierających się drzwi. Nie rozsunęły się płynnie. Otworzyły się niechętnie, jakby nie chcąc wypuścić pasażera. Zamarłem. Serce waliło mi jak młotem. Nie odrywałem oczu od tych otwierających się drzwi.

A potem, dwadzieścia lat po tym, jak zniknęła w lasach, moja siostra Camille znów wkroczyła w moje życie.

Epilog

Miesiąc później

Lucy nie chce, żebym tam pojechał.

- Wreszcie jest po wszystkim - mówi mi tuż przed tym, zanim pojadę na lotnisko.

- Już to słyszałem - kontruję.

- Nie musisz znów stawiać mu czoła, Cope.

- Muszę. Potrzebuję kilku ostatnich odpowiedzi.

Lucy zamyka oczy.

- No co?

- To wszystko jest takie kruche, wiesz?

Wiem.

- Boję się, że znów zaburzysz równowagę. Rozumiem ją. Jednak trzeba to zrobić.

Godzinę później spoglądam przez okienko samolotu. Przez ostatni miesiąc życie niemal wróciło do normy. Sprawa Jenrette'a i Marantza po kilku dziwnych i nieoczekiwanych zwrotach zakończyła się pomyślnie. Rodziny oskarżonych nie zrezygnowały. Wywarły nacisk na sędziego Arnolda Pierce'a, który w końcu się załamał. Wykluczył płytę DVD jako dowód, twierdząc, że nie przedstawiliśmy jej we właściwym czasie. Wyglądało na to, że mamy kłopoty. Jednak ława przysięgłych przejrzała to - jak to często bywa - i uznała oskarżonych za winnych. Oczywiście Flair i Mort złożyli apelację.

Chciałbym oskarżyć sędziego Pierce'a, ale nigdy nie zdołam. Chciałbym oskarżyć E.J. Jenrette'a i MVD o szantaż. Wątpię, żeby i to mi się udało. Jednak wytoczona przez Chamique sprawa o odszkodowanie dobrze rokuje. Plotka głosi, że chcą ją jak najszybciej ułagodzić. Mówi się o siedmiocyfrowej sumie. Mam nadzieję, że ją dostanie. Jednak patrząc w moją kryształową kulę, nie widzę wiele czekającego na Chamique szczęścia. Sam nie wiem. Jej życie było takie burzliwe. Czuję, że pieniądze niczego nie zmienią.

Mój szwagier Bob wyszedł za kaucją. W tej sprawie trochę się ugiąłem. Zeznałem komisji

federalnej, że chociaż „niezbyt dobrze to pamiętam, to jestem przekonany, że Bob zawiadomił mnie, że potrzebna mu pożyczka, a ja ją zaaprobowałem”. Nie wiem, czym się to skończy. Nie wiem, czy robię dobrze czy źle (zapewne źle), ale nie chcę, by zniszczono Gretę i jej rodzinę. Możecie nazywać mnie hipokrytą - jestem nim - ale granica między dobrem, a złem czasem staje się tak niewyraźna. Niewyraźna w jasnym blasku realnego świata.

A także, oczywiście, w półmroku tamtych lasów.

Oto krótkie, lecz wyczerpujące podsumowanie Loren Muse: Muse pozostaje sobą. I jestem jej za to wdzięczny. Gubernator Dave Markie jeszcze nie poprosił mnie o rezygnację, a ja jeszcze jej nie złożyłem. Zapewne zrobię to i powinienem to zrobić, ale jeszcze nie teraz.

Raya Singh opuściła Most Valuable Detections i została partnerką nie kogo innego jak Cingle Shaker. Cingle mówi, że szukają trzeciej gorącej sztuki, żeby mogły nazwać swoją agencję „Aniołki Charliego”.

Samolot ląduje. Wsiadam. Sprawdzam palmtopa. Jest jedna krótka wiadomość od mojej siostry Camille:

Hej, Brat - Cara i ja jedziemy do miasta na lunch i zakupy. Tęsknię i kocham, Camille.

Moja siostra, Camille. To fantastyczne znowu ją mieć. Nie do wiary, jak szybko stała się nieodłączną i niezbędną częścią naszego życia. Choć prawdę mówiąc, wciąż utrzymuje się między nami napięcie. Jednak jest coraz lepiej. A będzie jeszcze lepiej. Jednak to napięcie tam jest i czasem wychodzimy z siebie, próbując je pokonać, mówiąc do siebie per „brat” i „sio”, powtarzając, że tęsknimy i kochamy.

Nadal nie znam całej historii Camille. Pomięła kilka szczegółów. Wiem, że pod zmienionym nazwiskiem zaczęła nowe życie w Moskwie, ale nie została tam długo. Była dwa lata w Pradze i rok w hiszpańskim Begur na Costa Brava. Wróciła do Stanów, trochę podróżowała, wyszła za mąż i osiadła na przedmieściach Atlanty, a po trzech latach rozwiodła się.

Nie ma dzieci, ale jest najlepszą na świecie ciotką. Kocha Carę, która co najmniej odwzajemnia to uczucie. Camille mieszka z nami. Jest cudownie - lepiej, niż mogłem mieć nadzieję - co naprawdę łagodzi napięcie.

Jakaś część mojej świadomości zastanawia się, dlaczego Camille tak długo wracała do

domu, i myślę, że to jest głównym powodem istniejącego między nami napięcia. Rozumiem sens tego, co powiedział mi Sosh, że chciała chronić mnie, moją reputację i moje wspomnienia o ojcu. I rozumiem, że miała powód obawiać się ojca, dopóki chodził po tym świecie.

Myślę jednak, że jest w tym coś więcej.

Camille postanowiła nie mówić o tym, co zdarzyło się w lasach. Nigdy nikomu nie powiedziała o tym, co zrobił Wayne Steubens. Ten wybór, słuszny czy nie, pozwolił mu zamordować kolejne ofiary. Sam nie wiem, co należało zrobić, czy udając się na policję, naprawiłaby czy pogorszyła sytuację. Można twierdzić, że Wayne i tak by się z tego wykręcił, że mógłby uciec do Europy i tam pozostać, że byłby ostrożniejszy i zabiłby jeszcze więcej ludzi. Kto wie? Tylko że kłamstwa lubią się jątrzyć jak zakażone rany. Camille myślała, że zdoła te kłamstwa zakopać. Może wszyscy tak myśleliśmy.

Jednak nikt z nas nie uszedł z lasów bez szwanku.

Co do mojego życia uczuciowego, to, no cóż, jestem zakochany. Tak po prostu. Kocham Lucy całym sercem. Nie zwlekaliśmy - padliśmy sobie w ramiona, jakbyśmy chcieli nadrobić stracony czas. Może jest w tym trochę niezdrowej desperacji, obsesji, traktowania tego związku jak koła ratunkowego. Widujemy się bardzo często, a kiedy nie jesteśmy razem, czuję się zagubiony, bezradny i znów chcę z nią być. Rozmawiamy przez telefon. Przesyłamy sobie e-maile i wiadomości tekstowe.

W końcu to jest miłość, no nie?

Lucy jest zabawna, niezgrabna, ciepła, mądra i piękna, i rozbijająca w najmiłszy z możliwych sposób. Zgadza się we wszystkim.

Oczywiście, oprócz tej mojej wycieczki.

Rozumiem jej obawy. Aż nazbyt dobrze wiem, jakie to wszystko jest kruche. Nie można jednak żyć na cienkim lodzie. Dlatego znów tu jestem, w więzieniu stanowym Red Onion w Pound w Wirginii, chcąc poznać kilka ostatnich odpowiedzi.

Wchodzi Wayne Steubens. Jesteśmy w tym samym pomieszczeniu, w którym spotkaliśmy się poprzednio. Siada na tym samym miejscu.

- No, no - mówi do mnie. - Byłeś bardzo zajęty, Cope.

- Zabiłeś ich - mówię. - W końcu jednak to ty, seryjny zabójca, ich zabiłeś.

Wayne się uśmiecha.

- Zaplanowałeś to, prawda?

- Czy ktoś nas słucha?

- Nie.

Podnosi prawą rękę.

- Dajesz na to słowo?

- Słowo - mówię.

- No to jasne, czemu nie. Zrobiłem to. Zaplanowałem te zabójstwa.

No i tak. On również postanowił stawić czoło przeszłości.

- I zrobiłeś to tak, jak powiedziała pani Perez. Zamordowałeś Margot. Wtedy Gil, Camille i Doug uciekli. Ścigałeś ich. Dogoniłeś Douga. Jego też zamordowałeś. Unosi wskazujący palec.

- Popełniłem błąd. Widzisz, pospieszyłem się z Margot. Miała być ostatnia, ponieważ już była związana. Jednak jej szyja była tak odsłonięta, tak bezbronna... Nie potrafiłem się oprzeć.

- Z początku nie mogłem pojąć kilku rzeczy - mówię mu. - Teraz jednak chyba rozumiem.

- Słucham.

- Ten tekst przysłany Lucy przez prywatnych detektywów.

- Ach.

- Zastanawiałem się, kto widział nas w lesie, ale Lucy miała rację. Tylko jedna osoba mogła o tym wiedzieć: zabójca. Ty, Wayne.

Rozłożył ręce.

- Skromność powstrzymuje mnie przed dłuższą wypowiedzią.

- To ty przekazałeś MVD informacje, które wykorzystali w tym tekście. Ty byłeś ich informatorem.

- Skromność, Cope. Znow wykażę skromność.

Świetnie się bawi.

- Jak udało ci się namówić Irę, żeby ci pomógł?

- Drogi wuj Ira. Ten hipis z mózgiem przeżartym prochami.

- Tak, Wayne.

- Niewiele mi pomógł. Chciałem tylko, żeby zszedł mi z drogi. Widzisz - to może cię zaszokować, Cope - Ira handlował prochami. Miałem zdjęcia i dowody. Gdyby to wyszło na jaw, byłoby po jego cudownym obozie. I po nim.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Dlatego, kiedy Gil i ja zaczęliśmy znow w tym grzebać - mówię, Ira się przestraszył. Jak

powiedziałeś, już wtedy był trochę niezrównoważony, a teraz znacznie mu się pogorszyło. Paranoja odebrała mu zdolność trzeźwego myślenia. Ty już siedzisz, a Gil i ja mogliśmy tylko pogorszyć sytuację, odgrzebując przeszłość. Dlatego Ira wpadł w panikę. Uciszył Gila i próbował uciszyć mnie.

Następny uśmiech Wayne'a.

Teraz jednak ten uśmiech jest nieco inny.

- Wayne?

Nic nie mówi. Tylko się uśmiecha. Nie podoba mi się to. Powtarzam sobie w myślach to, co właśnie powiedziałem. Nadal mi się to nie podoba.

Wayne wciąż się uśmiecha.

- Co? - Pytam.

- Coś przeoczyłeś, Cope.

Czekam.

- Ira nie był jedynym, który mi pomógł.

- Wiem. Gil miał w tym swój udział. Związał Margot. Moja siostra też tam była. Pomogła zwabić Margot do lasu.

Wayne mruży oczy i pokazuje mi kciuk, niemal złączony ze wskazującym palcem.

- Wciąż brakuje ci jednego maleńkiego kawałka - mówi. - Jednego maleńkiego kawałeczka, który przez te wszystkie lata zachowałem dla siebie.

Wstrzymuję oddech. On tylko się uśmiecha. Przełamuję milczenie.

- Co? - Pytam ponownie.

Nachyla się i szepcze:

- Ty, Cope.

Nie mogę wykrztusić słowa.

- Zapominasz o swoim udziale w tej sprawie.

- Wiem, co zrobiłem. Zszedłem z dyżuru.

- Tak, to prawda. A gdybyś nie zszedł?

- Powstrzymałbym cię.

- Tak - mówi przeciągle Wayne. - Właśnie.

Czekam. Nie mówi nic więcej.

- To chciałeś usłyszeć, Wayne? To, że czuję się częściowo odpowiedzialny?

- Nie. Nic równie prostego.

- No to co?

Kręci głową.

- Nie dostrzegasz czegoś.

- Czego?

- Pomyśl, Cope. To prawda, zszedłeś z dyżuru. Jednak sam to powiedziałeś. Wszystko zaplanowałem.

Przykłada dłoń do ust i znów zniża głos do szeptu.

- Zatem odpowiedz mi na jedno pytanie: skąd wiedziałem, że tamtej nocy zejdziesz z dyżuru?



Jedziemy z Lucy do lasu.

Mam już pozwolenie szeryfa Lowella, więc ochroniarz, przed którym ostrzegła mnie Muse, przepuszcza nas, machając ręką. Parkujemy przed apartamentowcami. Jest dziwnie - Lucy i ja nie byliśmy tu od dwudziestu lat. Oczywiście wtedy nie było tutaj tego osiedla. Jednak mimo wszystko, po tak długim czasie, poznajemy to miejsce.

Ojciec Lucy, jej drogi Ira, był właścicielem całego tego terenu. Kiedy przyjechał tutaj przed laty, z pewnością musiał czuć się jak Magellan odkrywający nowy świat. Zapewne spojrzał na lasy i zrealizował marzenie swojego życia: stworzył obóz, wspólnotę, naturalne środowisko wolne od grzechów cywilizacji, pełne pokoju i harmonii, gdzie mógł wpajać swoje wartości

Biedny Ira.

Większość zbrodni, z którymi mam do czynienia, zaczyna się od jakiegoś drobiazgu. Mąż rozgniewa się na żonę z powodu czegoś nieistotnego - gdzie jest pilot od telewizora, czemu obiad jest zimny - i mała kłótnia przeradza się w tragedię. Jednak w tym wypadku było inaczej. Zaczęło się od tragedii. Wayne Steubens, szalony seryjny zabójca, zapoczątkował to wszystko. To jego żądza krwi wprawiła w ruch śniegową kulę.

Może wszyscy pomogliśmy mu w taki lub inny sposób.

Strach okazał się najlepszym współnikiem Wayne'a. E.J. Jenrette pokazał mi, jaką siłą jest lęk - jeśli wystarczająco przestraszysz ludzi, będą posłuszni. Tyle że nie udało mu się w ten sposób obronić syna oskarżonego o gwałt. Nie zdołał nastraszyć Chamique Johnson. Ani nastraszyć mnie.

Może dlatego, że już byłem wystarczająco przestraszony.

Lucy niesie kwiaty, chociaż powinna wiedzieć... My nie składamy kwiatów na nagrobkach. Kładziemy kamienie. Ponadto nie wiem, dla kogo te kwiaty są - dla mojej matki czy jej ojca. Zapewne dla obojga.

Idziemy starą ścieżką - tak, wciąż tam jest, choć mocno zarośnięta - do miejsca, gdzie Barrett znalazł kości mojej matki. Dół, w którym leżała przez te wszystkie lata, jest pusty. Resztki żółtej policyjnej taśmy powiewają na wietrze.

Lucy klęka. Ja słucham wiatru i zastanawiam się, czy słyszę w nim krzyki. Nie. Nie słyszę niczego prócz pustki w moim sercu.

- Dlaczego tamtej nocy poszliśmy do lasu, Lucy?

Nie patrzy na mnie.

- Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem. Wszyscy się dziwili. Wszyscy zadawali sobie pytanie, jak mogłem być taki nieodpowiedzialny. Jednak dla mnie to było oczywiste. Byłem zakochany. Wymknąłem się z moją dziewczyną. Czy mogło być coś bardziej naturalnego?

Starannie układa kwiaty. Nadal na mnie nie patrzy.

- Ira nie pomógł tamtej nocy Wayne'owi Steubensowi - mówię do kobiety, która kocham.

- Ty to zrobiłaś.

W moim głosie słyszę prokuratora. Chcę, żeby się zamknął i odszedł. On jednak tego nie robi.

- Wayne mi powiedział. Starannie zaplanował te morderstwa, więc skąd wiedział, że zejdziesz z dyżuru? Ponieważ ty miałaś tego dopilnować.

Widzę, jak kuli się i zapada w siebie.

- Dlatego nie mogłaś spojrzeć mi w oczy - mówię. - Dlatego masz wrażenie, że spadasz ze zbocza i nie możesz się zatrzymać. Nie dlatego, że twoja rodzina straciła obóz, reputację czy pieniądze. Dlatego, że pomogłaś Wayne'owi Steubensowi.

Czekam. Lucy spuszcza głowę. Ja stoję za jej plecami. Chowa twarz w dłoniach. Łka. Drżą jej ramiona. Słyszę jej płacz i pęka mi serce. Robię krok w jej stronę. Do diabła z tym, myślę. Tym razem wuj Sosh ma rację. Nie muszę wiedzieć wszystkiego. Nie muszę do tego wracać.

Potrzebuję jej. Dlatego robię ten krok.

Lucy podnosi rękę, powstrzymując mnie. Powoli bierze się w garść.

- Nie wiedziałam, co zamierza zrobić - mówi. - Powiedział, że doprowadzi do aresztowania Iry, jeśli mu nie pomogę. Myślałam... Myślałam, że zamierza tylko nastraszyć Margot. No wiesz, głupi kawał.

Coś utknęło mi w gardle.

- Wayne wiedział, że się rozdzieliliśmy. Kiwa głową.

- Skąd?

- Widział mnie.

- Ciebie - mówię. - Nie nas.

Ponownie kiwa głową.

- To ty znalazłaś ciało, prawda? Zwłoki Margot. Stąd ta krew w tekście. Wayne nie mówił o mnie. Mówił o tobie.

- Tak.

Myślę o tym, jaka musiała być przerażona, jak pobiegła do ojca, jak Ira zapewne także spanikował.

- Ira zobaczył cię zakrwawioną. Pomyślał...

Lucy nic nie mówi. Teraz jednak wszystko nabiera sensu.

- Ira nie zabiłby Gila i mnie, żeby chronić siebie - powiedziałem. - Jednak był ojcem. I w końcu, mimo całego swego pokojowego nastawienia, miłości i zrozumienia, był takim samym ojcem jak każdy. Dlatego zabił, żeby ochronić swoją córeczkę.

Ona znów szlocha.

Wszyscy milczeli. Wszyscy się bali - moja siostra, matka,

Gil, jego rodzina, a teraz Lucy. Wszyscy ponosili część winy i zapłacili za to straszną cenę. A co ze mną? Lubię usprawiedliwiać się młodym wiekiem i potrzebą... Powiedzmy, wyszumienia się. Tylko czy to naprawdę jest usprawiedliwienie? Tamtej nocy miałem obowiązek pilnować obozowiczów. Nie dopełniłem go.

Drzewa zdają się nas otaczać. Patrzę na nie, a potem patrzę na twarz Lucy. Widzę piękno. Widzę rany. Chcę do niej podejść. Jednak nie mogę. Nie wiem dlaczego. Chcę i wiem, że powinienem. Jednak nie mogę.

Zamiast tego odwracam się i odchodzę od kobiety, którą kocham. Spodziewam się, że mnie zawoła, próbując zatrzymać. Nie robi tego. Pozwala mi odejść. Słyszę jej płacz. Idę dalej.

Idę, aż wychodzę z lasu i wracam do samochodu. Siadam na krawężniku i zamykam oczy. W końcu będzie musiała do mnie przyjść. Tak więc siedzę i czekam na nią. Zastanawiam się, co będzie, kiedy do mnie przyjdzie. Zastanawiam się, czy odjedziemy stąd razem, czy też te lasy, po tylu latach, zabiorą jeszcze jedną ofiarę.

Podziękowania

Nie jestem ekspertem w wielu dziedzinach, tak więc dobrze, że znam kilku prawdziwych geniuszy. Może się zdawać, że chcę zrobić wrażenie, ale pomagali mi tacy przyjaciele i koledzy jak dr Michael Baden, Linda Fairstein, dr David Gold, dr Anne Armstrong-Coben, Christopher J. Christie oraz prawdziwy Jeff Bedford.

Dziękuję Mitchowi Hoffmanowi, Lisie Johnson, Brianowi Tartowi, Ericie Imranyi oraz wszystkim z Dutton. Dziękuję Jonowi Woodowi z Oriona i Francoise Triffaux z Belfond. Dziękuję Aaronowi Priestowi i wszystkim z noszącej skromną nazwę Agencji Literackiej Aarona Priesta.

I wreszcie składam specjalne podziękowania błyskotliwej Lisie Erbach Vance, która przez dziesięć ostatnich lat nauczyła się cudownie sobie radzić w moimi nastrojami i humorami. Jesteś super, Liso.